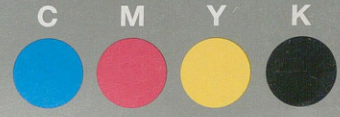




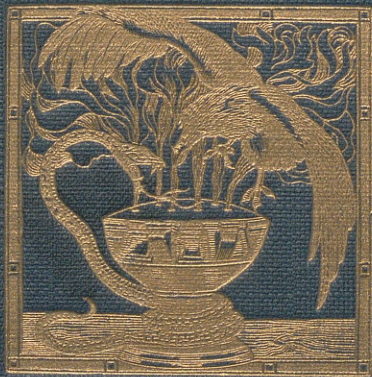
Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



DZIELA FRYDERYKA  
NIETZSCHEGO



Inches  
1 2 3 4 5 6 7 8

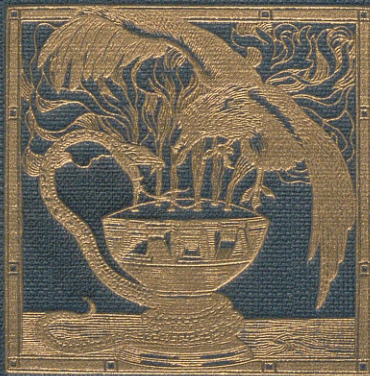
Centimetres  
1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

Colour Chart #13

DANES-PICTA.COM

DZIEŁA FRYDERYKA  
NIETZSCHEGO.



DIKSA FRON NIKSAGHGO

WNRBKA DZIA WAGAWA  
BERENTA, KONRADA DRE-  
WICKIEGO, LEOPOLDISTAFA I  
STANISLAWA WYRZYKOWSKIEGO  
WYDAŁ JAKOB MORTKOWICZ

Emilia Czeszwał



WARSZAWA MCMVII

# DZIEŁA FRYD. NIETZSCHEGO

W PRZEKŁADZIE WACŁAWA  
BERENTA, KONRADA DRZE-  
WIECKIEGO, LEOPOLDA STAFFA I  
STANISŁAWA WYRZYKOWSKIEGO  
WYDAŁ JAKÓB MORTKOWICZ.



WARSZAWA MCMVI—MCMVII

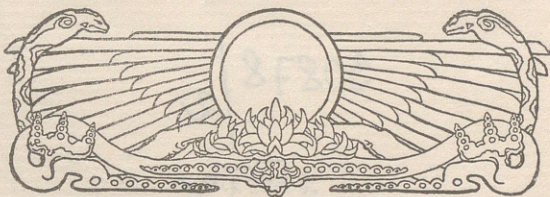
T. 6

FRYDERYK NIETZSCHE

WIEDZA RADOSNA

(»LA GAYA SCIENZA«)

PRZEŁOŻYŁ LEOPOLD STAFF

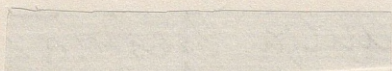


NAKŁAD JAKOBA MORTKOWICZA

14a = 2

FRYDERYK NIETZSCHE

WIEDZA I RADOŚĆ  
BERENIA KONKORDIA  
WIECZNA (L. GAY) (SCIENCE) (K. S. W.)  
OGNIWY WYRZYKAWAŁY  
PROF. DR. LEOPOLD STAFF



NAKLAD JAKOBA MORTKOWICZA

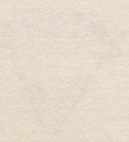
Dom na mieszkanie własny mam,  
W niczem nie biegłem w cudzy ślad,  
— Każdego mistrzom wyśmiał rad,  
Który nie wyśmiał siebie sam.

*Nad bramą mego domu.*

1902

Dom na miasteczku wstany mam,  
W nim nie jestem w codzielnym  
— Każdego miasteczka wymiary też,  
Kiedy nie wymiary siebie sam.  
Waż stronę mego domu.

1902





## PRZEDMOWA DO WYDANIA DRUGIEGO

### WIEDZA RADOSNA

(»LA GAYA SCIENZA«)

WIEDZA RADOŚĆ  
(ELA GAYA SCIENTIA)



## PRZEDMOWA DO WYDANIA DRUGIEGO.

### I.

Książce tej potrzeba może nie tylko jednej przedmowy; a wkońcuby zawsze się jeszcze ostała wątpliwość, czy przedmowy mogą tę książkę, jako przygodę przeżyta, uczynić bliższą komuś, kto nic podobnego nie przeżył. Zdaje się ona pisana w mowie powiewu odwilży: jest w niej junactwo, niepokój, przekora, pogoda kwietniowa, tak że ustawicznie przypomina się zarówno sąsiedztwo z zimą, jak z wycięstwo nad zimą, które nadchodzi, nadejść musi, lub już może nadeszło... Wdzięczność wytryska ustawicznie, jak gdyby stało się właśnie to, czego człowiek najmniej oczekiwał, wdzięczność ozdowieńca, — bo ozdowieńca było tem, czego się najmniej oczekiwało. »Wiedza radosna« to znaczy saturnalie ducha, który opierał się cierpliwie straszliwemu, długiemu uciskowi — cierpliwie, surowo, zimno, nie poddając się, lecz i bez nadziei —, i którego teraz opada nagle nadzieja zdrowia, upojność ozdrowienia. Cóż za

dziw, że przytem wiele nierozsądku i szaleństwa na jaw wychodzi, wiele swawolnej tkliwości, twornionej nawet na problematy, które mają sierść kółczatą i nie wydają się, jakby chciały, by je pieścić i wabić. Cała ta książka nie jest właśnie niczem innym, jeno wesołością po długim niedostatku i niemocy, radoowaniem się z powracających sił, z budzącej się na nowo wiary w jutro i pojutrze, z nagłego poczucia i przeczucia przyszłości, blizkich przygód, mórz znowu otwartych, znów dozwolonych, znów wierze wróconych celów. Cóż bo nie leżało teraz poza mną! Ten szmat pustyni, wyczerpania, niewiary, złodowacenia wpośród młodości, ta starczość nie na swoim miejscu, ta tyrania bólu, prześcignięta jeszcze przez tyranię dumy, która odrzucała wnioski bólu — a wnioski są pocieszeniami —, to radykalne osamotnienie, jako konieczna obrona przeciw pogardzie dla ludzi, która chorobliwie jasnowidzącą się stała, to zupełne ograniczenie się do tego, co w poznaniu gorzkie, cierpkie, ból sprawiające, jak to je zalecał wstręt, wyrosły stopniowo z nieostrożnej duchowej diety i rozpieszczenia smaku — zwą je romantyką — och, któżby to wszystko mógł odczuć ze mną! Ktoby to jednak mógł, wybaczy mi napewno więcej jeszcze, niż nieco szaleństwa, swawoli, »wiedzy radosnej«, — na przykład tę garść pieśni, które książce tym razem przydano —, pieśni, w których poeta w sposób trudny do wybaczenia z wszystkich poetów żarty sobie stroi. — Ach, bo nie tylko na poetach i ich pięknych, »lirycznych uczuciach« musi ten zmartwychwstaniec złość wyrzucić swoją: któż wie, jakiej szuka sobie ofiary, co za potworność paradyi wkrótce nęcić go będzie? »*Incipit tragoe-*

*dia*» — napisano przy końcu tej niebezpiecznie bez-  
troskliwej książki: miejcie się na baczności! Zapo-  
wiada się coś hultajsko złego i złośliwego: *incipit*  
*parodia*, niema wątpliwości...

## 2.

— Lecz dajmy pokój panu Nietzsche: cóż  
nas obchodzi, że pan Nietzsche wrócił do zdrowia?...  
Psycholog zna niewiele tak pociągających zagadnień,  
jak stosunek zdrowia do filozofii, a w razie gdy sam  
zachoruje, całą swą naukową ciekawość wnosi w swoją  
chorobę. Posiada się bowiem, ma się rozumieć, jeśli  
się jest osobą, koniecznie i filozofię swej osoby: je-  
dnak istnieje tu ważna różnica. W jednym filozofują  
jego braki, w innym bogactwa jego i siły. Pierwszemu  
jest filozofia jego p o t r z e b n a, czy to jako podpora,  
uspokojenie, lekarstwo, wyzwolenie, podniesienie, zobo-  
jętnienie na samego siebie; u drugiego jest ona pięknym  
jeno zbytkiem, w najlepszym razie rozkoszą  
tryumfującej wdzięczności, która wkońcu jeszcze sie-  
bie kosmicznymi wielkimi głoskami na niebie pojęć  
wypisać musi. W innym jednak, zwykleszym wy-  
padku, gdy filozofią kierują braki, jak u wszystkich  
chorych myślicieli — a być może, że w dziejach filo-  
zofii przeważają chorzy myśliciele — : czemuż stanie  
się sama myśl, która dostała się pod u c i s k choroby?  
Oto pytanie, obchodzące psychologa: i tu możliwy  
jest eksperyment. Podobnie jak podróżny postanawia  
obudzić się o oznaczonej godzinie, a potem spokojnie  
powierza się snu: my, filozofowie, skoro nas cho-

roba opadnie poddajemy się na pewien czas z duszą i ciałem chorobie — zamykamy niejako oczy przed sobą. I jak ów wie, że coś tam nie śpi, coś liczy godziny i obudzi go, tak też my wiemy, że rozstrzygająca chwila zastanie nas na czuwaniu, — że coś wówczas wyskoczy i chwyci ducha na gorącym uczynku, to znaczy na słabości lub nawrocie lub poddaniu się lub stwardnieniu lub sposepnieniu lub jak tam zwą się te chorobliwe ducha stany, które za zdrowych dni mają przeciw sobie dumę ducha (bo jak mówi stara zwrotka: »dumny duch, paw i koń — to przecie najdumniejsze zwierzęta w świecie« --). Takie badanie samego siebie, takie doświadczenie na sobie uczy nas bystrzejszem spoglądać okiem na wszystko, co wogóle dotąd wyfilozofowane zostało; odgaduje się lepiej niż przedtem mimowolne manowce, boczne uliczki, miejsca spoczynku, miejsca słoneczne myśli, ku którym cierpiący myśliciele, właśnie jako cierpiący, dają się wodzić i uwodzić; wie się odtąd, dokąd chore ciało i jego potrzeba nieświadomie prze ducha, popycha i nęci — ku słońcu, ciszy, łagodności, cierpliwości, lekarstwu, pokrzepieniu w jakim bądź sensie. Każda filozofia, stawiająca pokój wyżej od wojny, każda etyka o zaprzecznem ujęciu pojęcia szczęścia, każda metafizyka i fizyka znająca finał, stan ostateczny jakiegobądź rodzaju, każde przeważnie estetyczne lub religijne pożądanie jakiegoś ubocza, zaświata, jakiegoś poza, ponad — pozwala zapytać, czy to nie choroba właśnie była filozofa natchnieniem. Nieświadome przebieganie potrzeb fizjologicznych w płaszcze obiektywne, idealne, czysto duchowe sięga zastrasząco daleko, — i dość często zapytywałem się, czy na ogół biorąc filozofia nie była

dotąd przeważnie tylko tłumaczeniem ciała i złem rozumieniem ciała. Poza najwyższemi ocenami wartości, które dotychczas dziejami myśli kierowały, drzemią ukryte złe rozumienia cielesnego ustroju, czy to jednostek, czy to stanów, czy całych ras. Można wszystkie owe śmiałe szaleństwa metafizyki, szczególnie jej odpowiedzi na pytania, dotyczące wartości istnienia, uważać przedewszystkiem zawsze za symptomy pewnych ciał; a chociaż tego rodzaju potwierdzenia lub zaprzeczenia świata, wzięte ryczałtem, nie mają, mierząc miarą nauki, najmniejszego znaczenia, to dają one jednak dziejopisowi i psychologowi tem cenniejsze wskazówki, jako symptomy, jak się rzekło, ciała, jego udaności lub nieudaności, jego pełni, tężyzny, jego świetnej wielmożności w dziejach, lub też jego zatamowań, znużeń, zubożeń, jego przecucia końca, jego żądzы końca. Oczekuję ciągle jeszcze, że jakiś filozoficzny lekarz, w wyjątkowym tego słowa znaczeniu — taki, który ma śledzić problemat powszechnego zdrowia narodu, czasu, rasy, ludzkości — zdobędzie się raz na odwagę, by podejrzenie me na ostrzu miecza postawić i zdobyć się zuchwale na zdanie: we wszelkiem filozofowaniu nie chodziło dotychczas wcale o »prawdę«, lecz o coś innego, powiedzmy o zdrowie, przyszłość, rozwój, moc, życie . . .

## 3.

— Zgadujecie, że nie bez wdzięczności wzią-  
bym rozbrat z owym ciężkiego niedomagania czasem,

którego korzyści i dziś jeszcze nie wyczerpałem: tak jak wcale dość świadom jestem, czem wogóle w moim bogactwie w zmiany zdrowiu wszystkie kłody duchowe przewyższam. Filozof, który przez różne zdrowia wędrował i ciągle jeszcze wędruje, przewędrował także tyleż filozofii: nie może właśnie nic innego, jak tylko stan swój każdym razem przenosić w najbardziej duchową formę i dał — ta sztuka transfiguracji jest właśnie filozofią. Nie dano nam filozofom do woli oddzielać duszę i ciało, jak lud oddziela, tem mniej dano nam do woli oddzielać duszę i ducha. Nie jesteśmy wcale myślącymi żabami, ani obiektywizującymi i rejestrującymi aparatami o zimno naręgulowanych wnętrzościach, — musimy ustawicznie myśli swe ze swego rodzić cierpienia i po macierzyńsku obdzielać je wszystkim, co w sobie samych posiadamy z krwi, serca, ognia, rozkoszy, namiętności, męczarni, przeznaczenia, fatalności. Życie — to znaczy dla nas ustawicznie w światło i płomień przemieniać wszystko, czem jesteśmy; wszystko, co nas spotyka; nie możemy inaczej zgoła. A co się tyczy choroby: nie kusiż nas prawie pytanie, czy nie jest nam wogóle niezbędną? Dopiero wielki ból jest ostatecznym ducha oswobodzicielem, jako nauczyciel wielkiego podejrzenia, które z każdego U robi X, prawe, szczere X, to jest przedostatnią głóskę przed ostatnią . . . Dopiero wielki ból, ów długi, powolny ból, który potrzebuje czasu, w którym spalamy się niejako z zielonemi gałęzmi, zmusza nas filozofów do zstąpienia w swą ostateczną głęb i do odrzucenia od siebie wszelkiej ufności, wszystkiego, co dobroduszne, zasłaniające, łagodne, średnie, w co włożyliśmy może przedtem swoje człowieczeństwo. Wątpię,

czy taki ból »polepsza« — ; lecz wiem, że nas pogłębia. Czy to więc uczymy się przeciwstawiać mu swoją dumę, swoje szyderstwo, swoją siłę woli i postępujemy w ten sposób jak Indyanin, który, niewiedząc jak strasznie nawet dręczony, w złości swego języka znajduje odszkodowanie na swym dręczycielu; czy to przed bólem w ową orientalną chronimy się nicość — zwą ją Nirvâna — , w owo nieme, tępe, głuche poddanie się, zapomnienie siebie, zgaszenie siebie: to jednak z takich długich niebezpiecznych ćwiczeń w panowaniu nad sobą wychodzi się innym człowiekiem, z kilku znakami zapytania więcej, przede wszystkim z wolą pytania nadal więcej, głębiej, surowiej, srożej, złośnie, ciszej, niż się dotąd pytało. Zaufanie do życia zczeszło: życie samo problematem się stało — nie trzeba tylko sądzić, że człowiek koniecznie przez to stał się posępnikiem! Nawet miłość ku życiu możliwą jest jeszcze, — kocha się jeno inaczej. Jest to miłość ku kobiecie, która w nas budzi wątpliwości . . . Powab wszystkiego, co problematyczne, radość z X jest jednak u takich bardziej duchowych, przeduchowionych ludzi zbyt wielka, by nie miała ciągle na nowo, jak jasna pożoga wybuchać ponad wszelką nędzę problematyczności, ponad wszelkie niebezpieczeństwo niepewności, nawet ponad zazdrość kochającego. Poznajemy nowe szczęście . . .

Wreszcie, aby niepowiedzianem nie pozostało, co najistotniejsze: z takich otchłani, z takiego ciężkiego

niedomagania, także z niedomagania ciężkiego podejrzenia, powraca się nowonarodzonym, z obłuszczonej skórą, bardziej łaskotliwym, złośliwszym, z wytworniejszym smakiem do radości, z delikatniejszym językiem dla wszystkich dobrych rzeczy, z weselszymi zmysłami, z powtórnią niebezpieczniejszą niewinnością w radości; powraca się dziecinniejszym zarówno i stokroć bardziej wyrafinowanym, niż się kiedykolwiek przedtem było. Och, jakże wstrętne jest odtąd użycie, grube, tępe, ciemne użycie, jak je zresztą pojmują używający, nasi »wykształceni«, nasi bogaci i panujący! Jak złośliwie przysłuchujemy się odtąd jarmarcznemu bum-bum, którym »człowiek wykształcony« i wielkiego miasta mieszkaniac przez sztukę, książkę i muzykę dziś do »duchowych rozkoszy« się zmusza, przy pomocy »duchowych« napojów! Jakże nam teraz ranić będzie uszy teatralny krzyk namiętności, jakże obcym smakowi naszemu stanie się cały ten romantyczny zgiełk i rozgardyasz zmysłów, w którym wykształcony lubuje się motłoch, wraz z swemi aspiracyami do wzniosłości, wyniosłości, wyśrubowania! Nie, jeśli my ozdowieńce wogóle jakiegś jeszcze potrzebujemy sztuki, to jest nią inna sztuka — drwiąca, lekka, lotna, bosko nieskazitelna, bosko artystyczna sztuka, która jak jasny płomień w bezchmurne strzela niebios! Przedewszystkiem sztuka dla artystów, tylko dla artystów! Znamy się teraz lepiej, także jako artyści, na tem, co jest do tego przedewszystkiem potrzebne, pogoda, wszelkiego rodzaju pogoda, przyjaciele moi! — mógłbym tego dowieść. Wiemy niejedno teraz za dobrze, my wiedzący: och, jakże się odtąd uczymy dobrego za-

pominania, dobrego nie wiedzenia, jako artyści! Co się zaś tyczy naszej przyszłości, to trudno nas będzie odnaleźć znowu na ścieżkach owych egipskich młodzieńców, którzy nocą świątynie niepewnymi czynią, ramionami obejmują posągi i wszystko wogóle, co z słusznych powodów trzymane jest pod zakryciem, odsłaniają, odkrywają, w jasnym postawie chcą światła. Nie, ten zły smak, ta żądza prawdy, »prawdy za wszelką cenę«, ten obłęd młodzieńczy w miłości prawdy — obmierzły nam. Na to jesteśmy za doświadczeni, za poważni, za weseli, za poparzeni, za głębcy . . . Nie wierzymy już w to, że prawda jeszcze prawdą pozostaje, jeśli z niej pościągamy zasłony; żyliśmy dosyć, by w to nie wierzyć. Dziś uważamy za rzecz przyzwoitości, by nie wszystko chcieć widzieć nago, nie przy wszystkim być obecnym, nie wszystko rozumieć i »wiedzieć«. »Czy to prawda, że Pan Bóg jest wszędzie obecny? pytała dziewczynka swej matki: ależ to nieprzyzwoicie« — wskazówka dla filozofów! Należy mieć większy szacunek dla sromu, z jakim przyroda ukryła się za zagadki i pstre niepewności. Może prawda jest kobietą, która ma powody nie odsłaniania spojrzeniom swych głębi? Może imię jej, mówiąc z grecka, jest Baubo? . . . Och, ci Grecy! Rozumieliż się oni na życiu: na to trzeba dzielnie zatrzymywać się przy powierzchni, przy fałdzie, przy naskórku, uwielbiać pozór, wierzyć w kształty, dźwięki, słowa, w cały Olimp pozorów! Ci Grecy byli powierzchowni — z głębi. I czyż nie powracamy właśnie ku temu, my śmiałkowie duchowi, którzyśmy się wdarli na najwyższy i najniebezpieczniejszy szczyt obecnej myśli

i stąd się obejrżeli, którzyśmy stąd w dół spoj-  
rzeli? Czyż nie jesteśmy w tem właśnie — Gre-  
kami? Wielbicielami kształtów, dźwięków, słów?  
Właśnie dlatego — artystami?

RUTH pod Genuą  
na jesieni roku 1886.



### ZAPROSZENIE.

Na moją sirawą odwagę się proszę!  
Jutro wam lepszą się wyda smakosze,  
„Żart, chytrość i zemsta“.  
Złanicele potrafi więcej — to mi fraszki!  
Stare dodadzą odwagi, zaprawki,  
By nowa wam fraszki zgotować.

PRZYGRYWKĄ RYMOWANA.

### MOJE SZCZĘŚCIE.

Odkąd szukanie maie unużyto,  
Joni się znajdować nauczył nagle.  
Odkąd mi wiatr się sprzeciwił siłą  
Z wszystkichimi wichry płyną me żagle.

### ŚMIAŁO.

Tam, gdzie strasz, kop do głębi!  
Źródło jest tam nadziei!  
Niech się czerni krzyk nie gwałci!  
„Tam jest” — plechło nie dajcie!

I wód się obajdzeli, kłószony, wód w dół spoj-  
 ezali? Czyż nie jesteśmy w tam wódzie — Gro-  
 kami? Władzami kszaków, dźwięków, słów?  
 Władze dźwięku — artystami?

„Zatęchłość i śmiech”

PROZYMKA RYMOWANA



I.

ZAPROSZENIE.

Na moją strawę odważcie się, proszę!  
Jutro wam lepszą się wyda, smakosze,  
Pojutrze już będzie smakować!  
Zechciecie potem więcej, — to mi fraszki  
Stare dodadzą odwagi, zaprażki,  
By nowe wam fraszki zgotować.

2.

MOJE SZCZĘŚCIE.

Odkąd szukanie mnie unużyło,  
Jam się znajdować nauczył nagle.  
Odkąd mi wicher się sprzeciwił siłą —  
Z wszystkimi wichry płyną me żagle.

3.

ŚMIAŁO.

Tam, gdzie stoisz, kop do głębi!  
Źródło jest tam snadnie!  
Niech cię czerni krzyk nie gnębi:  
»Tam jest — piekło na dnie!«

## 4.

## ROZMOWA.

- A: Czym był chory? Teraz zdrow? Kto był mym lekarzem? Mów!  
Zapomniałem . . . znikło z głowy!
- B: Teraz wierzę, żeś jest zdrow:  
Zapomina tylko zdrowy.

## 5.

## DO CNOTLIWYCH.

Niechaj cnotom też naszym lekko podnoszą się stopy:  
Podobnie wierszom Homera winny przychodzić i iść.

## 6.

## MĄDROŚĆ ŚWIATOWA.

Nie ostawaj wśród równiny!  
Nie wspinaj się za wysoko!  
Najpiękniejszy świat na oko  
Ot tak z pół wyżyny.

## 7.

## VADEMECUM — VADETECUM.

Wabię cię słowem swem i wzorem,  
Idziesz mym śladem, moim torem?  
Idź w ślad swój jeno z wiarą całą: —  
A pójdziesz za mną — śmiało! śmiało!

## 8.

## PRZY TRZECIEM LENIENIU.

Już skóra pęka mi a wciąż  
W żarłocznej żądzy sile,

Wciąż ziemi łaknie we mnie wąż,  
 Choć ziemi strawił tyle.  
 Zgłodniały pełzną w kręty ślad  
 Pomiędzy głazem, trawą,  
 By jeść cię, jakim dotąd jadł,  
 O ziemi, wężów strawo!

## 9.

## MOJE RÓŻE.

Szczęście me — chce na was spływać, —  
Szczęście chce obdarowywać!

Chcecie moje róże zrywać?

Chylać się musicie, skrywać

Wśród skał, cierni, rzeszo płocha,

Często palce oblizywać!

Szczęście me — chce droczyć trocha!

Szczęście me — przekorę kocha!

Chcecie moje róże zrywać?

## 10.

## GARDZĄCY.

Wiele miotam precz i ronię,

Więc wy mnie gardzącym zwiecie.

Z czar przepelnych pijąc trwonię,

Wiele miotam precz i ronię, —

Nie mniej wino cenię przecie.

## 11.

## PRZYSŁOWIE MÓWI.

Czemś szorstkiem i łagodnem, chemś chamskiem

[i grzecznem,

Czemś swojskiem i chemś dziwnem, czystem i wsze-

[tecznem,



Miejscem, gdzie błazen z mędrceem schadzki sobie  
 [czynią :  
 Tego wszystkiego jestem i pragnę być skrzynią,  
 Zarazem gołębicą i wężem i świnia!

12.

## DO PRZYJACIELA ŚWIATŁA.

Chcesz myśl i oko ustrzedz od znużenia,  
 Więc i za słońcem biegnij pośród cienia.

13.

## DLA TANECZNIKÓW.

Gładki lód  
 Raj i cud,  
 Komu tańczyć żaden trud.

14.

## DZIELNY.

Raczej nieprzyjaźń z całego polana,  
 Niżeli przyjaźń łatana.

15.

## RDZA.

I rdzy trzeba: być ostrzem niedość! A powody?  
 Bo ciągle mówić będą o tobie: »za młody«!

16.

## WZWYŻ.

»Jak na szczyt ten najlepiej wejść, jakich dróg  
 [zwrotom? « —  
 Postępuj jeno ciągle wzwyż i nie myśl o tem!

17.

## DEWIZA GWAŁTOWNIKA.

Nie proś nigdy! Nie skomlij, jak zwierż!  
Bierz, ja proszę ciebie, zawsze bierz!

18.

## CIASNE DUSZE.

Dla ciasnych dusz nienawiść tylko mam:  
Ni dobra, ni zła prawie niema tam.

19.

## MIMOWOLNY UWODZICIEL.

Wyrzucił puste słowo na wiatr: ot podnieta  
W nudzie — a jednak przez nie upadła kobieta.

20.

## ROZWAŻCIE.

Podwójną boleść łatwiej jest znosić i lżej,  
Niż jedną: czy spróbować chcesz odwagi swej?

21.

## PRZECIW PYSZE.

Nie nadymaj się w pychy bezbrzeżu:  
Małe ukłucie — a pęknieś, pęcherzu.

22.

## KOBIETA I MAŻ.

»Bierz przemocą kobietę, gdy ci w serce wpadnie!« —  
Tak myśli mąż; kobieta nie bierze, lecz kradnie.

23.

## INTERPRETACYA.

Tam gdzie wykładam siebie, siebie wkładam :  
 Na wykładacza swego się nie nadam.  
 Lecz kto wzwyż jeno pnie się ścieżką własną,  
 Ten też mój obraz wnosi w światłość jasną.

24.

## LEK DLA PESYMIŚTÓW.

Skarżysz się, druhu, że ci nic nie w smak ?  
 Wciąż dąsy stare, wciąż masz w nosie muchę ?  
 Cierpliwość rwie mi się i serce kruche,  
 Bo ciągle stękasz, klniesz i plujesz tak.  
 Posłuchaj, druhu ! Wstrętom swym na wspak,  
 Odważ się połknąć tłusciuchną ropuchę,  
 Szybko, nie patrząc nawet, wzbudź otuchę ! —  
 A niestrawności zniknieć wszelki znak.

25.

## PROŚBA.

Istotę wielu ludzi znam  
 A nie wiem, kim ja jestem sam !  
 Za blisko mnie żrenica ma —  
 Com widział, widzę, to nie ja.  
 Lepiejbym radził swej potrzebie,  
 Gdybym mógł dalej sięść od siebie,  
 Nie aż tam, skąd mój wróg mnie śledzi !  
 Już blizki druh zbyt zdala siedzi —  
 Lecz między nim a sobą w środku !  
 Rozumiesz prośbę mą, narodku ?

26.

## MOJA SROGOŚĆ.

Sto stopni przebyć trzeba mi,  
 Iść wzwyż a za mną krzyk wasz brzmi:  
 »O, srogi jesteś! Czyśmy głąz?« —  
 Sto stopni przebyć trzeba mi,  
 A stopniem nikt być nie chce z was.

27.

## WĘDROWIEC.

»Bezdroże! Przepaść, ciche wkrąg, jak śmierć, okola!« —  
 Tak chciałeś! Z ścieżki własna zwiódła ciebie wola!  
 Wędrowcze! Stop w swym wzroku chłód, bystrość  
 [i męstwo!  
 Zgubionyś, gdy wierzysz tu — w niebezpieczeństwo.

28.

## POCIECHA DLA POCZĄTKUJĄCYCH.

Patrzcie, to dziecko obstały świnię,  
 Bezsilne, kurczy stopy i nuż łkać!  
 Płacze, bo płakać też umie jedynie —  
 Kiedyż stać zdoła, krok przed się swój brać?  
 Hej, śmiało! Sądzę, niewiele chwil minie,  
 A ujrzym dziecko to tańczącym snadź!  
 A gdy na nogach dwóch stanie, w godzinie  
 Będzie umiało i na głowie stać!

29.

## EGOIZM GWIAZD.

Gdybym się, beczka tocząca się krągle,  
 Wokoło siebie nie kręciła ciągle,

Jakbym, za słońcem mknąc, mogła wytrzymać,  
By nie zapalić się, ognia nie imać?

30.

BLIZNI.

Nie rad przy bliźnim mam siedzibę swoją:  
Precz z nim, w wyż, niech mu dal będzie ostoją!  
Jakby inaczej mógł być gwiazdą moją? —

31.

ZAKAPTURZONY ŚWIĘTY.

By nas twe szczęście nie gniotło zmorą,  
Otaczasz siebie czarcią przekorą,  
Czarcim dowcipem i czarcią złością.  
Jednak daremnie! Źrenicec gorą —  
Źrenice twoje patrzą świętością!

32.

NIEWOLNY.

A. Cóż go złudziło? Stoi, słuha;  
Jaki dźwięk dobiegł jego ucha?  
Cóż to wydarło z niego jęk?  
B. Jak każdy, co żył u łańcucha,  
Wszędzie łańcucha słyszy brzęk.

33.

SAMOTNY.

Nienawistnem mi stało się iść w ślad i wodzić.  
Posłusznym być? Nie! Ale nie chcę też i władać!



37.

## BACZNOŚĆ.

W tym kraju niebezpiecznie dla podróżnych gości;  
 Gdyś ducha pełen, miej się dwakroć na baczości i  
 Wabiąc, pieścza, aż pożą! Głód ich ciebie łaknie!  
 To duchy zapaleńców —: tym ducha wždy braknie!

38.

## BOGOBOJNY MÓWI:

Bóg nas miłuje, ponieważ nas stworzył.  
 »Człek stworzył Boga« — subtelni mówicie.  
 Nie maź więc kochać, w co twórczość swą włożył?  
 Czyż ma zaprzeczać, ponieważ to stworzył?  
 To chroma, stąpa na dyablem kopycie.

39.

## LATEM.

W gorzkim pocie naszych lic  
 Pan chleb jeść nam każe.  
 W pocie lepiej nie jeść nic,  
 Radzą nam lekarze.  
 Słońce, ten hultajski widz,  
 Z drwiącą patrzy miną.  
 W gorzkim pocie swoich lic  
 Pijmy lepiej wino!

40.

## BEZ ZAZDROŚCI.

Że niezazdrosny, mkniecie cześć mu nieść?  
 On nie ogląda się na waszą cześć;

Orli wzrok jego gna w dalekie jazdy,  
On was nie widzi! — jeno gwiazdy, gwiazdy!

41.

## HERAKLITYZM.

Szczęście ziemskie, druhu mój,  
Daje tylko bój!  
Aby się druhami stać,  
Trza woń prochu znać!  
Druhy w trojgu jednym są:  
Braćmi — w dolę złą,  
Równi — gdzie wróg zajdzie perć,  
Wolni — tam gdzie śmierć.

42.

## ZASADA PRZEDELIKATNYCH.

Na palcach raczej jeszcze iść  
A na czworakach nie warto,  
Dziurką od klucza raczej wniść,  
Niżli przez bramę otwartą.

43.

## RADA.

Do sławy dążysz wciąż, bez popasu?  
Słuchaj, co moja nauka wieści,  
Idź, lecz się zrzeknij zawczasu  
— Cześci!

44.  
GRUNTOWNY.

Jam badacz? Pocóż słowo to! —  
 Jam tylko ciężki — wagi dużej!  
 I spadam, spadam jak najdłużej  
 A wkońcu aż na dno!

45.

## NA ZAWSZE.

»Przychodzę dzisiaj, bo tak mi się chciało« —  
 Tak, kto na zawsze przyszedł, mówi śmiało.  
 Cóż mu tam świata gadanina szkodzi:  
 »Za wczesnie przyszedł! Za późno przychodzi!«

46.

## SĄDY ZNUŻONYCH.

Znużeni klną słoneczny dzień;  
 Wartością drzew jest im — ich cień.

47.

## ZNIJŚCIE.

»Zniża się, upada« — krzyczycie w powodzi  
 Szyderstw; prawdą zasię: on ku wam w dół schodzi.

Nadmiar szczęścia jego stał mu się znużeniem,  
 Nadmiar światła tęskni w nim za waszym cieniem.

48.

## PRZECIW PRAWOM.

Od dziś zawiśnie mój zegarek cenny  
 U szyi mojej na nitce włosiennej;

Od dziś ustanie dla mnie gwiazd krążenie,  
 Blask słońca, pianie koguta i cienie,  
 I co mi dotąd czas znaczyło wszędzie,  
 Nadal mi niemem, głuchem, ślepem będzie: —  
 Zmilknij mi, cała naturo, i wara  
 Wobec tykania prawa i zegara.

## 49.

## MĘDRZEC MÓWI.

Potrzebny tłumom, choć gardzący tłumem,  
 Ciągnę swą drogą, z słońcem, to z burz szumem,  
 A zawsze ponad tym tłumem!

## 50.

## STRACONA GŁOWA.

Ma rozum — jakież ją los nim wzbogacił?  
 Mężczyzna ongiś głowę dla niej stracił.  
 Głowę miał przedtem bogatą w zalety:  
 Poszła do dyabła — nie! nie! do kobiety!

## 51.

## POBOŻNE ŻYCZENIA.

»Gdybyż klucze od wszech klamek  
 Mogły w lot poznikać,  
 Gdybyż każdy u drzwi zamek  
 Wytrych mógł odmykać!«  
 Tak z westchnieniem myśli cichem  
 Każdy, kto jest sam — wytrychem.

52.

## PISANIE NOGA.

Nie tylko ręką pisać mi się zdarza :  
 Noga też chce być u mnie za pisarza.  
 Silna, swobodna, dzielna pęd swój bierze  
 Już to po polu, już to po papierze.

53.

## »LUDZKIE TO, ARCYLUDZKIE«. KSIĄŻKA.

Smętnie trwożliwy, gdy wstecz wzrokiem bieżysz,  
 W przyszłość wierzący, gdy sobie zawierzysz :  
 Mamże cię, ptaku, zwać orłem skrzydlaczem ?  
 Czy ulubieńcem Minerwy, puhaczem ?

54.

## DO MEGO CZYTELNIKA.

Dobrych zębów, dobrego żołądka —  
 To życzeń mych treścią tajemną !  
 Gdy strawisz mą książkę od wątka,  
 To pewno też zgodzisz się ze mną !

55.

## MALARZ REALISTA.

Jak z tem pocznie: »Przyrodę bierz wiernie i całą!«  
 Gdzież przyrodę wyczerpać płótnu się udało ?  
 Nieskończoną — najmniejsza częśćka w świata tumiel —  
 Wreszcie maluje, co się jemu podobało.  
 A co mu się podoba ? Co malować umie.

56.

## PRÓŻNOŚĆ POETYCKA.

Dajcie mi kleju : gdy klej mam, snadź  
 Drzewo sam znajdę już śmiało !  
 Myśl w cztery rymy bezmyślne wlać  
 To nie jest dumą tak małą !

57.

## WYBREDNY SMAK.

Gdybym na życzeń mógł rozstaju  
 Wybrać pomiędzy życzeniami,  
 Wybrałbym miejsce w środku raju :  
 Lecz chętniej — przed jego drzwiami.

58.

## KRZYWY NOS.

Zaczeplenie nos spogląda w dal,  
 Nozdrza się dmą od wiatru fal —  
 Więc padasz, boś nosalów ród,  
 Człowieczku dumny, zawsze wprzód !  
 I zawsze razem sprzęga los :  
 Prostą dumę, krzywy nos.

59.

## PIÓRO BAZGRZE.

Pióro mi bazgrze : a czart to zamaż !  
 Czym na bazgranie skazany puste ? —  
 Więc śmiało chwytam w rękę kałamarz  
 I leję strugi inkaustu tłuste !  
 Jakże to płynie pełno, szeroko,  
 Wszystko się szczęści, czem myśl zaświta !

Wprawdzie się w piśmie nie wyzna oko —  
Lecz co tam! Któż to, co piszę, czyta?

60.

## LUDZIE WYŻSI.

Ten w górę dąży, chwalić go się godzi!  
Lecz tamten zawsze od wyżyn przychodzi!  
I żyje wyższy nad pochwał wawrzyny  
On jest z wyżyny.

61.

## SCEPTYK MÓWI.

Pół życia przeszło twego,  
Wprzód mknie wskazówka, duszę twą zbiegają dreszczel  
Zdawna stopy jej krążą i biegają,  
Szukała, nie znalazła — ociągaż się jeszcze?

Pół życia przeszło twego:  
Każdej godziny obłęd to był i ból krwawy.  
Czego szukasz tu jeszcze? Dlaczego?  
Tegoć szukam — zasadnej szukania podstawy.

62.

## ECCE HOMO.

Tak! Ja wiem, skąd ród mój szczytny!  
Jako płomień nienasytny,  
Trawię się, żar we mnie drga.  
Światłem wszystko, gdzie się zwrócę,  
Węgłem wszystko, co porzucę:  
Tak, płomieniem jestem ja!

63.

## MORAŁ GWIAZD.

W dróg gwiezdnych przeznaczona tok,  
Cóż cię obchodzi, gwiazdo, mrok?

Tocz się szczęśliwa przez ten czas!  
Obca dla jego nędz i skaz!

W najdalsze światy blaskiem błędź:  
Litość, jak grzech ze siebie strąć!

I jedno tylko: czysta bądź!

---

Wprowadzi się w piasek nie wyzna obo —  
Lecz co tam! Ktoż co pisze, czyta?

## MORAL GWIAZD

W drog gwiazdnych przeznaczonej tok  
Cóż cię obchodzi gwiazdo, mrok?

Ten, kto się w górę dąży, nie wie, co jest  
Lecz się szczęśliwym przez ten czas!  
Lecz jakżeż żyć, jakżeż żyć?  
Opa dla tego niekiedy i skaz!  
I żyć i żyć, i żyć, i żyć  
W najbliższe światy blaskiem błąd:  
I choć jak grzech ze siebie strąć!

I jedno tylko: czytać bądź!

WYBORNICZKA

Wprowadzi się w piasek nie wyzna obo —  
Lecz co tam! Ktoż co pisze, czyta?  
Zdawa się, że jest i bóg i bóg  
Szkoda nie zastanawiać się jeszcze?

Pod życie przeszło twego  
Kadbyś godził obel i był krwawy  
Czego szukasz tu jeszcze? Dlaczego?  
Tęga samotna — samotnej samotny.

66

## MORAL GWIAZD

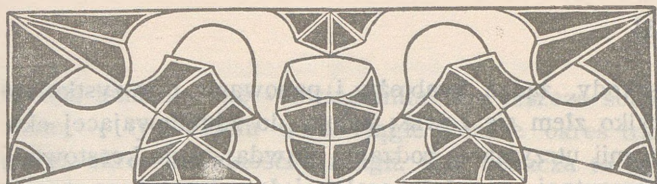
Tak! Ja wiem, żeś był i był krwawy  
Jako plemię męczenników,  
Trawię się, jak we małe drga,  
Światem wszystkim, gdzie się zwróci,  
Wziem wszystko co porzuci;  
Tak, plemieniem jestem ja!



## KSIĘGA PIERWSZA.

Nauka o celu istnienia. — Czy dobrem,  
czy złem jest życie, okiem na świat, o którym  
wiesz, że jest, i o którym cię nie ma, o którym  
i nadzieja i obojętność, czyli o, co sprzyja, niestety,  
nie ludzkiego rodzaju. A to zaprawdę nie z uczucia  
miłości do tego rodzaju, lecz poproszę, poświęca  
niem w nich nie starszego, młodszy, bardziej nie-  
wzajemnego i nieprzewidywalnego, nad ów Instykt —  
poświęcał właśnie Instykt ten jest naszego rodzaju  
i jego istota. Choć więc dość szybko z zwycię-  
stwem i zadowoleniem na pięć kroków złożyło się  
młodych, swych starannie na pozytywne i szkodli-  
wych, są tużi złych i dobrych, to jednak przy ry-  
tualnym obyczaju, po dłuższym rozważeniu nad  
złoty, odbiera się niechęć do tego przeobrażenia i  
odwołanie i daje się mu wrzucić spokój. Nawet naj-  
szlachetniejszy człowiek jest może jeszcze niepożytecz-  
nym, w stosunku do utrzymania rodzaju, bo  
poświęca mu w sobie, przez dążenie, co  
w głębi, popędy, bez których byłoby światem  
i zadowolaniem oddawem. Niezawiesz, i od  
i od

KSIĘGA PIERWSZA.



I.

Nauka o celu istnienia. — Czy dżobrem, czy teź zżem spojrzę okiem na ludzi, zastaję ich zawsze przy tem samem zatrudnieniu, wszystkich razem i kaźdego z osobna: czynią to, co sprzyja utrzymaniu ludzkiego rodzaju. A to zaprawdę nie z uczucia miłosci do tego rodzaju, lecz poprostu, poniewaź niema w nich nic starszego, silniejszego, bardziej nieubłaganego i nieprzewycięźalnego, nad ów instykt — poniewaź właśnie instykt ten jest naszego rodzaju i stada istotą. Choć więc dość szybko z zwyczajnem krótkowidztwem na pięć kroków zwykło się dzielić bliźnich swych starannie na pożytecznych i szkodliwych, na ludzi złych i dobrych, to jednak przy rycałtowym obrachunku, po dłuźszem rozmyślaniu nad całością, nabiera się nieufności do tego przebijoru i rozdzielania i daje się mu wreszcie spokój. Nawet najszkodliwszy człowiek jest może jeszcze najpożyteczniejszym, w stosunku do utrzymania rodzaju; bo podtrzymuje on w sobie lub, przez działanie swe w innych, popędy, bez którychby ludzkość stępiąła i zgnuśniała oddawna. Nienawiść, radość z cudzej

szkody, żądza grabieży i panowania i wszystko, co tylko złem się zowie: należy do zdumiewającej ekonomii utrzymania rodzaju, prawda, że do kosztownej, rozrzutnej i w całości szalonej do najwyższego stopnia ekonomii: — która jednak w sposób dowodny utrzymywała dotąd nasz rodzaj. Nie wiem już wcale, mój bracie i bliźni, czy możesz wogóle żyć z krzywdą rodzaju, a więc »nierozsądnie« i »złe«. To coby rodzajowi szkodzić mogło, wymarło już może od wielu tysięcy lat i należy teraz do rzeczy, które nie są nawet w mocy samego Boga. Ulegaj swoim najlepszym lub najgorszym żądom a przede wszystkim: przepadnij! — w obydwu wypadkach będziesz prawdopodobnie zawsze jeszcze w jakiś sposób popieraczem i dobroczyńcą ludzkości i znajdziesz sobie ze względu na to mowców pochwalnych — tudzież szyderców! Ale nie znajdziesz nigdy takiego, ktoby umiał w tobie, jednostce, zupełnie wyszydzić to, co jest w tobie najlepszego, ktoby twoje bezgraniczne musze i żabie ubóstwo ducha umiał ci tak dać odczuć, jakby tego zgoda z prawdą wymagała! Aby śmiać się z samego siebie, jakby się śmiać należało, aby śmiać się z głębi całej prawdy, na to mieli dotychczas nawet najlepsi niedość poczucia prawdy a najbardziej uposażeni nazbyt mało geniuszu! Może i śmiech ma jeszcze przyszłość przed sobą! Wówczas, gdy zdanie »rodzaj jest wszystkim, jeden jest zawsze niczem« — przeniknie ludzkość do gruntu i każdy o każdym czasie będzie miał wolny dostęp do tego ostatecznego oswobodzenia i nieodpowiedzialności, może wówczas śmiech sprzymierzy się z mądrością, może wówczas istnieć będzie tylko »wiedza radosna«. Tymczasem jest jeszcze zgoła inaczej, tymczasem ko-

medya istnienia nie »uświadomiła się« jeszcze sobie samej — tymczasem trwa ciągle jeszcze okres tragedyi, okres moralności i religii. Cóż oznacza to coraz nowe pojawianie się owych twórców moralności i religii, owych sprawców walki o oceny moralne, owych nauczycieli wyrzutów sumienia i wojen religijnych? Co znaczą ci bohaterowie na tej scenie? — bo byli to dotychczas jej bohaterowie, a wszystko inne, przez pewien czas jedynie widoczne i zbyt bliskie, służyło zawsze tylko za przysposobienie tych bohaterów, czy to jako maszynerya i kulisy lub też w roli zaufanych i kamerdynerów. (Poeci na przykład byli zawsze kamerdynerami jakiejś moralności.) — Rozumie się samo przez się, że i ci tragicy pracują na pożytek rodzaju, choćby nawet sądzili, że na pożytek Boga pracują lub jako Boga posłańce. I oni popierają życie gatunku, popierając wiarę w życie. »Warto żyć — woła każdy z nich —, coś tam ma w sobie to życie, życie ma coś za sobą, pod sobą, miejcie się na baczności!« Ów popęd, władający jednako najwyższym i najpospolitszym człowiekiem, popęd utrzymania rodzaju, wybucha co pewien czas jako rozum i namiętność ducha; ma wtedy wkoło siebie świetny orszak uzasadnień i każe wszelkimi siłami zapomnieć, że jest w istocie swej popędem, instynktem, szaleństwem, bezzasadnością. Po winno się kochać życie, ponieważ! Człowiek powinien kochać siebie i bliźniego, ponieważ! I jakkolwiek tam wszystkie takie »powinien« i »ponieważ« zwą się i w przyszłości zwaćby się mogły! Aby to, co koniecznie, i zawsze samo z siebie i bez wszelkich celów się dzieje, zdawało się odtąd uczynionem w zamysle, skierowanym ku pewnemu celowi, i ujawniało

się człowiekowi jako rozum i ostateczne przykazanie — poto występuje nauczyciel etyczny, jako nauczyciel »celu i istnienia«; poto wynajduje on drugie i odmienne istnienie i mocą swej nowej mechaniki wyważa to stare powszednie istnienie z jego starych powszednich zawiasów. Tak! On nie chce wcale, byśmy się śmiali z istnienia, ani też z siebie — ani też z niego; dla niego jednostka jest zawsze jednostką, czemś najważniejszym i ostatecznym i olbrzymiem, dla niego nie istnieje żaden rodzaj, żadne sumy, żadne zera. Choćby nie wiedzieć jak szaleńcze i marzycielskie były jego wynalazki i oceny, choćby nie wiedzieć jak zaniepokonywał bieg natury i przeczył jej warunkom: — (a wszystkie etyki były dotąd aż do tego stopnia szaleńcze i nienaturalne, że każda z nich byłaby zaprzepaściła ludzkość, gdyby nią była owładnęła) — to zawsze! każdym razem, gdy »bohater« wstąpił na scenę, osiągnano coś nowego, dreszczem przejmujące przeciwieństwo śmiechu, owo głębokie wstrząśnienie wielu jednostek wobec myśli: »Tak, warto żyć! Tak, wart jestem życia!« — życie i ja i ty i my wszyscy razem stawaliśmy się sobie znowu raz na czas pewien zajmującymi. — Nie można przeczyć, że z ciągiem czasu nad każdym z tych wielkich nauczycieli celu aż do dnia dzisiejszego zwycięstwo odnosił śmiech i rozum i natura: krótka tragedia zmieniała się ostatecznie zawsze na powrót w wieczną komedię istnienia, a »fale niezliczonego chichotu« — mówiąc z Aischylosem — muszą ostatecznie rozpostrzeć się jeszcze i ponad największą z tych tragedii. Lecz mimo cały ten strofujący śmiech, przez to ciągle nowe pojawianie się owych nauczycieli o celu istnienia, zmieniła się jednak

naogół natura ludzka — ma ona teraz więcej o jedną potrzebę, właśnie potrzebę ciągle nowego zjawiania się nauczycieli i nauk o »celu«. Człowiek stał się stopniowo fantastycznym zwierzem, który ma spełnić więcej o jeden warunek egzystencji niż każde inne zwierzę: człowiek musi co pewien czas wierzyć, że wie, dlaczego istnieje, rodzaj jego nie może się rozwijać bez peryodycznie powracającego zaufania do życia! bez wiary w rozum życia! I zawsze na nowo będzie rodzaj ludzki co pewien czas wyrokował: »istnieje coś, z czego bezwarunkowo już śmiać się nie wolno!« A najprzezorniejszy przyjaciel ludzkości doda: »nie tylko śmiech i wiedza radosna, lecz i tragizm z całym swym wzniosłym nierozumem należy do środków i konieczności utrzymania rodzaju!« — I przeto! Przeto! Przeto! Och, rozumiecie mnie, bracia moi? Rozumiecie to nowe prawo odpływu i przypływu? I nasz czas nadejdzie!

## 2.

Sumienie intelektualne. — Coraz na nowo doświadczam tego, a za każdym razem buntuję się na nowo i nie chcę temu wierzyć, choć dotykam tego nieomal rękoma: ogromnej większości ludzi brak sumienia intelektualnego. Często nieomal zdawało mi się, jakby się z takim wymaganiem w najludniejszych miastach było jak na pustyni. Każdy patrzy na ciebie zdziwionymi oczyma i sprawia dalej swą wagę, to zwąc dobrem, tamto

złem. Nie wywoła to w nikim rumieńca wstydu, gdybyś dał poznać, że te ciężary nie mają pełnej wagi, — nie wzniesi też oburzenia przeciw tobie: może śmiać się będą z twej wątpliwości. Chcę rzec: ogromna większość ludzi nie uważa za hańbę wierzyć w to lub owo i żyć wedle tego, bez uprzedniego uświadomienia sobie ostatecznych i najpewniejszych argumentów za i przeciw i bez zadania sobie nawet choćby trudu dodatkowego podłożenia takich argumentów. Najbardziej uposażeni mężczyźni i najszlachetniejsze kobiety należą jeszcze do tej »ogromnej większości«. Cóż warto mi jednak dobre serce, wykwintność i geniusz, jeśli człowiek o takich cnotach znosi w sobie niedołążne uczucia w sprawach wiary i sądu, jeśli p o ż ą d a n i e p e w n o ś c i nie jest mu najwnętrznieszą żądzą i najgłębszą potrzebą — tem, co wyższych ludzi od niższych oddziela! Znalazłem w niektórych ludziach bogobojnych nienawiść ku rozumowi i cieszyło mnie to w nich: zdradzili się bowiem chociaż nieczystym sumieniem intelektualnym! Lecz w pośród tej *rerum concordia discors* i całej tej przedziwnej niepewności i wieloznaczności istnienia stać i nie pytać, nie drżeć z żądz i rozkoszy pytania, nie nienawidzić nawet pytającego, może nim nawet mdło się zachwycać — to właśnie wzbudza we mnie pogardę — i to jest uczucie, którego przedewszystkiem w każdym szukam: — jakieś błazeństwo przekonywa mnie zawsze na nowo, że każdy człowiek ma to uczucie, jako człowiek. Jest to mój rodzaj niesprawiedliwości.

Szlachetny i pospolity. — Pospolitym naturom wydają się wszystkie szlachetne, wielkoduszne uczucia niewiodącemi do celu i dlatego przede wszystkim niewiarogodnymi. Mrugają oczami, słuchając o czemś podobnym i zdają się chcieć powiedzieć »niechybnie kryje się w tem jakiś interes, nie można widzieć poprzez wszystkie ściany«. Podejrzewają oni szlachetnego, że dąży do osiągnięcia korzyści tylko krętymi drogami. Jeśli zbyt wyraźnie przekonają się o braku osobistych zamysłów i zysków, to szlachetny uchodzi w ich oczach za rodzaj narwańca: pogardzają nim patrząc na jego radość i śmieją się z blasku jego oczu. »Jak można cieszyć się z tego, że się doznało uszczerbku, jak można z otwartymi oczami zabrnąć w straty! Musi to być rodzaj choroby umysłowej, połączonej z szlachetnością uczucia« — tak myślą i spoglądają przytem lekceważąco: jakże lekceważą radość, którą obłąkańcowi sprawia jego *idée fixe*. Pospolita natura odznacza się tem, że nieodparcie nie spuszcza z oka swej korzyści i że ta myśl o celu i korzyści sama silniejszą się w niej staje od najsilniejszych popędów: nie dać się tym popędom porwać ku czynnościom nie wiodącym do celu — oto jej mądrość i jej poczucie siebie. W porównaniu z nią natura szlachetna jest mniej rozsądna: — bo szlachetny, wielkoduszny, ofiarny ulega rzeczywiście swym popędom, a w najlepszych jego chwilach pauzuje jego rozsądek. Zwierzę, które z niebezpieczeństwem życia broni swych małych lub, w czasie rui, za samicą na śmierć nawet idzie, nie myśli o niebezpieczeństwie

i śmierci, jego rozsądek pauzuje również, opanowany zupełnie przez uciechę ze szczeniąt lub przez rozkosz z samicy i przez obawę, że może być tej rozkoszy pozbawione; staje się ono głupsze, niż zazwyczaj, podobnie jak szlachetny i wielkoduszny. Ten posiada kilka uczuć rozkoszy i przykrości w takiej sile, że intelekt wobec nich milczeć musi lub oddać się im na usługi: wówczas serce przeskakuje mu do głowy i mówi się potem o »namiętności«. (Tu i ówdzie zdarza się też zapewne przeciwieństwo tego i niejako »odwrócenie namiętności«, na przykład u Fontenelle'a, któremu ktoś raz rękę położył na sercu, mówiąc: »To, co tu masz, mój panie, to także mózg«.) Nierozumem lub opacznym rozumem namiętności — oto czem pogardza w szlachetnym pospolity, zwłaszcza jeśli namiętność ta zwraca się ku przedmiotom, których wartość wydaje mu się fantastyczną lub dowolną. Gniewa się on na tego, który ulega namiętnościom brzucha, pojmuje jednak ponętę, która tu tyranem się staje; ale nie pojmuje, jak można na przykład gwoli namiętności poznania zdrowie swoje i cześć narażać. Smak wyższych natur zwraca się ku wyjątkom, ku rzeczom, na które ludzie pozostają zazwyczaj zimni i które zdają się żadnej w sobie nie kryć słodyczy; natura wyższa posiada swą osobliwą miarę wartości. Nadto jest zazwyczaj mniemania, że w swych idyosynkrazyach smaku posiada nie swą osobliwą miarę wartości, poczytuje raczej swe wartości i bezwartości za wogóle walor mające i wpada przez to w niezrozumiałość i niepraktyczność. Jest rzeczą bardzo rzadką, aby natura wyższa tyle zachowała rozumu, by ludzi codziennych jako takich rozumieć i traktować. Najczęściej wierzy w swą namiętność, jako w ukrytą

namiętność wszystkich, i jest właśnie w tej wierze pełna żaru i wymowy. Jeśli więc tacy ludzie wyjątkowi nie odczuwają samych siebie jako wyjątków, jakżeżby mieli kiedykolwiek rozumieć natury popo-  
lite i słusznie ocenić regułę! — I dlatego mówią i oni o szaleństwie, o sprzeczności z celem, o cudactwie ludzkości, pełni podziwu, jak to szaleńczo świat się toczy i czemu przyznać do tego się nie chce, czego »mu brak«. — Jest to wieczna niesprawiedliwość szlachetnych.

## 4.

Co utrzymuje rodzaj. — Najsilniejsze i najbardziej złe duchy popychały dotąd ludzkość najbardziej naprzód: zawsze na nowo zapalały one usypiające namiętności — wszelka uporządkowana społeczność usypia namiętności —, budziły zawsze na nowo myśl porównywania, sprzeczności, rozkoszy z nowości, śmiałych pokuszeń się i doświadczeń rzeczy niedoznanych, zmuszały ludzi przeciwstawić mniemania mniemaniom, wzory wzorom. Przeważnie orężem, obalaniem kamieni granicznych, obrażaniem świętości: lecz i nowymi religiami i moralnościami! W każdym nauczycielu i kaznodziei nowości tkwi ta sama »złoba«, która osławia zdobywcę, — choć wyjawia się łagodniej, nie wprawia natychmiast w ruch mięśni i przeto właśnie nie tak osławia! Nowe jest jednak w każdym razie złe, jako to, co chce zdobywać, stare kamienie graniczne i stare świętości obalać; a tylko to, co stare, jest dobre! Dobrymi

ludźmi w każdym okresie czasu są ci, którzy stare myśli w głąb zagrzebują i z nich hodują owoce, rolnicy duchowi. Lecz każda ziemia wyjałowi się wkońcu i coraz przybywać muszą lemiesz złego. — Istnieje teraz zasadniczo błędna nauka moralności, która mianowicie w Anglii wysokim się cieszy szacunkiem: wedle niej oceny »dobre« i »złe« są zbiorem doświadczeń co do »wiodącego do celu« i »nie wiodącego do celu«; wedle niej to, co »dobrem« się zowie, utrzymuje rodzaj, to, co »złem« nazwano, jest dla rodzaju szkodliwe. W rzeczywistości jednak złe popędy wiodą w tym samym wysokim stopniu do celu, podtrzymują rodzaj i są niezbędne, jak dobre: — tylko ich funkcje są odmienne.

## 5.

O b o w i ą z k i b e z w z g l ę d n e. — Wszyscy ludzie czują, że potrzeba im najsilniejszych słów i dźwięków, najwymowniejszych gestów i postaw, by w o g ó l e działać, politycy rewolucyjni, socjaliści, kaznodzieje pokutniczy, chrześcijańscy lub niechrześcijańscy, u których nie śmieją istnieć wyniki połówiczne: wszyscy oni prawią o obowiązkach charakteru bezwzględnego — gdyby nie one, nie mieliby żadnego prawa do swego wielkiego patosu: wiedzą o tem doskonale! Sięgają więc do filozofów moralistów, głoszących jakiś kategoryczny rozkaz, lub przyswajają sobie jakiś dobry okrucz religii, jak to na przykład czynił Mazzini. Ponieważ chcą, by im bezwarunkowo ufać, czują przedewszystkiem potrzebę

bezwzględnego ufania sobie samym, na podstawie jakiegoś ostatecznego nieroztrząsalnego i wzniesłego w sobie przykazania, którego sługami i narzędziami czułyby się i wydawać chcieli. Mamy tu najnaturalniejszych i przeważnie najwpływowszych przeciwników moralnego oświecenia i sceptycyzmu: lecz ci są rzadcy. Natomiast istnieje bardzo liczna klasa tych przeciwników wszędzie tam, gdzie interes uczy poddania, gdy tymczasem sława i cześć zdają się poddania zabraniać. Kto pohańbionym się czuje na myśl, że jest narzędziem jakiegoś księcia lub partyi lub sekty, lub nawet jakiejś potęgi pieniężnej, na przykład jako potomek jakiegoś starego dumnego rodu, lecz właśnie narzędziem tem być chce lub być musi, przed sobą i publicznie, ten potrzebuje zasad patetycznych, które zawsze na ustach mieć można: — zasad bezwzględnej powinności, którym bez zawstyżenia poddać się i ich poddanym ukazać się można. Wszelkie wytworniejsze słuźalstwo trzyma się silnie kategorycznego rozkazu i jest śmiertelnym wrogiem tych, którzy pragną odjąć obowiązkowi jego charakter bezwzględny: tego wymaga od nich przyzwoitość i nie tylko przyzwoitość.

---



---

## 6.

Utrata godności. — Rozmyślanie utraciło wszelką godność zewnętrzną, wystawiono na pociski szyderstwa ceremoniał i uroczystą minę rozmyślania i nie zniesionoby już mędrca starego stylu. Myślmy za szybko, i mimochodem, i podczas drogi, pośród

zajęć wszelkiego rodzaju, nawet jeśli myślimy o naj-poważniejszej rzeczy; trzeba nam mało przygotowań, nawet mało ciszy: — dzieje się tak, jakbyśmy obnosili w głowie ustawicznie w ruchu będącą machinę, która pracuje nawet w najnieprzychylniejszych warunkach. Niegdyś poznawano po minie każdego, że chce raz pomyśleć — zapewne był to wyjątek! —, że chce teraz stać się mędrszym i przysposabia się na przyjęcie myśli. Nastrajano do tego twarz jak do modlitwy i wstrzymywano kroku. Nawet stało się godzinami na ulicy nieruchomo, gdy myśl »przyszła« — na jednej nodze lub na dwóch. To było »godne sprawy«!

## 7.

Coś dla pilnych. — Kto teraz zająć się chce badaniem spraw moralnych, przed tym otwiera się olbrzymie pole pracy. Wszelkie rodzaje namiętności muszą być oddzielnie rozważane, poszczególnie śledzone, namiętności czasów, ludów, wielkich i małych osobistości; cały ich rozum i wszystkie ich oceny wartości i oświelenia rzeczy winny wystąpić na jaw! Wszystko, co nadało barwę istnieniu, nie ma dotąd jeszcze wcale historii: lub gdzie istnieją dzieje miłości, chciwości, zawiści, sumienia, pobożności, okrucieństwa? Nawet porównawczych dziejów prawa, lub też tylko kary, zupełnie brak dotychczas. Czyż uczyniono już dotąd badań przedmiotem rozmaite podziały dnia, następstwa prawidłowego ustalenia pracy, święta i spoczynku? Czy zna się mo-

ralne działania środków żywności? Czy istnieje filozofia żywienia? (Ciągłe na nowo wybuchająca wrzawa za jarstwem i przeciw jarstwu już świadczy, że niema jeszcze wcale takiej filozofii!) Czy zebrano już doświadczenia współżycia, na przykład doświadczenia klasztorów? Czy przedstawiono już dyalektykę małżeństwa i przyjaźni? Obyczaj uczonej, kupców, artystów, rękodzielników — znalazły już swych myślicieli? Tyle jest o tem do myślenia! Wszystko, co po dziś dzień ludzie za swoje »warunki istnienia« uważali i wszelki rozum, namiętność i zabobon tego mniemania — zbadaneż już do końca? Już sama obserwacja rozmaitego wzrostu, jaki popędy ludzkie stosownie do rozmaitego moralnego klimatu posiadały lub jeszcze posiadaćby mogły, przyczyniłaby zbyt wiele pracy nawet najpilniejszemu; trzeba by na to całych pokoleń i to pokoleń uczonych, pracujących podług jednego planu, by zastosować wszystkie te kąty widzenia i wyczerpać materiał. To samo dotyczy wykazania powodów różności klimatu moralnego (»dlaczego tu świeci to słońce moralnej zasadniczej oceny i miernika głównych wartości — a tam owo?«). I znowu nową pracą jest wykazanie błędności wszystkich tych powodów, całej istoty dotychczasowego moralnego sądu. Przypuściwszy, że wszystkich tych prac dokonano, toby wystąpiło na czoło najbardziej ślizkie z wszystkich pytań: czy wiedza jest zdolna nadawać cele działania, chociaż dowiodła, że może je odbierać i niszczyć, — i wtedy pozostałoby eksperymentowanie, w któreby mógł znaleźć zadowolenie wszelki rodzaj heroizmu, wieki trwające eksperymentowanie, któreby zaćmiło wszystkie wielkie dzieła i ofiary dotychcześnie-

wych dziejów. Wiedza nie zbudowała jeszcze dotąd swych cyklopowych budowli; i na to przyjdzie czas!

## 8.

Cnoty nieświadome. — Wszystkie właściwości człowieka, których jest świadom — a szczególnie, jeśli przypuszcza, że są widoczne i oczywiste także dla jego otoczenia —, poddane są zupełnie innym prawom rozwoju, niż owe właściwości, które mu są nieznane lub źle znane i które nawet przed okiem subtelного postrzegacza dzięki swej subtelności kryć się umieją i chować, jakby poza nicością. Tak się ma rzecz z delikatną rzeźbą na łuskach płazów: byłoby błędem przypuszczać w niej ozdobę lub broń — ponieważ widać ją dopiero przez mikroskop, więc tak sztucznie zaostrzonym okiem, jakiego nie posiadają podobne zwierzęta, dla którychby mogło to oznaczać ozdobę lub broń. Nasze widoczne właściwości moralne, a właściwie te, które za widoczne uważamy, idą swoją drogą — a niewidoczne, takie same miana noszące i nie będące dla innych ani naszą ozdobą, ani naszą bronią, idą też swoją drogą: zupełnie inną prawdopodobnie i z liniami, subtelnościami i rzeźbami, które może jakiemuś bogu z boskim mikroskopem przyjemność sprawiać mogą. Mamy na przykład swoją pilność, swoją dumę, swoją bystrość: świat cały wie o tem —, a oprócz tego mamy prawdopodobnie jeszcze raz swoją pilność, swoją dumę, swoją bystrość: lecz dla tych naszych płazich łusek nie wynaleziono jeszcze mikroskopu! —

I tu powiedzą miłośnicy instynktownej moralności: »Brawo! Uważa przynajmniej cnoty nieświadome za możliwe, — to nam wystarcza!« — O wy niewymagający!

---

## 9.

Nasze wybuchy. — Niezliczone rzeczy, które sobie ludzkość na wcześniejszych przyswoiła szczeblach, lecz tak słabo i w stopniu zarodkowym, że nikt za przyswojone uważać ich nie mógł, wystrzelają nagle na jaw, o wiele później, może po stuleciach. Niektórym wiekom zdaje się brakować tej lub owej zdolności, tej lub owej cnoty, jak niektórym ludziom: lecz należy tylko poczekać na wnuków i prawnuków, jeśli się ma czas czekać, — wydzwigną oni na światło wewnętrzną głąb swych praojców, ową wewnętrzną głąb, o której praojcowie sami nic jeszcze nie wiedzieli. Często już syn zdradza swego ojca: ojciec rozumie samego siebie lepiej, odkąd ma syna. Wszyscy mamy w sobie ukryte ogrody i szczepionki; i, używając innego porównania, wszyscy jesteśmy rosnącymi wulkanami, dla których nastąpi godzina wybuchu: — czy prędzej czy później nastąpi, tego oczywiście nie wie nikt, nawet sam »Pan Bóg«.

---

## 10.

Pewien rodzaj atawizmu. — Rzadkich ludzi pewnego czasu rozumiem najchętniej, jako nagle

wynurzające się odrośle minionych kultur i ich sił: niby jako atawizm jakiegoś narodu i jakiegoś obyczaju. W ten sposób można rzeczywiście coś jeszcze w nich rozumieć! Teraz wydają się obcy, dziwni, niezwykli: a kto siły te w sobie czuje, winien ich wbrew opornemu innemu światu strzedz, bronić, czcić, hodować. I tak stanie się przez to albo człowiekiem wielkim albo waryatem i dziwakiem, jeżeli wogóle zawczasu nie zginie. Niegdyś te rzadkie przymioty były zwykłe i uchodziły przeto za pospolite: nie wyróżniały. Może wymagano ich, przypuszczano, że są naturalne; było niemożliwem stać się przez nie wielkim, a to już dlatego, że brakło niebezpieczeństwa stania się przez nie szalonym i samotnym. Szczególniej w zachowawczych rodach i kastach narodu zdarzają się takie oddźwięki starych popędów, gdy tymczasem atawizm taki nie jest prawdopodobny tam, gdzie rasy, zwyczaje, oceny wartości zbyt szybko się zmieniają. *Tempo* bowiem wśród sił rozwojowych znaczy u ludów zarówno tyle, co w muzyce; w naszym wypadku jest koniecznie potrzebne pewne *andante* rozwoju, jako *tempo* namiętnego i powolnego ducha: — a tego rodzaju jest przecie duch rodów zachowawczych.

---



---

 II.
 

---

Świadomość. — Świadomość jest ostatniem i najpóźniejszym stadyum rozwoju świata organicznego a przeto tem, co w nim najmniej skończone i najmniej silne. Ze świadomości pochodzą niezliczone błędy

sprawiające, że zwierzę, człowiek ginie prędzej, niżby to było konieczne, — »wbrew przeznaczeniu«, jak mówi Homer. Gdyby utrzymujący zespół instynktów nie był tak przeważnie silniejszy, gdyby nie służył wogóle jako regulator: toby ludzkość musiała zginąć z powodu swych przewrotnych sądów i majaczenia z otwartymi oczami, z powodu swego braku gruntowności i swej łatwowierności, słowem właśnie z powodu swej świadomości — lub raczej bez niej nie istniałaby już oddawna! Dopóki jakaś funkcya nie wykształci się i nie dojrzeje, jest niebezpieczna dla organizmu: dobrze, gdy się ją do czasu tyranizuje! Tak tyranizuje się świadomość — a nie w najmniejszym stopniu przez dumę z niej! Mniema się, że tu jest rdzeń człowieka; to co w nim trwałe, wieczne, ostateczne, pierwotne! Uważa się świadomość za stałą, daną wielkość! Odmawia się jej wzrastania i stanów przejściowych! Pojmuje się ją jako »jedność organizmu«! — To śmieszne przecenienie i zaniepoznanawanie świadomości jest pożyteczne z tego powodu, że przeszkadza zbyt szybkiemu jej wykształceniu. Ponieważ ludzie mniemali, iż już świadomość posiadają, mało zadawali sobie trudu, by ją zdobyć, — a i teraz jeszcze rzecz niema się inaczej! Ciągłe jeszcze jest zupełnie nowem i właśnie dopiero rozbrzaskującym ludzkiemu oku, zaledwo wyraźnie dostrzegalnem zadanie wcielenia w siebie wiedzy i uczynienia jej instynktowną, — zadanie widziane tylko przez tych, którzy pojęli, że dotychczas wcielały się w nas tylko nasze omyłki i że cała nasza świadomość ogranicza się do omyłek!

O celu wiedzy. — Jakto? Ostatecznym celem wiedzy byłoby przysporzenie człowiekowi jak najwięcej uciechy i jak najmniej przykrości? A cóż, gdyby uciecha i przykreść tak były jednym związane powrósem, że kto jak najwięcej chce mieć jednej, musi też jak najwięcej mieć drugiej — że, kto się uczyć chce »w niebo huknąć radością« musi gotować się »być smutnym aż do śmierci?« \*) I tak to jest może! Stoicy wierzyli przynajmniej, że tak jest, i byli konsekwentni, jeśli jak najmniej pożąдали uciechy, by w życiu jak najmniej doznawać przykrości. (Jeśli na ustach miano zdanie: »Najcnotliwszy jest najszczęśliwszy«, to było ono zarówno szyldem szkoły wobec tłumu, jak też kazuistyczną subtelnością dla subtelnych.) I dziś jeszcze macie wybór: albo jak najmniej przykrości, słowem bezbolesność — a w gruncie rzeczy socjaliści i politycy wszystkich partyi nie mogą w sposób uczciwy więcej przyrzekać swym ludziom — lub jak najwięcej przykrości, jako cenę za wzrastającą pełnię wymyślnych i dotąd rzadko kosztowanych uciech i radości! Jeśli oświadczycie się za pierwszym, więc jeśli zgnieść i zmniejszyć chcecie boleściwość ludzkości, to musicie też zgnieść i zmniejszyć jej zdolność do radości. W rzeczywistości można wiedzą popierać cel jeden jak i drugi! Jest ona teraz bardziej może jeszcze znana ze swej mocy pozbawiania człowieka radości i czynienia go zimniejszym,

---

\*) Pieśń Klary w Egmoncie Goethego: »Himmelhoch jauchzend, Zum Tode betrübt . . . «

*Prz. tłum.*

bardziej posągowym, bardziej stoickim. Lecz może też odkryje się w niej jeszcze wielką dawczynię boleści, a wtedy odkryłoby się w niej może jednocześnie moc przeciwną, jej niezmierną możność rozświetlania nowych gwiazdnych światów radości!

## 13.

Z nauki o uczuciu mocy. — Świadczaniem dobrodziejstw i wyrządzaniem bólu wywiera się moc swoją na innych — o nic więcej przy tem nie chodzi! Wyrządzaniem bólu wywiera się ją na takich, którym musimy dopiero dać uczuć moc swoją; bo ból jest daleko bardziej dojmującym środkiem do tego, niż rozkosz: ból zawsze szuka przyczyny, gdy tymczasem rozkosz skłonna jest zatrzymywać się przy samej sobie i nie poglądać wstecz. Świadczaniem dobrodziejstw i życzliwością na takich, którzy w jakiś sposób już od nas zależą (to znaczy zwykli myśleć o nas jako o ich przyczynie); chcemy ich moc pomnożyć, bo w ten sposób pomnażamy własną, lub chcemy dać im poznać korzyść, którą przynosi znajdowanie się w naszej mocy, — w ten sposób stają się oni bardziej zadowoleni z swego położenia i bardziej wrodzy a gotowi do walki przeciw wrogom naszej mocy. Czy ponosimy, sprawiając dobro lub ból, ofiary, to nie zmienia ostatecznej naszych postępków wartości; nawet jeśli oddajemy tu życie swe, jak męczennik na chwałę swego kościoła, — to jest to ofiara złożona swemu pożądaniu mocy lub w celu zachowania swego uczucia

mocy. Kto odczuwa »jestem w posiadaniu prawdy«, ileż posiadania nie poświęci dla ratowania tego uczucia! Czegóż nie rzuci z pokładu, by się »na wierzchu« utrzymać — to znaczy ponad innymi, którym na »prawdzie« zbywa! Zapewne rzadko jest stan, gdy ból wyrządzamy, tak przyjemny, tak niezakłócenie przyjemny, jak ten gdy dobrodziejstwo świadczymy, — jest to znak, iż brak nam jeszcze mocy lub zdradza troskę z powodu tego ubóstwa, przynosi z sobą nowe niepewności i niebezpieczeństwa dla naszego obecnego posiadania mocy i ochmurza nasz widnokrąg przewidywaniem zemsty, szyderstwa, kary, niepowodzenia. Tylko człowiekowi o najdrażliwszem i najpożądliwszem poczuciu mocy może sprawiać większą rozkosz wyciskanie pieczęci swej mocy na opornym; takiemu, któremu widok już uległego (będącego przedmiotem życzliwości) ciężarem jest i nudą. Zależy to od tego, jakim korzeniem zwykło się sobie życie zaprawiać; jest to rzeczą smaku, czy woli się przyrost siły powolny czy nagły, pewny czy niebezpieczny i zuchwały, — szuka się tej lub innej zaprawy zawsze wedle swego temperamentu. Łatwa zdobycz jest dla natur dumnych czemś godnem pogardy, uczuwają przyjemność dopiero na widok ludzi niezłomnych, którzyby im wrogami stać się mogli i tak samo na widok wszelkiego trudno dostępnego posiadania. Wobec cierpiącego są często twardzi, gdyż nie jest on godzien ich dążenia i dumy, — lecz tem bardziej uprzejmi okazują się wobec swych równych, z którymi walka i zapasy byłyby w każdym razie zaszczytne, gdyby się kiedyś sposobność nadażyć miała. Pod wpływem przyjemności tego kąta widzenia przywykli ludzie kasty rycerskiej do wy-

szukanej względem siebie dworności. — Litość jest najprzyjemniejszym uczuciem w tych, którzy mało posiadają dumy i żadnej nie mają nadziei wielkich zdobyczy: dla nich jest łatwa zdobycz — a tą jest każdy cierpiący — czemś zachwycającem. Sławi się litość jako cnotę prostytutek.

## 14.

Czego też nie nazywa się miłością. — Chciwość i miłość: jakże odmiennych przy każdym z tych słów doznajemy uczuć! A jednak mógłby to być ten sam popęd, dwojako nazwany, raz uwłaczająco ze stanowiska już posiadających, w których popęd nieco się uspokoił, i którzy teraz o swoje obawiają się »mienię«; drugi raz ze stanowiska niezadowolonych, potrzebujących, i dlatego uświetniony mianem »dobry«. Nasza miłość bliźniego — nie jestże parciem ku nowej własności? I tak samo nasza miłość wiedzy, prawdy? Rzecz stara, bezpiecznie posiadana uprzykrza nam się stopniowo i znowu wyciągamy ręce; najpiękniejszy nawet krajobraz, wśród którego przebywamy trzy miesiące, nie jest już pewny naszej miłości, i gdzieś jakiś daleki brzeg podnieca chciwość naszą. Posiadanie uszczupla się zazwyczaj przez posiadanie. Nasza uciecha z samych siebie chce utrzymać się w ten sposób, że ciągle coś nowego w nas samych przemienia, — to właśnie zowie się posiadaniem. Uprzykrzyć sobie jakieś posiadanie, jest to uprzykrzyć sobie siebie samych. (Można też cierpieć z nadmiaru, — także żądza odrzucania, wydzielenia

może przybrać sobie zaszczytne miano »miłości«.)  
 Jeśli widzimy cierpiącego, to korzystamy chętnie z nadarzającej się wtedy sposobności wzięcia go w posiadanie; czyni to na przykład dobroczynny i litościwy, i on zbudzoną w nim żądzę nowego posiadania zwie »miłością« i ma z tego uciechę, jak wobec nowej uśmiechającej się zdobyczy. Najwyraźniej jednak zdradza się miłość płci jako dążenie ku posiadaniu: kochający chce bezwarunkowo wyłącznie posiadać upragnioną przez siebie istotę, chce zarówno bezwzględnej mocy nad jej duszą, jak nad jej ciałem, chce sam tylko być kochanym, i mieszkać, i władać w innej duszy, jako coś najwyższego i najbardziej pożądanego godnego. Jeśli się zważy, że to nie znaczy nic innego, tylko że się chce wyłączyć świat cały z posiadania jakiegoś cennego dobra, szczęścia i rozkoszy; jeśli się zważy, że kochający dąży do zubożenia i uczynienia uszczerbku wszystkim innym współzawodnikom i chciałby się stać smokiem swego złotego skarbu, jako najbezwzględniejszy i najsamolubniejszy z wszystkich »zdobywców« i grabieżców; jeśli się zważy wreszcie, że samemu kochającemu cały świat pozatem objętny, błądy, bezwartościowy się wydaje, że gotów jest wszelką ponieść ofiarę, ład wszelki zburzyć, wszelki podeptać interes: to dziwić się trzeba w istocie, że dzika ta chciwość i niesprawiedliwość miłości płciowej w tej mierze uświetnioną została i przebóstwioną, jak to się za wszystkich działo czasów, co więcej, że z miłości tej powzięto pojęcie miłości jako przeciwstawienia egoizmu, gdy tymczasem jest ona może właśnie najotwartzym egoizmu wyrazem. To utarcie się słowa jest widocznie dziełem nieposiadających i pożądanających, — snadź było ich zawsze za

wiele. Tacy, którym w dziedzinie tej wiele przypadło posiadania i dosytu, opuszczali snadź tu i ówdzie słowo o »wściekłym demonie«, jak ów najbardziej miłości godny i najbardziej kochany z wszystkich Ateńczyków, Sofokles: lecz Eros śmieje się zawsze z takich bluźnierców — byli to właśnie zawsze najwięksi jego ulubieńce. — Istnieje zapewne tu i ówdzie na ziemi pewnego rodzaju dalsze ogniwo miłości, gdzie owo chciwe wzajemne pożądanie się dwóch osób ustąpiło nowej żądzy i chciwości, wspólnemu wyższemu pragnieniu stojącego ponad nimi ideału: lecz któż zna tę miłość? któż ją przeżył? Prawdziwe jej imię jest przyjaźń.

## 15.

Z daleka. — Góra ta użycza całej okolicy, nad którą panuje, uroku pod każdym względem i czyni ją pełną znaczenia: powiedziawszy sobie to po raz setny, jesteśmy tak nierozsądni i tak wdzięcznie dla niej nastrojeni, iż wierzymy, że ona, dawczyni tego uroku, musi sama być największym tej okolicy urokiem — i oto wspinamy się na jej szczyt i doznajemy zawodu. Nagle ona sama i cały krajobraz wkoło nas, pod nami, jakby odczarowane zostały. Zapomnieliśmy, że niejedna wielkość, jak niejedna dobroć, chcą z pewnej być tylko widziane oddali i bezwzględnie z dołu, nie z góry, — tylko w ten sposób wywierają wrażenie. Może znasz ludzi w swem otoczeniu, którzy na samych sobie z pewnej tylko spoglądać mogą odległości, żeby uważać siebie wogóle za znośnych

lub pociągających lub pokrzepiających; takim ludziom nie należy mówić: poznaj siebie samego.

---

## 16.

Przez kładkę. — W obcowaniu z osobami, które wstydlive są względem swych uczuć, trzeba umieć się taić; uczuwają one nagłą nienawiść ku temu, kto ich na jakimś tkliwym lub marzycielskiem lub wysokiem chwycił uczuciu, jak gdyby widział ich tajemnice. Jeśli się chce im przysłużyć w takich chwilach, to najlepiej pobudzić ich do śmiechu lub powiedzieć jakąś zimną żartobliwą złośliwość: — uczucie ich zamarźnie przytem, i znowu odzyskują panowanie nad sobą. Lecz podaję morał powieści. — Bylibyśmy w życiu raz siebie tak bliscy, że nic nie zda wało się już przeszkadzać naszej przyjaźni i braterstwu i tylko jeszcze mała dzieliła nas kładka. Właśnie gdy chciałeś wejść na nią, spytałem cię: »chcesz przyjść do mnie przez kładkę?« — ale ty już nie chciałeś; a gdym raz jeszcze spytał, milczałeś. Odtąd padły pomiędzy nas góry i rwące potoki, i co tylko dzieli i obcym czyni; a choćbyśmy nawet chcieli ku sobie, nie możemy już! Jeśli jednak teraz wspomnisz ową małą kładkę, nie masz już słów — jeno łkanie i zdziwienie.

---

## 17.

Motywowanie swego ubóstwa. — Nie można oczywiście żadną sztuką, z biednej cnoty uczy-

nić bogatej, przelewnej, lecz niewątpliwie możemy jej ubóstwo wytłumaczyć pięknie jako konieczność, żeby nas nie bolało i żebyśmy nie musieli z tego powodu zwracać twarzy do *fatum* z wyrzutem. Tak czyni mądry ogrodnik, który biedną strużkę swego ogrodu kładzie w ramiona nimfie źródlanej i tak motywuje ubóstwo: — a komu takich nimf nie potrzeba?

## 18.

Duma starożytna. — Brak nam starożytnego zabarwienia dostojności, ponieważ uczuciu naszemu brak starożytnego niewolnika. Grek szlachetnego pochodzenia znajdował między wyżyną swoją a ową nizkością ostateczną tak olbrzymie stopnie pośrednie i taką dal, że ledwie ledwie mógł jeszcze dokładnie dojrzeć niewolnika: nawet Plato już go nie widział całego. Co innego my, przywykli do nauki o równości ludzi, acz nie do równości samej. Istota, która sama sobą rozporządzać nie może i której brak wczasu, — nie wydaje się wcale jeszcze naszemu oku czemś godnem pogardy; może zbyt wiele takiej niewolniczości tkwi w każdym z nas, stosownie do warunków naszego społecznego porządku i działalności, które już zasadniczo inne są, niż u starożytnych. — Filozof grecki szedł przez życie z tajemnem uczuciem, że jest daleko więcej niewolników, niż się mniema — mianowicie, że niewolnikiem jest każdy, kto nie jest filozofem; дума jego wzbierała, gdy rozważał, że i najpotężniejsi tego świata wśród tych jego

są niewolników. Ta дума także jest nam obcą i dla nas niemożliwą; ani nawet w przenośni nie brzmi nam to słowo »niewolnik« całą pełnią.

---

## 19.

Z10. — Zbadajcie życie najlepszych i najplodniejszych ludzi i ludów i spytajcie się, czy drzewo, mające dumnie wzwyż rosnąć, mogłoby się obejść bez niepogód i burz: czy wrogość i opór z zewnątrz, czy wszelka nienawiść, zazdrość, samolubstwo, nieufność, srogość, zachłanność i gwałtowność do sprzyjających nie należy warunków, bez których nawet wielki wzrost cnoty jest niemożliwy? Trucizna, od której słabsza niszczyje natura, jest dla mocnego wzmocnieniem — on też jej nie zwie trucizną.

---

## 20.

Godność szaleństwa. — Kilka tysięcy lat dalej po koleinach ostatniego wieku! — a we wszystkim, co człowiek czyni, ujawni się rozum najwyższy: lecz właśnie przez to straci rozum wszelką swą godność. Stanie się wprawdzie wówczas rzeczą konieczną być rozumnym, lecz też rzeczą tak zwyczajną i pospolitą, że smak szlachetniejszy odczuwać będzie tę konieczność jako pospolitość. I tak samo, jak tyrania prawdy i wiedzy byłaby zdolna kłamstwo wysoko wynieść w cenie, tak też tyrania rozumu mo-

głaby wywołać nowy rodzaj szlachectwa umysłu. Być szlachetnym znaczyliby wtedy może: być szaloną głową.

## 21.

Do nauczycieli bezosobistości. — Zwie się cnoty człowieka dobremi, nie ze względu na skutki, które one mają dla niego samego, lecz ze względu na skutki, które, jak przypuszczamy, mieć będą dla nas i społeczeństwa: — było się zdawien dawna w pochwalę cnót bardzo mało »bezosobistym«, bardzo mało »nieegoistycznym«! Bo zresztą musiało się widzieć, że cnoty (jak pilność, posłuszeństwo, czystość, pobożność, sprawiedliwość) były dla swych posiadaczy przeważnie szkodliwe, jako popędy, które zbyt gwałtownie i pożądliwie w nich władną i nie pozwalają wcale rozumowi trzymać się w równowadze względem innych popędów. Jeśli masz jakąś cnotę, prawdziwą, całą cnotę (a nie tylko popędzik ku jakiejś cnotcie!) — to jesteś jej ofiarą! Lecz sąsiad twój chwali właśnie dlatego twą cnotę! Chwali się pilnego, acz przez swoją pilność pozbawia swe oczy siły widzenia, ducha swego oryginalności i świeżości; czi się i żałuje młodzieńca, który »zapracował się na śmierć«, ponieważ się sądzi: »Dla całości społeczeństwa jest strata nawet najlepszej jednostki małą tylko ofiarą! Źle, że ofiara jest potrzebna! O wieleby gorzej było oczywiście, gdyby jednostka myśleć miała inaczej i utrzymanie swoje i rozwój uważać miała za ważniejsze, niż pracę swą w służbie społeczności!«

Żałuje się więc tego młodzieńca, nie gwoli niemu samemu, lecz dlatego, ponieważ przez tę śmierć społeczność straciła powolne i względem siebie bezlitosne narzędzie — tak zwanego »dzielnego człowieka«. Może zważy się jeszcze, czy nie byłoby pożyteczniej dla interesu społeczności, gdyby był pracował z mniejszą względem siebie srogością i dłużej się utrzymał, — przyznaje się nawet pewną z tego korzyść, uznaje się atoli za wyższą i trwalszą tamtą drugą korzyść, że złożono ofiarę i że jeszcze raz potwierdził się n a o c z n i e sposób myślenia ofiarnego zwierzęcia. Raz więc, chwając cnoty, chwali się w cnotach naturę narzędzia a potem ślepy, władający w każdej cnotie popęd, który nie daje się w szrankach utrzymać ogólną korzyścią indywidualum, słowem: nierozum w cnotie, którego mocą jednostka daje się przemienić w funkcję całości. Pochwała cnoty jest pochwałą czegoś prywatnie szkodliwego, — pochwałą popędów, które odbierają człowiekowi jego najszlachetniejszy egoizm i moc najwyższej pieczy nad sobą samym. — Oczywiście: dla wychowania i wcielania cnotliwych nawyknień wymiata się cały szereg skutków cnoty, ukazujących cnotę i korzyść prywatną w świetle siostrzeństwa, — i w rzeczy samej takie siostrzeństwo istnieje! Ślepą wściekłą pilność na przykład, tę typową cnotę narzędzia, przedstawia się jako drogę do bogactwa i czci i jako najbardziej leczącą truciznę przeciw nudzie i namiętnościom: lecz przemilcza się jej niebezpieczeństwo, jej najwyższą niebezpieczność. Wychowanie postępuje powszechnie tak: stara się nakłonić jednostkę przez szereg ponęt i korzyści do pewnego sposobu myślenia i działania, który stawszy się nawykiem, popędem i namiętnością osiąga

władzę w niej i nad nią wbrew jej ostatecznej korzyści, lecz ku »ogólnemu dobru«. Jakże często widzę, że ślepa wściekła pilność stwarza wprawdzie bogactwa i cześć, lecz równocześnie odbiera subtelność, z której pomocą używać można rozkoszy bogactwa i zaszczytów, jak też, że ów główny środek przeciw nudzie i namiętnościom przytępia zarazem zmysły i czyni ducha względem nowych podniet opornym. (Najpilniejsze ze wszystkich stuleci — nasze stulecie — nie umie nic zrobić ze swej wielkiej pilności i wielkich pieniędzy, tylko coraz więcej pieniędzy i coraz więcej pilności: potrzeba właśnie więcej geniuszu do wydawania, niż do zarabiania! — Lecz będziemy mieli »wnuków«!) Jeśli wychowanie się uda, to każda cnota jednostki jest publicznym pożytkiem i prywatnym uszczerbkiem w znaczeniu najwyższego prywatnego celu, — prawdopodobnie jakimś duchowo-zmysłowym zmarnieniem lub nawet przedwczesnem zniszczeniem. Rozważcie po kolei, z tego punktu widzenia, cnotę posłuszeństwa, czystości, pobożności, sprawiedliwości. Pochwała człowieka bezosobistego, ofiarnego, cnotliwego — więc nie używającego całej swej siły i rozumu na swoje utrzymanie, rozwój, podniesienie, popieranie, rozszerzenie w mocy, lecz co do siebie żyjącego skromnie i bezmyślnie, może nawet obojętnie lub ironicznie, — pochwała ta nie wytrysnęła z pewnością z ducha bezosobistości! »Bliźni« pochwała bezosobistość, ponieważ ciągnie z niej korzyści! Gdyby bliźni sam myślał »bezosobiście«, toby odtrącił każdy na swoją korzyść uszczerbek siły i uszkodzenie, przeciwdziałałby powstawaniu takich skłonności, a przede-wszystkiemy dowiódł tem właśnie swej bezosobistości

że nie nazwałby jej dobrą! — oto zaznaczona zasadnicza sprzeczność owej moralności, która właśnie teraz czci wielkiej zażywa: motywy tej moralności są sprzeczne z jej zasadą! Moralność ta swoim kryterium moralnym zbija to, czem się chce uzasadnić! Zdanie »powinieneś zaprzeć się samego siebie i złożyć siebie w ofierze«, aby nie występowało przeciw samemu sobie, powinnyby być wyrzeczone przez istotę, która tem samem wyrzekła się swojej własnej korzyści i może żądaniem samoofiary jednostek własną swą sprowadziła zgubę. Skoro jednak bliźni (lub społeczeństwo) zaleca altruizm gwoili pożytkowi, to wchodzi w użycie właśnie zdanie przeciwne »powinieneś szukać korzyści, nawet ze szkodą wszystkiego innego«, głosi się więc jednym tchem »powinieneś« i »niepowinieneś«!

---

*L'ordre du jour pour le roi.* — Dzień się zaczyna: zacznijmy układać na dzień dzisiejszy sprawy i zabawy naszego najmiłoścowszego Pana, który teraz jeszcze spoczywać raczy. Jego Majestat ma dziś brzydką pogodę: będziemy się wystrzegali nazywać ją brzydką; nie będzie się o pogodzie mówiło — zato będziemy sprawy dzisiejsze traktować nieco uroczyściej, a zabawy nieco świąteczniej, niżby należało. Jego Majestat będzie może nawet cierpiący: przy śniadaniu zaprezentujemy ostatnią miłą nowinę z wieczora, przybycie pana de Montaigne, który tak zabawnie ze swej choroby żartować umie — cierpi na

kamienie. Przyjmiemy kilka osób (osób! — coby powiedziała owa stara nadęta żaba, która między niemi będzie, gdyby słyszała te słowa! »Nie jestem żadną osobą, rzekłaby, tylko zawsze samą rzeczą«) — a przyjęcie trwać będzie dłużej, niż to komubądź przyjemne: dostateczny powód, by opowiedzieć o owym poecie, który na drzwiach swych napisał: »kto tu wejdzie, wyrządzi mi zaszczyt; kto nie wejdzie — przyjemność«. Oto zaiste, co się zwie, niegrzeczność w grzeczny powiedzieć sposób! A może poeta ten ma zupełną co do siebie słuszność, że jest niegrzeczny: mówią, że wiersze jego są lepsze, niż wierszopis! Niechże ich więc jeszcze stworzy wiele i niech możliwie najwięcej odsuwa się od świata: a to jest właśnie myślą jego grzecznej niegrzeczności. Przeciwnie, książę zawsze jest więcej wart, niż jego »wiersz«, nawet gdy — lecz cóż to czynimy? Gawędzimy, a cały dwór mniema, że pracujemy już i łamiemy sobie głowę: nigdzie nie widać wcześniej światła, niż w naszym oknie. — Słuchaj! Czy to nie dzwon? Do dyabła! Zaczyna się dzień i taniec, a my jeszcze nie umiemy jego turów! Musimy improwizować — cały świat improwizuje swój dzień. Uczyńmy dziś raz, jak cały świat! — Tu rozwiął się mój przedziwny sen poranny, prawdopodobnie skutkiem silnych uderzeń zegara na wieży, który właśnie z całą zwykłą mu powagą obwieszczał piątą godzinę. Zdaje mi się, że tym razem bóg snów zakpić chciał sobie z moich nawyknień — jest mym zwyczajem zaczynać dzień w ten sposób, że przyrządzam go dla siebie i czynię znośnym, i być może, że czyniłem to często zbyt formalnie i po książęcemu.

---

Oznaki zepsucia. — Zauważcie w koniecznych co pewien czas stanach społeczności, które określa się słowem »zepsucie«, następujące oznaki. Skoro zaczyna się gdzie zepsucie, bierze przewagę pstry z a b o b o n, a dotychczasowa powszechna wiara tego ludu błędnie i wpada w omdlenie: zabobon jest bowiem wolnomyślnością niższego rodzaju — kto się jej oddaje, wybiera pewne obiecujące dla siebie formy i formuły i pozwala sobie na prawo wyboru. Zabobonny, w porównaniu z religijnym, jest zawsze o wiele bardziej osobą, a społeczność zabobonna będzie ta, w której istnieje już wiele indywidualów i upodobanie w rzeczach indywidualnych. Z tego stanowiska widziany wydaje się zabobon zawsze p o s t ę p e m w stosunku do wiary i oznaką, że intelekt stał się niezależniejszy i swego domaga się prawa. Na zepsucie skarżą się wówczas starych religii i religijności czciciele — oni też ustanawiali dotąd sposób mówienia i stworzyli zabobonowi nawet u najwolniejszych duchów złą sławę. Nauczmy się, że jest on symptomatem oświecenia. Po wtóre oskarża się społeczność, w której rozgości się zepsucie, o z g n u ś n i e n i e: jawnie zmniejsza się w niej szacunek dla wojny i zapał wojenny, a wygody życia stają się takim samym gorących dążeń celem, jak niegdyś wojenne i gimnastyczne zaszczyty. Lecz zwykło się przeoczać, że owa dawna energia ludowa i ludowy zapał, które w walce i igrzyskach świetnie się roztaczały, przeobraziły się teraz w niezliczone namiętności prywatne i stały się jeno mniej widoczne. Prawdopodobnie w stanach zepsucia jest moc i po-

tęga zużywanej podczas niego energii jakiegoś ludu większa niż kiedykolwiek a indywidualium roztrwania je tak, jak niegdyś nie mogło — nie było jeszcze wówczas dość na to bogate! Takie to właśnie są czasy »zgnuśnienia«, w których tragedia po domach i ulicach biega, gdzie rodzi się wielka miłość i wielka nienawiść a płomień poznania jasno w niebo strzela. — Po trzecie, zwykło się niejako, żeby się odszkodować za naganę zabobonu i zgnuśnienia, głosić o takich czasach zepsucia, że są łagodniejsze i że wówczas okrucieństwo, w porównaniu z dawniejszemi, bardziej zwierzęcemi i silniejszymi czasami, o wiele się umniejsza. Ale i na tę pochwałę nie mogę się pisać, równie mało jak na ową naganę. Przyznaję tylko tyle, że okrucieństwo wówczas wymyślniejsze się staje, i że odtąd dawniejsze jego formy rażą smak; lecz ranienie i dręczenie słowem i spojrzeniem dosięga w czasach zepsucia najwyższego rozwoju — wtedy dopiero wytwarza się złość i uciecha ze złości. Ludzie z czasów zepsucia są dowcipni i potwarczy; wiedzą, że istnieją inne jeszcze rodzaje mordu, nietylko sztylet i napad — wiedzą też, że wszystko co jest dobrze p o w i e d z i a n e znajdzie wiarę. — Po czwarte: gdy »upadają obyczaje«, wynurzają się najpierw owe istoty, które się zwie tyranami: są to poprzednicy a zarazem wczesnie dojrzałe pierwociny indywidualuów. Jeszcze krótka chwila: a ten owoc owoców wisieć będzie dojrzały i żółty na drzewie ludu — a tylko gwoli tym owocom istniało to drzewo! Gdy upadek dochodzi do swego szczytu a również i walka wszelkiego rodzaju tyranów, to zawsze zjawia się wtedy Cezar, tyran ostateczny, który kres kładzie znużonym o jedynowładztwo zapasom, każąc znuże-

niu pracować dla siebie. Za jego czasów jest indywidualium zwykle najdojrzalsze a przeto »kultura« najwyższą i najpłodniejszą — lecz nie gwoli niemu i nie przez niego, aczkolwiek najwyżsi ludzie kultury lubią tem schlebiać swemu Cezarowi, że za jego podają się dzieło. Prawdą jednak jest to, że potrzebują z zewnątrz spokoju, bo mają w sobie niepokój i pracę. W czasach tych przekupstwo i zdrada krzewią się najbujniej: bo miłość ku temu dopiero co odkrytemu *ego* jest teraz daleko silniejsza, niż miłość starej, zużytej, na śmierć zagadanej »ojczyzny«; a potrzeba zabezpieczenia się w jakibądź sposób przeciw straszliwej chwiejności szczęścia otwiera i szlachetniejsze ręce, skoro jakiś potężny i możny okaże gotowość nasypania w nie złota. Tak niepewna teraz przyszłość: więc żyje się dla dzisiaj: stan duszy, wobec którego wszyscy uwodziciele mają grę łatwą — człowiek bowiem daje się też uwieść i przekupić tylko »na dzisiaj« i zastrzega sobie przyszłość i cnotę! Indywidua, te prawdziwe rzeczy w sobie i dla siebie, troszczą się, jak wiadomo, więcej o chwilę obecną, niż ich przeciwieństwa, ludzie stadni, ponieważ uważają samych siebie za nieobliczalne podobnie jak przyszłość; tak samo trzymają się chętnie gwałtowników, ponieważ czują się zdolni do czynów i postępów, które nie mogą liczyć u tłumu ani na zrozumienie, ani na łaskę. Lecz tyran czy Cezar rozumie prawo indywidualium także w jego wykroczeniach i ma interes w tem, by przemówić za śmielszą moralnością prywatną a nawet ręki jej użyczyć. Bo myśli on o sobie i chce, by o nim myślano to, co Napoleon raz swym klasycznym wyrzekł sposobem: »mam prawo odpowiadać na wszystko, o co mnie

oskarżają, wiecznem: to jestem ja! Stoję wyodrębniony od całego świata, nie przyjmuję od nikogo warunków. Chcę, by się także moim poddawano fantazyom i uważano to za zupełnie proste, jeśli oddają się tym lub innym rozrywkom\*). Tak rzekł raz Napoleon do swojej żony, gdy ta miała powody małżeńską wierność męża swego podawać w wątpliwość. — Czasy zepsucia to te, w których jabłka spadają z drzewa: mam na myśli indywidua, nasiona przyszłości, sprawców duchowej kolonizacji i stwarzania nowych związków państwowych i społecznych. Zepsuciem zwą obelżywie czasy jesieni pewnego ludu.

## 24.

Rozmaite niezadowolenie. — Słabi i niejako kobiece niezadowolenicy są wynalazczy w upiększaniu i pogłębianiu życia; silni niezadowolenicy — osoby męskie wśród nich, by trzymać się porównania — w polepszaniu i upewnianiu życia. Pierwsi okazują tem swoją słabość i kobiecość, że dają się chętnie czasowo ludzi i zadowolają się już odrobiną oszołomienia i marzycielstwa, lecz na ogół nie dadzą się nigdy zadowolić i cierpią z powodu nieuleczalności swego niezadowolenia; ponadto popierają wszystkich, umięających stwarzać makowcowe i narkotyczne pociechy, i dlatego właśnie czują urazę do tych, którzy wyżej cenią

\*) Mémoires de Madame Rémusat, tom 1, str. 114—115, wyd. 1880.

lekarza niż kapłana, — przez to podtrzymują dalsze trwanie rzeczywistych niedomagań! Gdyby od czasów średniowiecza nie istniał w Europie taki nadmiar niezadowolonych tego rodzaju, toby nie była może powstała ta sławiona europejska zdolność do ustawicznej przemiany: bo uroszczenia silnych niezadowolenców są za grube a w gruncie rzeczy zbyt skromne, by raz wreszcie uspokoić się nie miały. Chiny na przykład są krajem, gdzie niezadowolenie wogóle i zdolność do przemiany wymarły od wielu stuleci; a socjaliści i państwowi bałwochwalczy Europy mogliby łatwo swoimi środkami polepszania i upewniania życia doprowadzić także w Europie do chińskiego stanu rzeczy i chińskiego szczęścia, przypuszczając, żeby mogli tu wpierw wytępić owo chorobliwsze, wątlejsze, bardziej kobiece, na razie nadmierne jeszcze niezadowolenie i romantykę. Europa jest chorym, który winien najwyższą wdzięczność swej nieuleczalności i wiecznej przemianie swego cierpienia: te ustawiczne nowe położenia, tak samo te ustawiczne nowe niebezpieczeństwa, cierpienia i środki ratunkowe wytworzyły wkońcu intelektualną drażliwość, która znaczy prawie tyle, co geniusz, a w każdym razie jest matką wszelkiego geniuszu.

Niepowołani do poznawania. — Istnieje wcale nierzadka niedołączna pokora, którą obciążony człowiek jest raz na zawsze niezdatny na uczenia poznania. Gdy człowiek tego rodzaju spostrzeżę coś

uderzającego, odwraca się niejako na pięcie i mówi sobie: »Łudziłeś się! Gdzież były twoje zmysły? To nie może być prawdą!« — i wtedy, zamiast bystrzej patrzeć i słuchać, przestraszony ucieka tej uderzającej rzeczy z drogi i stara się możliwie najszybciej wybić ją sobie z głowy. Jego wewnętrzny kanon bowiem brzmi: »nie chcę nic widzieć, co sprzeciwia się zwyczajnemu o rzeczach mniemaniu! Czyż ja jestem stworzony na to, by nowe prawdy odkrywać? Jest już starych za wiele«.

---

## 26.

Co zwie się życiem? — Życie — to znaczy: ustawicznie coś od siebie odtrącać, co chce umrzeć; żyć to znaczy: być okrutnym i nieubłagany dla wszystkiego, co w nas słabem i starem się staje, i nie tylko w nas; żyć — znaczy więc: być bez miłosierdzia dla umierających, nędzarzy i starców? Ciągłe być mordercą? — A przecie stary Mojżesz rzekł: »Nie zabijaj!«

---

## 27.

Ten, który się wyrzeka. — Co robi ten, który się wyrzeka? Dąży do wyższego świata, pragnie wznosić się szerzej, dalej i wyżej, niż wszyscy ludzie potwierdzający — odrzuca precz wiele rzeczy, któreby lot jego obciążać mogły, a wśród

tego niejedno, co nie jest mu bezwartościowem i nie-  
miłem; składa to w ofierze swej żądz wyżyn. To  
poświęcenie, to odrzucanie jest więc właśnie jedy-  
nem, co się w nim dostrzedz daje: wedle tego darzy  
się go mianem wyrzekającego się, i jako taki stoi on  
przed nami, ukryty w swym kapturze i niby dusza  
włosiennicy. Jest jednak zadowolony tem wrażeniem,  
które na nas czyni: chce ukryć przed nami swą żądzę,  
swą dumę, swój zamysł, by p o n a d nas wylecieć. —  
Tak! Jest on mędrszy, niż myśleliśmy i tak wzglę-  
dem nas dworny — ten potwierdzający! Gdyż jest  
on nim tak jak my, nawet kiedy się wyrzeka.

---

## 28.

Szkodzenie tem, co się ma najlep-  
szego. — Nasze siły doprowadzają nas teraz tak  
daleko, że nie możemy wytrzymać dłużej swych sła-  
bości i giniemy z nich: widzimy też z góry to zakoń-  
czenie a mimo to nie chcemy, by było inaczej. Wtedy  
stajemy się twardzi względem tego, co w nas oszczę-  
dzonem być pragnie, a nasza wielkość jest także na-  
szem bezmiłosierdziem. — Takie przeżyte wydarzenie,  
które wkońcu życiem przyplacić musimy, jest sym-  
bolem całego działania wielkich ludzi na innych i na  
swój czas: — właśnie tem, co w nich najlepszego,  
tem, co tylko oni mogą, gubią wielu słabych, nie-  
pewnych, stających się, chcących i są przez to szkod-  
liwi. Może się nawet zdarzyć wypadek, że mogą oni,  
biorąc ogółem, tylko szkodzić, ponieważ to, co w nich  
najlepsze, jedynie tacy przyjmują i wypijają, którzy

od tego, jak od zbyt silnych trunków, tracą rozum i myśl o sobie: oszałamiają się tak, że muszą połać swe członki na wszystkich tych manowcach, dokąd ich gna oszołomienie.

---

## 29.

Ci, którzy dokłamują. — Kiedy we Francji poczęto zwalczać a przeto i bronić jedności Arystotelesowych, okazało się znów, co tak często się okazuje, a co tak niechętnie spostrzegamy: — zmyślano sobie powody, dla których prawa owe powinny być zachowane, jedynie dlatego, aby nie przyznać się, że przyzwyczajono się do panowania tych praw i nie chce się, aby było inaczej. Tak też czyni się w obrębie każdej panującej moralności i religii i czyniono tak zdawien dawna: powody i cele dokłamuje się zawsze dla poparcia jakiegoś zwyczaju dopiero wtedy, gdy niektórzy zaczną go zaprzeczać i pytać o powody i cele. Na tem polega wielka nieuczciwość zachowawców wszelkich czasów: — są to dokłamywacze.

---

## 30.

Komedia sławnych. — Sławni mężowie, którym sława jest niezbytna, jak na przykład wszyscy politycy, nie wybierają nigdy swych stronników i przyjaciół bez myśli ubocznej: ten jest im potrzebny z po-

wodu blasku i promieniowania swojej cnoty; od owego chcieliby wziąć coś, z powszechnie przyznawanych mu, pewnych własności, wzbudzających grozę; innemu kradną sławę jego beczynności, jego wylegiwania się na słońcu, ponieważ sprzyja ich własnym celom, uchodzić na razie za niebacznym i leniwym: — osłania to ich, gdy na kogoś czyhają. To fantasty, to znów znawcy, to dłubacza, to pedanta potrzebują mieć przy sobie jako swego *alter ego*, lecz tak samo prędko staje się on dla nich zbyteczny. W ten sposób obumierają ustawicznie ich otoczenia i kadry zewnętrzne, chociaż wszystko zdaje się tłoczyć do ich otoczenia i chce stanowić ich »charakter«: podobni są z tego do wielkich miast. Sława ich przeistacza się ustawicznie, jak ich charakter, ponieważ ich zmieniające się środki tej zmiany wymagają i wysuwają na czoło to tę, to ową rzeczywistą lub zmyśloną zaletę i wypychają na scenę: przyjaciele ich i stronnicy należą, jak się rzekło, do tych zalet scenicznych. Natomiast to, czego chcą, musi pozostać i trwać tem silniej, tem spiżowiej i daleko świetniej, — a i to wymaga czasami stosownej komedyi i stosownej gry scenicznej.

## 31.

Handel i szlachectwo. — Kupno i sprzedaż uchodzi teraz za rzecz tak pospolitą jak sztuka czytania i pisania; każdy jest w tem teraz wyćwiczony, nawet jeśli nie jest kupcem, i ćwiczy się jeszcze codzień w tej technice: zupełnie tak jak niegdyś

w dzikszym okresie ludzkości, każdy był myśliwym i ćwiczył się codziennie w technice łowów. Wtedy były łowy rzeczą pospolitą. Lecz jak one wreszcie stały się przywilejem możnych i dostojnych i przez to straciły cechę codzienności i pospolitości — bo przestały być rzeczą konieczną i stały się przedmiotem zachcianki i zbytku —: takby mogło się stać kiedyś z kupnem i sprzedażą. Można wyobrazić sobie stany społeczności, która nie zna kupna, ani sprzedaży, i w której konieczność tej techniki coraz bardziej zanika. Być może, że wówczas poszczególne jednostki, które mniej podległe są prawu powszechnego stanu rzeczy, pozwalają sobie będą na kupno i sprzedaż, jako na zbytek odczuwania. Wówczas dopiero nabrałby handel dostojności, a szlachta zajmowałaby się wtedy może równie chętnie handlem, jak dotychczas wojną i polityką: gdy tymczasem przeciwnie szacunek dla polityki zmieniłby się może wówczas zupełnie. Już teraz przestaje być ona rzemiosłem szlacheckiem: i możliwa, iżby uznano ją pewnego dnia za tak pospolitą, żeby ją zaliczono, podobnie jak wszelką literaturę partyjną i codzienną, do rubryki »prostytucji duchowej«.

## 32.

Niepożądani uczniowie. — Cóż mam z tymi dwoma począć młodzieńcami! — zawołał niechętnie pewien filozof, który »psuł« młodzież, jak ją niegdyś psuł Sokrates — nie mili są mi ci uczniowie. Ten nie może na nic powiedzieć »Nie«, a tamten mówi

na wszystko : »Przez pół«. Jeżeli przypuścimy, żeby pojęli moją naukę, to pierwszy cierpiałby za wiele, bo mój sposób myślenia wymaga duszy wojowniczej, chęci sprawiania bólu, rozkoszy z zaprzeczania, twardej skóry, — schlerlałby z ran otwartych i wewnętrznych. A drugi każdą rzecz, której jest rzecznikiem, przykroi sobie pośrednią miarą i uczyni z niej w ten sposób średnią mierność — takiego ucznia życzę wrogowi swemu!

---

## 33.

Poza obrębem wykładowej sali. — »Aby Wam dowieść, że człowiek w gruncie do dobrotliwych należy zwierząt, pragnąłbym Wam przypomnieć, jak długi czas był łatwowiernym. Teraz dopiero, wcale późno i po niezmiernych przewyżczeniach siebie, stał się zwierzęciem nieufnem — tak! człowiek jest teraz gorszy niż kiedykolwiek«. — Nie rozumiem tego: dlaczego człowiek miałby być teraz nieufniejszy i gorszy? — »Bo ma teraz wiedzę — i potrzebuje jej!«

---

## 34.

*Historia abscondita.* — Każdy wielki człowiek posiada wstecz oddziaływającą moc: cała historia staje znowu gwoli niemu na wadze, a tysiąc tajemnic przeszłości wypelza z swych kryjówek — na jego słońce.

Nie można przewidzieć, co też jeszcze stanie się historią. Przeszłość może ciągle pozostaje jeszcze dotąd w istocie swej nieodkryta! Trzeba bo jeszcze tyle sił wstecz działających!

---

## 35.

Kacerstwo i czarownictwo. — Myśleć inaczej, niż każe zwyczaj, jest o wiele mniej skutkiem lepszego intelektu, niż skutkiem silnych złych skłonności, wyzwalających, izolujących, krnąbrnych, radośnie szkodniczych, skrycie złośliwych skłonności. Kacerstwo jest jedną stroną czarownictwa i niewątpliwie równie mało, jak ono, czemś niewinnem a nawet w sobie czcigodnem. Kacerze i czarownice to dwa rodzaje złych ludzi: wspólne jest im to, że się też złymi czują, lecz mimo to niepokonaną znajdują rozkosz w szkodzeniu temu, co panuje (ludziom lub mniemaniom). Reformacja, pewien rodzaj zdwojenia średniowiecznego ducha w czasie, gdy ten nie posiadał już w sobie czystego sumienia, wydała oboje w największej pełni.

---

## 36.

Ostatnie słowa. — Przypomnijmy sobie, że cesarz August, ów straszliwy człowiek, który tak samo panował nad sobą i tak samo milczeć umiał, jak drugi Sokrates, zdradził się niedyskretnie ostatniemi sło-

wami: poraz pierwszy pozwolił opaść swej masce, dając do zrozumienia, że nosił maskę i grał komedię, odgrywał ojca ojczyzny i mądrość na tronie, aż do złudzenia! *Plaudite amici, comoedia finita est!* — Myśl umierającego Nerona: *qualis artifex pereo!* była też myślą umierającego Augusta: próżność histryonów! gadulstwo histryonów! I właśnie przeciwieństwo umierającego Sokratesa! — Lecz Tyberyusz zmarł milcząc, ten najbardziej udręczony z wszystkich samodręczycieli, — ten był rzetelny i wcale nie aktor! Co mu też w ostatniej chwili musiało przechodzić przez głowę! Może to: »Życie jest długim zgonem! Ja głupiec, tylu ludziom życie skróciłem! Czyż ja byłem stworzony na dobroczyńcę? Winienem był dać im życie wieczne: wtedybym mógł ich być widzieć w wiecznym konaniu. Ku temu miałem przecie tak dobre oczy: *qualis spectator pereo!*« Kiedy po długiej walce z śmiercią zdawał się znowu do sił wracać, uważano za stosowne udusić go poduszkami, — umarł podwójną śmiercią.

Dzięki trzem błędom. — W ostatnich wiekach posuwano naprzód naukę, w części dlatego, że spodziewano się w niej i przez nią zrozumieć najlepiej dobroć i mądrość Boga — główny motyw w duszy wielkich Anglików (na przykład Newton) — ; w części dlatego, że wierzono w bezwzględną pożyteczność poznania, mianowicie w najściślejszy związek moralności, wiedzy i szczęścia — główny motyw w duszy

wielkich Francuzów (na przykład Voltaire) — ; w części dlatego, że w mniemaniu swem posiadano i kochano w nauce coś bezosobistego, coś błogiego, wystarczającego samemu sobie, coś prawdziwie niewinnego, w czym złe popędy człowieka wogóle nie uczestniczą, — główny motyw w duszy Spinozy, który jako poznający, czuł się boskim: — więc dzięki trzem błędom!

---

## 38.

Wybuchowi. — Jeśli się zważy, jak spragnioną wybuchu jest siła młodych mężczyzn, to nie zdziwi nas, że tak niewymyślnie i tak niewybrednie decydują się na tę lub ową rzecz: co ich nęci, to widok zapału dla jakiejś rzeczy i niby widok zapalonego lontu — nie rzecz sama. Przemyślniejsi uwoździelcy znają się przeto na tem i ukazują im w perspektywie wybuch, pomijają uzasadnienie swej sprawy. Uzasadnieniami nie pozyskuje się tych beczek prochu!

---

## 39.

Zmieniony smak. — Zmiana powszechnego smaku ważniejszą jest niż zmiana mniemań. Mniemania z wszystkimi dowodami, zarzutami i całą intelektualną maskaradą są tylko symptomatami zmienionego smaku i najpewniej właśnie nie tem, za co się

je tak często jeszcze uważa, to jest jego przyczynami. Jak zmienia się smak powszechny? Tak, że jednostki możne i wpływowe bez względu wypowiadają i po tyrańsku przeprowadzają swoje *hoc est ridiculum, hoc est absurdum*, więc sąd swego smaku i wstrętu. Narzucają przez to wielu ludziom przymus, który powoli staje się przyzwyczajeniem jeszcze większej liczby ludzi, a wreszcie potrzebą wszystkich. Że jednak te jednostki inaczej odczuwają i »smakują«, zależy to zazwyczaj od pewnej osobliwości ich sposobu życia, pożywienia, trawienia, może w pewnem *plus* lub *minus* soli nieorganicznych w ich krwi i mózgu, słowem w *physis*. Mają jednak odwagę przyznawać się do swej *physis* i udzielać posłuchu jej wymogom nawet w ich najdelikatniejszych tonach. Ich estetyczne i moralne oceny są takimi najdelikatniejszymi tonami *physis*.

## 40.

O braku dostojnej formy. — Stosunek między żołnierzami i dowódcami nosi zawsze jeszcze cechy wyższe, niż stosunek robotników i pracodawców. Tymczasem przynajmniej wszelka na wojskowych podstawach zbudowana kultura stoi jeszcze wysoko ponad wszelką tak zwaną kulturą przemysłową. Ta ostatnia w swym terażniejszym kształcie jest wogóle najbardziej prostacką formą istnienia, jaka dotąd istniała. Działa tu poprostu prawo nędzy: jeżeli chce się żyć, to trzeba się sprzedawać, lecz gardzi się tym, który tę potrzebę wyzyskuje i kupuje sobie robot-

nika. Jest rzeczą ciekawą, że poddanie się możliwym lękom wzbudzającym, nawet strasznym osobom, tyranom i wodzom odczuwa się daleko mniej boleśnie, niż to poddanie nieznanym i niezajmującym osobom, jakimi są wszystkie wielkości przemysłowe. Robotnik widzi zwykle w pracodawcy tylko chytrego, wysysającego, spekulującego na wszelkiej nędzy psa, którego imię, postać, obyczaj, opinia są mu zupełnie obojętne. Fabrykantom i wielkim przedsiębiorcom handlowym brakło dotąd prawdopodobnie nazbyt wszelkich owych form i odznak wyższej rasy, które dopiero czynią osoby zajmującymi; gdyby posiadali dostojność rodowej szlachty w spojrzeniu i ruchu, toby może nie istniał wcale socyzalizm masowy. Masy bowiem są w gruncie rzeczy zdecydowane na niewolnictwo wszelkiego rodzaju, pod warunkiem, aby ten wyższy nad nimi ustawicznie wykazywał swe prawo jako wyższy, jako urodzony do rozkazywania — przez dostojną formę! Najpospolitszy człowiek czuje, że dostojność nie da się zaimprovizować i że winien w niej czcić owoc długich okresów, — lecz brak wyższych form i osławiona wulgarność fabrykancka z czerwonymi spaszłemi łapami naprowadzają go na myśl, że tylko przypadek i szczęście wyniosły jednego ponad drugiego: nuże więc, tak wnioskuje w sobie, spróbujmy my też raz przypadku i szczęścia! Rzućmy my też raz kości! — i rodzi się socyzalizm.

## 41.

Przeciwno żalowi. — Myśliciel widzi w swych własnych czynnościach doświadczenia i py-

tania, celem otrzymania wyjaśnienia jakiejś rzeczy. Powodzenie i niepowodzenie są dla niego przedewszystkiem odpowiedziami. Lecz gniew za to, że coś się nie udało lub nawet uczucie żalu — to pozostawia tym, którzy działają, ponieważ im rozkazano, i którzy muszą oczekiwać batów, jeśli wielmożny pan nie będzie zadowolony z wyniku.

---

## 42.

Praca i nuda. — Szukać sobie pracy dla zapłaty — w tem równi są sobie teraz prawie wszyscy ludzie w krajach cywilizowanych. Dla nich wszystkich praca jest środkiem a nie sama celem. Z tego powodu są w wyborze pracy mało wybredni, pod warunkiem, że przyniesie ona obfity zysk. Lecz istnieją też rzadsi ludzie, którzy raczej zginąć wolą, niż wykonywać jakąś pracę bez przyjemności: owi wybredni, trudni do zadowolenia, którym na nic się nie przyda hojny zysk, jeśli sama praca nie jest zyskiem nad zyskami. Do tego rzadkiego rodzaju ludzi należą artyści i ludzie kontemplacyjni wszelkiego rodzaju, lecz już i próżniacy, którzy życie swe spędzają na polowaniach, podróżach lub na miłośkach i przygodach. Wszyscy oni chcą pracy i trudu, o ile te są źródłem przyjemności, i to najcieńszej a najtwardszej pracy, jeśli tak być musi. Pozatem jednak odznaczają się zdecydowanym lenistwem, choćby nawet zubożenie, niesława, niebezpieczeństwo zdrowia i życia z lenistwem tem były związane. Nie tak boją się nudów jak pracy bez przyjemności: nawet potrze-

buja wiele nudów, by im i c h praca udać się mogła. Dla myśliciela i dla wszystkich duchów wynalazczych jest nuda ową niemiłą »ciszą morską« duszy, poprzedzającą żeglugę szczęśliwą i wiatr pomyślny, musi ją znieść, musi przeczekać w sobie jej działanie: oto właśnie, czego wcale osiągnąć w sobie nie mogą drobniejsze natury. Płoszyć nudę od siebie na każdy sposób jest rzeczą pospolitą, jak pospolitą jest praca bez przyjemności. Odróżnia to może Azyatów od Europejczyków, że pierwsi są zdolniejsi do dłuższego głębszego spoczynku; nawet ich narkotyki działają powolnie i wymagają cierpliwości w przeciwieństwie do wstrętnej nagłości europejskiej trucizny, alkoholu.

## 43.

Co wyrażają prawa. — Mylimy się, jeśli badamy prawa karne jakiegoś narodu, jak gdyby były wyrazem jego charakteru. Prawa wyrażają nie to, czem jest jakiś naród, lecz to, co mu się zdaje obcem, dziwnem, potwornem, cudzoziemskim. Prawa odnoszą się do wyjątków obyczajności obyczaju; a najostrzejsze kary spotykają to, co zgodne jest z obyczajem narodu sąsiedniego. Na przykład istnieją u Wahabitów tylko dwa grzechy śmiertelne: mieć innego boga, niż bóg Wahabitów, i palić tytoń (nazywają to »haniebnym sposobem picia«). »A jakże ma się rzecz z zabójstwem i cudzołóstwem?« — zapytał zdumiony Anglik, który się o tem dowiedział. »Bóg jest łaskawy i miłosierny!« — odpowiedział naczelnik szczepu. — Istniało więc u dawnych Rzymian

wyobrażenie, że kobieta może tylko w dwojaki sposób śmiertelnego dopuścić się grzechu: po pierwsze cudzołóstwem, następnie — piciem wina. Stary Kato mniemał, że całowanie wśród krewnych wprowadzono tylko na to w zwyczaj, by mieć na tym punkcie nad kobietami kontrolę; pocałunek znaczył: czy nie czuć od niej wina? Rzeczywiście kobiety, które pochwycono na picie wina, karano śmiercią; i z pewnością nie tylko dlatego, że kobiety czasem pod działaniem wina zapominają, że można czegoś odmówić; Rzymianie bali się przedewszystkiem pierwiastku orgiastycznego i dyonizyjskiego, który wówczas, gdy wino jeszcze nowością było w Europie, nawiedzał kiedy niekiedy kobiety z europejskiego Południa; bali się go, jako potwornej cudzoziemszczyzny, obalającej podwalinę rzymskiego odczuwania; było to dla nich jakby zdradą Rzymu, jakby przyswajaniem swemu ciała obczyzny.

## 44.

Wiara w motywy. — Jakkolwiekby ważnem być mogło znać motywy, wedle których rzeczywiście ludzkość dotąd działała, to może jeszcze bardziej zasadniczą rzeczą jest dla badacza wiara w te lub owe motywy, więc to, co ludzkość dotąd podsuwała samej sobie i wyobrażała sobie jako właściwe swego działania sprężyny. Wewnętrzne bowiem szczęście i niedola ludzi stawały się ich udziałem stosownie do ich wiary w te lub owe motywy — a nie przez to, co naprawdę motywem było! To ostatnie posiada interes niższego rodzaju.

## 45.

Epikur. — Tak, dumny jestem z tego, że odczuwam może charakter Epikura inaczej, niż ktokolwiek inny, i we wszystkim, co o nim słyszę i czytam, rozkoszuję się szczęściem popołudnia starożytności: — widzę oko jego, spoglądające na dalekie bielejące morze, ponad skały brzeżne, na których leży słońce, gdy tymczasem wielki i drobny zwierz w świetle igra bezpieczny i spokojny, jak to światło i owo oko samo. Takie szczęście wynaleźć mógł jeno ktoś ustawicznie cierpiący, szczęście oka, przed którym uciszyło się morze istnienia i które teraz nie może napatrzeć się do syta jego powierzchni i tej pstrej, czulej, dreszczem wstrząsanej skóry morza: nigdy przedtem nie było takiej skromności rozkoszy.

## 46.

Nasze zdumienie. — Głębokie i istotne szczęście leży w tem, że wiedza wykrywa rzeczy, które są trwałe i ciągle za podwalinę do nowych służą odkryć: — mogłoby przecie być inaczej! Jesteśmy tak bardzo przekonani o całej niepewności i uludności naszych sądów i o wiecznej przemianie wszelkich ludzkich praw i pojęć, że wprawia nas to właściwie w zdumienie, jak bardzo wyniki wiedzy są trwałe! Dawniej nie wiedziano nic o tej zmienności wszelkich rzeczy ludzkich, obyczaj obyczajności podtrzymywał wiarę, że całe wewnętrzne życie człowieka przytwierdzone jest wiecznemi sprzęg-

łami do spiżowej konieczności: — może odczuwano wówczas podobną rozkosz zdumienia, gdy słuchano bajek i czarodziejskich opowieści. Cudowność sprawiała przyjemność tym ludziom, którzy mogli byli nieraz się znużyć prawidłem i wiecznością. Raz stracić podstawę! Bujać! Błądzić! Szaleć! — to zaliczano do rajy i hulanki dawnych czasów: gdy tymczasem nasza szczęśliwość podobna jest do szczęśliwości rozbitka, który dopadłszy lądu staje obu nogami na starej pewnej ziemi — zdumiony, że się ona nie chwieje.

## 47.

O tłumieniu namiętności. — Jeśli się wciąż zabrania sobie wyrazu namiętności, jako czegoś co grubszym mieszczkańskim chamskim pozostać należy naturom, — jeśli się więc chce stłumić nie namiętności same, lecz tylko ich wymowę i gesty, to osiąga się z a r a z e m i to, czego się nie chce: stłumienie namiętności samych, a przynajmniej ich osłabienie i przemianę — jak tego najbardziej pouczający przykład dał dwór Ludwika Czternastego i wszystko, co od niego było zależne. Wiek następny, wychowany w tłumieniu wyrazu, nie posiadał już namiętności samych a zamiast nich wdzięczne, płytkie, igrające obycie, — wiek, obarczony niezdolnością do niegrzeczności tak, że nawet obrazę przyjmowano i oddawano w obowiązujących do wdzięczności słowach. Może terażniejszość nasza przedstawia najprze-  
dziwniejsze tego przeciwieństwo: widzę wszędzie,

w życiu i w teatrze a nie w najmniejszym stopniu we wszystkim, co się pisze, lubowanie się we wszelkich grubych wybuchach i wyrazach namiętności: wymaga się teraz pewnej umówionej namiętności — tylko nie samej namiętności! Mimo to osiągnie się ją przez to wkońcu, a potomkowie nasi posiadać będą szczerą dzikość a nie tylko dzikość i nieokrzesanie form.

## 48.

Znajomość niedoli. — Nic może tak bardzo nie oddziela od siebie ludzi i czasów, jak różny stopień znajomości niedoli, który posiadamy: niedoli duszy, jak ciała. Co do tej ostatniej, to mimo nasze kalectwa i ułomności my obecni jesteśmy może wszyscy społem, z powodu braku bogatego doświadczenia na sobie, partaczami i fantastami zarazem: w porównaniu z okresem lęku — najdłuższym z wszystkich okresów —, w którym jednostka musiała się sama bronić przed przemocą i gwoli temu celowi być sama gwałtownikiem. Wówczas przechodził człowiek bogatą szkołę cielesnych katuszy i niedostatków i pojmował nawet w pewnym okrucieństwie względem siebie, w dobrowolnem ćwiczeniu się w bólu, konieczny dla siebie środek do utrzymania się przy życiu. Wychoywano wówczas swe otoczenie do znoszenia bólu, zadawano wówczas chętnie ból i patrzano na najstraszniejsze sprawianie go innym, nie z innym uczuciem jak uczucie własnego bezpieczeństwa. Co się jednak tyczy niedoli duszy, to przyglądam się teraz każdemu człowiekowi, by zbadać czy zna ją z do-

świadczenia, czy z opisu; czy uważa jeszcze za potrzebne tę znajomość udawać niejako, niby lepszego wykształcenia oznakę, czy też wogóle nie wierzy na dnie swej duszy w większe cierpienia duchowe i czy przy ich wymienieniu nie dzieje się z nim podobnie, jak przy wymienieniu wielkich cierpień cielesnych, przyczem przychodzą mu na myśl jego bole zębów i żołądka. Tak jednak, zda mi się, ma się rzecz teraz z przeważną liczbą ludzi. Z ogólnej niewprawności w cierpieniu obojga kształtu i z pewnej rzadkości widoku człowieka cierpiącego ważne wynika następstwo: nienawidzi się teraz bolu daleko bardziej, niż to dawniejsi czynili ludzie, a obmawia się go daleko gorzej, niż niegdyś, co więcej, uważa się już istnienie bólu, ja ko myśli, za ledwo znośne i czyni się z tego całemu istnieniu sprawę sumienia i wyrzut. Wynurzenie się pesymistycznych filozofii nie jest wcale znakiem wielkich straszliwych niedoli; lecz te znaki pytania, stawiane wartości wszelkiego życia, powstają w czasach, kiedy wydelikacenie i lżejszość istnienia odczuwa już nieuniknione komarze ukłucia duszy i ciała, jako zbyt krwawe i złośliwe, w braku zaś prawdziwych doświadczeń bólu chciałoby się najchętniej już dręczące ogólne wyobrażenia podawać za cierpienie najwyższego rodzaju. — Znalazłaby się już recepta na pesymistyczne filozofie i nadmierną wrażliwość, która wydaje mi się właściwą »niedolą terażniejszości« —: lecz może już ta recepta brzmi zbyt okrutnie i samaby zaliczoną została do oznak, na których podstawie wyrokuje się teraz: »Istnienie jest czemś złem«. Więc! Recepta na »tę niedolę« brzmi: niedola.

---

Wspaniałomyślność i rzeczy pokrewne. — Owe paradoksalne zjawiska, jak nagły chłód w zachowaniu się człowieka uczuciowego, jak humor melancholika, a przede wszystkim wspaniałomyślność, jako nagłe zrzeczenie się zemsty lub zadowolenia zawiści — występują u ludzi, posiadających potężną wewnętrzną siłę rzutu, u ludzi, doświadczających nagłego przesytu i nagłego wstrętu. Zadowolenia ich są tak szybkie i tak silne, że w ślad za nimi następuje natychmiast sprzykrzenie, niechęć i ucieczka do smaku przeciwnego; w sprzeczności tej uspokajają się spazm odczuwania, u jednego w nagłym chłodzie, u innego w śmiechu, u innego znowu w łzach i poświęceniu. Wspaniałomyślny — przynajmniej ów rodzaj wspaniałomyślnych, który zawsze największe czynił wrażenie — wydaje mi się człowiekiem o najgwałtowniejszem pragnieniu zemsty, któremu jakieś zadowolenie ukazuje się z bliskości i który je tak hojnie, do dna i do ostatniej kropli już w wyobraźni wypija, że olbrzymi szybki wstręt następuje po tem szybkim przebraniu miary. Człowiek ten wznosi się teraz »ponad siebie«, jak mówią, i przebacza swemu wrogowi, nawet błogosławi go i czci. Przez to pogwałcenie samego siebie, przez to wyszydzenie swego, dopiero co tak potężnego, popędu zemsty, ulega jednak tylko nowemu popędowi, który właśnie teraz w nim stał się potężnym (wstrętowi), i czyni to tak samo niecierpliwie i nieumiarkowanie jak krótko przedtem z góry po wzięł wyobraźnią uciechę zemsty i niejako ją wyczerpał. W wspaniałomyślności tkwi ten

sam stopień egoizmu, co w zemście, lecz egoizmu innego rodzaju.

---

## 50.

Lęk osamotnienia. — Wyrzut sumienia jest i u najsumienniejszych słaby wobec uczucia: »to i owo sprzeciwia się dobrym obyczajom twojej społeczności«. Zimnego wzroku, ściągniętych ust ze strony tych, wśród których i dla których zostało się wychowanym, boi się nawet najsilniejszy. Czego się właściwie boi? Osamotnienia! Argument, który pobija nawet najlepsze argumenty za jakąś osobą lub rzeczą! — Tak przemawia z nas instynkt stadny.

---

## 51.

Zmysł prawdy. — Chwałę wszelkiego rodzaju sceptycyzm, na który wolno mi odpowiedzieć: »spróbujmy!« Lecz nie chcę znać żadnych spraw i zagadnień, które nie dopuszczają eksperymentu. Oto granica mego »zmysłu prawdy«: bo tam dzielność straciła swe prawo.

---

## 52.

Co inni wiedzą o nas. — To, co wiemy o sobie samych i o czem pamiętamy, nie jest tak

rozstrzygającym dla naszego szczęścia, jak się mniema. Naraz spada na nas to, co inni o nas wiedzą (lub mniemają, że wiedzą) — i oto poznajemy, że to jest potężniejsze. Człowiek prędzej załatwi się z swoim nieczystym sumieniem, niż z swoją złą sławą.

---

## 53.

Gdzie zaczyna się dobro. — Gdzie słaby wzrok nie zdoła dojrzeć złego popędu z powodu jego wysubtelnienia, tam człowiek umieszcza królestwo dobra a poczucie, że teraz wstąpił w królestwo dobra, pobudza do współdziałania wszystkie popędy, którym zły popęd zagrażał i które ograniczał, mianowicie uczucie bezpieczeństwa, błogości, dobrotliwości. Więc: im tępsze oko, tem dalej sięga dobro! Stąd wieczna pogoda ludu i dzieci! Stąd posępność i nieczystemu sumieniu pokrewna zgryzota wielkich myślicieli!

---

## 54.

Świadomość złydy. — W jak cudownym i nowym a zarazem straszliwym i ironicznym czuję się stosunku do całego istnienia z swoim poznaniem! Odkryłem, że we mnie stara ludzkość i zwierzęcość, że cały czas zamierzchły i przeszłości wszelkiego czującego bytu we mnie w dalszym ciągu roi, kocha, nienawidzi i rozumuje. Zbudziłem się nagle wśród tego snu, lecz tylko dla świadomości, że właśnie

śnie i dalej śnić muszę, aby nie zginąć: jak lunt dalek dalej śnić musi, by nie runąć. Cóż jest mi teraz »złudą«? Zaprawdę, nie przeciwieństwo jakiejś istoty — coś wypowiedzieć mogę innego o jakiejś istocie, jak właśnie tylko orzeczenia jej złudy, pozoru! Zaprawdę nie jakaś martwa maska, którą na jakieś nieznanne X włożyć i równie dobrze zdjąć można! Złudą jest dla mnie samo to, co działa i żyje, co w swem wyszydzeniu siebie tak się posuwa daleko, iż każe mi czuć, że tu nic więcej niema prócz złudy i błędnych ogni i tańca duchów, — że wśród wszystkich tych śpiących i ja, »poznający« taniec swój tańczę, że poznający jest środkiem do tego, by taniec ziemski wzdłuż rozwinąć i o tyle należy do aranżerów uroczyściwości istnienia i że wzniosła konsekwencya i związek wszelkiego poznania jest i będzie najwyższym środkiem do podtrzymania powszechności snu i wzajemnego porozumienia tych wszystkich śniących między sobą i właśnie przez to do podtrzymania trwałości snu.

Ostateczna szlachetność. — Cóż czyni »szlachetnym«? Z pewnością nie to, że się ponosi ofiary; i szalony rozpustnik ponosi ofiary. Z pewnością nie to, że się wogóle postępuje za głosem namiętności: są i pogardy godne namiętności. Zapewne nie to, że się dla innych coś czyni bez samolubstwa: może konsekwencya samolubstwa jest właśnie największą w najszlachetniejszym. — Lecz to, że na-

miętność, która opada szlachetnego, jest osobliwością, choć on o tej osobliwości nie wie; używanie rzadkiego i osobniczego miernika i prawie waryactwo; gorące odczuwanie rzeczy, które innych nie wzruszają; zgadywanie wartości, dla których nie wynaleziono jeszcze wagi; składanie ofiar na ołtarzach, poświęconych nieznanemu bogu; waleczność bez żądzzy zaszczytu; poprzestawanie na sobie, które zbytku swego udziela ludziom i rzeczom. Dotąd więc była rzadkość i nieświadomość swej rzadkości tem, co czyniło szlachetnym. Należy jednak przytem rozważyć, że z powodu tego miernika wszystko nawykłe, najbliższe, najniezbędniejsze, słowem to, co najbardziej rodzaj podtrzymuje i wogóle prawo wśród dotychczasowej ludzkości, było oceniane niesłusznie i na ogół oczerniane, z korzyścią wyjątków. Stać się rzecznikiem prawidła — toby mogła być może ostateczna forma i subtelność, w którejby szlachetność objawiła się na ziemi.

---

## 56.

Żądza cierpienia. — Jeśli myślę o żądzy czynienia czegoś, która ustawicznie łaskocze i bodzie miliony młodych Europejczyków, nie mogących znieść całej tej nudy i samych siebie, — to pojmuję, że musi w nich istnieć jakaś żądza cierpienia, by w cierpieniu swem znaleźć mogli jakiś możliwy powód do działania, do czynu. Potrzeba niedoli! Stąd krzyk polityków, stąd te liczne fałszywe zmyślane przesadne »niedole« wszelkich możliwych klas i ślepa gotowość

do wiary w nie. Ten młody świat żąda, by z zewnątrz przyszło lub zjawiło się — nie jakieś szczęście — lecz nieszczęście; a wyobraźnia jego już z góry pracuje nad ukształtowaniem potwora, by potem z potworem walczyć mogła. Gdyby ci żądni niedoli czuli w sobie moc wyświadczenia dobrodziejstwa samym sobie od wewnątrz, dogodzenia samym sobie, toby umieli też stworzyć sobie od wewnątrz własną, najbardziej własną niedolę. Ich wynalazki mogłyby wówczas być subtelniejsze a ich zadowolenia dźwięczeć jak dobra muzyka : gdy tymczasem wypełniają świat swym krzykiem niedoli a zbyt często potem dopiero uczuciem niedoli ! Nie wiedzą, co z sobą począć — i malują na ścianie nieszczęście innych : potrzebują zawsze innych ! I ciągle innych Innych ! — Wybaczcie, przyjaciele moi, ja pozwoliłem sobie wymalować swoje szczęście na ścianie.

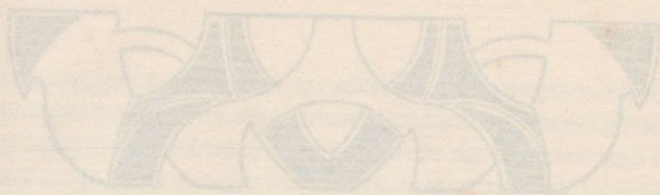
---



---



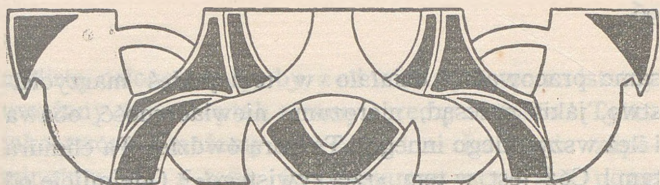
---



## KSIĘGA DRUGA.

— Dla realistów — Wy ludzie sztuki, którym się zdaje, że jesteście uzbrojeni przeciw namiętności i marzyńskości, jako dumę i ordobę, nazywacie się realistami i dajecie do zrozumienia, że świat jest takim, jakim wam się wydaje, że jedynie przed wami rzeczywistość bez zasłony stoi i że wy sami jesteście moce napierają jej częścią, — o wy, miłe posłgi świata! Lecz nie jesteście! i wy w waszym najbardziej idealnym stanie w najwyższym jeszcze stopniu namiętności i ciemności ludzkiej, w porównaniu z rybami, i zawsze jeszcze bardziej podobni do zakochanego artysty? — a czemuż jest dla zakochanego artysty szczerywość? Zawsze jeszcze obnosicie z sobą oceny rzeczy, które źródło swe mają w namiętnościach i wrochanach dawniejszych stuleci! Zawsze jeszcze jest wrażliwość wasza przedświadczeniem i niesmaczonym upojeniem? Wasza miłość «rzeczywistości» mi przytkną — ach, to stara, prosta «miłość». W każdym odczuciu, w każdym wyrazie zmysłów tkwi część tej starej miłości — i us

do wiary w nie. Ten młody świat żąda, by z zewnątrz przyszło lub zjawilo się — nie jakieś szczęście — lecz nieszczęście, a wyobraźnia jego już z góry pracuje, nad ukształtowaniem potwora, by potem z potworem walczyć mogła. Gdyby ci żądni niedoli czuli w sobie moc wyświadczenia dobrodziejstwa samym sobie od wewnątrz, dogodzono samym sobie, toby umieli też stworzyć sobie od wewnątrz własną, najbardziej własną niedolę. Ich wynalazki mogłyby wówczas być subtelniejsze z ich zadowolenia dźwięczą jak dobra muzyka: gdy tymczasem wypokidają świat swym krzykiem niedoli i żyć często posiem dopiero wczuciem niedoli! Nie wiedzą, co z sobą począć — i malują na ścianie nieszczęście łanych: potrzebują zawyżyć siebie i swoich braci innych! — Wybaczenie, przyjacielu, że ja powiadom sobie wymalowałam swoje szczęście na ścianie.



Do realistów. — Wy ludzie trzeźwi, którym się zdaje, że jesteście uzbrojeni przeciw namiętności i marzycielstwu i chętnie chcielibyście pustkę swą obnosić, jako dumę i ozdobę, nazywacie się realistami i dajecie do zrozumienia, że świat jest takim, jakim wam się wydaje; że jedynie przed wami rzeczywistość bez zasłony stoi i że wy sami jesteście może najlepszą jej częścią, — o wy miłe posągi z Sais! Lecz nie jesteście i wy w waszym najbardziej odsłonionym stanie w najwyższym jeszcze stopniu namiętnymi i ciemnymi istotami, w porównaniu z rybami, i zawsze jeszcze nazbyt podobni do zakochanego artysty? — a czemuż jest dla zakochanego artysty »rzeczywistość!« Zawsze jeszcze obnosicie z sobą oceny rzeczy, które źródło swe mają w namiętnościach i ukochaniach dawniejszych stuleci! Zawsze jeszcze jest trzeźwość wasza przesiąknięta tajemnym i niezniszczalnym upojeniem! Wasza miłość »rzeczywistości« na przykład — ach, to stara, prastara »miłość!« W każdym odczuciu, w każdym wyrazie zmysłów tkwi część tej starej miłości: i tak

samo pracowało i działało w tem jakieś marzycielstwo, jakiś przesąd, nierozum, niewiadomość, obawa i ileż wszystkiego innego! Ta góra ówdzie! Ta chmura tam! Cóż jest w tem »rzeczywistego«? Odejmijcie od tego urojenie i cały ludzki przydatek, wy trzeźwi! Tak, gdybyście to mogli! Gdybyście mogli zapomnieć o swem pochodzeniu, o swojej przeszłości, o swojej przygotowawczej nauce — o całej swej człowieczości i zwierzęcości! Niema dla nas żadnej »rzeczywistości« — ani też dla was, wy trzeźwi, — jesteśmy sobie daleko mniej obcy, niż mniemacie, a może nasza dobra wola otrząśnięcia się z upojenia jest tak samo godną szacunku, jak wasza wiara, że jesteście wogóle do upojenia niezdolni.

---

58.

Tylko jako twórcy! — Sprawiało mi trud największy i ciągle jeszcze największy trud mi sprawia wyrozumieć, że niewymownie więcej zależy na tem, jak się rzeczy nazywają, niż czem są. Opinia, miano, pozór, uchodzenie za coś, obiegowa miara i waga pewnej rzeczy — będąca w początku najczęściej błędem i dowolnością, narzuconą na rzecz, jak suknia zupełnie obca jej istocie a nawet skórze — stopniowo, przez wiarę w to i dalszy jej z pokolenia w pokolenie wzrost, przyrasta do rzeczy i wrasta w nią i staje się samem jej ciałem; początkowy pozór staje się wkońcu prawie zawsze istotą i działa jako istota! Jakim musiałby być szaleńcem, ktoby mniemał, że wystarczy wskazać owo źródło i ową

mglistą osłonę ułudy, by z niweczyć ten za istotny uważany świat, tę tak zwaną »rzeczywistość«! Tylko jako twórcy możemy niweczyć! — Lecz, nie zapominajmy też i tego, że wystarczy stworzyć nowe miana i oceny i prawdopodobieństwa, by na długi ciąg trwania nowe stworzyć »rzeczy«.

## 59.

My artyści! — Jeżeli kochamy jaką kobietę, to łatwo powziąć nam nienawiść do natury, na myśl o wszystkich tych obrzydliwych naturalnościach, na które narażoną jest każda kobieta; chętnie pomijamy to wogóle myślą, lecz gdy raz dusza nasza otrze się o te rzeczy, to drży niecierpliwie i spogląda, jak się rzekło, na naturę z pogardą. Czujemy się obrażeni, zdaje się nam, że natura sięga w nasze posiadanie najmniej poświęcanemi rękoma. Wówczas zatyka się uszy na wszelką fizyologię i wyrokuje się w sobie zwyczajnie: »nie chcę nic słyszeć o tem, że człowiek jest czemś innem jeszcze, niż duszą i kształtem!« »Człowiek pod skórą« jest dla wszystkich kochających odrazą i myślą potworną, obrazą boga i miłości. — Otóż, to co teraz jeszcze odczuwa kochający w stosunku do natury i naturalności, to odczuwał niegdyś czciciel boga i jego »świętej wszechmocy«: we wszystkim, co wyrzekli o naturze astronomowie, geologowie, fizyologowie, lekarze, widział wtargnięcie w swe najcenniejsze posiadanie a następnie napaść — a nad to bezwstyd napastnika! »Prawo natury« brzmiało mu już jako spotwarzanie

boga. W gruncie rzeczy byłby chętnie widział wszelką mechanikę sprowadzoną napowrót do moralnych aktów woli i samowoli: lecz, ponieważ nikt mu wyświadczyć tej nie mógł przysługi, więc zatajał przed sobą wszelką naturę i mechanikę, jak tylko umiał, i żył we śnie. O, ci ludzie dawniejsi znali się na śnieniu i nie potrzebowali dopiero zasypiać! — A i my ludzie dzisiejsi znamy się jeszcze na tem zbyt dobrze, mimo całą naszą dobrą wolę czuwania i życia we dnie. Wystarczy kochać, nienawidzić, pożądać, wogóle czuć — a natychmiast nawiedza nas duch i siła snu i wchodzimy nieczuli na wszelkie niebezpieczeństwa z otwartemi oczyma, na najniebezpieczniejsze drogi, w górę na dachy i wieże marzycielstwa, jak gdyby urodzeni do wspinania się — my lunatycy dzienni! My artyści! My taiciele naturalności! My chorzy na księżyc i na boga! My śmiertelnie cisi nieznużeni wędrowcy, po wyżynach, w których nie widzimy wyżyn, lecz płaszczyzny, swoje bezpieczeństwa!

---

## 60.

Kobiety i ich działanie na odległość. — Mamże jeszcze uszy? Czy jestem już tylko uchem i niczem więcej? Stoję tu wśród waru kipiących bałwanów, których białe płomienie sięgają stóp mych swymi językami, — ze wszystkich stron ogarnia mnie wycie, groźba, krzyk, łoskot, gdy tymczasem w najgłębszej głębi stary Ziemiowstrząsca pieśń swą śpiewa, głucho jak bawół ryczący; wybija sobie przy tem taki ziemią wstrząsający takt, że nawet tym tu po-

tworom skalnym serce drży w piersiach. Nagle, jakby z nicości zrodzony zjawia się przed bramą tego piekielnego labiryntu, o kilka sążni odległy — wielki żaglowiec, jak widmo sunący w milczeniu. O, ta widmowa piękność! Jakimż mię czarem przejmuje! Co? Czyż okręt ten wiezie całą ciszę i spokój świata? Czyż na tem cichem miejscu zasiadło me szczęście samo, moje szczęśliwsze ja, moje uwiecznione ja? Jeszcze nie martwe, a jednak już nie żyjące? Jako nadprzyrodzona cicha patrząca ślizgająca się bujająca istota pośrednia? podobna statkowi, który białymi żaglami swymi jak motyl olbrzymi ponad ciemne wzlatuje morza! Tak! Wzlatywać p o n a d istnienie! Tego się chce! Tego by się chciało! — — Zda się, że ten tu zgiełk uczynił mnie fantastą? Wszelki duży zgiełk sprawia, że pokładamy szczęście w ciszy i dali. Gdy mężczyzna pośród s w o j e g o zgiełku stoi, gdy oblewają go wzburzone fale jego czynów i zacząć nów: wtedy widzi też przesuwające się obok niego istoty, do których szczęścia i zacisza tęskni, — są to kobiety. Sądzi on nieledwo, że tam u kobiet mieszka jego lepsze ja: że w cichych tych miejscach nawet najgłośniejsze wzburzenie martwą staje się ciszą, a życie samo snem o życiu. A jednak! Jednak! Szlachetny mój marzycielu, nawet na najpiękniejszym żeglowcu jest wiele hałasu i zgiełku, i to niestety tak wiele małego, marnego zgiełku! Czarem i najpotężniejszym działaniem kobiet jest, by rzec językiem filozofów, działanie na odległość, *actio in distans*: na to jednak trzeba, naprzód i przedewszystkiem — odległości!

## 61.

Na cześć przyjaźni. — Że uczucie przyjaźni w starożytności za najwyższe uchodziło uczucie, wyższe nawet niż najbardziej sławiona duma poprzestającego na samym sobie i mędrca, a nawet niejako za jego jedyne i jeszcze świętsze braterstwo: to wyraża bardzo dobrze opowieść o owym królu macedońskim, który gardzącemu światem filozofowi ateńskiemu darował jeden talent i otrzymał go odeń z powrotem. »Jako? rzekł król, czyż nie ma on żadnego przyjaciela? Chciał przez to powiedzieć: »czczę tu dumę mędrca i człowieka niezależnego, lecz czciłbym jego człowieczeństwo jeszcze wyżej, gdyby przyjaciel był w nim odniósł nad jego dumą zwycięstwo. Filozof ten skarłał w moich oczach, gdy okazał, że nie zna jednego z dwóch najwyższych uczuć — i to wyższego!«

---

## 62.

Miłość. — Miłość wybacza ukochanemu nawet żądzę.

---

## 63.

Kobieta i muzyka. — Jakto się dzieje, że ciepłe i deszczowe powiewy sprowadzają z sobą też nastrój muzyczny i wynalazczą rozkosz melodyi?

Czy nie są to te same powiewy, które napełniają kościoły, i budzą w kobietach zakochane myśli?

---

64.

Sceptycy. — Lękam się, że postarzałe kobiety są w tajemnej skrytce swego serca sceptyczniejsze niż wszyscy mężczyźni: biorą one powierzchowną stronę istnienia za jego istotę, a wszelką cnotę i głąb za osłonę tej »prawdy«, jedynie za wielce pożądania godną osłonę pewnego *pudendum* — więc za kwestę przyzwoitości i wstydu, i za nic więcej!

---

65.

Oddanie się. — Są kobiety szlachetne pod pewnym względem ubogie duchem, które, chcąc wyrazić swe najgłębsze oddanie się, nie umieją sobie poradzić inaczej, chyba ofiarując swą cnotę i wstyd: jest to dla nich to, co mają najwyższego. I często dar ten zostaje przyjętym, nie obowiązując tak głęboko, jak to przypuszczają dawczynie, — bardzo smętna historia!

---

66.

Siła słabych. — Wszystkie kobiety są w tem przemyślne, że przesadzają swą słabość, nawet są

wynalazcze w słabości, by zdawać się ogromnie kruchemi ozdobami, którym nawet pyłek ból sprawia; istnienie ich powinno przypominać myśli i sumieniu mężczyzny jego niezgrabność. Tak bronią się one przed silnymi i wszelkiem »prawem pięści«.

## 67.

Udawanie samego siebie. — Teraz ona go kocha, więc odtąd patrzy przed siebie z tak spokojnem zaufaniem, jak krowa: lecz biada! to właśnie czarowało go, że zdawała się nawskroś zmienną i nieuchwytną! Miał on bowiem już za wiele niezmiennej pogody w sobie samym! Czyżby nie uczyniła dobrze, gdyby udawała swój dawny charakter? Udawać brak miłości? Czyż jej nie radzi tak miłość? *Vivat comoedia!*

## 68.

Wola i powolność. — Przyprawdzono raz młodzieńca do pewnego mędrca i powiedziano: »Patrz, oto zepsuły go kobiety!« Mędrzec potrząsnął głową i uśmiechnął się. »To mężczyźni, zawołał, psują kobiety: a za wszystko, w czem kobiety pobładzą, powinno się mężczyznom nakładać pokutę i poprawę, — bo mężczyzna tworzy sobie obraz kobiety, a kobieta wedle tego kształtuje się obrazu«. — »Jesteś za łagodny dla kobiet, rzekł jeden z otaczają-

cych, nie znasz ich!« Mędrzec odparł: »Rzeczą mężczyzny jest wola, rzeczą kobiety powolność — takie jest prawo płci, zaprawdę! twarde dla kobiety prawo! Wszyscy ludzie niewinni są swemu istnieniu, kobiety są jednak niewinne w drugiej potędze: któż może dość mieć dla nich oliwy i łagodności.« — »Cóż mi tam oliwa! Co mi tam łagodność! zawołał inny z tłumu: trzeba kobiety lepiej wychowywać!« — »Trzeba mężczyzn lepiej wychowywać,« — rzekł mędrzec i skinął na młodzieńca, by poszedł za nim. — Lecz młodzieniec za nim nie poszedł.

---

## 69.

Zdolność do zemsty. — Że ktoś bronić się nie może, a przeto też nie chce, to nie przynosi mu jeszcze w naszych oczach wstydu; lecz nie mamy szacunku dla tego, kto do zemsty nie ma ani możliwości ani dobrej woli, — obojętna, czy to mężczyzna czy kobieta. Czyby mogła nas przykuć do siebie (lub jak mówią »spętać«) kobieta, po której nie spodziewamy się, że w danym razie umiałaby użyć sztyletu (jakiegobądź rodzaju sztyletu) przeciw nam? — lub przeciw sobie: co w pewnym wypadku jest dotkliwszą zemstą (zemsta chińska).

---

## 70.

Władczynie władców. — Głęboki, potężny głos altowy, jaki się nieraz słyszy w teatrze,

podnosi czasem przed nami zasłonę możliwości, w które nie wierzymy zazwyczaj: wierzymy naraz, że mogłyby istnieć gdzieś na świecie kobiety o wysokich, bohaterskich, królewskich duszach, zdolne i gotowe do wspaniałych występów, postanowień, poświęceń, zdolne i gotowe do władztwa nad mężczyznami, ponieważ stało się w nich nad płęć wyższym ucieleśnionym ideałem to, co w mężczyźnie najlepszego. Wprawdzie wedle zamysłu teatru, nie powinny takie głosy właśnie tego o kobiecie dawać pojęcia: zwykle powinny one przedstawiać idealnego męskiego kochanka, na przykład Romea. Lecz wedle mego doświadczenia sądząc, teatr i muzyk, po takim głosie takiego oczekując skutku, prawidłowo się przeliczają. Nie wierzy się w tych kochanków: głosy te zabarwione są zawsze jeszcze czemś z matki i pani domu, i właśnie wówczas najwięcej, gdy w dźwięku ich tkwi miłość.

## 71.

O kobiecej czystości. — Jest coś zdumiewającego i niebываłego w wychowaniu kobiet dojstojnych, może nawet niema nic paradoksalniejszego. Cały świat zgodził się na to, by *in eroticis* wychowywać je najmożliwiej w nieświadomości i wpa-jać im w dusze głęboki wstyd przed podobnymi sprawami i najskromniejszą niecierpliwość i ucieczkę na wspomnienie tych rzeczy. Tylko w tym wypadku w gruncie rzeczy narażona jest »cześć« kobieca: czegóżby im zresztą nie wybaczone! Lecz co do tego winny po-

zostać w nieświadomości aż do głębi serca; nie powinni mieć ani oczu, ani uszu, ani słów, ani myśli na to swoje »zło«: nawet wiedzieć jest już w tym wypadku złem. Lecz oto patrzcie! Jakby srogim uderzeniem gromu być przerzuconą przez małżeństwo w rzeczywistość i wiadomość — i właśnie przez tego, którego najbardziej się kocha i czci; przyłapać miłość i wstyd na sprzeczności, co więcej musieć odczuwać jednocześnie zachwyty, oddanie się, obowiązek, współczucie i strach z powodu nieoczekiwanego sąsiedztwa boga i zwierzęcia i czegoś jeszcze oprócz tego — rzeczywiście zadzierzgnięto tu sobie węzeł duszny, który nie ma równego sobie! Nawet współczująca ciekawość najmędrszego znawcy serc ludzkich nie starczy do odgadnięcia, jak ta lub owa kobieta potrafi połapać się w tem rozwiązaniu zagadki i w tej zagadce rozwiązania, i co za grozą przejmujące, daleko sięgające podejrzenia budzić się muszą w tej biednej, z wszystkich spoidel wysadzonej duszy, a nawet jak w punkcie tym zarzuca swe kotwice ostateczna filozofia i sceptycyzm kobiecy! — A potem to samo głębokie milczenie co przedtem; a często milczenie przed samą sobą, zamykanie oczu przed samą sobą. — Młode kobiety starają się bardzo, by zdawać się powierzchownymi i bezmyślnymi; najprzemysłniejsze wśród nich udają pewien rodzaj zuchwałości. — Kobiety skore są odczuwać swych mężów jako znak pytania nad swą czcią, a dzieci swe jako apologię lub pokutę — dzieci są im potrzebne, życzą sobie dzieci, w zupełnie innej myśli, niż mężczyzna dzieci sobie życzy. — Słowem, nie można być dość łagodnym dla kobiet!

---

---

Matki. — Zwierzęta myślą zupełnie co innego o samicach niż ludzie: dla nich oznacza samica istotę płodną. Niema w nich miłości ojcowskiej, lecz coś jakby miłość dla dzieci kochanki i nawyknienie do nich. Samice znajdują w dzieciach zadowolenie swej żądzdy panowania, własność, zatrudnienie, coś dla nich zupełnie zrozumiałego, z czem gwarzyć można: to wszystko razem jest miłością macierzyńską — można ją porównać do miłości twórcy dla swego dzieła. Cięża uczyniła kobiety łagodniejszymi, cieplejszymi, lękliwszymi, uleglejszymi; i tak samo duchowa cięża wytwarza charakter ludzi kontemplacyjnych, który pokrewny jest charakterowi kobiecemu: — są to męskie matki. — U zwierząt uchodzi rodzaj męski za płęć piękną.

Święte okrucieństwo. — Do pewnego świętego przystąpił człowiek, trzymając na rękach dziecię nowonarodzone. »Co mam począć z tym dzieckiem? pytał, jest nędzne, kalekie a nie ma dość życia, by umrzeć«. »Zabij je, zawołał święty straszliwym głosem, zabij je, a potem trzy dni i trzy noce trzymaj je w swych ramionach, ażeby pozostała ci pamięć: — a nie będziesz nigdy płodził dzieci, kiedy ci nie czas po temu, by płodzić«. — Gdy mąż to usłyszał, odszedł zawiedziony; a wielu ganiło świętego, ponieważ doradzając zabić dziecko, doradzał

okrucieństwo. »Lecz nie jestże okrutniej pozwolić mu żyć?« rzekł święty.

---

## 74.

Nie mające powodzenia. — Nie mają powodzenia te biedne kobiety, które w obecności człowieka kochanego, stają się niespokojne i niepewne i mówią zbyt wiele; gdyż mężczyźni uwodzi najłatwiej pewną potajemną i flegmatyczną czułością.

---

## 75.

Trzecia płeć. — Mały mężczyźni jest paradoksem, lecz zawsze mężczyźni — atoli małe kobiety zdają mi się w porównaniu z roslami kobietami, należeć do innej płci — rzekł stary tancmistrz. Mała kobieta nie jest nigdy piękną — rzekł stary Arystoteles.

---

## 76.

Największe niebezpieczeństwo. — Gdyby za wszech czasów nie była istniała nadmierna liczba ludzi, którzy wychowanie swej głowy — swej »rozumności« — uważali za swą dumę, swój obowiązek i swą cnotę; których jako przyjaciół »zdro-

wego ludzkiego rozsądku« obrażało lub zawstydzalo wszelkie rojenie i wybujałość myśli: to byłaby ludzkość oddawna zginęła! Unosił się i unosi ponad nią ustawicznie, jako największe jej niebezpieczeństwo, wybuchający obłąd — to znaczy właśnie wybuch upodobania w odczuwaniu, widzeniu i słyszeniu, rozkoszowanie się niekarnością głowy, radość z ludzkiego nierozumu. Przeciwstawieniem świata obłąkańców nie jest prawda i pewność, lecz powszechność i wszechobowiązkowość jakiejś wiary, słowem brak dowolności w sądzeniu. A największą dotąd pracą człowieka było dojście do wzajemnego uznawania bardzo wielu rzeczy i narzucenie sobie prawa w z a j e m n e g o u z n a w a n i a — obojętna, czy rzeczy te prawdziwe są czy fałszywe. Oto wychowanie głowy, które ludzkość otrzymała. Lecz popędy przeciwne są zawsze jeszcze tak silne, że w gruncie rzeczy o przyszłości ludzkiej z małą można mówić ufnością. Ustawicznie posuwa i przesuwa się jeszcze obraz rzeczy, a może odtąd więcej i szybciej niż kiedykolwiek; ustawicznie buntują się najwyszukańsze właśnie duchy przeciw obowiązkowości powszechnej — badacze p r a w d y przede wszystkim. Ustawicznie wiara owa, jako wiara powszechna, budzi wstręt i nową pożydlivość w głowach wytworniejszych; i już owo powolne tempo, którego ona dla wszystkich duchowych przebiegów wymaga, owo naśladowanie żółwi uznawane tu za normę, zmienia poetów i artystów w zbiegów: w tych niecierpliwych duchach wybucha formalna rozkosz z obłądu, ponieważ obłąd tak wesołe ma tempo! Potrzeba więc cnotliwych intelektów — ach, chcę użyć najmniej dwuznacznego słowa — potrzeba cnotliwej głupoty, potrzeba niewzruszo-

nych taktomierzy powolnego ducha, aby wyznawcy wielkiej wiary powszechnej mogli razem pozostać i dalej taniec swój tańczyć: nakazuje to i wymaga tego potrzeba najgłówniejsza. My inni jesteśmy wyjątkiem i niebezpieczeństwem — potrzebujemy wiecznej obrony! — Tak, dałoby się niejedno rzecz na korzyść wyjątku, pod warunkiem, że nie zechce być nigdy prawidłem.

---

## 77.

Zwierzę z czystym sumieniem. — Pospolitość we wszystkim tem, co się podoba na południu Europy — choćby w operze włoskiej (na przykład Rossiniego lub Belliniego) lub w hiszpańskim romansie awanturczym (w francuskim przebraniu Gil Blas'a dla nas najdosłowniejszem) — nie uchodzi mej uwagi, jednak nie obraża mnie, tak samo jak pospolitość, którą napotykałyśmy podczas wędrówki przez Pompeję, a w gruncie rzeczy nawet przy czytaniu każdej starożytnej książki: skąd to pochodzi? Czy stąd, że każda pospolitość występuje tu bez wstydu, — tak odważnie i z taką pewnością siebie, jak coś szlachetnego, miłego i namiętnego w tego samego rodzaju muzyce i powieściach? »Zwierzę ma takie samo prawo jak człowiek: niech więc sobie wolno biega, a ty, mój człowieku, jesteś też jeszcze tem zwierzęciem, mimo wszystko!« — To zdaje mi się morałem rzeczy i właściwością tych ludzi z południa. Smak zły ma takie samo prawo jak dobry, a nawet pierwszeństwo przed nim, jeśli jest konieczną potrzebą,

zaspokojeniem niezawodnem, a zarazem językiem ogólnym, maską i gestem bezwzględnie zrozumiałemi: dobry wybredny smak ma natomiast zawsze coś szukającego, próbującego, niezupełnie pewnego swego zrozumienia — nie jest i nie był nigdy popularnym. Popularną jest i pozostanie maska! Niech więc płynie sobie wszelka ta maskarada w melodyach i kadencyach, w skokach i uciesznościach rytmu tych oper! Nawet starożytne życie! Cóż rozumie się z niego, jeśli się nie rozumie uciechy z maski, czystego sumienia wszystkiego, co pod maską! Jest w tem kąpiel i wypoczynek starożytnego ducha: — a może kąpiel ta była dla rzadkich i wzniosłych natur starożytnego świata potrzebniejszą jeszcze, niż dla pospolitych. — Natomiast obraża mnie niewymownie pewien pospolity zwrot w dziełach północnych, na przykład w muzyce niemieckiej. Czuć w tem wstyd, artysta zniżył się przed sobą samym i nie mógł się nawet ustrzedz, by się nie zarumienić: wstydzimy się wraz z nim i obrażeni jesteśmy, ponieważ przeczuwamy, iż sądzi, że do nas zniżyć się musi.

## 78.

Za co powinniśmy być wdzięczni. — Dopiero artyści, a mianowicie teatralni, wprawili ludziom oczy i uszy, aby z pewną przyjemnością słuchali i patrzyli na to, czem każdy sam jest, co sam przeżywa, czego sam chce; dopiero oni nauczyli nas czcić bohatera, który w każdym z tych ludzi codziennych się kryje, i sztuki, jak oglądać można samego

siebie jako bohatera, z odległości i niejako uproszczonego i wyświetlonego, — sztuki »wystawienia na scenie« samego siebie. W ten sposób jedynie wycho-  
dzimy poza niektóre niszki w nas szczegóły! Bez tej sztuki nie byłibyśmy niczem innym, tylko przednim planem i znajdowalibyśmy się najzupełniej pod klątwą owej optyki, która temu co najbliższe i najpospolitsze wydawać się każe potwornie wielkiem i rzeczywistością. — Może podobnego rodzaju zasługę ma religia, która na grzeszność każdego poszczególnego człowieka patrzeć kazała przez szkło powiększające i uczyniła z grzesznika wielkiego nieśmiertelnego zbrodniarza; zakreślając wkoło niego wieczne perspektywy, nauczyła człowieka patrzeć na siebie z odległości i jako na coś należącego do przeszłości i skończonego.

---

Urok niedoskonałości. — Widzę tu poetę, który, jak niejeden człowiek, wywiera większy urok swoją niedoskonałością, niż tem, co pod jego ręką zaokrągliła się i staje doskonałym, — nawet powodzenie i sławę zawdzięcza bardziej swej najzupełniejszej niemocy, niż swemu sił bogactwu. Dzieło jego nigdy nie wypowiada zupełnie tego, coby właściwie chciał wypowiedzieć, coby chciał być zobaczyć: zda się, że miał przedsmak wizyi a nigdy jej samej. Lecz ogromna pożądlivość tej wizyi pozostała mu w duszy i z niej czerpie on swoją równie ogromną wymowność pragnienia i żądzy. Przez nią to wynosi swego słuchacza ponad swe dzieło i wszystkie »dzieła«

i udziela mu skrzydeł do wzlatania tak wysoko, jak zresztą słuchacze nigdy nie wzlatują. Stawszy się tak sami poetami i widzzącymi, odpłacają sprawcy swego szczęścia podziwem, jak gdyby on przywiódł ich bezpośrednio do widzenia tego, co ma najświętszego i ostatecznego, jak gdyby on cel swój osiągnął i wizję swą rzeczywiście widział i jej udzielił. Wychodzi na dobre sławie jego, że właściwie do celu nie dotarł.

---

## 80.

Sztuka i przyroda. — Grecy (lub przynajmniej Ateńczycy) słuchali chętnie dobrej wymowy. Mieli nawet do tego pożądliwą skłonność, która ich bardziej, niż cokolwiek innego, odróżnia od nie Greków. Żądali tedy nawet od namiętności na scenie, by mówiła dobrze i poddawali się z przyjemnością nienaturalności dramatycznego wiersza. W naturze jest przecie namiętność tak skąpa w słowa! tak niema i zakłopotana! Lub jeśli znajduje słowa, tak zmieszana i nierozumna i wstydząca się samej siebie! Teraz przywykliśmy wszyscy, dzięki Grekom, do tej nienaturalności na scenie, tak jak dzięki Włochom znosimy i chętnie znosimy inną nienaturalność, namiętność śpiwającą. — Stało się dla nas potrzebą, której rzeczywistość w nas zadowolić nie może, słuchać ludzi mówiących dobrze i dokładnie w najcięższych położeniach. Zachwyca nas teraz, jeśli bohater tragiczny znajduje słowa i uzasadnienia i ruchy wymowne i w całości niezakłóconą duchowość tam na-

wet jeszcze, gdzie życie ku otchłaniam się zbliża, a rzeczywisty człowiek zazwyczaj traci głowę a z pewnością piękną wymowę. Ten rodzaj rozmijania się z naturą jest może najprzyjemniejszą uczcią dla człowieczej dumy; gwoli niej lubi wogóle sztukę, jako wyraz wzniosłej, bohaterskiej nienaturalności i konwenansów. Czyni się słusznie zarzut poecie dramatycznemu, jeśli nie wszystko przemienia w rozum i słowo, lecz jeszcze zachowuje pewną resztę milczenia: — tak jak się nie jest zadowolonym z muzyka, który dla najwyższego uczucia nie umie znaleźć melodyi, lecz tylko pełne uczucia, »naturalne« jąkanie i krzyki. Tu właśnie należy być sprzecznym z naturą! Tu powinien właśnie urok złudzenia wyższemu ustąpić urokowi! Grecy zachodzą na tej drodze daleko, daleko — zastraszająco daleko! Jak nadawali swej scenie możliwą wężkość i jak wzbraniłi sobie wszelkiego działania przez głębokie tylne tła, jak uniemożliwiali aktorowi grę twarzy i lekkie poruszenia i zmieniali go w uroczyście, sztywne, zamaskowane straszdyło, tak też odebrali namiętności samej jej głębokie tło i narzucili nakaz pięknego mówienia, a nawet uczynili wogóle wszystko, by przeciwdziałać żywiołowemu działaniu budzących litość i grozę obrazów. Właśnie, że nie chcieli grozy i litości. — Arystotelesowi cześć, najwyższa cześć! Lecz niewątpliwie nie trafił on w sedno, gdy mówił o ostatecznym tragedji greckiej celu! Przypatrzmy się przecie greckim poetom tragicznym, by ujrzeć, co właściwie pobudzało ich pilność, ich wynalazczość, ich współzawodnictwo, — z pewnością nie zamiar pognębnienia widza mocą uczuć! Ateńczyk szedł do teatru, by słuchać pięknych mów!

O piękne mowy chodziło też Sofoklesowi! — wybaczcie mi moje kacerstwo! Zupełnie odmiennie ma się rzecz z poważną operą: wszyscy jej mistrze zmierzają do tego, by przypadkiem nie rozumiano ich osób. »Przy sposobności pochwycone słowo mogłoby z pomocą nieuważnemu przyjść słuchaczowi: w całości sytuacja musi się sama wyjaśnić — na mowach nic nie zależy!« — Tak myślą oni wszyscy i wszyscy błazeństwa stroją ze słowami. Może brakło im tylko odwagi do zupełnego wyrażenia ostatecznego lekceważenia słowa. Nieco więcej zuchwałości w Rossinim, a byłby kazał śpiewać wszędzie la-la-la-la — i byłby w tem rozum! Właśnie, że nie powinno się wierzyć osobom opery »na słowo«, tylko na dźwięk! To jest różnica, to piękną nienaturalnością, gwoli której chodzi się na opery! Nawet *recitativo secco* nie chce, by go słuchano jako słowa i tekstu. Ten rodzaj półmuzyki ma raczej używać muzykalnemu uchu przedewszystkiem krótkiego wypoczynku (wypoczynku po melodyi, jako najwyższej i zarazem najbardziej natężonej rozkoszy tej sztuki) —, lecz niemniej i czegoś innego: to jest rosnącej niecierpliwości, rosnącego oporu, nowego pożądanego zupełnej muzyki, melodyi. — Jak z tego punktu widzenia ma się rzecz ze sztuką Ryszarda Wagnera? Może tak samo? Może inaczej? Często zdawało mi się, jak gdyby należało się wyuczyć przed przedstawieniem na pamięć słów i muzyki jego utworów: bez tego — tak mi się zdawało — nie słyszy się ani słów, ani nawet muzyki.

## 81.

Smak grecki. — »Cóż w tem pięknego? — rzekł ów mierniczy po pewnem przedstawieniu Ifigenii — nic przez to nie zostało dowiedzione!« Byliżby Grecy tak dalecy od tego smaku? W Sofoklesie przynajmniej jest »wszystko dowiedzione«.

---

## 82.

*Esprit* niegreckie. — W wszelkiem myśleniu swem są Grecy nieopisanie logiczni i prości; przynajmniej w ciągu swych długich dobrych czasów nie uprzykrzyli sobie tego, jak to się dzieje często z Francuzami, którzy nazbyt chętnie małe czynią uskoki w kierunku przeciwnym i właściwie znoszą ducha logiki tylko wtedy, gdy ten przez mnogość takich małych uskoków swą towarzyską zdradza grzeczność, swe towarzyskie zaparcie się siebie. Logika wydaje się im konieczną jak chleb i woda, lecz też jak one strawą więzienną, jeśli ma się spożywać samą tylko, bez niczego. W dobrem towarzystwie nie należy mieć zawsze i jedynie słusność, jak chce wszelka czysta logika. Stąd mała dawka nierozumu w wszelkiem francuskim *esprit*. — Zmysł towarzyski Greków był daleko mniej rozwinięty, niż jest i był zmysł Francuzów: stąd tak mało *esprit* w ich najświetniejszych duchem mężach, stąd tak mało posiadają dowcipu nawet ich dowcipnisie — ach! nie uwierzycie już tym moim zdaniom, a ileż

jeszcze tego rodzaju mam ich na sercu! — *Est res magna tacere* — mówi Martialis i wszystkie gaduły.

---

## 83.

**Przekłady.** — Można ocenić stopień historycznego zmysłu, jaki posiada pewien czas, podług tego, jak dokonywa przekładów i stara się sobie przyswoić minione czasy i książki. Francuzi za Corneille'a, a także jeszcze z czasu Rewolucyi opanowali starożytność rzymską w sposób, na jakibyśmy my nie mieli już odwagi — dzięki naszemu wyższemu historycznemu zmysłowi. A sama ta rzymska starożytność: jakże gwałtownie i naiwnie zarazem kładła swą rękę na wszystkim, co dobre i wysokie w greckiej dawniejszej starożytności! Jakże przekładali ją na rzymską teraźniejszość! Jakże zacierali z umysłu i bez troski opyl skrzydeł motyla - chwili! Tak przekładał Horacy tu i ówdzie Alcaeusa lub Archilocha, tak Propercyusz Kallimacha i Filetasa (poetów tej samej miary co Teokryt, jeśli sądzić nam wolno). Cóż zależało im na tem, że właściwy twórca przeżył to i owo i znaki tego w swój wpisał poemat! — Jako poeci byli oni nieprzyjaźni antykwarskiemu wężchowi, który poprzedza zmysł historyczny; jako poeci odrzucali owe zupełnie osobiste rzeczy i nazwy i wszystko, co było własnością jakiegoś miasta, wybrzeża, stulecia, jako ich strój i maska, lecz wstawiali wskok zamiast tego coś teraźniejszego i rzymskiego. Zdają się nas pytać: »Czyż nie powinniśmy ze starego coś nowego dla siebie uczynić i siebie przystosować do

niego? Czyż nie powinniśmy tchnąć swej duszy w to martwe ciało? martwe bo już jest teraz: a jakże szpetnem jest wszystko, co martwe!« — Nie znali rozkoszy, płynącej ze zmysłu historycznego; przeszłość i obcość była im przykrą, a jako Rzymianom podnietą do rzymskiej zdobyczy. Rzeczywiście, zdobywano wówczas, przekładając, — nietylko w tem znaczeniu, że opuszczano ustępy historyczne: nie, wtrącano napomknienia o terażniejszości, wykreślano przede wszystkim nazwisko poety i kładziono miast niego swoje — nie odczuwając przy tem, że się popełnia kradzież, lecz z najczystszeń sumieniem wielkiego *imperium Romanum*.

## 84.

O pochodzeniu poezyi. — Miłośnicy fantastyczności w człowieku, będący zarazem rzecznikami nauki o moralności instynktownej, wnioskują tak: »przypuszczając, że za wszech czasów czczono pożytek jako najwyższe bóstwo, skąd u dyabła wzięła się poezya, to urytmowanie mowy, które raczej jasności wypowiedzenia przeciwdziała, niż ją wspomaga, a które mimo to jako wyszydzenie wszelkiej pożytecznej celowości wytrysnęło wszędzie na ziemi i dotąd wytryskuje? Dzikie piękno nierozsądku poezyi zbija was, wy pożytkowcy! Właśnie chęć pozbycia się raz pożytku — ona to podniosła człowieka, ona natchnęła go moralnością i sztuką!« Otóż w tym względzie muszę raz przyjemność zrobić pożytkowcom — mają przecie tak rzadko słusność, że aż

litość bierze! W owych dawnych czasach, które powołały do życia poezję, miano w tem jednak pożytek na oku i to bardzo wielki pożytek, wówczas, gdy pozwolono wtargnąć w mowę rytmowi, owej potędze, która wszystkie atomy zdania na nowo porządkuje, każe słów dobierać i myśl na nowo zabarwia i ciemniejszą, bardziej obcą, dalszą czyni: oczywiście z a b o b o n n y p o ż y t e k! Rytm miał bogom głębiej wryć w pamięć ludzkie naleganie, skoro zauważono, że człowiek pamięta lepiej wiersz, niż mowę niewiązaną. Zarówno mniemano, iż z pomocą rytmicznego tik-tak można być na większe odległości słyszany. Zdawało się, że urytmowana modlitwa głębiej wpadnie w uszy bogów. Przedewszystkiem jednak chciano mieć pożytek z owej żywiołowej mocy podbijającej, której człowiek doświadcza, słuchając muzyki. Rytm jest przymusem; wytwarza niepokonalną chęć ulegania, zgadzania się; nietylko nogi, lecz i sama dusza idzie za taktem, — prawdopodobnie, tak wnioskowano, i dusza bogów! Próbowano więc z m u s z a ć ją za pomocą rytmu i wywierać na niej przemoc: zarzucono na nich poezję, jako magiczną pętlicę. Istniało jeszcze przedziwniejsze wyobrażenie, i ono może przyczyniło się najsilniej do powstania poezyi. U Pitagorejczyków pojawia się ono, jako nauka filozoficzna i fortel wychowawczy; lecz oddawna, zanim zjawili się filozofowie, przyznawano muzyce moc wyzwala-  
nia uczuć, oczyszczania duszy, łagodzenia *ferocia animi* — i to właśnie przez rytmiczność w muzyce. Gdy właściwe napięcie i harmonia duszy znikły, musiano t a ń c z y ć w takt śpiewaka, — to było receptą tej sztuki leczniczej. Z jej pomocą uśmierzył Terpander rozruchy, poskromił Empedoklesa szaleńca, oczyścił

Damona, młodzieńca chorego na miłość; z jej pomocą brano też dzikich, głodnych zemsty bogów na kurację. Przedewszystkiem przez to, że doprowadzano odurzenie i rozkielznanie ich uczuć do szczytu, więc szalonego do rozpasania, spragnionego zemsty do upojenia zemstą. Wszystkie orgiastyczne obrzędy pragną *ferocia* bóstwa za jednym wyładować zamachem i doprowadzić do orgii, aby potem czuło się wolniejszym i spokojniejszym i zostawiło człowieka w pokoju. *Melos* znaczy, wedle swego źródłosłowu, środek łagodzący, nie przeto, że sam jest łagodny, lecz że działanie jego wpływa łagodząco. — I nie tylko, co do pieśni obrzędowej, lecz także co do pieśni świeckiej w najdawniejszych czasach przypuszczano, że rytmiczność wywiera moc magiczną, na przykład przy czerpaniu wody i wiosłowaniu: że pieśń rzuca czary na demonów, którzy, jak sobie wyobrażano, uczestniczą w tych zajęciach, że czyni ich uczynnymi, bezwolnymi i narzędziami człowieka. Przy każdej więc czynności nasuwa się powód do śpiewu — każda czynność związana jest z pomocą duchów; pieśń, działającą czarem, i zażegnania zdają się być postaciami pierwotnymi poezji. Jeśli i do wyroczni używano wiersza — Grecy twierdzili, że heksametr wynaleziono w Delfach — to i tu miał rytm wywierać przymus. Kazać sobie prorokować — to znaczy pierwotnie (według wywodu greckiego słowa, który zdaje mi się prawdopodobnym): kazać sobie coś przewidzieć; wierzono bowiem, że przyszłość można wymusić przez pozyskanie sobie Apollina, jego, który wedle najstarszego wyobrażenia jest czemś więcej, niż przewidującym bogiem. Formuła obowiązuje przyszłość tak, jak została wymówiona: zupełnie dosłownie i ryt-

micznie; formuła jednak jest wynalazkiem Apollina, który jako bóg rytmów, zobowiązać może boginie losu. — Wogóle wzięwszy należy zapytać: czy istniało dla dawnego, zabobonnego rodzaju ludzi coś pożyteczniejszego nad rytm? Z jego pomocą można było wszystko: magicznie pracę wspomagać; boga zmusić, by się zjawił, był blisko, przysłuchiwał się; urządzić sobie przyszłość wedle swej woli; własną duszę wyzwolić od jakiegoś nadmiaru (trwogi, szaleństwa, litości, zemsty) i nie tylko własną duszę, lecz dusze najgorszych demonów, — bez wiersza było się niczem, przez wiersz było się prawie bogiem. Takie zasadnicze uczucie nie da się już zupełnie wytępić — i dziś jeszcze, po tysiącoleciach długiej pracy na polu zwalczania takiego zabobonu, nawet najmędrszy z nas daje czasem zakpić z siebie rytmowi, choćby przez to tylko, że za prawdziwszą uważa się myśl, która posiada formę metryczną i w boskich nadbiega podskokach. Czyż nie jest rzeczą bardzo zabawną, że ciągle jeszcze najpoważniejsi filozofowie, choćby zresztą nie wiedzieć jak surowo trzymali się wszelkiej pewności, powołują się na zdania poetów, by myślom swym dodać siły i wiarygodności? — A przecie niebezpiecznijszem jest dla jakiejś prawdy, jeśli poeta jej przytakuje, niż jeśli jej przeczy! Bo jak mówi Homer: »Wiele bo kłamią śpiewacy!«

Dobro i piękno. — Artyści uświatniają nieustannie — a oprócz tego nie czynią oni nic in-

nego — : wszystkie owe stany i rzeczy, o których ludzie mniemają, że wobec nich i w nich człowiek czuć się może dobrym lub wielkim lub upojonym lub wesołym lub zdrowym lub mądrym. Te wybrane rzeczy i stany, których wartość dla ludzkiego szczęścia uchodzi za pewną i oszacowaną, są przedmiotami artystów. Czatują oni zawsze, by podobne rzeczy odkryć i wciągnąć w dziedzinę sztuki. Chcę rzec: nie są oni sami taksatorami szczęścia i rzeczy szczęśliwych, lecz cisną się zawsze w pobliże takich taksatorów z największą ciekawością i chęcią skorzystania natychmiast z ich ocen. Ponieważ zaś mają prócz swej niecierpliwości także silne płuca heroldów i nogi szybkobiegaczy, są zawsze jedni z pierwszych, którzy nowe dobro wysławiają i często uchodzą za tych, którzy je pierwsi dobrem nazywają, i jako dobro oceniają. Jest to jednak, jak się rzekło, błędem: są oni tylko szybsi i głośniejsi od prawdziwych taksatorów. — A czemże są tamci? — Są to ludzie bogaci i próżniacy.

O teatrze. — Dzień ten przyniósł mi znów silne i wzniosłe uczucia, a jeślibym tego wieczora mógł użyć muzyki i sztuki, to wiem dobrze, jakiejbym muzyki i sztuki nie chciał, mianowicie wszelkiej takiej, która słuchaczy swych pragnie oszołomić i podniecić do chwilowego silnego i wyniosłego uczucia, — owych ludzi codzienności duchowej, którzy wieczorem nie są podobni zwycięzcom na wo-

zach tryumfalnych, lecz mułom znużonym, których życie za często ćwiczyło batem. Cóżby ludzie ci wiedzieli wogóle o »wyższych nastrojach«, gdyby nie było oszałamiających środków i idealnych razów bicia! — a tak, mają swych dawców natchnienia, jak mają swoje wina. Lecz czemuż jest dla mnie ich napój i ich upojenie! Poczóż natchnionemu wino! Co więcej, patrzy on z pewnego rodzaju wstrętem na środki i pośredników, którzy wytwarzać tu mają pewne działanie bez dostatecznej podstawy — małpowanie wysokiego przypływu duszy! — Jakto? Daje się kretowi skrzydła i dumne o sobie mniemanie — przed spaniem, zanim wlezie do swej nory? Posyła się go do teatru i kładzie powiększające szkła na jego ślepe znużone oczy? Ludzie, których życie nie jest »działaniem« lecz zajęciem, siedzą przed sceną i przyglądają się obcym istotom, dla których życie jest czemś więcej, niż zajęciem? »A tak właśnie wypada, mówicie, to jest zabawne, tak przystoi ludziom, posiadającym wykształcenie!« — Nuże więc! W takim razie brak mi zbyt często wykształcenia: bo widok ten jest mi zbyt często wstrętny. Kto ma dosyć w samym sobie tragedyi i komedyi, będzie najchętniej trzymał się zdala od teatru; lub wyjątkowo cały ten przebieg — teatr i publiczność i poetę wliczając — staje mu się właściwym tragicznym lub komicznym widowiskiem, tak że wystawiana sztuka w porównaniu z tem nic prawie nie znaczy. Kto jest czemś jak Faust lub Manfred, cóż temu zależy na Faustach i Manfredach teatralnych! — i z pewnością zastanawia go to jeszcze, że wogóle wyprowadza się takie figury na scenę. Najsilniejsze myśli i namiętności przed obliczem tych, którzy niezdolni są do myśli i namiętności — jeno

do odurzenia! I tamto jako środek do tego! A teatr i muzyka jako europejskie palenie haszyszu i żucie betelu. O, któż opowie nam całą historię narkotyków! — jest to prawie historia »wyszczałcenia«, tak zwanego wyższego wyszczałcenia!

## 87.

O próżności artystów. — Sądzę, że artyści często nie wiedzą, co najlepiej wykonywać potrafią, ponieważ są zbyt próżni i zmysł swój zwrócili ku czemuś dumniejszemu, niż się być zdają te małe rośliny, które świeże, dziwne i piękne mogłyby w prawdziwej doskonałości rósć na ich ziemi. Co niedawno dobrem było w ich ogrodzie i winnicy, straciło wartość w ich oczach, a miłość ich i ich rozumienie nierównej są miary. Oto muzyk, który bardziej niż jakikolwiek muzyk mistrzem jest w wynajdowaniu dźwięków z królestwa cierpiących, uciśnionych, katowanych dusz i w udzielaniu mowy nawet niemym zwierzętom. Nikt nie dorównywa mu w barwach późnej jesieni, w niewysłownie wzruszającym szczęściu ostatniego, najostatniejszego, najkrótszego używania rozkoszy, umie wynaleźć dźwięk na wyrażenie owych samotnych — niesamowitych północy duszy, kiedy przyczyzna i skutek wytracone się zdają z swych spoidel i każdej chwili coś »z nicości« powstać może; najszczęśliwiej ze wszystkich czerpie z głębokiego dna ludzkiego szczęścia i niejako z jego wypitego puharu, gdzie najbardziej cierpkie i najwstrętniejsze krople zlały się ostatecznie z najśłodszeimi; zna owo znużone

suwanie się duszy, która już ani skakać i lecieć, ani już iść nie może; posiada płochliwe spojrzenie zatajonego bólu, zrozumienia bez pociechy, rozłąki bez wyznania; co więcej, jako Orfeusz wszelkiej tajemnej niedoli jest większym niż ktokolwiek i przysporzył wogóle sztuce niejedno, co dotąd wydawało się niewyraźalne a nawet sztuki niegodnem, a słowami dało się jeno spłoszyć, nie ująć, — niejedno maluczkie i mikroskopijne w duszy: jest on mistrzem tego, co maluczkie. Lecz on nim być nie chce! Jego charakter lubi raczej wielkie ściany i zuchwałe malarstwo ścienne! Uchodzi to jego uwagi, że duch jego ma inny smak i skłonność i najchętniej przesiaduje cicho w zakątkach zwalonych domów: — tam, ukryty, sam przed sobą ukryty, maluje swe właściwe arcydzieła, które są wszystkie bardzo krótkie, często tylko na długość jednego taktu, — tu dopiero staje się zupełnie dobrym, wielkim i doskonałym, może tu jedynie. — Lecz on nie wie o tem! Jest za próżny, by to wiedzieć.

Powaga w rzeczach prawdy. — Powaga w rzeczach prawdy! Jakże różnie rozumieją ludzie te wyrazy! Te same właśnie zapatrywania i rodzaje dowodów i badania, policzone sobie przez myśliciela na karb płochości, której na swój wstyd uległ w tej lub owej godzinie, — te same właśnie zapatrywania mogą w artyście, który się na nie natknie i chwilowo niemi żyje, obudzić świadomość, że teraz przejęła go

najgłębsza powaga w rzeczach prawdy i że jest podziwu godne, jak to on, acz artysta, okazuje jednak zarazem najpoważniejsze pożądanie przeciwieństwa pozorów. Jest tedy możliwe, że ktoś właśnie swym patosem powagi zdradzi, jak powierzchownie i niewymagająco igrał dotąd duch jego w dziedzinie poznania. — I czyż nie jest wszystko, co bierzemy waźnie, naszym zdrajcą? Pokazuje ono, gdzie leżą nasze wagi, i do jakich rzeczy wag nie posiadamy.

---

## 89.

Teraz i niegdyś. — Cóż zależy na całej naszej sztuce dzieł sztuki, kiedy zaginęła nam owa wyższa sztuka, sztuka odświętna! Niegdyś wszystkie dzieła sztuki ustawione były przy wielkiej uroczystej drodze ludzkości, jako wspomnienia i pomniki wzniesłych i błogich chwil. Dziś chce się dziełami sztuki zwabiać biednych wyczerpanych i chorych z wielkiego ludzkiego gościńca cierpienia na ubocze, dla rozkosznej chwileczki; ofiaruje się im chwilowe odurzenie i szaleństwo.

---

## 90.

Światła i cienie. — Książki i pisma są u różnych myślicieli czemś różnem: jeden zgromadził w książce światła, które z promieni rozświetlającego poznania umiał szybko wykraść i zanieść do

domu; inny daje tylko cienie, szaro - czarne odbitki tego znowu, co dzień przedtem pobudowało się w jego duszy.

## 91.

Ostrożność. — Alfieri, jak wiadomo, kłamał bardzo wiele, gdy swym zdumionym współczesnikom opowiadał dzieje swego życia. Kłamał z owego despotyzmu względem siebie, którego dowiódł na przykład w sposobie, w jaki tworzył sobie swój własny język i tyranizował się dla zostania poetą. Ostatecznie znalazł pewną surową formę wzniosłości, w którą wtłoczył życie swe i swoją pamięć: musiał mieć z tem wiele udręki. — Nie wierzyłbym też dziejom życia Platona, pisanym przez niego samego: tak samo jak autobiografii Rousseau'a lub *vita nuova* Dantego.

## 92.

Proza i poezya. — Należy zauważyć, że wielcy mistrzowie prozy byli też prawie zawsze poetami, czy to jawnie czy też tylko w tajemnicy i w »czterech ścianach«. I zaprawdę, tylko z e względu na poezyę pisze się dobrą prozą! Gdyż ta jest nieustanną, grzeczną wojną z poezyą; wszystkie powaby jej polegają na tem, że się ustawicznie poezyę wymija i jej sprzeciwia; każde pojęcie ode-

rwane narzuca się do wygłoszenia i to jakby głosem drwiącym, jak psota, która ma być jej wyrządzona; każda oschłość i oziębłość ma wdzięczną boginię do pełnej wdzięku doprowadzić rozpaczy; często zdarzają się zbliżenia, pojednania chwilowe i potem nagły odskok i wyśmianie; często podnosi się zasłona i wpada rażące światło, gdy właśnie bogini rozkoszy swych zmierzchów używa i barw przytłumionych; często słowo wyjęte z ust odśpiewywa się wedle jakiejś melodyi, przy której ona wyczulone swe dłonie do wyczulonych przyciska uszu, — i tak to istnieje tyśiąc przyjemności wojny, a należą do nich i porażki, o których niepoetyczni, tak zwani ludzie prozaiczni, zupełnie nic nie wiedzą: Ci też piszą i mówią tylko złą prozą! Wojna jest matką wszech dobrych rzeczy, wojna jest też dobrej prozy matką! — Było czterech ludzi w tem stuleciu, którzy zbliżyli się do mistrzostwa w prozie (dla której zresztą wiek ten nie jest stworzony — z braku poezyi, jak zaznaczono). Pomijając Goethego, do którego słusznie rości sobie prawo wiek, który go wydał, uznaję za godnych miana mistrzów prozy tylko Joachima Leopardiego, Prospera Merimée, Ralfa Waldo Emersona i Waltera Savage Landora, twórcę *Imaginary conversations*.

Ależ czemu piszesz? — A: Nie należę do tych, którzy myślą z mokrem piórem w rękę; a jeszcze mniej do tych, którzy dopiero przed otwar-

tym kałamarzem powierzają się swym namiętnościom, siedząc w swem krześle i wlepiając wzrok w papier. Gniewa mnie i wstydzi wszelkie pisanie; pisanie jest dla mnie upokarzającą potrzebą — nawet w przenośni mówić o tem wstręt mnie bierze. *B*: Dlaczego więc piszesz? *A*: Mój drogi, mówiąc w zaufaniu, nie znalazłem dotąd żadnego innego sposobu, by pozbyć się swoich myśli. *B*: A czemuż chcesz się ich pozbyć? *A*: Czemu chcę? Czyż chcę? Muszę — *B*: Daj pokój! Daj pokój!

## 94.

Wzrost po śmierci. — Owe drobne zuchwałe słówka o sprawach moralnych, które Fontenelle rzucił w swych nieśmiertelnych rozmowach zmarłych, uchodziły swego czasu za dziwaczności i igraszki niebezpiecznego dowcipu; najwyżsi nawet sędziowie smaku i ducha nie widzieli w tem nic więcej — może nawet i sam Fontenelle. Otóż zdarza się coś nie do wiary: myśli te stają się prawdą! Wiedza je u d o w a d n i a! Igraszka staje się rzeczą poważną! A my czytamy owe dyalogi z innym uczuciem, niż je czytali Voltaire i Helvetius i mimowoli podnosimy ich twórcę do innego i o wiele wyższego rzędu duchów, niż to czynili owi, — słusznie? niesłusznie?

## 95.

Chamfort. — Że taki znawca ludzi i tłumu, jak Chamfort, przyłączył się właśnie do tłumu a nie

pozostał na uboczu w filozoficznym wyrzeczeniu się i obronie, tego nie umiem sobie wyjaśnić inaczej, jak jeno w sposób następujący: Jeden instykt był w nim silniejszy od mądrości i nie został nigdy zaspokojony, nienawiść ku wszelkiej *noblesse* krwi: może stara, zbyt łatwa do wytłumaczenia nienawiść jego matki, uświęcona w nim przez miłość dla niej, — instykt zemsty, rozwijający się w nim od jego lat chłopięcych, który oczekiwał godziny pomszczenia matki. I oto kusiło go życie i jego geniusz i ach! może najbardziej krew ojcowska w jego żyłach, by stanąć w jednym szeregu i zrównać się z tą *noblesse* — przez długie długie lata! Lecz wkońcu nie mógł znieść dłużej swego własnego widoku »dawnego człowieka« pod dawnym *régime*, opanowała go gwałtowna namiętność pokuty i w pokucie przywdział szatę tłumy, jako swoją włosiennicę! Przyczyną jego niepokojów sumienia była niedokonana zemsta. — Gdyby Chamfort był wówczas pozostał cokolwiek więcej filozofem, toby rewolucyi było brak tragicznego dowcipu i najostrożniejszego żądła: uchodziłaby za daleko głębsze wydarzenie i nie uwiodłaby tylu duchów. Lecz na nienawiści i zemście Chamforta wychowało się całe pokolenie: a najdostojniejsi ludzie przeszli tę szkołę. Zważmy przecie, że Mirabeau spoglądał na Chamforta jako na swoje wyższe i dawniejsze ja, od którego oczekiwał pobudek, przestróg i wyroków i znosił je, — Mirabeau, który jako człowiek należy do rodzaju wielkości zgoła innego, niż najpierwsi nawet z wielkich wczorajszych i dzisiejszych mężów stanu. Dziwna, że mimo takiego przyjaciela i rzecznika — posiadamy przecie listy Mirabeau do Chamforta — najdowcipniejszy ten z wszystkich mo-

ralistów pozostał Francuzom obcy, tak samo jak Stendhal, który może ze wszystkich Francuzów tego stulecia posiadał najbardziej myślące oczy i uszy. Czy może dlatego, że ten ostatni miał w sobie zbyt wiele z Niemca i Anglika, by być Paryżanom znośnym? — gdy tymczasem Chamfort, człowiek bogaty w głębie i tła duchowe, posępny, cierpiący, płomienny, — myśliciel, który uznał potrzebę śmiechu, jako leczniczego środka przeciw życiu i który prawie ginął z każdym dniem, w którym się nie śmiał, — zdaje się raczej Włochem i krewnym Dantego i Leopardiego, niż Francuzem! Znamy ostatnie słowa Chamforta: *»Ah! mon ami, rzekł do Sieyès'a, je m'en vais enfin de ce monde, où il faut, que le coeur se brise ou se bronze — «*. To nie są z pewnością słowa umierającego Francuza!

## 96.

Dwa j mowcy. — Z tych dwóch mowców jeden wydobywa całą racyę swej sprawy dopiero wówczas, gdy powierza się namiętności: dopiero ona napędza mu dość krwi i gorąca do mózgu, by wzniosłą duchowość jego zmusić do objawienia się. Drugi usiłuje snadź tu i ówdzie to samo czynić: z pomocą namiętności wypowiedzieć swą rzecz pełnym dźwiękiem, potężnie i porywająco, — lecz zazwyczaj ze złym skutkiem. Mówi wówczas zaraz ciemno i zawile, przesadza, opuszcza i wzbudza nieufność w racyę swej sprawy: on sam nawet odczuwa przy tem tę nieufność i to wyjaśnia nagłe skoki w najzimniejsze

i najbardziej odpychające dźwięki, budzące w słuchaczu wątpliwość, czy cała ta namiętność była szczerą. Namiętność za każdym razem przewycięża u niego ducha; może dlatego, że jest silniejsza niż u pierwszego. Lecz staje on na szczycie swojej siły, gdy opiera się napierającej burzy swego uczucia i niejako je wyszydza: wówczas dopiero występuje duch jego cały z swego schowku, logiczny, drwiący, igrający a przecie straszny duch.

---

## 97.

O gadatliwości pisarzy. — Bywa gadatliwość wywołana gniewem, częsta u Lutra, także u Schopenhauera. Gadatliwość z powodu zbyt wielkiego zasobu formuł pojęciowych, jak u Kanta. Gadatliwość wskutek uciechy z coraz nowych obrotów tej samej rzeczy: znajdziemy ją u Montaigne'a. Gadatliwość natur złośliwych: kto współczesne czytuje pisma, przypomni sobie przytem dwóch pisarzy. Gadatliwość wywołana przez uciechę z obfitości trafnych słów i form językowych: nie rzadka w prozie Goethego. Gadatliwość z czystego upodobania w zgielku i zamieszce odczuwania: na przykład gadatliwość Carlyle'a.

---

## 98.

Na pochwałę Szekspira. — Najpiękniejszym, coby rzec umiał na pochwałę Szekspira, jako czło-

wieka, jest to: że wierzył w Brutusa i nie rzucił ani cienia nieufności na tego rodzaju cnotę! Jemu poświęcił najlepszą swoją tragedję — teraz jeszcze zwie się ją zawsze fałszywym mianem —, jemu i najstraszniejszemu wcieleniu surowej moralności. Niezależność duszy — o to tu chodzi! Żadna ofiara nie może być za wielka: trzeba umieć poświęcić jej nawet swego najlepszego przyjaciela, choćby był w dodatku najwspanialszym nawet człowiekiem, ozdobą świata, niezrównanym geniuszem, — jeśli się mianowicie wolność kocha jako wolność wielkich dusz i właśnie przez niego wolności tej grozi niebezpieczeństwo: — w ten sposób musiał czuć Szekspir! Wyżyna, na której stawia Cezara, jest najpiękniejszą czią, jaką mógł Brutusowi wyświadczyć; w ten dopiero sposób wynosi on do ogromu jego walkę wewnętrzną i zarazem siłę duchową, która ten węzeł rozciąć zdołała! — I czy rzeczywiście polityczną była ta wolność, która popchnęła poetę do współczucia z Brutusem — uczyniła współwinnym Brutusa? Czy też wolność polityczna była tylko symbolem czegoś niewyraźnego? Czy stoimy może przed jakimś nieznanem ciemnym wydarzeniem i przygodą własnej duszy poety, wydarzeniem, o którym tylko znakami mógł mówić? Czemże jest cała melancholia Hamleta wobec melancholii Brutusa! — a może Szekspir znał tę, jak znał tamtą, z doświadczenia! Może i on miał swą czarną godzinę i swego ciemnego anioła, jak Brutus! — Cokolwiek jednak istnieć mogło z tego rodzaju podobieństw i tajemnych odniesień, to przed całą postacią i cnotą Brutusa padał Szekspir na ziemię i czuł się niegodnym i dalekim: świadectwo tego wpisał w swoją tragedję. Dwa razy wprowadził w niej poetę i dwa

razy wylał na niego tak niecierpliwą i ostateczną pogardę, że brzmi to, jak krzyk, jak krzyk pogardy dla samego siebie. Brutus, nawet Brutus traci cierpliwość, gdy występuje poeta, zarozumiały, patetyczny, natrętny, jak to poeci być zwykli, jako istota, zdająca się pęcznieć od możliwych wielkości, także obyczajowej wielkości a jednak w filozofii czynu i życia, dochodząca rzadko, choćby do pospolitej uczciwości. »Gdy przyjdzie w swoim czasie, to zniosę jego widzimisię — precz z tym dzwonkowym błaznem!« — woła Brutus. Zastosujmy to teraz do duszy poety, który to pisał.

---

## 99.

Zwolennicy Schopenhauera. — Co się przy zetknięciu ludów cywilizowanych z barbarzyńskimi spostrzega, to to: że kultura niższa zazwyczaj przejmuje od wyższej przedewszystkiem jej występki, słabości i przebujałości, one wywierają na nią urok i wreszcie za pośrednictwem tych występków i słabości spływa na nią nieco cennej siły wyższej kultury. Można się temu przyjrzeć i zblizka, i bez podróży do ludów barbarzyńskich, oczywiście w nieco subtelniejszej i bardziej duchowej szacie i pod postacią nie tak łatwo uchwytną. Bo cóż zwykli przejmować od swego mistrza zwolennicy Schopenhauera w Niemczech, którzy w porównaniu z jego wysoką kulturą muszą wydawać się sobie barbarzyńcami i po barbarzyńsku też jego ulegać czarowi i sile uwodnej? Czy sprawia to jego nieubłagany zmysł rzecz-

wości, jego stałe dążenie do jasności i rozumności, że wydaje się on często tak Anglikiem, a tak mało Niemcem? Czy siła jego intelektualnego sumienia, które wytrzymało całe życie trwającą sprzeczność pomiędzy istnieniem a wolą i zmusiło go do tego, że i w pismach swoich ustawicznie i prawie na każdym punkcie sprzeciwia się sobie? Czy nieskazitelność jego w rzeczach kościoła i chrześcijańskiego boga? — bo w tem był nieskazitelny jak żaden dotąd filozof niemiecki, żył bowiem i umarł »jak wolteryanin«. Czy jego nieśmiertelne nauki o intelektualności wyobrażenia, o apriorystyczności prawa przyczynowości, o narzędziowej naturze intelektu i niewolności woli? Nie, to wszystko nie oczarowywa i nie wywiera czarującego wrażenia: lecz mistyczne zakłopotania i wybiegi Schopenhauera w owych miejscach, gdzie myśliciel, uznający tylko fakty, daje się uwieść i popsuć próżnemu popędowi, że staje się odgadywaczem świata; nie dająca się dowieść nauka o jednej woli (»wszystkie przyczyny są tylko okolicznościowymi przyczynami objawu woli w tym czasie, na tem miejscu«, »wola życia istnieje w każdej istocie cała i niepodzielna, tak zupełna, jak we wszystkich razem, które były, są i będą«), zaprzeczenie istnienia indywiduum (»wszystkie lwy są w gruncie rzeczy jednym lwem«, »wielość indywiduów jest tylko pozorem«, tak jak różó jest tylko pozorem: — nazywa on myśl Lamarcka »genialnym, niedorzecznym błędem«), marzenie o geniuszu (»w estetycznym wyobrażeniu indywiduum przestaje być indywiduum, jest jeno czystym, bezwolnym, bezbolesnym, beczasowym podmiotem poznania«; »podmiot, roztapiając się zupełnie w wyobraża-

nym przedmiocie, stał się sam tym przedmiotem»), nedorzecznosc o litości i o umożliwieniu przez nią przełamania *principii individuationis* jako źródła moralności, a tutaj należą takie twierdzenia: »śmierć jest właściwie celem istnienia«, »nie da się właściwie *a priori* zaprzeczyć możliwości, że pewne magiczne działanie mogłoby też pochodzić od kogoś już umarłego«: te i tym podobne przebujałości i występki filozofa przejmują się zawsze nasamprzód i czyni artykułem wiary. Przebujałości bowiem i występki naśladować zawsze najłatwiej, gdyż nie wymagają one żadnego długiego ćwiczenia. Lecz mówmy o najslawniejszym z żyjących zwolenników Schopenhauera, o Ryszardzie Wagnerze. — Przydarzyło mu się, co niejednemu już zdarzyło się artyście: chybił w wykładzie postaci, które stworzył, i zaniepokoił wypowiedzianą filozofią swej własnej sztuki. Ryszard Wagner dał się aż do połowy swego życia wodzić po manowcach Heglowi; uczynił to raz jeszcze, czytując później naukę Schopenhauera z swych postaci i począwszy »wolać«, »geniuszem« i »litością« formułować samego siebie. Mimo to pozostanie prawdą, że nic nie jest tak bardzo przeciwne duchowi Schopenhauera, jak to, co jest właściwie wagnerowskiego w bohaterach Wagnera — mam na myśli niewinność najwyższego samolubstwa, wiarę w wielką namiętność, jako w dobro samo w sobie, jednym słowem zygfydowość w twarzach jego bohaterów. »Wszystko to czuć raczej jeszcze Spinozę niż mną« — rzekłby był może Schopenhauer. Aczkolwiek więc Wagner dostateczne miał powody oglądania się właśnie na innych filozofów, nie zaś na Schopenhauera, to czar, któremu w stosunku do tego myśliciela ulegał, uczy

nił go ślepym nietylko na wszystkich innych filozofów, lecz nawet na wiedzę samą. Coraz bardziej cała sztuka jego pragnęła stać się dobudówką i uzupełnieniem filozofii szopenhauerowskiej i coraz bardziej zrzeka się wyższej ambicyi, by być przybudówką i uzupełnieniem ludzkiego poznania i wiedzy. A nęci go do tego nietylko cały tajemniczy przepych tej filozofii, któryby nęcił był i Cagliostre: także niektóre gesty i pasye filozofa były snadź uwodzicielami! Szopenhauerowskim jest na przykład gniew Wagnera na zepsucie niemieckiego języka; i jeśli w tym wypadku należy naśladownictwo nazwać dobrem, to jednak nie można też przemilczeć, że styl Wagnera sam choruje niemało na wszystkie wrzody i opuchliny, których widok tak wściekał Schopenhauera i że ze względu na piszących po niemiecku wagnerzystów wagneryzm zaczyna okazywać się równie niebezpiecznym, jak chyba tylko był sam heglizm. Szopenhauerowską jest nienawiść Wagnera do Żydów, którym nawet za ich największy czyn nie umiał oddać sprawiedliwości: Żydzi są przecie wynalazcami chrześcijanizmu! Szopenhauerowskim jest usiłowanie poemowania chrześcijanizmu jako przywianego ziarna buddyizmu, i chęć przygotowywania dla Europy, wśród tymczasowego zbliżenia do katolicko-chrześcijańskich formuł i uczuć, buddyjskiego okresu. Szopenhauerowskim jest kazanie Wagnera o miłosierdziu dla zwierząt; Schopenhauera poprzednikiem w tej sprawie był, jak wiadomo, Voltaire, który też już może, jak jego następcy, umiał nienawiść swą do pewnych rzeczy i ludzi przebierać w płaszczyk miłosierdzia dla zwierząt... Przynajmniej nienawiść Wagnera do wiedzy, przemawiająca z jego kazania, nie jest z pewnością

natchnięta duchem miłosierdzia i dobroci — ani też wogóle d u c h e m, jak się samo przez się rozumie. — Mało zresztą zależy na filozofii artysty, jeśli jest właśnie tylko filozofią dodatkową i sztuce jego żadnej nie wyrządza szkody. Nie można się nigdy dość wystrzeżać, by nie brać za złe artyście okolicznościowej, może bardzo nieszczęśliwej i zarozumiałej maskarady; nie zapominajmy przecie, że mili artyści wszyscy razem i każdy z osobna są nieco aktorami i być nimi muszą, i bez aktorstwa trudnoby im bo było czas dłuższy wytrzymać. Pozostańmy Wagnerowi w tem wierni, co w nim jest prawdziwego i pierwotnego — a mianowicie w tem, że my, uczniowie jego, samym sobie zostaniemy wierni, temu, co w nas jest prawdziwego i pierwotnego. Pozostawmy mu jego intelektualne widzimisię i spazmy, a rozważmy raczej słusznie, jak rzadkie strawy i potrzeby takiej sztuce, jak jego, mieć wolno, by żyć mogła i wzrastać! Nic nie szkodzi, że jako myśliciel tak często nie ma słuszności; słuszność i cierpliwość nie jego są rzeczą. Dość, że życie jego przed sobą samym ma słuszność, i że ją zachowuje, to życie, które na każdego z nas woła: »Bądź mężem i nie idź za mną, — jeno za sobą! Jeno za sobą! Niech i nasze życie zachowa przed nami swe słuszne prawo! I my bądźmy wolni i nieustraszeni, w niewinnej samorodności z siebie samych rośnijmy i kwitnijmy! I oto gdy spoglądam na takiego człowieka dzwonią mi w ucho, dziś jeszcze, jak niegdyś, te same zdania: »że namiętność lepsza jest od stoicyzmu i obłądy, że być uczciwym, nawet w złem, to lepiej, niż zatracić samego siebie w obyczajności, przekazanej zwyczajem, że wolny człowiek może być równie złym jak dobrym, że jednak

niewolny człowiek jest hańbą natury i w żadnej nie uczestniczy niebiańskiej czy ziemskiej pociesze; wreszcie, że każdy, kto chce być wolnym, musi się stać nim, przez samego siebie i że nikomu wolność, jak dar cudowny, nie spadnie w podółek!» (Ryszard Wagner w Bayreucie: I, 585.)

## 100.

Nauka hołdowania. — Ludzie uczyć się muszą tak samo hołdu jak pogardy. Każdy, kto idzie nowymi drogami i wielu na nowe prowadził drogi, odkrywa ze zdumieniem, jak niezgrabni i jak ubodzy są ci liczni w wyrazie swej wdzięczności, a nawet jak rzadko wogóle wdzięczność ich objawić się u m i e. Zda się, że jej zawsze, gdy chce przemówić, coś w gardle staje, tak że tylko charczy i wśród charczenia milknie. Sposób, w jaki myśliciel odczuwa działanie swych myśli, ich przekształcającą i wstrząsającą moc, jest nieledwo komedią: niekiedy wygląda to, jakby ci, na których się podziałało, czuli się w gruncie rzeczy tem obrażeni i jakby swoją zagrożoną, jak się lękają, samoistność umieli tylko w przeróżnych wyrazić nieprzystojnościach. Potrzeba całych pokoleń, by wynaleźć choćby tylko uprzejmy sposób umowny podziękowania; i dopiero bardzo późno nastaje owa chwila, kiedy nawet we wdzięczność wchodzi pewnego rodzaju duch i genialność. Wtedy znachodzi się zazwyczaj ktoś, kto staje się wielkim odbiorcą wdzięczności, nietylko za to, co sam dobrego uczynił, lecz najbardziej za to, co stopniowo nagro-

madzili poprzednicy jego, jako skarb tego, co najwyższe i najlepsze.

## 101.

Voltaire. — Wszędzie, gdzie istniał jakiś dwór, istniało prawo dobrej mowy a przez to też prawo stylu dla wszystkich piszących. Atoli mowa dworska jest mową dworaka, który nie posiada żadnego z a w o d u i który wzbrania się nawet w rozmowach o sprawach wiedzy używać wszelkich wygodnych wyrazów technicznych, ponieważ trąca zawodem; dlatego wszelki wyraz techniczny i wszystko, co zdradza specjalistę, jest w krajach kultury dworskiej k a l a n i e m stylu. Dziś, gdy wszystkie dwory stały się karykaturami czasów dawnych i dzisiejszych, zdumiewamy się, że nawet Voltaire był na tym punkcie niesłychanie ostry i skrupulatny aż do dziwactwa (na przykład w sądzie o takich stylistach jak Fontenelle i Montesquieu), — bo wyemancypowaliśmy się właśnie wszyscy ze smaku dworskiego, gdy tymczasem Voltaire był jego i d e a ł e m !

## 102.

Słó w k o d o f i l o l o g ó w. — Że istnieją książki, tak wartościowe i królewskie, że całe pokolenia uczonych dobrze są użyte, jeśli ich trud utrzymuje te książki w czystości i zrozumiałości, — dla ciągle nowego

utwierdzenia tej wiary istnieje filologia. Przypuszcza ona z góry, że nie zbraknie owych rzadkich ludzi (jeśli ich odrazu nie widać), którzy rzeczywiście umieją skorzystać z tych drogocennych książek: — będą to zapewne ci, którzy sami podobne książki tworzą lub tworzyćby mogli. Chciałem rzec, że filologia opiera się na szlachetnej wierze — że dla korzyści kilku nielicznych, którzy wkońcu »się zjawiają« a których niema, należy przedsięwziąć ogromną moc przykrej, nawet nieczystej roboty: jest to praca *in usum Delphinorum*.

O muzyce niemieckiej. — Muzyka niemiecka jest już teraz dlatego bardziej muzyką europejską, niż każda inna, ponieważ jedynie w niej została wyrażona owa przemiana, której Europa doznała wskutek rewolucyi francuskiej: tylko niemieccy muzycy znają się na wyrazie wzburzonych tłumów ludowych, na owym potwornym sztucznym zgiełku, który nie musi być nawet zbyt głośny, — gdy tymczasem na przykład opera włoska zna tylko chóry sług lub żołnierzy, nie zaś lud. Pochodzi to stąd, że w wszelkiej muzyce niemieckiej dosłuchać się można głębokiej mieszczkańskiej zazdrości, jaką wzbudza *noblesse*, a mianowicie *esprit* i elegancya, jako wyraz dworskiej, rycerskiej, starej, pewnej siebie społeczności. Nie jest to wcale muzyka, jak owa goethowski śpiewaka przed bramą, podobająca się też »w sali« i to królowi; tu nie można powiedzieć: »*die*

*Ritter schauten muthig drein, und in den Schoss die Schönen*«. Już gracya występuje w muzyce niemieckiej nie bez nalotu wyrzutów sumienia; dopiero wobec wdzięku, wiejskiej siostry gracyi, zaczyna Niemiec czuć się zupełnie moralnym, — i odtąd coraz bardziej aż do wyżyn swej marzycielskiej, uczonej, często niedźwiedziowatej »wzniosłości«, betowenowskiej wzniosłości. Jeśli sobie wyobrazić pragniemy człowieka, stworzonego do tej muzyki, to wyobraźmy sobie właśnie Beethowena i jak to on wygląda obok Goethego, podczas owego spotkania w Cieplicach; jak półbarbarzyńca obok kultury, jak lud obok szlachty, jak człowiek dobrotliwy obok dobrego i bardziej jeszcze niż »dobrego« człowieka, jak fantasta obok artysty, jak pocieszenia głodny obok pocieszonego, jak lubiący przesadzać i podejrzewać obok sprawiedliwego, jak dziwak i samodręczyciel, jak błazeńsko zachwycony i błogo nieszczęśliwy, serdecznie niepowściągliwy, jak zarozumiały i niezgrabny — i, w całości, jak »człowiek niepohamowany«: tak też odczuł i określił go sam Goethe \*), Goethe wyjątkowy Niemiec, dla którego nie wynaleziono jeszcze równej mu rodem muzyki! — Wkońcu trzeba jeszcze rozważyć, czy nie należy owej coraz szerzej grasującej pogardy dla melodyi i owego zniedołężnienia melodyjnego zmysłu u Niemców rozumieć jako demokratycznej nieprzygotowości i oddziaływania rewolucyi. Melodya bowiem zdradza tak jawną radość z prawności a taką odrazę do wszystkiego stającego się, nieukształconego, do-

\*) Goethe spotkał się z Beethovenem w Cieplicach (w Czechach) w sierpniu 1812. Wyrażenie »ungebändigte Persönlichkeit« znajduje się w liście Goethego do Zellera.      *Prz. tłum.*

wolnego, że brzmi jak dźwięk z dawnego porządku europejskich spraw i jak uwiedzenie i wsteczność.

O dźwięku mowy niemieckiej. — Wiadomo, skąd pochodzi niemczyzna, która od kilku stuleci stała się niemczyzną pisemną. Niemcy z swą czcią dla wszystkiego, co pochodziło ze dworu, brali sobie pilnie we wszystkim, co pisać mieli, a więc w listach, dokumentach, ostatnich wolach i t. d. za wzór kancelarye. Pisać kancelaryjnie, znaczyło pisać po dworsku, po rządowemu — było to coś wytwornego, w porównaniu z niemczyzną miasta, w którym się mieszkało. Stopniowo wyciągano konsekwencyę i mówiono tak jak pisano, — przez to było się jeszcze wytworniejszym, w formach słownych, w doborze słów i zwrotach a wreszcie i w dźwięku; afektowano dźwięk słów, gdy mówiono, wkońcu afektacya stała się naturą. Może nigdzie nie wydarzyło się nic podobnego: przemoc stylu pisemnego nad mowę, przesada i wytworniosć całego narodu jako podwalina języka powszechnego, już nie gwary. Sądzę, iż dźwięk niemieckiej mowy był w średniowieczu a mianowicie po średniowieczu zasadniczo chłopski i pospolity; uszlachetnił się on nieco w ostatnich stuleciach, głównie przez to, że trzeba było naśladować tak wiele dźwięków francuskich, włoskich i hiszpańskich a czynić to właśnie musiała niemiecka (i austryacka) szlachta, która nie mogła się wcale zadowolić językiem ojczystym. Lecz dla Montaigne'a a bardziej jeszcze Racine'a

musiał język niemiecki mimo to ćwiczenie mieć brzmienie nieznośnie prostackie; a nawet dziś brzmi on w ustach podróznego, pośród włoskiego tłumu, zawsze jeszcze bardzo surowo, po leśnemu, zachryple, jakby pochodził z dymnych izb i niegościnnych okolic. — Otoż zauważam, że obecnie znowu pośród dawnych podziwiaczy kancelaryi grasuje podobna dążność do wytworności dźwięku i że Niemcy poczynają ulegać pewnemu szczególnemu »czarowi dźwięku«, który trwając czas dłuższy mógłby się stać prawdziwem niebezpieczeństwem mowy niemieckiej, — gdyż obrzydliwszych dźwięków szukać w Europie próżno. Coś szyderczego, zimnego, obojętnego, niedbałego w głosie: to brzmi teraz Niemcom »wytwornie«. I słyszę dobrą wolę względem tej dostojności w głosach młodych urzędników, nauczycieli, kobiet, kupców; nawet małe dziewczątka naśladują już tę oficerską niemieczkę. Gdyż oficer, i to pruski, jest wynalazcą tych dźwięków, ten sam oficer, który jako żołnierz i zawodowiec posiada ów podziwu godny takt skromności, mogącej za wzór służyć wszystkim Niemcom razem (wliczając w to niemieckich profesorów i muzyków!). Lecz skoro tylko zacznie mówić i poruszać się, staje się najnieskromniejszą i najniesmaczniejszą figurą w starej Europie — w nieświadomości własnej, bez wątpienia! I w nieświadomości dobrych Niemców, którzy podziwiają w nim męża z najlepszego i najwytworniejszego towarzystwa i chętnie pozwalają mu »ton sobie nadawać«. On to też czyni! — a przede-wszystkiem wachmistrze i podoficerowie naśladują ton jego i pogrubiają go. Zwróćcie uwagę na wykrzyki komendy, które formalnie napełniają rykiem wszystkie miasta niemieckie, dziś kiedy u wszystkich

bram odbywa się ćwiczenia, co za buta, co za wściekłe uczucie władzy, co za szyderczy chłód bije z tego ryku! Mająż Niemcy rzeczywiście stać się muzycznym narodem? — To pewna, że Niemcy militaryzują się teraz w dźwięku swej mowy; prawdopodobnem jest, że wćwiczwszy się w wojskowe mówienie, będą wreszcie i po wojskowemu pisać. Bo nawyknienie do pewnych dźwięków wchodzi głęboko w charakter; posiadać się będzie wkrótce słowa i zwroty a ostatecznie i myśli, które do tych dźwięków przystają! Może pisze się dziś już po oficersku; może czytam tylko za mało z tego, co się teraz w Niemczech pisze. Lecz jedno wiem tem pewniej: ogłaszane jawnie niemieckie głosy, które przenikają i za granicę, nie są natchnione przez niemiecką muzykę, lecz przez ów właśnie nowy dźwięk wstrętnej smakowi buty. Prawie w każdej mowie pierwszego niemieckiego męża stanu, a nawet wtedy, gdy rozbrzmiewa przez tubę królewską, jest akcent, który ucho cudzoziemca z odrazą odrzuca: lecz Niemcy go znoszą — znoszą samych siebie.

---

Niemcy jako artyści. — Gdy Niemiec rzeczywiście raz popadnie w namiętność (a nie tylko, jak zwyczajnie, w dobrą wolę względem namiętności!) to zachowuje się w niej tak, jak właśnie musi, i nie myśli już o swoim zachowaniu. Prawdą jednak jest, że zachowuje się wówczas bardzo niezgrabnie i szpetnie i jakby bez taktu i melodyi, tak, że widzowie

uczuwają wtedy przykrość i wzruszenie i nic więcej: — chyba, że wzniesie się do podniosłości i zachwycenia, do których pewne namiętności są zdolne. Wtedy nawet Niemiec staje się pięknym! Przeczucie tego, na jakiej wyżynie dopiero piękność swe czary nawet na Niemców zlewa, popycha artystów niemieckich w wyżyny i podniebia i w wybujałość namiętności: więc rzeczywiste, głębokie pożądanie wyrwania się z brzydoty i niezgrabności, przynajmniej wyrznięcia z nich — hen ku lepszemu, lżejszemu, bardziej południowemu, słonecznemu światu. Siły ich są więc często tylko oznakami, że chcieliby tańczyć: te biedne niedźwiedzie, w których igrają ukryte nimfy i bogi leśne — a czasem i wyższe bóstwa!

## 106.

Muzyka jako orędowniczka. — »Pragnę jakiegoś mistrza sztuki dźwiękowej, rzekł nowator do swego ucznia, by przejął ode mnie myśli moje i wypowiedział je potem w swej mowie: tak wniknę lepiej ludziom w serca i uszy. Dźwiękami można skusić ludzi do każdego błędu i każdej prawdy: któżby zdołał obalić ton?« — »Więc chciałbyś nie ulegać obaleniu?« zapytał uczeń. Nowator odparł: »Chciałbym, by kiełek wyrósł w drzewo. By nauka jakaś wyrosła mogła w drzewo, trzeba, by dłuższy czas w nią wierzono: by w nią wierzono, musi uchodzić za nie ulegającą obaleniu. Drzewu potrzeba burz, wątpliwości, robactwa, złości, by mogło objawić rodzaj

i siłę swego kielku; niech się złamie, jeśli nie jest dość silne! Lecz kielek zostaje zniszczony — nie obalony!» — Gdy to rzekł, zawołał uczeń jego z zapalem: »Lecz ja wierzę w twą sprawę i uważam ją za tak silną, że powiem wszystko, wszystko, co jeszcze mam przeciw niej na sercu.« — Nowator uśmiechnął się w sercu swoim i pogroził mu palcem. »Tego rodzaju uczniostwo, rzekł potem, jest najlepsze, lecz jest niebezpieczne, i nie każdy rodzaj nauki go znosi.«

## 107.

Nasza ostatnia wdzięczność dla sztuki. — Gdybyśmy nie byli nazwali sztuk do-  
breimi i nie wynaleźli tego rodzaju kultu nieprawdzi-  
wości: to wszelkie udzielone nam teraz przez wiedzę  
wniknięcie w powszechną nieprawdziwość i kłamli-  
wość — wnuknięcie w złudę i błąd jako w warunek  
poznającego i odczuwającego istnienia —, nie byłoby  
wcale do wytrzymania. R z e t e l n o ś ć wiodłaby  
w orszaku swym wstręt i samobójstwo. Tak jednak  
ma rzetelność nasza przeciwwagę, która pomaga nam  
do wyminięcia takich konsekwencyi: sztukę, jako  
d o b r ą w o l ę względem złudy. Nie zawsze wzbra-  
niamy swemu oku zaokrąglać i do końca dosnuwać:  
i wtedy nie jest to już wieczna niedoskonałość, którą  
przenosimy przez rzekę stawania się, — wtedy zdaje  
się nam, że niesiemy boginię i jesteśmy dumni  
i dziecięcy w tej posłudze. Jako estetyczne zjawisko  
jest nam istnienie zawsze jeszcze z n o ś n e m, i sztuka  
dała nam oko i rękę a przedewszystkiem czyste su-

mienie po to, byśmy z siebie samych takie zjawiska uczynić mogli. Musimy czasowo wycząc po sobie przez to, że patrzymy na siebie w dal i w dół, i z artystycznej dali śmiejemy się z siebie i płacemy nad sobą: musimy odkryć bohatera i tak samo błazna, tkwiącego w naszej namiętności poznania, musimy radować się kiedy niekiedy ze swego nierozumu byśmy umieli być radzi swojej mądrości! I właśnie, ponieważ w najdalszej głębi swej jesteśmy ludźmi ciężkimi i pełnymi wagi i bardziej ciężarami niż ludźmi, przeto w niczem nie czujemy się tak dobrze jak w czapce błazeńskiej: potrzebujemy jej przed sobą samymi — potrzebujemy wszelkiej junczej, bujającej, tańczącej, drwiącej, dziecinnej i błogiej sztuki, by nie stracić owej wolności ponad rzeczami, której żąda od nas nasz ideał. Byłoby dla nas cofnięciem się, popaść właśnie z swoją wrażliwą rzetelnością całkiem w moralność i gwoli przesrogim wymaganiom, które na tym punkcie sobie stawiamy, nawet jeszcze samym stać się cnotliwymi potworami i straszdyłami na ptaki. Powinniśmy m ó d z stać ponad moralnością i nietylko stać z trwożną sztywnością takiego, który boi się każdej chwili poślizgnąć i spaść, lecz także ponad nią bujać i igrać! Jakże moglibyśmy, mając to na celu, obyć się bez sztuki, bez błazna? — A dopóki jeszcze wstydzicie się siebie samych, nie należycie do nas!

---

---

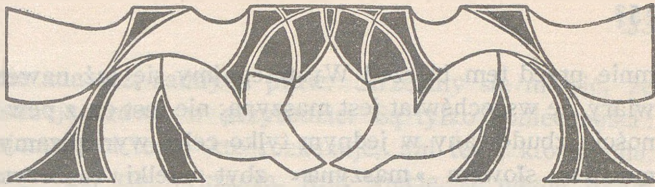




Nowe walki. — Po śmierci Buddy pokazywano jeszcze przez stulecie cień jego w jaskini — olbrzymi, straszny, jakby przetrwał przez stulecia już rodzaj ludzki, który przetrwał przez stulecia istniały jaskinie, w których będą pokazywali cień jego. — A my — my musimy jeszcze cień jego wywieść!

Strzeżmy się! — Strzeżmy się myśli, że świat jest żywą istotą. W jakim kierunku miałby się rozrastać? Czemuby się zaś żywił? Jakteby rość i rozmnażać się? Wlemy przecie prawie, czem są twory organiczne: i miałbyśmy to coś niewymownie wtórne, późnego, rzadkiego, przypadkowego, co spostrzegamy tylko na skorupie ziemskiej, brać za coś istotnego, powszechnego, wiecznego, wzorem tych, którzy wszechświat żywą organizmem? Wsłuchajmy się!

KSIĘGA TRZECIA.



108.

Nowe walki. — Po śmierci Buddy pokazywano jeszcze przez stulecie cień jego w jaskini — olbrzymi, straszliwy cień. Bóg umarł: lecz taki jest już rodzaj ludzki, iż będą może jeszcze przez stulecia istniały jaskinie, w których będą pokazywali cień jego. — A my — my musimy jeszcze cień jego zwyciężyć!

109.

Strzeżmy się! — Strzeżmy się myśli, że świat jest żywą istotą. W jakim kierunku miałby się rozrastać? Czemyby się zaś żywił? Jakżeby rósł i rozmnażał się? Wiemy przecie prawie, czem są twory organiczne: i mielibyśmy to coś niewymownie wtórnego, późnego, rzadkiego, przypadkowego, co spostrzegamy tylko na skorupie ziemskiej, brać za coś istotnego, powszechnego, wiecznego, wzorem tych, którzy wszechświat zwą organizmem? Wstręt

mnie przed tem bierze! Wystrzegajmy się już nawet wiary, że wszechświat jest maszyną; nie jest on z pewnością zbudowany w jednym tylko celu, wyrządzamy mu tem słowem »maszyna« zbyt wielki zaszczyt. Strzeżmy się przypuszczać wogóle i wszędzie coś tak foremnego, jak kołowe ruchy, sąsiadujących z nami gwiazd; już spojrzenie na drogę mleczną budzi podejrzenie, czy niema tam ruchów o wiele dzikszych i sprzeczniejszych, zarazem czy niema gwiazd o wiecznych prostolinijnych kolejach spadania i tym podobnych. Ład gwiazdny, w którym żyjemy, jest wyjątkiem; ten ład i wcale duży przeciąg czasu, przezeń umożliwiony, umożliwiły znowu wyjątek z wyjątku: wykształcenie życia organicznego. Ogólny charakter świata jest przeciwnie chaosem po wszystkie wieki, nie w znaczeniu zbywającej konieczności, lecz zbywającego ładu, rozczłonkowania, formy, piękności, mądrości i jak tam jeszcze zwą się wszystkie nasze estetyczne człowieczosci. Sądząc ze stanowiska naszego rozumu, to nieudane rzuty są nieomal powszechnym prawidłem, wyjątki nie są tajnym celem, a cała zabawka powtarza wiecznie swą zwrotkę, której za nic melodyą nazwać nie można, — a ostatecznie i słowo »nieudany rzut« jest już ucłowieczeniem, które zawiera w sobie naganę. Lecz jakże możemy ganić lub chwalić wszechświat. Strzeżmy się poma-  
wiać go o bezlitosność, lub nierozum, lub o ich przeciwieństwa: nie jest on ani doskonały, ani piękny, ani szlachetny i nie chce nic o tem wszystkim wiedzieć, nie dąży wcale do naśladowania człowieka! Nie dotyka go wcale żaden z naszych estetycznych i moralnych sądów! Nie ma on też żadnego popędu samozachowawczego, ani żadnych wogóle popędów;

nie zna też żadnych praw. Strzeżmy się mówić, że istnieją prawa w przyrodzie. Są tylko konieczności: niema ani tego, kto rozkazuje, ani tego, kto słucha, ani tego, kto wykracza. Jeśli wiecie, że niema wcale celów, to wiecie też, że niema żadnego przypadku: bo tylko w świecie celów ma sens słowo »przypadek«. Wystrzegajmy się też mówić, że śmierć jest przeciwna życiu. Co żyje, jest tylko rodzajem tego, co martwe i to rodzajem bardzo rzadkim. — Strzeżmy się myśli, że świat stwarza wiecznie coś nowego. Niema wcale wiecznotrwałych substancji: materya jest właśnie takim samym błędem jak bóg Eleatów. Lecz kiedyż dojdziemy do końca z swoją ostrożnością i przezornością? Kiedyż przestaną nas już ociemniać te wszystkie cienie boga? Kiedyż odbóstwimy zupełnie przyrodę! Kiedyż będziemy mogli zacząć u naturalniać siebie ludzi wraz z czystą nowo odkrytą, na nowo wyzwoloną naturą!

## 110.

Pochodzenie poznania. — Intelkt nie wytwarzał przez długie okresy czasu nic, oprócz błędów; niektóre z tych okazały się pożytecznymi i sprzyjającymi zachowaniu rodzaju; kto się na nie natknął lub je odziedzyczył, toczył swój bój za siebie i swych następców z większem szczęściem. Takie błędne wierzenia, które dziedzicznie przechodziły coraz dalej i wreszcie stały się prawie zasadniczą treścią rodzaju ludzkiego, to te na przykład: że są rzeczy trwałe, że są rzeczy równe, że są rzeczy, materye, ciała, że

rzecz jakaś jest tem, czem się wydaje, że wola nasza jest wolna, że co dla mnie jest dobrem, jest też dobrem w sobie i dla siebie. Bardzo późno dopiero wystąpili przeczyściele i wątpiciele, co do takich zdań — bardzo późno dopiero wystąpiła prawda, jako najzawodniejsza forma poznania. Zdawało się, że niemożliwa będzie z nią żyć, organizm nasz urządzony był dla jej przeciwieństwa; wszystkie jego wyższe funkcje, spostrzeżenia zmysłów i wszelki rodzaj odczuwania wogóle, pracowały owemi prastaremi, wcielonemi błędami zasadniczemi. Co więcej: zdania owe stały się nawet w zakresie poznania normami, któremi mierzono »prawdziwość« i »nieprawdziwość«, — aż w najodleglejsze dziedziny czystej logiki. Więc: siła poznania nie leży w jego stopniu prawdy, lecz w jego starości i w jego wcieleności, jego charakterze warunku życia. Kiedy zdawało się, że życie i poznanie sobie przeczą, nigdy nie walczono poważnie: przeczenie i wątpienie uchodziły wtedy za szaleństwo. Owi wyjątkowi myśliciele, jak np. Eleaci, którzy mimo to, iż wykazywali i podtrzymywali sprzeczności błędów naturalnych, wierzyli, iż możliwe jest też przeżyć w a ć to przeciwieństwo: wynaleźli mędrca, jako człowieka niezmiennego, bezosobistego i uniwersalnego patrzenia, jako jedno i wszystko zarazem, z sobie właściwą zdolnością do owego odwróconego poznania; wierzyli, że ich poznanie jest zarazem zasadą życia. By jednak wszystko to twierdzić mogli, musieli też łudzić się co do swego własnego stanu: musieli zmyślać sobie bezosobistość i trwałość bez zmiany, zanepoznawać istotę poznającego, zaprzeczać potęgi popędów w poznaniu i pojmować wogóle rozum, jako zupełnie wolną zrodzoną z samej siebie

działalność, aktywność; zasłaniali sobie oczy na to, że i oni w sprzeciwianiu się wartościom, będącym w obiegu, lub w pożądanu spokoju lub wyłącznego posiadania lub władztwa doszli do swoich twierdzeń. Wyższy rozwój rzetelności i sceptycyzmu uczynił wkońcu i tych ludzi niemożliwymi, a życie ich i sądy okazały się także zależne od prastarych popędów i błędów zasadniczych wszelkiego, czuciem obdarzonego, istnienia. — Owa wyższa rzetelność i sceptycyzm powstawały tam, gdzie dwa sprzeczne twierdzenia okazywały się zarówno przydatne do życia, ponieważ oba były zgodne z zasadniczymi błędami i ponieważ można się było spierać o wyższy lub niższy stopień pożytku dla życia; zarówno tam, gdzie nowe twierdzenia okazywały się życiu wprawdzie nie pożytecznymi, lecz przynajmniej też nie szkodliwymi, jako objawy intelektualnego popędu do gry i niewinnymi a szczęśliwymi, jak wszystkie gry. Stopniowo napełniał się mózg ludzki takimi sądami i przekonaniem, w kłębie tym powstał ferment, walka i pożądanie mocy. Nie tylko pożytek i rozkosz, lecz wszelki rodzaj popędów uczestniczył w tej walce o »prawdy«; intelektualna walka podniesiona została do znaczenia zajęcia, nabrała uroku, stała się powołaniem, obowiązkiem, godnością — : poznanie i dążenie do prawdziwości stanęło ostatecznie jako potrzeba w rzędzie innych potrzeb. Odtąd już nie tylko wiara i przekonanie, lecz także doświadczenie, przeczenie, nieufność, sprzeciw stały się mocą, wszystkie złe instynkty zostały podporządkowane poznaniu i oddane do niego na służbę i okryły się blaskiem tego, co pozwolone, czczone, pożyteczne a ostatecznie obdarzone zostały spojrzeniem i niewinnością dobrego.

Poznanie więc stało się częścią samego życia i jako życie ciągle wzrastającą mocą; aż ostatecznie owo poznanie i owe prastare zasadnicze błędy zderzyły się z sobą, jedno i drugie jako życie, jedno i drugie jako moc, jedno i drugie w jednym i tym samym człowieku. Myśliciel: oto teraz istota, w której popęd do prawdy i owe błędy, sprzyjające zachowaniu życia, toczą swój pierwszy bój, skoro i popęd do prawdy o k a z a ł się sprzyjającą zachowaniu życia mocą. W porównaniu z ważnością tej walki reszta jest obojętna: postawiono tu ostatecznie pytanie co do warunku życia i tu po raz pierwszy usiłuje się doświadczeniem na pytanie to odpowiedzieć. Jak dalece prawda daje się wcielać? — oto pytanie, na tem polega doświadczenie.

### III.

Pochodzenie logiczności. — Jak w głowie ludzkiej powstała logika? Zapewne z nielogiki, której królestwo musiało być pierwotnie olbrzymie. Lecz niezliczenie wiele istot, które inaczej wnioskowały, niż my wnioskuje, zginęło: zawsze jeszcze mogłaby istnieć prawdziwsza prawda! Kto na przykład nie dość często wynajdywać umiał to, co »równe«, w stosunku do pożywienia lub w stosunku do wrogich mu zwierząt, kto więc zbyt powolnie podsumowywał, był zbyt w podsumowywaniu ostrożny, miał mniej szans utrzymania się przy życiu, niż ten, który wobec wszystkiego, co było do siebie podobne, natychmiast wpadał na myśl tożsamości. Lecz przeważająca

skłonność do uważania podobnego za równe, skłonność nielogiczna — bo niema nic równego w sobie — stworzyła dopiero wszystkie podwaliny logiki. Tak samo, aby powstało pojęcie substancji, w logice niezbędne, choć w najściślejszym znaczeniu nie odpowiada mu nic rzeczywistego, — trzeba było przez długi czas nie widzieć i nie odczuwać zmienności w rzeczach; nie widzące dokładnie istoty miały przewagę nad temi, które wszystko widziały »w toku«. Sama już ostrożność przy wnioskowaniu, jeżeli jest w wysokim stopniu, wszelka skłonność do sceptycyzmu jest już wielce niebezpieczna w życiu. Nie byłyby się utrzymały żadne żywe istoty, gdyby nie była się tak nadzwyczajnie i silnie rozkrzewiła owa przeciwna skłonność, by raczej potwierdzać, niż sądu zaniechać, raczej błądzić i zmyślać, niż wyczekiwać, raczej zgadzać się, niż zaprzeczać, raczej sądzić, niż być sprawiedliwym. Przebieg logicznych myśli i wniosków w naszym teraźniejszym mózgu odpowiada procesowi i walce popędów, które w sobie pojedynczo wzięte są bardzo nielogiczne i niesprawiedliwe; dowiadujemy się zazwyczaj tylko o wyniku walki: tak szybko i tak skrycie działa w nas teraz ów prastary mechanizm.

---



---

 112.

Przyczyna i skutek. — Zwiemy to »wy tłumaczeniem«; lecz »opisem« jest to, co nas odróżnia od dawniejszych stopni poznania i wiedzy. Opisujemy lepiej — nie tłumaczymy więcej niż nasi po-

przednicy. Odkryliśmy różnorodną kolejność tam, gdzie człowiek naiwny i badacz dawniejszych kultur widział tylko dwie rzeczy, »przyczynę« i »skutek«, jak mówiono; udoskonaliliśmy obraz stawania się, lecz nie wydostaliśmy się ponad obraz, poza obraz. Szereg »przyczyn«, który mamy przed oczyma, jest zupełniejszy; wnioskujemy: to i to musi wpieryw poprzedzić, by owo nastąpiło — lecz nie pojęliśmy nic przez to. Jakość, na przykład w każdym przebiegu chemicznym, wydaje się potem jak i przedtem »cudem«, tak samo ciągły ruch; nikt nie wytłumaczył pchnięcia. Skądżebyśmy zaś mogli tłumaczyć! Operujemy samymi tylko rzeczami, których niema, liniami, płaszczyznami, ciałami, atomami, podzielnymi czasami, podzielnymi płaszczyznami —, jakże też ma być choćby możliwem wytłumaczenie, jeśli z wszystkiego pierw obraz czynimy, swój obraz. To dosyć, że zapatrujemy się na wiedzę, jako na najmożliwiej wierne uprzystępnianie człowiekowi rzeczy, uczymy się coraz dokładniej opisywać siebie samych, opisując rzeczy i ich kolejność. Przyczyna i skutek: taka dwójakość nie istnieje prawdopodobnie — w rzeczywistości mamy przed sobą pewne *continuum*, z którego wyosabniamy kilka odłamków; tak jak ruch spostrzegamy zawsze tylko jako wyosobnione punkty, więc właściwie nie widzimy, lecz o jego istnieniu wnioskujemy. Nagłość, z jaką działania się odcinają, wprowadza nas w błąd; jest to jednak tylko dla nas nagłość. Istnieje w tej samej sekundzie nagłości nieskończona moc przebiegów, uchodzących naszej uwagi. Intelkt, któryby widział przyczynę i skutek jako *continuum*, nie w nasz sposób jako coś dowolnie rozdzielonego i rozczłonkowanego, któryby widział tok zdarzenia —

zarzuciłby pojęcie przyczyny i skutku i zaprzeczył istnienia wszelkiej warunkowości.

---

## 113.

Z nauki o truciznach. — Tak wiele składa się na to, by powstać mogło naukowe myślenie: a wszystkie te potrzebne rzeczy potrzeba było odzielnie wynajdywać, ćwiczyć, pielęgnować! Poszczególne jednak miały one bardzo często zgoła inny skutek niż teraz, gdy w obrębie naukowego myślenia ograniczają się wzajemnie i trzymają w karności: — działały jako trucizny, na przykład popęd wątpiący, popęd zaprzeczający, popęd wyczekujący, popęd gromadzący, popęd rozkładczy. Złożono wiele ludzkich hekatomb w ofierze, zanim popędy te nauczyły się pojmować swoją sąsiedzkość i czuć się wzajem funkcjami jednej organizującej mocy w jednym człowieku! Jakże dalecy jesteśmy my jeszcze od tego, żeby do naukowego myślenia dołączyły się jeszcze i siły artystyczne i mądrość praktyczna życia, by wytworzył się wyższy organiczny system, w stosunku do którego uczony, lekarz, artysta i prawodawca, tacy jakimi ich teraz znamy, musieliby wydawać się nędznymi zabytkami starożytności!

---

## 114.

Rozległość moralności. — Nowy obraz, który widzimy, konstruujemy natychmiast z pomocą

wszystkich starych doświadczeń, któreśmy poczynili, wedle stopnia swej rzetelności i sprawiedliwości. Niema wcale innych wydarzeń życiowych, oprócz moralnych, nawet w dziedzinie spostrzeżeń zmysłowych.

---

## 115.

Cztery błędy. — Człowieka wychowały własne błędy: widział on się najpierw zawsze tylko niezupełnie, powtórę przypisywał sobie zawsze zmyślone właściwości, po trzecie odczuwał stosunek swój do zwierząt i natury wedle fałszywej hierarchii, po czwarte wynajdywał sobie coraz nowe tablice wartości i uważał je przez czas pewien jako wieczne i bezwarunkowe, tak że raz ten, to znów ów popęd ludzki i stan wysuwał się na pierwsze miejsce i wskutek tej oceny bywał uszlachetniany. Jeśli się odliczy działanie tych czterech błędów, to odliczyło się też humanitarność, ludzkość i »godność ludzką«.

---

## 116.

Instykt stadny. — Gdzie spotykamy moralność, tam też znajdujemy ocenę i ustopniowanie ludzkich popędów i czynów. Te oceny i stopniowania są zawsze wyrazem potrzeb gromady i stada: to, co dla gromady przedewszystkiem pożyteczne — i nadal i z kolei —, to jest też najwyższym miernikiem wartości wszystkich jednostek. Moralność wdraża je-

dnostkę do roli funkcji stada i do przypisywania sobie wartości tylko jako funkcji. Ponieważ warunki utrzymania jakiejś gromady były bardzo różne od warunków innej gromady, więc istniały bardzo różne moralności; a ze względu na przyszłe zasadnicze przekształcenie stad i gromad, państw i społeczeństw można prorokować, że będą jeszcze bardzo odmienne istniały moralności. Moralność to instynkt stadny w jednostce.

---

## 117.

Stadne wyrzuty sumienia. — W najdłuższych i najodleglejszych okresach ludzkości istniała zgoła inny wyrzut sumienia, niż dzisiaj. Dziś czuje się człowiek odpowiedzialnym tylko za to, czego chce i co czyni i w samym sobie pokłada swą dumę: wszyscy nasi nauczyciele prawa wychodzą z tego samopoczucia i z tej uciechy, jak gdyby tu z dawien dawna tryskało źródło prawa. Lecz poprzez najdłuższy okres ludzkości nie było nic straszliwszego, niż czuć się jednostką. Być samym, odczuwać osobniczo, czy też słuchać, czy panować, stanowić indywidualium — to nie było wówczas uciechą, lecz karą; skazywano »na indywidualność«. Wolność myśli uchodziła za przykrość. Jak my odczuwamy prawo i karby porządku jako przymus i szkodę, tak odczuwano nigdyś egoizm jako rzecz bolesną, jako właściwą niedolę. Być samym, samego siebie oceniać wedle własnej miary i wagi — to sprzeciwiało się wówczas smakowi. Skłonność do tego odczuwanoby jako sza-

leństwo : bo samotności towarzyszyła różnego rodzaju bieda, trwoga. »Wolna wola« była wówczas w najbliższem sąsiedztwie z nieczystem sumieniem : im bezwolniej działało, im bardziej przemawiał z działania instynkt stadny a nie zmysł osobisty, tem człowiek wydawał się sobie moralniejszym. Wszystko, co szkodę wyrządzało stadu, czy jednostka chciała tego, czy nie chciała, sprawiało wówczas jednostce wyrzuty sumienia — a nadto jeszcze jej sąsiadowi, nawet całemu stadu ! — Pod tym względem zmieniliśmy się najbardziej.

---

## 118.

Przychylność. — Czy to cnotliwie, jeśli jakaś komórka zmieni się w funkcję silniejszej komórki? Jest to mus. A czy jest źle, jeśli silniejsza przyswoi ją sobie? Jest to mus również; jest to dla niej konieczne, ponieważ dąży do przeobfitego zastąpienia sobie straty i chce się odrodzić. Stosownie do tego należy rozróżnić w przychylności : popęd przyswajania i popęd ulegania, w miarę tego, czy przychylność odczuwa silniejszy czy słabszy. Radość i pożądanie idą w parze u silniejszego, który chce coś w swą funkcję przekształcić : radość i chęć, by być pożądanym, u słabszego, któryby chciał stać się funkcją. — Litość jest w istocie swej tem pierwszym, miłym wzruszeniem popędu przyswajania, na widok słabszego : przy czem zważyć jeszcze należy, że »silny« i »słaby« są pojęciami względnymi.

---

## 119.

Niema altruizmu! — Widzę u wielu ludzi nadmierną moc i rozkosz w chęci stania się funkcją; tłoczą się tam i mają najczulszy węch dla wszystkich owych miejsc, gdzieby właśnie oni funkcją być mogli. Należą tu kobiety, przemieniające się w funkcję mężczyzny, która w nim była właśnie słabo rozwinięta, i w ten sposób stające się jego sakiewką, jego polityką lub jego towarzyskością. Takie istoty utrzymują się same najlepiej, jeśli przyłgną do cudzego organizmu: jeśli się im to nie uda, stają się gniewne, rozdrażnione i pożerają same siebie.

---

## 120.

Z d r o w i e d u s z y. — Ulubiona lekarska formuła moralna (której twórcą jest Ariston z Chios): »Cnota jest zdrowiem duszy« — musiałyby, by być użyteczną, przynajmniej tak zostać zmienioną: »twoja cnota jest zdrowiem twojej duszy«. Bo zdrowie samo w sobie nie istnieje, a wszystkie usiłowania określenia rzeczy tego rodzaju chybiły żałośnie. Musiałoby się znać twój cel, twoje widnokreśli, twoje siły, twoje podniety, twoje błędy a mianowicie ideały i rojenia twojej duszy, by określić, co jedynie może oznaczać zdrowie twego ciała. Istnieją więc niezliczone zdrowia ciała; i im bardziej pozwala się podnosić głowę jednostce niepodlegającej porównaniu, im bardziej zarzucamy dogmat »o równości ludzi«, tem prędzej musi zniknąć dla naszych lekarzy pojęcie normalnego zdro-

wia, obok normalnej diety, normalnego przebiegu choroby. Wówczas dopiero mogłoby być na czasie rozmyślać o zdrowiu i chorobie duszy a właściwą każdemu cnotę zasadzać na jej zdrowiu, które oczywiście u jednego wyglądaćby mogło, jak przeciwieństwo zdrowia u drugiego. Ostatecznie ostałoby jeszcze wielkie pytanie, czybyśmy mogli obyć się bez choroby, nawet dla rozwoju swych cnót a mianowicie czyby nasze pragnienie poznania i samopoznania nie potrzebowało zarówno chorej duszy, jak zdrowej; słowem, czy sama nawet żądza zdrowia nie jest przesądem, tchórzostwem i okruczem najprzemysłniejszego barbarzyństwa i wstecznictwa.

---

## 121.

Życie nie jest żadnym argumentem. — Urządziliśmy sobie świat tak, żebyśmy w nim żyć mogli — ustanowiliśmy sobie ciała, linie, płaszczyzny, przyczyny i skutki, ruch i spoczynek, kształt i treść: bez tych artykułów wiary niktby z nas teraz nie zniósł życia! Lecz nie są one przez to jeszcze niczem dowiedzionem! Życie nie jest żadnym argumentem; między warunkami życia mógłby się znajdować błąd!

---

## 122.

Moralny sceptycyzm w chrześcijaństwie. — I chrześcijaństwo wielce się przyczyniło

do oświaty: uczyło moralnego sceptycyzmu — w sposób bardzo dojmujący i skuteczny, oskarżając, rozgoryczając, lecz z nieznużoną cierpliwością i przemyślnością; niszczyło w każdym poszczególnym człowieku wiarę w własne »cnoty«; pod jego wpływem znikli z ziemi owi wielcy cnotliwi, w jakich opływała starożytność, — owi popularni ludzie, którzy chadzali w wierze w swoją doskonałość z godnością bohatera walki byków. Gdy dziś, wychowani w tej chrześcijańskiej szkole sceptycyzmu, czytamy moralne księgi starożytnych, na przykład Seneki lub Epikura, to czujemy pewną żartobliwą wyższość i jesteśmy pełni tajnych wnikiem i przenikiem; mamy wrażenie jakby dziecko mówiło do starca lub jakaś młoda, piękna rozegzaltowana osoba do La Rochefoucauld: wiemy lepiej, co to cnota! Ostatecznie jednak zastosowaliśmy ten sam sceptycyzm także do wszystkich religijnych stanów i przebiegów, jak grzech, skrucha, łaska, świętość i pozwoliliśmy robakowi toczyć tak skutecznie, że i przy czytaniu wszystkich ksiąg chrześcijańskich mamy to samo uczucie subtelnej wyższości i zrozumienia: znamy też uczucia religijne lepiej! Czas już znać je dobrze i dobrze opisywać, bo i wyznawcy starej wiary wymierają: — ocalmy ich odbicie i ich typ, przynajmniej dla poznania!

Poznanie jest czemś więcej niż środkiem. — Nawet bez tej nowej namiętności — mam na myśli namiętność poznawania — robiłaby wiedza

postępy: wiedza rosła dotychczas i stała się wielką bez niej. Dobra wiara w wiedzę, sprzyjający jej przesąd, który opanował teraz nasze państwa (a ongiś nawet kościół), polega w gruncie rzeczy na tem, że owa bezwarunkowa skłonność i napór tak rzadko w niej się ujawniały i że wiedza uchodzi właśnie nie za namiętność lecz za stan i »ethos«. Często nawet wystarcza już *amour-plaisir* poznania (ciekawość), wystarcza *amour-vanité*, przywyknienie do niej, z ubocznym widokiem zaszczytu i chleba, wystarcza nawet dla wielu, że nie wiedzą, co począć mają z nadmiarem wolnego czasu, jeśli nie czytać, zbierać, porządkować, postrzegać, dalej podawać; ich »popęd naukowy« to nuda. Papież Leon Dziesiąty śpiewał raz (w breve do Bervaldua) pochwałę wiedzy: określa ją jako najpiękniejszą ozdobę i największą dumę naszego życia, jako szlachetne zajęcie w szczęściu i nieszczęściu; »bez niej, powiada wkońcu, byłoby wszelkie ludzkie przedsięwzięcie pozbawione silnej podstawy — i z nią przecie jest ono jeszcze dość zmienne i niepewne!« Lecz ten umiarkowanie sceptyczny papież przemilcza, jak wszyscy inni kościelni chwalcie wiedzy, ostatni swój o niej sąd. Można dosłuchać się w jego słowach, co jak na takiego miłośnika sztuki jest dosyć dziwne, że stawia wiedzę ponad sztuką; ostatecznie jednak jest to tylko grzeszność, jeśli nie mówi tu o tem, co i on wysoko stawia ponad wiedzą: o »objawionej prawdzie« i o »wiecznej szczęśliwości duszy«, — czem jest mu w porównaniu z tem ozdoba, дума, zabawa i upewnienie życia! »Wiedza jest czemś drugorzędnem, niczem ostatecznem, bezwarunkowem, nie jest zgoła przedmiotem namiętności« — sąd ten został w duszy Leona: właś-

ciwie chrześcijański sąd o wiedzy! — W starożytności uszczuplało jej godność i uznanie to, że nawet najgorliwsi jej uczniowie stawiali ponad nią dążenie do cnoty i że mniemano, iż oddaje się poznaniu najwyższą pochwałą, jeśli się je czci jako środek do cnoty. Jest to nowością w dziejach, że wiedza chce być czemś więcej niż środkiem.

---

## 124.

Widnokrąg nieskończoności. — Opuściliśmy ląd i wsiedliśmy na statek! Zniszczyliśmy za sobą most — co więcej, zniszczyliśmy za sobą ląd! Nuże, statku! Strzeż się! Wkrąg ciebie leży ocean: prawda, że nie zawsze ryczy a czasem spoczywa jak jedwab i złoto i marzenie o dobroci. Lecz nadejdą godziny, kiedy poznasz, że jest nieskończony i że niema nic straszliwszego nad nieskończoność. O, jęku biednego ptaka, który czuł się wolnym a teraz uderza o ściany tej klatki! Biada, jeśli opadnie cię tęsknota za lądem, jak gdyby tam więcej było wolności — a niema już żadnego »lądu«!

---

## 125.

Człowiek oszalały. — Czy nie słyszeliście o owym oszalałym człowieku, który w jasne przedpołudnie latarnię zaświecił, wybiegł na targ i wołał bezustannie: »Szukam Boga! Szukam Boga!« — Po-

nieważ zgromadziło się tam właśnie wielu z tych, którzy nie wierzyli w Boga, więc wzbudził wielki śmiech. Czyliż zginął? spytał jeden. Czyż zabłąkał się jak dziecko? rzekł drugi. Czy się ukrywa? Może boi się nas? Czy nie wsiadł na okręt? Wywędrował? — tak krzyczeli i śmieli się w zgiełku. Oszalały człowiek wskoczył między nich i przesywał ich spojrzzeniami swemi. »Gdzie się Bóg podział? zawołał, powiem wam! Zabiliśmy go — wy i ja! Wszyscy jesteście jego zabójcami! Lecz jakżeż to uczyniliśmy? Jakżeż zdołaliśmy wypić morze? Kto dał nam gąbkę, by zetrzeć cały widnokrąg? Cóż uczyniliśmy, odpędzając ziemię od jej słońca? Dokąd zdąża teraz? Dokąd my zdążamy? Precz od wszystkich słońc? Nie spadamyż ustawicznie? I w tył, i w bok, i w przód, we wszystkich kierunkach? Jestże jeszcze jakieś na dole i w górze? Czyż nie błądzimy jakby w jakiejś nieskończonej nicości? Czyż nie owiewa nas pusty przestwór? Czy nie pozimniało? Czy nie nadchodzi ciągle noc i coraz więcej nocy? Nie trzebaż zapalać latarni w przedpołudnie? Czy nie słyhać jeszcze zgiełku grabarzy, którzy grzebią Boga? Czy nie czuć nic jeszcze boskiego gnicia? — i bogowie gniją! Bóg umarł! Bóg nie żyje! Myśmy go zabili! Jakże się pocieszymy, mordercy nad mordercami? Najświętsze i najmożniejsze, co świat dotąd posiadał, krwią spłynęło pod naszymi nożami — kto zetrze z nas tę krew? Jakaż woda obmyćby nas mogła? Jakież uroczystości pokutne, jakież igrzyska święte będziemy musieli wynaleźć? Nie jestże wielkość tego czynu za wielka dla nas? Czyż nie musimy sami stać się bogami, by tylko zdawać się jego godnymi? Nie było nigdy większego czynu — i ktokolwiek tylko po nas

się urodzi, gwoli czynowi temu należeć będzie do historyi wyższej, niż wszelka dotąd była historia!« — Tu zamilkł człowiek oszalały i znów spojrział na swoich słuchaczy: i oni milczeli, patrząc nań w zadziwie. Wkońcu cisnął latarnię swą o ziemię, że trzasła w kawały i zgasła. »Przyszedłem za wcześnie, rzekł potem, nie jestem jeszcze na czasie. To olbrzymie zdarzenie jest jeszcze w drodze i wędruje — nie doszło jeszcze do uszu ludzi, błyskawica i grzmot potrzebują czasu, światło gwiazd potrzebuje czasu, czyny, nawet skoro już są dokonane, potrzebują czasu, żeby je widziano i słyszano. Czyn ten jest im zawsze jeszcze dalszy niż gwiazdy najdalsze — a przecie sami go dokonali!« — Opowiadają też, że człowiek oszalały tego samego dnia jeszcze do różnych się wdierał kościołów i nucił tam swoje *Requiem aeternam deo*. Wyprowadzany i zapytywany, odpowiadał wciąż jedno: »Czemże są jeszcze te kościoły, jeśli nie są grobowcami i pomnikami boga?«

## 126.

Mistyczne wyjaśnienia. — Mistyczne wyjaśnienia uchodzą za głębokie; prawdą zaś jest, że nie są nawet płytkie.

## 127.

Oddziaływanie najdawniejszej religijności. — Każdy bezmyślny sądzi, że wola jest

siłą jedynie działającą; chcieć, to coś niezłożonego, poprostu danego, niepo pochodnego, zrozumiałego w sobie. Jest on przekonany, że jeśli coś czyni, na przykład wymierza uderzenie, to on jest tem, co uderza i że uderzył, ponieważ chciał uderzyć. Nie widzi w tem żadnego problematu, lecz uczucie woli wystarcza mu nietylko do przyjęcia przyczyny i skutku, ale także do wiary, że ich stosunek rozumie. Nie wie nic o mechanizmie wydarzenia i storakiej drobiazgowej pracy, która wpierw spełnioną być musi, by dojsć mogło do uderzenia, nie wie też o niezdolności woli w sobie do wykonania najmniejszej choćby tylko części tej pracy. Wola jest dla niego magicznie działającą siłą: wiara w wolę, jako w przyczynę skutków, jest wiarą w magicznie działające siły. Otóż pierwotnie człowiek wierzył wszędzie, gdzie widział jakieś wydarzenie, wierzył w działanie jakiejś woli jako przyczyny i jakichś poza nią osobiście chcących istot — pojęcie mechaniki było mu zgoła obce. Ponieważ jednak przez niesłychanie długi czas człowiek wierzył tylko w osoby (a nie w materye, siły, rzeczy i tak dalej), przeto wiara w przyczynę i skutek stała się dlań wiarą podstawową, którą posługuje się wszędzie, gdzie się coś wydarza — i teraz jeszcze instynktownie, wskutek resztek atawizmu najstarszego pochodzenia. Twierdzenia »niema skutku bez przyczyny«, »każdy skutek jest znów przyczyną« wydają się uogólnieniami daleko ciaśniej szych twierdzeń »gdzie jest działanie, tam była wola działania«, »działać można tylko na istoty chcące«, »nie doznaje się nigdy żadnego działania bez jakiegoś skutku, lecz wszystko czego się doznaje jest pobudzeniem woli« (do czynu, obrony, zemsty, odwetu), — lecz w pra-

czasach ludzkości były te i owe twierdzenia identyczne, pierwsze nie były uogólnieniami drugich, lecz drugie objaśnieniami pierwszych. — Schopenhauer z swoim postulatem, że wszystko co istnieje, jest tylko czemś posiadającym wolę, osadził na tronie prastarą mitologię; zdaje się, że nigdy nie przedsiębrał rozbioru woli, ponieważ w i e r z y ł jak wszyscy, że wszelkie chcenie jest czemś niezłożonem i bezpośredniem: — gdy tymczasem chcenie jest tylko tak zręcznie zbudowanym mechanizmem, że uchodzi prawie uwagi badającego oka. Przeciwstawiam mu te twierdzenia: po pierwsze — aby powstała wola, potrzebne jest wyobrażenie rozkoszy i przykrości. Po drugie: ażeby silną podniecię odczuć jako rozkosz lub przykrość, jest to rzeczą interpretującego intelektu, który oczywiście przeważnie jest przytem czynny bez naszej świadomości; a jedna i ta sama podniecia może być interpretowana jako rozkosz lub przykrość. Po trzecie: tylko u istot intelektualnych istnieje rozkosz, przykrość i wola; ogromna ilość organizmów nie posiada nic podobnego.

Wartość modlitwy. — Modlitwa wynaleziona została dla tych ludzi, którzy właściwie nigdy nie mają myśli z siebie i którym podniesienie ducha jest nieznanne lub przebiega niepostrzeżone: cóż ci począć mają na miejscach świętych lub we wszystkich ważnych położeniach życiowych, wymagających spokoju i pewnego rodzaju powagi? By przynajmniej nie przeszkadzali, zaleciła im mądrość wszyst-

kich zakonodawców, małych jak wielkich, formuły modlitewne jako długotrwałą mechaniczną pracę warg, związaną z wysiłkiem pamięci i z jednakiem ustawionem ułożeniem rąk i nóg i — oczu! Wtedy mogą sobie, podobnie Tybetanom, przeżuwać po niezliczone razy swe »*Om mane padme hum*« lub jak w Benaresie, imię boga Ram - Ram - Ram (i tak dalej z gracyą lub bez niej) na palcach przeliczać: lub czcić Wisznę jego tysiącem — a Allaha jego dziewięćdziesięciu dziewięciu nazwami: lub mogą posługiwać się modlitewnymi młynkami i różańcami — rzecz główna w tem, by tą pracą unieruchomić ich na czas pewien i widok ich znośnym uczynić: taki rodzaj modlitwy wynaleziony został w interesie pobożnych, którzy sami w sobie znajdują myśli i podniesienie. I nawet ci mają swe godziny znużenia, kiedy kojąco wpływa na nich szereg czcigodnych słów i dźwięków i pobożna mechanika. Lecz przyjąwszy, że ci rzadcy ludzie — w każdej religii jest człowiek religijny wyjątkiem — umieją sobie pomódz: to owi ubodzy duchem nie umieją sobie pomódz a zabronić im modlitewnego mełcia znaczy odebrać im ich religię: jak to coraz bardziej wykazuje protestantyzm. Religia nie wymaga właśnie od takich niczego więcej, tylko aby zachowywali w spokoju oczy, ręce, nogi i organy wszelkiego rodzaju: to ich na chwilę upiększa i — bardziej upodabnia do ludzi.

Warunki Boga. — »Sam Bóg nie może istnieć bez mądrych ludzi« — rzekł Luter i słusznie; lecz

»Bóg jeszcze mniej istnieć może bez niemądrych ludzi« — o tem poczciwy Luter przemilczał!

---

## 130.

Niebezpieczne postanowienie. — Chrześcijańskie postanowienie uważania świata za szpetny i zły, uczyniło świat szpetnym i złym.

---

## 131.

Chrześcijaństwo i samobójstwo. — Chrześcijaństwo uczyniło dźwignią swej mocy pragnienie samobójstwa, niesłychane za czasów swego powstania: zachowało tylko dwie formy samobójstwa, przybrało je w najwyższą godność i najwyższe nadzieje i zakazało wszystkich innych w straszliwy sposób. Lecz męczeństwo i powolne uśmiercanie się ascetów zostały dozwolone.

---

## 132.

Przeciw chrześcijaństwu. — Teraz wyrokuje przeciw chrześcijaństwu nasz smak, nie nasze rozumowania.

---

## 133.

Z a s a d a. — Nieunikniona hipoteza, na którą wpadać musi ludzkość wciąż na nowo, jest na dłuższą metę jednak mocniejsza niż najwierniej wyznawana wiara w coś nieprawdziwego (podobnie wie-rze chrześcijańskiej.) Na dłuższą metę: to znaczy tu na przeciąg stu tysięcy lat.

---

## 134.

Pesymiści jako ofiary. — Gdzie wzmaga się głęboka niechęć do życia, tam wychodzą na jaw skutki jakiegoś wielkiego błędu w dycie, którym przez długi czas grzeszył jakiś naród. Na przykład rozpowszechnienie się buddyzmu (nie zaś jego powstanie) było w wielkiej części zależne od nadmiernego i prawie wyłącznego żywienia się Indów ryżem i od uwarunkowanego niem ogólnego osłabienia. Może patrzeć trzeba na nowoczesne europejskie niezadowolenie z tego stanowiska, że poprzedzający nas świat, całe średniowiecze, dzięki wpływom niemieckich skłonności na Europę, oddane było pijaństwu: średniowiecze to znaczy zatrucie alkoholem Europy. — Niemiecka niechęć do życia jest w istocie swej nie-domaganiem zimowem, wliczając działanie piwnicznego powietrza i czadu pieców w niemieckich mieszkaniach.

---

Pochodzenie grzechu. — Grzech, jak się go teraz odczuwa wszędzie, gdzie chrześcijaństwo włada lub władało niegdyś: »grzech« jest uczuciem żydowskim i żydowskim wynalazkiem, i ze względu na to tło wszelkiej chrześcijańskiej moralności dążyło chrześcijaństwo w rzeczy samej do »zżydzenia« całego świata. Do jakiego stopnia udało mu się to w Europie, widać najlepiej z wysokiego stopnia obcości, którą zawsze jeszcze odczuwamy względem greckiej starożytności — świata, który nie znał uczucia grzechu — mimo dobrą wolę zbliżenia się do niej i przy-swojenia jej swemu ciału, a tej nie brakowało całym pokoleniom i wielu znakomitym jednostkom. »Bóg jest ci łaskaw, tylko jeśli żałujesz« — dla Greka rzecz godna pośmiewiska i gorsząca: rzekłby »tak niech odczuwają niewolnicy!« Poddano się Bogu wszechmocnemu a jednak mściwemu: moc jego jest tak wielka, że nie może wogóle żadnej ponieść szkody, prócz na punkcie czci. Każdy grzech jest uchybieniem w szacunku, *crimen laesae majestatis divinae* i niczem więcej! Skrucha, upodlenie, tarzanie się w prochu — to pierwszy i ostatni warunek, od którego zależy jego łaska: więc przywrócenie mu boskiej czci! Czy grzech zresztą wyrządzi szkodę, czy zaszczepił głęboką rosnącą niedolę, która człowieka po człowieku jak choroba chwyta i dławi, — o to nie troszczy się ten ambitny orientala w niebie: grzech jest wykroczeniem przeciw niemu, nie przeciw ludzkości! — komu udzielił swej łaski, temu udziela też beztroski o przyrodzone grzechu następstwa. Bóg i ludzkość są tu

tak rozdzieleni, tak na dwu przeciwległych umieszczeni biegunach, że w gruncie rzeczy przeciw ostatniej wogóle zgrzeszyć nie można, — każdy czyn należy rozważać tylko ze względu na nadprzyrodzone następstwa, nie na przyrodzone: tego chce żydowskie uczucie, dla którego wszystko, co przyrodzone, jest niegodne samo w sobie. Grecy natomiast bliżcy byli myśli, że i występek może godność posiadać — nawet kradzież, na przykład u Prometeusza, nawet rzeź bydła, jako objaw obłąkanej zawiści, przykładem Ajaksa: w potrzebie swej wmówienia i wcielenia godności w występek, wynaleźli tragedję — sztukę i uciechę, która obcą pozostała najgłębszej istocie Żyda, mimo całe jego poetyckie uposażenie i skłonność do wzniosłości.

---

## 136.

Naród wybrany. — Żydzi, którzy uważali się za naród wybrany wśród narodów, a to ponieważ są moralnym wśród narodów geniuszem (mocą tej zdolności pogardzania człowiekiem w sobie, bardziej niż jakikolwiek naród) — Żydzi rozkoszowali się podobnie swym boskim monarchą i świętym, jak szlachta francuska Ludwikiem Czternastym. Szlachta ta pozwoliła zabrać sobie całą moc swoją i świetną wielmożność i stała się pogardy godna: by tego nie czuć, by mózgi o tem zapomnieć, potrzebowała królewskiego blasku, królewskiej powagi i pełni mocy nieporównanej, do której dostęp stał tylko szlachcie otworem. Skoro zgodnie z tem pierwszeństwem wznie-

siono się do wyżyny dworu i stąd patrząc widziano wszystko pod sobą, wszystko pogardy godnem, wy-  
dostano się ponad wszelką drażliwość sumienia. Pię-  
trazono więc z umysłu wieżę królewskiej mocy coraz  
wyżej w chmury i dokładano do niej ostatnie kamie-  
nie własnej mocy.

## 137.

M ó w i ą c p r z e n o ś n i ą. — Ktoś jak Jezus  
Chrystus mógł istnieć tylko wśród krajobrazu żydow-  
skiego — mam na myśli krajobraz, ponad którym wi-  
siała ustawicznie posepna i wzniosła chmura, burzą  
gniewu Jehowy brzemienna. Tu jedynie odczuwano  
rzadki nagły przebłysk samotnego promienia słońca  
wskrós szarego powszechnego i ciągłego dnia podob-  
nego do nocy, jako cud »miłości«, jako promień nie-  
zasłużonej »łaski«. Tu jedynie mógł Chrystus śnić  
swą tęczę i swą drabinę niebieską, po której Bóg  
zstępował do ludzi; wszędzie indziej zresztą jasna  
pogoda i słońce uchodziły nazbyt za prawidło i co-  
dziennność.

## 138.

B ł ą d C h r y s t u s a. — Założyciel chrześcijań-  
stwa mniemał, że nic nie sprawia ludziom tak wiele  
cierpienia, jak ich grzechy: — był to błąd, błąd tego,  
który się czuł bez grzechu i któremu w tym wzglę-

dzie zbywało na doświadczeniu! Napełniła się więc dusza jego owem przedziwnem fantastycznym miłosierdziem dla niedoli, która nawet w jego narodzie, wynalazcy grzechu, rzadko wielką była niedolą! — Lecz chrześcijanie umieli mistrzowi swemu dorobić słusność i błąd jego wyświęcić na »prawdę«.

---

## 139.

Barwa namiętności. — Takie natury, jak apostoła Pawła, mają dla namiętności »złe spojrzenie«; poznają z nich tylko to, co brudne, oszpecające i co łamie serce, — więc idealne ich parcie dąży do zniszczenia namiętności: w boskości widzą zupełną, wolną od tych rzeczy czystość. Zgoła inaczej niż Paweł i Żydzi zwrócili Grecy idealne swe parcie właśnie ku namiętnościom i kochali je, podnosili, pozłocali, ubóstwiali; widocznie czuli się w namiętności nie tylko szczęśliwsi, lecz i czystszy i bardziej boscy niż kiedyśkolwiek. A chrześcijanie? Chcieliż w tym względzie stać się Żydami? Czy może stali się nimi?

---

## 140.

Zbyt po żydowsku. — Jeśli Bóg chciał stać się przedmiotem miłości, to powinien był w pierw zrzec się sądzenia i sprawiedliwości: — sędzia, nawet sprawiedliwy sędzia, nie jest wcale przedmiotem miłości. Za-

łożyciel chrześcijaństwa odczuwał na tym punkcie nie-  
dość subtelnie — jako Żyd.

---

141.

Zbyt na sposób wschodni. — JAKO? Bóg,  
który ludzi kocha, pod warunkiem, że w niego  
wierzą, i który ciska straszne spojrzenia i groźby na  
tego, który w tę miłość nie wierzy! JAKO? Miłość  
pod zastrzeżeniami, byłoby to uczucie wszechmoc-  
nego Boga! Miłość, która nawet nie opanowała uczu-  
cia czci i podrażnionej mściwości? Jakże wschodnie to  
wszystko! »Jeśli cię kocham, cóż cię to obchodzi?« —  
to już wystarczająca krytyka całego chrześcijaństwa.

---

142.

K a d z i d ł o. — Budda mówi: »nie schlebiaj  
swemu dobroczyńcy!« Powtórzcie to zdanie w chrześ-  
cijańskim kościele: — oczyści natychmiast powietrze  
z całej chrześcijańskości.

---

143.

Największy pożytek wielobóstwa. —  
By jednostka stawiała sobie swój własny ideał  
i z niego wysnuwała swe ustawodawstwo, swoje ra-  
dości i prawa — to uchodziło dotychczas za najpo-  
tworniejsze z wszystkich ludzkich pobłądzeń i za bał-

wochwalstwo samo w sobie: w rzeczy samej ci nie-liczni, którzy się na to ważyli, potrzebowali zawsze apologii przed sobą samymi, a ta brzmiała zazwyczaj: »nie ja! nie ja! tylko bóg przeze mnie!« W cudownej sztuce i mocy stwarzania bogów — w wielobóstwie — mógł się popęd ten wyładowywać, w niej się oczyszczał, udoskonalał, uszlachetniał: bo był to pierwotnie popęd pospolity i niepozorny, pokrewny uporowi, nieposłuszeństwu i zawiści. Być wrogiem temu popędowi dążenia do własnego ideału: było niegdyś powszechnem prawem obyczajowem. Istniała tu tylko jedna norma: »Człowiek« — a każdy naród mniemał, że posiada tę jedną i ostateczną normę. Lecz ponad i poza sobą wolno było widzieć mnogość norm: jeden bóg nie był zaprzeczeniem i lżeniem drugiego boga! Tu pozwalano sobie nasamprzód na indywidualia, tu czczono nasamprzód prawo indywidualne. Wynalazek bogów, bohaterów i nadludzi wszelkiego rodzaju, jak i współludzi i podludzi, karłów, bogunek, centaurów, satyrów, demonów, dyabłów był nieocenionem przygotowawczem ćwiczeniem do usprawiedliwienia samolubstwa i świetnej wielmożności jednostki: wolność, której użycono jednemu bogu przeciwko innym bogom, nadawano później sobie samemu przeciwko ustawom i obyczajom i sąsiadom. Jednobóstwo natomiast, ta skostniała nauka o jednym normalnym człowieku — więc wiara w jednego normalnego boga, obok którego istnieją jeszcze tylko fałszywe kłamne bóstwa — była może największem niebezpieczeństwem dotychczasowej ludzkości; tu groził jej ów przedwczesny zastój, do którego, o ile widzieć możemy, doszła już oddawna największa liczba innych gatunków zwierzęcych; wszystkie one

wierzą w jedno zwierzę normalne i w ideał swego gatunku i ostatecznie wszczepiły sobie w ciało i krew obyczajność obyczaju. W wielobóstwie spoczywał wzór wolnomyślności i wielomyślności człowieka: moc stwarzania sobie nowych i własnych oczu i ciągle nowych i jeszcze bardziej własnych: tak że wśród wszystkich zwierząt tylko dla człowieka nie istnieją żadne wieczne horyzonty i perspektywy.

---

## 144.

Wojny religijne. — Największym postępem tłumów była dotąd wojna religijna: bo dowodzi ona, że tłum zaczyna z uszanowaniem traktować pojęcia. Wojny religijne powstają dopiero wtedy, gdy przez subtelniejsze sporności sekt wysubtelni się rozum powszechny: tak że nawet tłum staje się bystrzejszy i przywiązuje wagę do drobnostek, a nawet uważa za możliwe, że »wieczna szczęśliwość duszy« zależy od drobnych różnic w pojęciach.

---

## 145.

Niebezpieczeństwo jaroszó w. — Przeważne nadmierne spożywanie ryżu prowadzi do używania opium i narkotyków, tak samo jak przeważne nadmierne spożywanie ziemniaków prowadzi do wódki —: prowadzi jednak, w wyższym oddziaływaniu, także do sposobów myślenia i czucia, działających narkotycznie. W zgodzie z tem jest to, że głosi-

ciele narkotycznych sposobów myślenia i czucia, jak owi indyjscy nauczyciele, sławią właśnie dyetę i chcieliby ją uczynić prawem obowiązującym tłum, który jest czysto roślinożerny: chcą w ten sposób wywołać i pomnożyć potrzebę, którą oni zadowolili są zdolni.

---

## 146.

Niemieckie nadzieje. — Nie zapominajmy przecie, że nazwy ludów są zazwyczaj obelgami. Tatarzy na przykład są według imienia swego »psami«: tak ochrzcili ich Chińczycy. Niemcy, *die* »*Deutschen*«: oznacza pierwotnie pogan »*Heiden*«; tak nazywali Goci po nawróceniu wielki tłum swych niechrzczonych jednoplemieńców wedle wskazówki przekładu Septuaginty, gdzie poganie określani są słowem, oznaczającym w greczyźnie »ludy«: patrz Ulfilasa. — Byłoby zawsze jeszcze Niemcom możliwe uczynić sobie z starego swego obelżywego miana następnie miano zaszczytne, skoro stali się pierwszym niechrześcijańskim narodem Europy: Schopenhauer poczytywał im za chlubę, że mają do tego zadatki. W ten sposób doszłoby do kresu dzieło Lutra, który ich uczył być nierzymskimi i mówić: »Tu stoję ja! Nie mogę inaczej!«

---

## 147.

Pytanie i odpowiedź. — Co przejmują nasamprzód od Europejczyków dzikie ludy? Wódkę,

chrześcijaństwo, europejskie narkotyki. — A od czego giną najprędzej? — Od europejskich narkotyków.

---

148.

Gdzie powstają reformacje. — W czasach wielkiego zepsucia kościoła był kościół w Niemczech najmniej zepsuty: dlatego tu powstała reformacja, jako znak, że nawet początki zepsucia odczuwa się jako nieznośne. Stosunkowo bowiem żaden naród nie był nigdy bardziej chrześcijańskim, niż Niemcy w czasach Lutera: ich chrześcijańska kultura była właśnie gotowa rozwinąć się jak przepyszny kwiat — brakło tylko jeszcze jednej nocy; lecz ta przyniosła burzę, która wszystkiemu położyła kres.

---

149.

Niepowodzenie reformacji. — O wyższej kulturze Greków nawet w bardzo dawnych czasach świadczy to, że kilkakrotne usiłowania założenia nowych greckich religii spełzły na niczem; świadczy to, że już wcześniej istniała w Grecyi mnogość różnorodnych indywiduów, których różnorodne potrzeby nie dały się załatwić jednym i jedynym przepisem wiary i nadziei. Pitagoras i Platon, może i Empedokles, a już o wiele wcześniej orficcy marzyciele, dążyli do założenia nowych religii; a obaj najpierw wymienieni posiadali tak szczerze dusze i zdolności

---

religijnych prawodawców, że nie można się dość naziwić ich niepowodzeniu: doszli tylko do sekt. Każdym razem, gdzie nie udaje się reformacja całego narodu i tylko sekty głowę podnoszą, wolno wnioskować, że naród jest już w sobie bardzo różnorodny i zaczyna się wyzwałać z grubych instynktów stadnych i obyczajności obyczaju: pełen to znaczenia stan przejściowy, który zwykło się spotwarzać jako upadek obyczajów i zepsucie, gdy tymczasem zwiastuje on dojrzewanie jaja i blizkie pęknięcie skorupy. To, że reformacja Lutra udała się na północy, jest oznaką, że północ pozostała poza południem Europy i posiadała jeszcze bardzo jednorodne i jednobarwne potrzeby; i nie byłoby wogóle nastąpiło żadne schrzęścijanienie Europy, gdyby kultura starego południowego świata nie była się stopniowo zbarbaryzowała przez nadmierną domieszkę germańskiej barbarzyńskiej krwi i nie utraciła swojej kulturalnej przewagi. Im powszechniej i bezwarunkowiej działać może jednostka lub myśl jednostki, tem jednorodniejszy i tem niższy musi być tłum, na który się działa: gdy tymczasem usiłowania przeciwne zdradzają przeciwne potrzeby wewnętrzne, które też siebie zadowolić pragną i odnieść zwycięstwo. Odwrotnie można przypuszczać zawsze istnienie prawdziwej wyżyny kulturalnej, jeśli potężne i żądne władzy natury osiągają tylko drobny i sekciarski skutek: to samo stosuje się do sztuk i różnych dziedzin poznania. Gdzie panowanie, tam istnieją tłumy: gdzie tłumy, tam istnieje potrzeba niewolnictwa. Gdzie istnieje niewolnictwo, tam jest niewiele tylko indywidualów, a te mają przeciw sobie instynkty stadne i sumienie.

---

---

## 150.

Z krytyki świętych. — Aby mieć jakąś cnotę, trzebaż chcieć mieć ją w najbrutalniejszej jej formie? — jak to było chęcią i potrzebą chrześcijańskich świętych: którzy z nosili życie tylko z tą myślą, by na widok ich cnoty każdego opadała pogarda samego siebie. Lecz cnotę, która w ten działa sposób, nazywam brutalną.

---

## 151.

O źródle religii. — Metafizyczna potrzeba nie jest źródłem religii, jak chce Schopenhauer, lecz jej późniejszą odroślą. Pod władzą religijnych myśli przyzwyczajono się do wyobrażenia »innego (tylnego, górnego, dolnego) świata« a wobec zniszczenia religijnego obłędu czuje się niemiłą próżnię i brak — i oto wyrasta z tego uczucia znów »inny świat«, lecz teraz już metafizyczny tylko a nie religijny. Lecz to, co w pryncypjach do wytworzenia sobie innego świata wogóle prowadziło, nie było popędem i potrzebą, jeno błędem w wykładzie pewnych przebiegów naturalnych, zakłopotaniem umysłu.

---

## 152.

Największa zmiana. — Oświetlenie i barwy wszystkich rzeczy zmieniły się! Nie rozumiemy już

dokładnie, jak ludzie dawni odczuwali to, co najbliższe i najczęstsze — na przykład dzień i jawę: ponieważ starożytni wierzyli w sny, miało życie na jawie inne światła. A tak samo całe życie z odbłaskiem śmierci i jej znaczeniem: nasza »śmierć« jest zupełnie inną śmiercią. Wszystkie wydarzenia przeżyte lśniły inaczej, ponieważ błyszczał z nich Bóg; wszystkie postanowienia i widoki dalekiej przyszłości również: ponieważ posiadano wyrocznie i tajemne wskazy i wierzono w przepowiednie. »Prawdę« odczuwano inaczej, ponieważ obłąkany mógł ongiś uchodzić za narzędzie jej głosu — co nas przejmuje grozą lub śmiechem. Każda nieprawość działała inaczej na uczucie: bo obawiano się boskiej odpłaty, nie tylko zaś kary obywatelskiej i utraty czci. Czem była radość w czasie, gdy wierzono w dyabła i kusiciela! Czem namiętność, gdy widziano czatujących w pobliżu demonów! Czem filozofia, kiedy wątpliwość odczuwano jako najniebezpieczniejszego rodzaju grzech, a mianowicie jako zbrodnię przeciw wiecznej miłości, jako nieufność przeciw wszystkiemu, co było dobre, wysokie, czyste i łaskawe! — Ubarwiliśmy te rzeczy na nowo, i wciąż je malujemy — lecz cóż możemy my dzisiejsi wobec barw przepychu owej dawnej mistrzyni! — mam na myśli dawną ludzkość.

*Homo poeta.* — »Ja sam, który najwłaśniej wykonałem tę tragedję nad tragedjami, o ile jest gotowa; ja, który węzeł moralności dopiero wpl-

tlęciem w istnienie i tak zacisnąłem, że tylko bóg jakiś rozwiązać go może — tak przecie żąda Horacy! —, ja sam obaliłem teraz w czwartym akcie wszystkich bogów — z moralności! Cóż teraz stanie się z aktem piątym! Skąd wziąć teraz tragiczne rozwiązanie! — Mamże zacząć rozmyślać nad »rozwiązaniem komycznym«?

## 154.

Rozmaite niebezpieczeństwa życia. — Nie wiecie wcale, co przeżywacie, biegniecie jak pijani przez życie i spadacie co pewien czas z jakichś schodów. Lecz, dzięki waszemu upojeniu, nie łamięcie jednak przytem waszych członków: mięśnie wasze są zbyt mdłe, a głowa wasza zbyt ciemna, żebyście czuli, że kamienie tych schodów są tak twarde, jak to my inni czujemy! Dla nas jest życie większem niebezpieczeństwem: jesteśmy ze szkła — biada, jeśli się potrącimy! Wszystko zaś przepadło, jeśli upadniemy!

## 155.

Czego nam brak. — Kochamy wielką przyrodę i odkryliśmy ją: pochodzi to stąd, że w głowach naszych braknie wielkich ludzi. Przeciwnie Grecy: ich poczucie przyrody było inne niż nasze.

156.

Najbardziej wpływowy. — Że człowiek jakiś opiera się całemu swemu czasowi, wstrzymuje go u bramy i do odpowiedzialności pociąga, to musi wywierać wpływ! Czy chce tego, to obojętne; rzecz w tem, że to może.

---

157.

*Mentiri.* — Bacność! — on rozmyśla: wnet będzie kłamstwo gotowe. To jest stopień kultury, na którym stały całe narody. Rozważmy więc, co Rzymianie wyrażali słowem *mentiri*.

---

158.

Niewygodna właściwość. — Wszystkie rzeczy znajdować głębokimi — to niewygodna właściwość: sprawia ona, że wyteęza się ustawicznie oczy a wkońcu widzi się zawsze więcej, niż się życzyło.

---

159.

Każda cnota w swoim czasie. — Kto teraz jest nieugięty, temu rzetelność jego sprawia

często wyrzuty sumienia: bo nieugiętość jest cnotą innego okresu, jak rzetelność.

---

---

160.

W obcowaniu z cnotami. — Można być i przed cnotą bez godności i pochlebcą.

---

---

161.

Do miłośników czasu. — Zbiegły ksiądz i wypuszczony skazaniec stroją ustawicznie miny: chcą mieć minę bez przeszłości. — Lecz czyście widzieli już ludzi, którzy wiedzą, że przyszłość odzwierciedla się w ich twarzy, a którzy są tak uprzejmi względem was, miłośnicy »czasu«, że stroją minę bez przeszłości?

---

---

162.

Egoizm. — Egoizm jest perspektywicznym prawem odczuwania, wedle którego to, co najbliższe, wydaje się wielkiem i ciężkiem: gdy tymczasem w miarę oddalania wszystkie rzeczy tracą na wielkości i wadze.

---

---

163.

Po wielkiem zwycięstwie. — Najlepszem w wielkiem zwycięstwie jest to, że odbiera ono zwycięzcy lęk przed klęską. »Czemużby też raz nie przegrać? — mówi sobie: jestem teraz dość na to bogaty«.

---



---

164.

Szukający spokoju. — Poznają duchy szukające spokoju po wielu ciemnych przedmiotach, które ustawiają wokół siebie: kto spać chce, zaciemnia swój pokój lub wchodzi w jaskinię. — Wskazówka dla tych, którzy nie wiedzą, czego właściwie najbardziej szukają, a wiedziećby to chcieli!

---



---

165.

O szczęściu wyrzekających się. — Kto sobie czegoś zasadniczo i na przeciąg długiego czasu odmawia, ten spotkawszy to samo przypadkiem na nowo, mniemać będzie, że je odkrył — a jakiegoż szczęścia każdy doznaje odkrywca! Bądźmy mędrsi niż węże, które za długo w tem samym leżą słońcu.

---



---

166.

Zawsze w swoim towarzystwie. — Wszystko, co jest mi pokrewne, w przyrodzie i historii, przemawia do mnie, chwali mnie, popycha mnie naprzód, pociesza mnie — : wszystkiego innego nie słyszę lub zapominam wnet. Jesteśmy ciągle tylko w swoim towarzystwie.

---

167.

Mizantropia i miłość. — Tylko wtedy mówi się o tem, że się ma ludzi do syta, gdy ich już strawić nie można a przecie ma się jeszcze pełny ich żołądek. Mizantropia jest skutkiem nazbyt łakomej miłości ludzi i »ludożerstwa« — lecz któż też ci kazał połykać ludzi, jak ostrygi, mój książe Hamlecie?

---

168.

O chorym. — »Źle z nim!« — Na czem mu zbywa? — »Cierpi na żądzę, by być chwalonym, a nie znajduje dla niej pokarmu«. — Niepojęte! cały świat czci go i nosi go nie tylko na rękach ale i na ustach! — »Tak, lecz on słyszy fałszywie pochwałę. Jeśli go chwali przyjaciel, brzmi mu to, jak gdyby ten sam siebie chwalił; chwali go nieprzyjaciel, brzmi mu to, jak gdyby ten chciał za to być chwalonym; chwali go wreszcie ktoś z pozostałych — pozostaje wcale

nie wielu, tak jest sławny! —, to obraża go to, że nie chce się go mieć ani za przyjaciela, ani za nie-  
 przyjaciela; zwykł mówić: »Cóż mi zależy na kimś,  
 który może nawet wobec mnie odgrywać sprawied-  
 liwego!«

---

169.

J a w n i w r o g o w i e. — Waleczność wobec  
 wroga jest czemś dla siebie: mimo to można być  
 zawsze jeszcze tchórzem i niezdecydowańcem bez  
 głowy. Tak sądził Napoleon o »najwaleczniejszym  
 człowieku«, którego znał, o Murat — z czego wynika,  
 że jawni wrogowie są niezbędni dla niektórych ludzi,  
 jeśli ci wznieść się mają do swojej cnoty, swojej  
 męskości i pogody.

---

170.

Z t ł u m e m. — Biega on dotychczas za tłumem  
 i jest jego chwalcą: lecz pewnego dnia stanie się  
 jego przeciwnikiem! Bo kroczy za tłumem w wierze,  
 że gnuśność jego dobrze na tem wyjdzie: nie prze-  
 konał się jeszcze, że tłum nie dość jest gnuśnym dla  
 niego! że prze ciągle naprzód! że nie pozwala ni-  
 komu przystawać! — A on tak chętnie przystaje!

---

171.

Sława. — Jeśli wdzięczność wielu dla jednego wyzbędzie się wszelkiego wstydu, wówczas powstaje sława.

---

172.

Psowacz smaku. — *A*: »Psujesz smak! — tak mówią wszędzie«. *B*: »Niewątpliwie! Psuję każdemu smak dla jego partyi — tego mi żadna nie wybaczy partya«.

---

173.

Być głębokim i zdawać się głębokim. — Kto wie, że jest głębokim, stara się o jasność. Kto chce tłumowi zdawać się głębokim, stara się o ciemność. Bo tłum uważa za głębokie wszystko, czego dna zobaczyć nie może: jest tak trwożliwy i tak niechętnie wchodzi do wody.

---

174.

Na uboczu. — Parlamentaryzm, to jest publiczne pozwolenie wyboru pomiędzy pięciu zasadniczymi mniemaniami, pochlebia tym licznym, którzyby chętnie chcieli zdawać się samoistnymi i indywi-

dualnymi i walczyć o swoje mniemania. Ostatecznie jednak obojętnem jest, czy nakazuje się stado jedno mniemanie, czy mu się na pięć mniemań pozwala, — kto od tych pięciu publicznych mniemań zboczy i na uboczu stanie, ma zawsze całe stado przeciw sobie.

---

## 175.

O wymowności. — Kto posiadał dotąd najbardziej przekonującą wymowność? Bicie w bębny: i dopóki królowie mają je w swej mocy, dopóty są najlepszymi mowcami i podżegaczami ludu.

---

## 176.

Współczucie. — Ci biedni panujący książęta! Wszystkie ich prawa zmieniają się teraz niespodzianie w roszczenia a wszystkie te roszczenia brzmią wnet jak uroszczenia! I jeśli tylko mówią »My« lub »mój naród«, to śmieje się już stara, złośliwa Europa. Prawdziwie, naczelny mistrz ceremonii współczesnego świata robiłby niewiele z nimi ceremonii; możeby zawyrokował: *»les souverains rangent aux parvenus«*.

---

## 177.

W sprawie »wychowania«. — W Niemczech brak wyższemu człowiekowi wielkiego środka

wychowawczego: śmiechu wyższych ludzi; ci nie śmieją się w Niemczech.

---



---

178.

Dla moralnego oświecenia. — Trzeba Niemcom wybić z głowy ich Mefistofelesa: i ich Fausta w dodatku. Są to dwa moralne przesady wrogie wartości poznania.

---



---

179.

Myśli. — Myśli są cieniami naszych uczuć — zawsze ciemniejsze, pustsze, prostsze od nich.

---



---

180.

Dobre czasy wolnych duchów. — Wolne duchy pozwalają sobie na wolność także wobec wiedzy — a na razie pozwala się im także na nią —, dopóty — dopóki kościół jeszcze stoi! O tyle mają teraz swoje dobre czasy.

---



---

181.

Chodzenie śladem i poprzedzanie. —  
A: »Z dwóch będzie zawsze jeden chodził śladem,

drugi będzie zawsze poprzedzał, dokądkolwiek los ich powiedzie. A jednak pierwszy stoi ponad tamtym, wedle cnoty swej i ducha swego!» — *B*: »A jednak? A jednak? To mówisz dla tamtych, nie dla mnie, nie dla mnie! — *Fit secundum regulam*«.

---

182.

W samotności. — Jeśli się żyje samotnie, to nie mówi się zbyt głośno, nie pisze się zbyt głośno, bo człowiek boi się pustego pogłosu — krytyki nimfy Echo. — A wszystkie głosy inaczej dzwonią w samotności.

---

183.

Muzyka najlepszej przyszłości. — Największym muzykiem byłby dla mnie ten, któryby znał tylko smutek najgłębszego szczęścia i nie znał żadnego smutku poza tem: takiego nie było dotychczas.

---

184.

Sprawiedliwość. — Lepiej dawać się okradać, niż mieć wkoło siebie strasydła na ptaki — mój smak. I jest to w każdym razie rzeczą smaku — i nic więcej!

---

185.

U bogi. — Jest dziś ubogim: lecz nie dlatego, że mu wszystko wzięli, jeno dlatego, że wszystko precz rzucił — cóż mu po tem! Przywykł z n a j d y w a ć. — To ubodzy źle rozumieją jego dobrowolne ubóstwo.

186.

Nieczyste sumienie. — Wszystko, co teraz czyni jest prawe i zwyczajne — a jednak ma on przytem nieczyste sumienie. Bo to, co nadzwyczajne, jest jego zadaniem.

187.

Co obraża w wykładzie. — Artysta ten obraża mnie sposobem, w jaki wyklada swe pomysły: tak obszernie, tak wyraźnie i tak grubemi przekonywania zręcznościami, jak gdyby do motłochu mówił. Jesteśmy zawsze po pewnym czasie, użyczonym jego sztuce, jak gdyby w »złem towarzystwie«.

188.

Praca. — Jak blizką jest teraz nawet najbezczywniejszemu z nas praca i robotnik! Królewska uprzejmość w słowie »wszyscy jesteśmy robotnikami!«

byłaby jeszcze za Ludwika Czternastego cynizmem i bezwstydem.

189.

Myśliciel. — Jest myślicielem: to znaczy umie rzeczy brać prościej niż są.

190.

Przeciw chwalcóm. — *A*: »Chwałą nas tylko nasi równi!« *B*: »Tak! a kto cię chwali, mówi ci: jesteś mi równy!«

191.

Przeciw niejednej obronie. — Najbardziej zdradzieckim sposobem szkodzenia jakiejś sprawie jest bronić jej z umysłu błędnymi argumentami.

192.

Dobroduszni. — Co odróżnia owych dobrodusznych, którym życzliwość promienieje z twarzy, od innych ludzi? Jest im dobrze w obecności jakiejś nowej osoby i są w niej wnet zakochani; sprzyjają jej za to, ich pierwszym sądem jest: »podoba mi się«.

Następuje u nich po sobie: życzenie i przywłaszczenie (nie wiele sobie robią skrupułu co do wartości drugiego), szybkie przywłaszczenie, radość z posiadania i postępowanie na korzyść posiadanego.

---



---

193.

Dowcip Kanta. — Kant chciał w uderzający »cały świat« sposób dowieść, że »cały świat« ma słuszność: — był to tajemny dowcip tej duszy. Pisał przeciw uczonym na korzyść przesądu ludu, lecz dla uczonych a nie dla ludu.

---



---

194.

Człowiek »otwartego serca«. — Ów człowiek postępuje prawdopodobnie zawsze wedle utajonych zasad: bo nosi zawsze przystępne zasady na języku i nieomal w otwartej ręce.

---



---

195.

Śmiech bierze! — Patrzcie! Patrzcie! Biegnie precz od ludzi —: ci jednak biegną za nim, ponieważ on biegnie przed nimi, — ależ bo są też stadem!

---



---

196.

Granica naszego słuchu. — Słyszysz tylko te pytania, na które jest się w mocy znaleźć odpowiedź.

---



---

197.

Przeto baczność! — Niczego nie udzielamy tak chętnie drugim jak pieczęci tajemnicy — wraz z tem, co pod nią.

---



---

198.

Przykrość dumnego. — Dumnemu sprawiają przykrość nawet ci, którzy go naprzód posuwają: z gniewem patrzy na konie swego wozu.

---



---

199.

Szczodrość. — Szczodrość jest u bogatych często tylko rodzajem nieśmiałości.

---



---

200.

Śmiech. — Śmiać się znaczy: cieszyć się z cudzej szkody, lecz z czystym sumieniem.

---



---

## 201.

Pochwała. — W pochwie jest zawsze pewnego rodzaju zgiełk: nawet w pochwie, którą oddajemy samym sobie.

---

## 202.

Marnotrawca. — Nie jest on jeszcze tak ubogi, jak ów bogacz, który cały swój skarb już raz przeliczył, — marnotrawi ducha swego z nierozumem marnotrawczyni przyrody.

---

## 203.

*Hic niger est.* — Zazwyczaj nie ma on żadnej myśli — lecz czasami, jako wyjątek, przychodzą mu złe myśli.

---

## 204.

Żebrak i dworność. — »Nie jest się niegrzecznym, jeśli się stuka kamieniem do drzwi, u których brak dzwonka«, — tak myślą żebracy i potrzebujący wszelkiego rodzaju; lecz nikt nie przyznaje im słuszności.

---

## 205.

Potrzeba. — Potrzeba uchodzi za przyczynę powstawania: w rzeczywistości jest ona często tylko skutkiem tego, co powstało.

---

## 206.

Podczas deszczu. — Deszcz pada i myślę o biednych ludziach, którzy się teraz tłoczą do kupy, z swemi licznymi troskami, nie wćwiczeni do ich ukrywania, więc każdy gotów i pełen dobrej woli zadawać ból drugiemu i sprawiać sobie nawet przy niepogodzie mizerny rodzaj przyjemności. — To, tylko to jest ubóstwem ubogich!

---

## 207.

Zazdrośnik. — Oto zazdrośnik — nie należy mu życzyć dzieci; zazdrościłby im, ponieważ nie może stać się już dzieckiem.

---

## 208.

Wielki mąż! — Z tego, że ktoś jest »wielkim mężem«, nie koniecznie jeszcze wynika, że jest mężem; może jest on tylko chłopcem, lub kameleonem wszystkich wieków życia, lub zaczarowaną samicą.

---

209.

Pewien rodzaj pytania o uzasadnienie. — Istnieje sposób pytania nas o nasze uzasadnienia, wobec którego zapominamy nie tylko o naszych najlepszych uzasadnieniach, lecz także czujemy budzącą się w nas przekorę i odrazę do uzasadnień wogóle: — bardzo ogłupiający sposób pytania i nielada fortel ludzi o tyrańskich skłonnościach.

---



---

210.

Miara pilności. — Nie należy chcieć przewyższyć pilności swego ojca — to przyprawia o chorobę.

---



---

211.

Tajni wrogowie. — Móżdź sobie tajnego utrzymywać wroga — to zbytek, na który moralność nawet wysoko nastrojonych duchów nie bywa zazwyczaj dość bogatą.

---



---

212.

Pozory ładu. — Umysł jego ma złe maniery, jest skwapliwy i jąka się z niecierpliwości: więc trudno przeczuć, w jakiej duszy o długim oddechu i szerokiej piersi jest u siebie.

---



---

Droga do szczęścia. — Pewien mędrzec zapytał błazna, jaka jest droga do szczęścia. Ten odparł bez zwłoki, jak ktoś, którego pytają o drogę do najbliższego miasta: »Podziwiaj samego siebie i żyj na ulicy!« »Stój, zawołał mędrzec, wymagasz za wiele, wystarczy już podziwiać samego siebie!« Błazen odparł: »Lecz jakże można podziwiać się nieustannie, nie pogardzając nieustannie?«

---

Wiara uszczęśliwia. — Cnota daje szczęście i pewnego rodzaju błogość tylko tym, którzy mają silną wiarę w swą cnotę: — lecz nie owym subtelniejszym duszom, których cnota polega na głębokiej nieufności ku sobie i ku wszelkiej cnotie. Ostatecznie więc i tutaj »wiara uszczęśliwia!« — a nie, zważcie dobrze, cnota.

---

Ideał i materiał. — Masz tu dostojny przed oczyma ideał: lecz czy i ty jesteś tak dostojnym materiałem, by mógł powstać z ciebie taki obraz boski? A bez tego — czyż nie jest cała robota twoja barbarzyńskim rzeźbiarstwem? Lżeniem swego ideału?

---

216.

Niebezpieczeństwo w głosie. — Mając zbyt donośny głos w gardle, niepodobna prawie myśleć o rzeczach subtelných.

---

217.

Przyczyna i skutek. — Przed skutkiem wierzy się w inne przyczyny, jak po skutku.

---

218.

Moja antypatya. — Nie lubię ludzi, którzy, by wywierać działanie, muszą pękać podobnie bombom, i w których bliży jest się zawsze w niebezpieczeństwie postradania słuchu — lub jeszcze czegoś.

---

219.

Cel kary. — »Celem kary jest poprawa tego, który karze«, — oto ostatnia ucieczka obrońców kary.

---

220.

Ofiara. — O ofierze i ofiarowaniu myślą zwierzęta ofiarne inaczej niż widzowie: lecz nie pozwalano im oddawna dojść do słowa.

---

## 221.

Szacunek. — Ojcowie i synowie szanują się daleko więcej między sobą, niż matki i córki.

---

## 222.

Poeta i kłamca. — Poeta widzi w kłamcy swego mlecznego brata, któremu wypił ukradkiem mleko; tak więc pozostał ów nędznym i nie doszedł nawet do czystego sumienia.

---

## 223.

Wikaryat zmysłów. — I oczy są do słuchania, — rzekł pewien stary spowiednik, który ogłuchł; a pośród ślepców jest ten królem, kto ma najdłuższe uszy.

---

## 224.

Krytyka zwierząt. — Lękam się, że zwierzęta uważają człowieka za istotę sobie równą, która sposobem bardzo niebezpiecznym straciła zdrowy rozum zwierzęcy, — za zwierzę niespełna rozumu, za śmiejące się zwierzę, za płaczące zwierzę, za nie-szczesne zwierzę.

---

225.

Naturalni. — »Zło wywierało zawsze wielkie wrażenie! a natura jest złą! Bądźmy więc naturalni« — tak wnioskuje tajemnie wielcy ścigacze wrażenia wśród ludzkości, których się nazbyt często do wielkich zaliczało ludzi.

226.

Nieufni i styl. — Mówimy najsilniejsze rzeczy po prostu, pod warunkiem, że są wokoło nas ludzie, którzy wierzą w naszą siłę: takie otoczenie kształci »styl prosty«. Nieufni mówią emfatycznie, nieufni czynią emfatycznymi.

227.

Chybiony wniosek, chybiony strzał. — Nie może on owładnąć sobą: i z tego wnosi owa kobieta, że będzie łatwo nim owładnąć i zarzuca na niego swe sieci; — biedaczka, wkrótce stanie się jego niewolnicą.

228.

Przeciw pośrednikom. — Kto chce pośredniczyć między dwoma odważnymi myślicielami, piętnowany jest miernością: nie ma oczu po temu,

by widzieć jednokrotność; widzenie podobieństw i upodabnianie jest oznaką słabych oczu.

---

229.

Przekora i wierność. — Z przekory trzyma się on jakiejś rzeczy, którą na wskroś przeziiera, — nazywa to jednak »wiernością«.

---

230.

Brak umiejętności milczenia. — Cała jego istota nie przemawia do przekonania — pochodzi to stąd, że nie przemilczał nigdy żadnej dobroczynności, którą spełnił.

---

231.

Gruntowni. — Powolni w poznaniu mniemają, że powolność właściwa jest poznaniu.

---

232.

Śnić. — Albo nie śnić wcale albo zajmująco. Trzeba się nauczyć tak samo czuwać: — wcale nie lub zajmująco.

---

233.

Najniebezpieczniejszy punkt widzenia. — To, co teraz czynię lub czego poniecham, jest dla wszystkiego, co przyjdzie tak ważne, jak największe wydarzenie przyszłości: z tej olbrzymiej perspektywy oddziaływania są wszystkie czynności jednakowo wielkie i małe.

234.

Pocieszająca mowa muzykanta. — »Życie twe nie dzwoni ludziom w uszy: dla nich żyjesz życiem niemem, a wszelka subtelność melodyi, wszelki delikatniejszy pomysł kolejności i następstwa pozostaje dla nich skrytym. Prawda: nie przechodzisz szeroką ulicą z muzyką pułkową — lecz przeto nie mają ci dobrzy przecie żadnego prawa mówić, że sposobowi twego życia zbywa na muzyce. Kto ma uszy, niech słucha«.

235.

Duch i charakter. — Niejeden dosięga szczytu dzięki charakterowi, lecz duch jego nie jest właśnie do tej wyżyny dostosowany — a piejeden odwrotnie.

By tłum poruszyć. — Czyż ten, kto chce tłum poruszyć, nie musi być aktorem względem samego siebie? Czyż nie musi samemu sobie wpierw nadać groteskowej wyrazistości i całą swą osobę i sprawę przedstawiać w tem pogrubieniu i uproszczeniu?

---

Uprzejmy. — »Jest on tak uprzejmy!« — Tak, ma zawsze przy sobie placek dla Cerbera a jest tak bojaźliwy, że każdego za Cerbera uważa, i ciebie i mnie — to jest jego »uprzejmość«.

---

Niezawistny. — Pozbawiony jest zawiści, lecz niema w tem jego zasługi: ponieważ chce zdobyć kraj, którego nikt jeszcze nie posiadał i nikt też nawet nie widział.

---

Bezradosny. — Jedyne bezradosny człowiek wystarczy już, by całemu domostwu nadać trwałą ponurość i posępne niebo; i tylko cudem dzieje się,

że tego jednego brak! — Szczęście jest daleko mniej zaraźliwą chorobą — skąd to pochodzi?

---

240.

N a d m o r z e m. — Nie zbudowałbym sobie domu (i potrzebne to jest nawet do mego szczęścia żebym nie był właścicielem domu!), gdybym jednak musiał, tobym wbudował go, jak niejeden Rzymianin, aż w morze — miałbym ja z tym pięknym potworem niejedną tajemnicę wspólną.

---

241.

Dzieło i artysta. — Artysta ten jest ambitny i nic więcej: wkońcu jest dzieło jego tylko powiększającym szkłem, które ofiaruje każdemu, kto ku niemu spogląda.

---

242.

*Summum cuique.* — Aczkolwiek wielką jest moja chciwość wiedzy: to nie mogę wydobyć z rzeczy nic innego nad to, co już do mnie należy, — posiadanie innych ostaje w rzeczach. Jakże to możliwe, by człowiek był złodziejem i rabusiem!

243.

Początek »dobra« i »zła«. — Coś lepszego  
wyszukacie tylko ten, kto potrafi czuć: »to nie jest  
dobre«.

---

244.

Myśli i słowa. — I swoich myśli nie można  
zupełnie oddać w słowach.

---

245.

Pochwała w wyborze. — Artysta wybiera  
swoje tematy: jest to jego sposób pochwały.

---

246.

Matematyka. — Chcemy dokładność i ścis-  
łość matematyki wprowadzić we wszystkie umiejęt-  
ności, o ile to tylko jest gdzieś możliwe; nie żebyśmy  
przypuszczali, że na tej drodze rzeczy poznamy, lecz  
by przez to ustalić nasz ludzki do rzeczy stosunek.  
Matematyka jest tylko środkiem do powszechnej i osta-  
tecznej znajomości ludzi.

---

247.

Na wyknie nie. — Wszelkie nawyknie nie czyni rękę naszą dowcipniejszą a dowcip nasz mniej rączym.

---

248.

Książki. — Cóż zależy na książce, która nas nawet nie unosi precz od wszystkich książek.

---

249.

Westchnienie poznającego. — »Och, ty chciwości moja! — W duszy tej nie mieszka wcale bezosobistość — raczej pożądana wszystkiego osobistość, któraby chciała przez wiele indywiduów pa-  
trzeć jak przez swoje oczy i chwycić jakby swemi rękoma, — nawracająca jeszcze nawet po zagarnienie przeszłości osobistość, która niczego stracić nie chce, coby do niej wogóle należeć mogło! O ty płomieniu mej chciwości! och, móż się odrodzić w stu istotach!« — Kto nie zna westchnień tych z doświadczenia, nie zna też namiętności poznającego.

---

250.

Wina. — Chociaż najbystrzejsi sędziowie czarownic a nawet czarownice same przekonane były

o winie czarownictwa, mimo to wina nie istniała. Tak ma się rzecz z wszelką winą.

## 251.

Zaniepoznani cierpiący. — Wspaniałe natury cierpią inaczej niż to sobie wyobrażają ich czciciele: cierpią najsrożej z powodu nieszlachetnych, małostkowych wzburzeń niejednej złej chwili, słowem z powodu zwątpień w własną wspaniałość — nie zaś z powodu ofiar i męczeństw, których od nich zadanie ich żąda. Dopóki Prometeusz lituje się nad ludźmi i ofiaruje się za nich, jest szczęśliwy i wielki w sobie; lecz gdy zazdrosnym się staje o Zeusa i o hołdy, które składają mu śmiertelni, — wtedy cierpi!

## 252.

Raczej być winnym. — »Raczej winnym pozostać, niż płacić pieniądzem, który nie nasz obraz nosi!« — tego żąda nasza samowładcza udzielność.

## 253.

Zawsze w domu. — Pewnego dnia osiągamy swój cel i wtedy z dumą zwracamy uwagę na długie podróże, któreśmy dlań odbyli. W rzeczywistości

nie zauważyliśmy, żeśmy podróżowali. Właśnie dlatego doszliśmy tak daleko, iż na każdym miejscu mniemaliśmy, żeśmy w domu.

---

254.

Przeciw zakłopotaniu. — Kto zawsze jest głęboko zajęty, jest hen ponad wszelkiem zakłopotaniem.

---

255.

Naśladowcy. — *A*: »Jako? Nie chcesz żadnych naśladowców?« *B*: »Nie chcę, by mnie w czemś naśladowano; chcę, by każdy chadzał śladem swej własnej ułudy, tak samo, jak ja to czynię«. *A*: »Więc?« —

---

256.

Naskórkowość. — Wszyscy ludzie głębcy pokładają szczęśliwość swą w tem, by być raz podobnymi do ryb latających i igrać na najwyższych szczytach fal; jako najlepsze cenią w rzeczach to, że posiadają one powierzchnię: swą naskórkowość — *sit venia verbo*.

---

257.

Z doświadczenia. — Niejeden nie wie, jak jest bogatym, aż doświadczy, co za bogaci ludzie okradają go.

---

258.

Przeczyciele przypadku. — Żaden zwycięzca nie wierzy w przypadek.

---

259.

Z raju. — »Dobro i zło są przesądami Boga« — rzekł wąż.

---

260.

Tabliczka mnożenia. — Jeden nie ma nigdy słuszności: lecz od dwóch zaczyna się prawda. — Jeden nie może się dowieść: lecz dwóch nie można już zbić.

---

261.

Oryginalność. — Co to jest oryginalność? Coś widzieć, co jeszcze żadnego nie ma miana,

jeszcze nazwanem być nie może, jakkolwiek leży przed oczami wszystkich. Tacy już zwyczajnie są ludzie, że dopiero miano czyni im jakąś rzecz wogóle widzialną. — Oryginalni byli też przeważnie nadawcami mian.

---

262.

*Sub specie aeterni.* — *A:* »Oddalasz się coraz szybciej od żyjących: wnet wykreślą cię z list swoich!« — *B:* »Jest to jedyny sposób, by uczestniczyć w przywileju zmarłych«. — *A:* »W jakim przywileju?« — *B:* »Że już nie można umrzeć«.

---

263.

Bez próżności. — Jeśli kochamy, to pragniemy, by braki nasze pozostały w ukryciu, — nie z próżności, lecz aby nie cierpiała istota kochana. Tak, kochający chciałby uchodzić za Boga, — i to też nie z próżności.

---

264.

Co czynimy. — To, co czynimy, nie jest nigdy rozumiane, jeno chwalone lub ganione.

---

265.

Największy sceptycyzm. — Czemże są ostatecznie prawdy ludzkie? — Są to niedające się zbić błędy ludzkie.

---



---

266.

Gdzie okrucieństwa potrzeba. — Kto jest wielki, jest okrutnym dla swoich cnót i względów drugorzędnych.

---



---

267.

Mając cel wielki. — Mając cel wielki, jest się nawet ponad sprawiedliwością, nie tylko ponad swymi czynami i sędziami swymi.

---



---

268.

Co czyni bohatera? — Iść naprzeciw zarazem najwyższemu swemu cierpieniu i najwyższej swej nadziei.

---



---

269.

W co wierzysz? — W to: że wagi wszystkich rzeczy na nowo trzeba oznaczyć.

---



---

270.

Co mówi ci sumienie? — »Winienesz stać się tym, kim jesteś«.

---



---

271.

W czym leżą największe twe niebezpieczeństwa? — W litości.

---



---

272.

Co kochasz w innych? — Swoje nadzieje.

---



---

273.

Kogo nazywasz złym? — Tego, który chce zawsze zawstydząć.

---



---

274.

Co wydaje ci się najbardziej ludz-  
kiem? — Oszczędzać komuś wstydu.

---



---

275.

Co jest pieczęcią osiągniętej wol-  
ności? — Przestać wstydzić się samego siebie.

---



---



## KSIEGA CZWARTA.

### SANCTUS JANUARIUS.

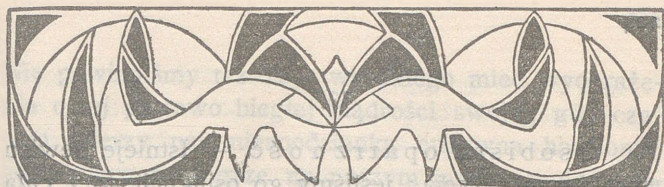
O ty, którego miecz płomienny  
W kry rozbił mojej duszy lód,  
Że mknie ku toni mórz bezdennej  
W najwyższych swych nadziei cud :  
Jaśniejsza codzien, zdrowsza żwawiej,  
Choć ją miłosny pęta mus,  
Wolna : — więc cuda twoje sławi,  
O sanctus Januarius !

Co wyście ci się najbardziej lubi-  
liście? — Oszczędną komas wstydu.

Co jest pięczeniem osiągniętej wol-  
ności? — KSIĘGA CZWARTA

### SANCTUS JANUARIUS.

O ty, święty młock piosenny  
W tym wroble mojej duszy jedy,  
Za młotem tu toż mój bębenek  
W najczystszych swych notach ciesz:  
Jestemże cętych, zbrojenia kwiecist,  
Ciepło ja młotem pędz mam,  
Wolno: — widać cędy twój sław,  
O sanctus Januaries!



Na nowy rok. — Żyję jeszcze, myślę jeszcze: muszę jeszcze żyć, bo muszę jeszcze myśleć. *Sum, ergo cogito: cogito, ergo sum.* Dziś pozwala sobie każdy wypowiedzieć swe życzenia i najukochańsze myśli: więc i ja chcę też powiedzieć, czego dziś sobie życzyłem od siebie samego i jaka mi myśl tego roku nasamprzód przez serce przebiegła, — jaka myśl ma mi być podstawą, poręką i słodyczą całego dalszego życia! Chcę uczyć się coraz więcej, to, co konieczne w rzeczach, widzieć jako piękne — tak stanę się jednym z tych, którzy rzeczy pięknymi czynią. *Amor fati*: to niechaj odtąd będzie mą miłością! Nie chcę prowadzić wcale wojny przeciw brzydocie. Nie chcę oskarżać, nie chcę oskarżać nawet oskarżyciela. O d-w-r-a-c-a-n-i-e o-c-z-u niech będzie mojem jedynem przeczeniem! A na ogół: chcę tylko jeszcze kiedyś być potwierdzicielem!

---

Osobista opatrność. — Istnieje pewien wysoki punkt życia: jeśliśmy go osiągnęli, to z całą naszą wolnością, choćbyśmy najbardziej nawet odmawiali pięknemu chaosowi istnienia pieczołowitego rozumu i dobroci, stajemy raz jeszcze wobec największego niebezpieczeństwa duchowej niewoli i mamy najcięższą wytrzymać próbę. Teraz bowiem zjawia się dopiero przed nami z natrętną siłą myśl o osobistej opatrności i ma za sobą najlepszego rzecznika, naczność, teraz, gdy widzimy jak na dłoni, że wszystko, wszystko, co nas spotyka, wychodzi nam na dobre. Życie każdego dnia i każdej godziny zdaje się nie pragnąć niczego, jak tylko zawsze na nowo dowodzić tego pewnika: cokolwiek się zdarzy, pogoda czy niepogoda, strata przyjaciela, choroba, potwarz, spóźnianie się listu, wywichnięcie nogi, spojrzenie rzucone w głąb kramu kupieckiego, przeciwwargument, otwarcie książki, sen, oszustwo: wszystko okazuje się natychmiast lub wkrótce potem jako rzecz, której »braknąć nie mogło«, — jest pełne głębokiego znaczenia i pożytku właśnie dla nas! Czyż istnieje niebezpieczniejsze uwodzicielstwo niż wypowiedzenie wiary bogom Epikura, owym beztroskim nieznanym i uwierzenie w jakieś zatroskane i małosłowne bóstwo, które nawet każdy włoski na naszej głowie zna osobiście i nie czuje wstrętu do najmizerniejszej posługi? Otóż — sądzę pomimo wszystko! że winniśmy zostawić w pokoju bogów i usłużne geniusze również, i zadowolić się przekonaniem, że nasza własna teoretyczna i praktyczna zręczność w wykładaniu i porządkowaniu wydarzeń doszła teraz do swego szczytu.

Nie powinniśmy też zbyt wysokiego mieć wyobrażenia o tej palcowo biegłej mądrości swojej, gdy czasem uderzy nas niespodzianką cudowna harmonia, powstająca przy grze na naszym instrumencie; harmonia brzmiąca zbyt pięknie, byśmy się ważyć mogli przypisać ją sobie samym. W istocie ktoś gra tu i ówdzie wraz z nami — luby przypadek: prowadzi nam przy sposobności dłoń a najmędrsza opatrność nie mogłaby piękniejszej wymyśleć muzyki nad tę, która udaje się wtedy naszej niemądrej dłoni.

278.

Myśl o śmierci. — Sprawia mi melancholijne szczęście żyć w pośrodku tego zamętu uliczek, potrzeb, głosów: ileż rozkoszy, niecierpliwości, pożądania, ileż tu spragnionego życia i upojenia życiem wychodzi na jaw każdej chwili! A jednak będzie wszystkim tym zgiełkującym, żyjącym, życia spragnionym wkrótce tak cicho! Za każdym stoi jego cień, jego ciemny towarzysz drogi! Jest to zawsze jakby ostatnia chwila przed odjazdem okrętu wychodzącego: ma się sobie wzajem więcej do powiedzenia, niż kiedykolwiek, godzina nagli, ocean i jego pustynne milczenie czekają niecierpliwie poza całym tym zgiełkiem — tak zachłanne, tak pewne swego łupu! A wszyscy, wszyscy mniemają, że Dotąd było niczem lub byle czem, że blizka przyszłość jest wszystkim: i stąd ten pośpiech, ta wrzawa, to przegłuszanie się i ubieganie! Każdy chce w tej przyszłości być pierwszym — a przecie śmierć i cisza śmiertelna jest je-

dyną pewnością i jedyną tej przyszłości wspólnotą! Jak dziwnie, że ta jedyna pewność i wspólnota nie ma żadnego prawie wpływu na tych ludzi i że najdalej są oni od świadomości bractwa śmierci! Szczęśliwy jestem widząc, że ludzie zupełnie myśleć nie chcą o myśli o śmierci. Chętnie przyczyniłbym się do tego, by im uczynić myśl o życiu po stokroć jeszcze godniejszą myślenia.

---

279.

Przyjaźń gwiezdna. — Byliśmy przyjaźni i staliśmy się sobie obcy. Lecz to słuszną i nie chcemy przed sobą tego ukrywać i zaciemniać, jak gdybyśmy się tego wstydzić mieli. Jesteśmy dwa okręty, z których każdy ma swój cel i swą drogę; możemy się skrzyżować i razem dzień święty święcić, jak to uczyniliśmy — i wtedy spoczywałybyśmy w jednej przystani i w jednym słońcu, iż mogło się zdawać, jakby już były u celu i jakby miały być cel jeden. Lecz wtedy wszechmocna potęga naszego zadania rozpędziła nas znowu, na różne morza i zwrotniki, i może nie zobaczymy się już nigdy — a może też zobaczymy się, lecz nie poznamy się już: różne morza i słońca przemieniły nas! Żeśmy obcy sobie stać się musieli, jest prawem ponad nami: właśnie dlatego winniśmy też stać się sobie czcigodniejszymi! Właśnie dlatego winna stać się świętszą myśl o naszej dawnej przyjaźni! Istnieje prawdopodobnie ogromna niewidzialna krzywa i kolej gwiezdna, w której nasze tak różne drogi i cele mieścić się mogą, jako

drobne przestrzenie — wznieśmy się do tej myśli! Lecz życie nasze jest krótkie a siła wzroku naszego słaba, byśmy czemś więcej być mogli, niż przyjaciółmi w znaczeniu owej wzniosłej możliwości. — Więc wierzymy w swoją przyjaźń gwiezdną, nawet gdybyśmy sobie wzajem być musieli nieprzyjaciółmi ziemskimi.

---

280.

Architektura poznających. — Potrzeba będzie kiedyś, i to prawdopodobnie wkrótce kiedyś, zrozumienia, czego przedewszystkiem brak naszym wielkim miastom: cichych i obszernych, w dal rozpostartych miejsc do rozmyślenia, miejsc o wysoko sklepionych długich krużgankach na wypadek niepogody lub zbytniego skwaru, dokąd nie przenika żgiełk wozów i wywoływaczy i gdzieby wytworniejsza przystojność zakazała nawet księżom głośnej modlitwy: budowli i ogrodów, które jako całość wyrażają wzniosłość namysłu i chodzenia uboczem. Minął czas, gdy kościół posiadał monopol rozmyślenia, gdy *vita contemplativa* musiała być wprzód zawsze *vita religiosa*; a wszystko, co kościół zbudował, tę myśl wyrażało. Nie wiem jakbyśmy mogli poprzestać na tych budowlach, nawet gdyby wyzwały się z swego kościelnego przeznaczenia; budowle te, jako domy Boga i strojne przybytki nadświatowego obcowania, mówią mową zbyt patetyczną i strwożoną, abyśmy, bezbożni, tam swojemi myślami myśleć mogli. Chcemy mieć siebie przetłumaczonych na kamień

i rośliny, chcemy przechadzać się w sobie, chodząc po tych salach i ogrodach.

## 281.

Umieć znaleźć koniec. — Pierwszorzędni mistrze dają się z tego poznać, że umieją, w wielkim jak w małym, w sposób doskonały znaleźć koniec, czy to koniec jakiejś melodyi czy myśli, czy to piąty akt tragedyi lub akcji państwowej. Najpierwsi niższego stopnia stają się zawsze ku końcowi niespokojni i nie opadają w tak dumnym, spokojnym spadku w morze, jak na przykład wzgórza koło Porto fino — tam, gdzie pobrzeże genueńskie dośpiewywa melodyę swą do końca.

## 282.

Chód. — Są maniere ducha, któremi i wielkie duchy zdradzają, że pochodzą z tłumu, lub półtłumu: — mianowicie chód i krok ich myśli jest ich zdrajcą: nie umieją chodzić. Tak też Napoleon ku głębokiemu swemu zmartwieniu nie umiał chodzić po książęcemu i »prawowicie« przy sposobnościach, gdzie właściwie umieć to trzeba, jak podczas procesyi koronacyjnych i rzeczy tym podobnych: i w tym wypadku był zawsze tylko dowódcą kolumny — dumnym i prędkim i bardzo tego świadomym. — Można się uśmieć, patrząc na tych pisarzy, którzy szeleszczą

wkoło siebie fałdzistemi szatami okresu: chcą w ten sposób zakryć swe nogi.

283.

Przygotowawcy. — Pozdrawiam wszystkie oznaki, które zwiastują, że zaczyna się czas bardziej męski i wojowniczy, który przedewszystkiem znów do czci przywróci waleczność! Albowiem winien utorować drogę jeszcze wyższemu czasowi i zgromadzić siły, których ów kiedyś potrzebować będzie, — ów wiek, który w poznanie wniesie heroizm i będzie toczył wojny gwoli myśli i ich następstwom. Do tego potrzeba teraz wielu przygotowawców, ludzi walecznych, którzy nie mogą przecie wyskoczyć z nicości — ani też z piasku i mułu dzisiejszej cywilizacji i wykształcenia wielkowiejskiego: ludzi, którzy umieją być milczący, samotni, zdecydowani, w niewidzialnej działalności zadowoleni i ciągli: ludzi, którzy skłonnością wewnętrzną we wszystkich rzeczach szukają tego, co w nich przez zwyciężyć trzeba: ludzi, którym pogoda, cierpliwość, prostota, pogarda wielkich próżności właściwą jest zarówno, jak wielkoduszność w zwycięstwie i wzgląd na małe próżności wszystkich zwyciężonych: ludzi z ostrym i wolnym sądem o wszystkich zwycięzcach i o udziale przypadku w każdym zwycięstwie i sławie: ludzi, którzy mają własne święta, własne dni pracy, własne czasy żałoby, nawykłych i pewnych w rozkazywaniu a zarazem gotowych, gdzie trzeba, słuchać, w jednym i drugim jednak dumnych, jednak swej własnej

służących sprawie: bardziej na niebezpieczeństwo wystawionych ludzi, straszliwszych ludzi, szczęśliwszych ludzi! Bo, wiercie mi! — tajemnica, by zebrać żniwo największego urodzaju i największej rozkoszy z istnienia, zwie się: *żyć niebezpiecznie!* Budujcie miasta swe na Wezuwiuszu! Wysyłajcie swe statki na niezbadane morza! Żyjcie w wojnie z równymi sobie i z samymi sobą. Bądźcie łupieżcami i zdobywcami, dopóki nie możecie być władcami i posiadaczami, wy poznający! Czas wkrótce minie, gdzie starczyć wam mogło, żyć skrycie w lesie, podobnie płochym jeleniom! Wkońcu poznanie wyciągnie dłoń po to, co mu się należy: będzie chciało *panować* i posiadać, a wy wraz z niem!

---

284.

Wiara w siebie. — Niewiele ludzi wogóle ma wiarę w siebie; — a z tych niewiele jedni otrzymują ją jako pożyteczną ślepotę i częściowe zaciemnienie ducha — (coby ujrzeli, gdyby samych siebie do dna widzieć mogli!), drudzy muszą ją dopiero zdobywać: wszystko, co dobrego, tęgiego, wielkiego czynią, jest najpierw argumentem przeciw sceptykowi, który w nich mieszka: należy go przekonać lub wmówić w niego, a na to trzeba prawie geniuszu. Są to wielcy niewystarczający sobie.

---

285.

*Excelsior!* — Nie będziesz nigdy więcej się modlił, nigdy więcej ubóstwiał, nigdy w bezkresnej odpoczywał ufności — zabronisz sobie stawać i wyprzegać swe myśli przed ostateczną mądrością, ostateczną dobrocią, ostateczną mocą — nie masz żadnego ustawicznego stróża i przyjaciela dla siedmiu swych samotności — żyjesz bez widoku na wzgórza, które śnieg dźwigają na czole a żary w swem sercu — niema dla ciebie żadnego odpłatcy, żadnego poprawiciela w ostatniej instancyi — niemasz żadnego więcej rozumu w tem, co się dzieje, żadnej miłości w tem, co ci się stanie, — nie stoi dla serca twego otworem żadne miejsce odpoczynku, gdzieby znajdować tylko mogło a niczego więcej nie szukać, — bronić się będziesz przeciw jakiemukolwiek ostatecznemu pokojowi, pragnąc będziesz wiecznego nawrotu wojny i pokoju: — człowiecze wyrzeczenia, czy w wszystkim tem chcesz wyrzeczenia? Kto ci da siły ku temu? Nikt jeszcze nie miał tej siły!« — Jest jezioro, które pewnego dnia odmówiło sobie odpływu, i wzniosło tam tamę, dokąd odpływało dotychczas: odtąd wzbiera jezioro to coraz wyżej. Może właśnie wyrzeczenie owo użyczy nam siły, która znieść nam pozwoli wyrzeczenie; może człowiek będzie coraz wyżej wzbierał, odkąd przestanie przelewać się w Boga.

286.

W przerwie. — Są tu nadzieje; lecz cóż z nich ujrzycie lub usłyszycie, jeśliście w własnych

swych duszach nie przeżyli blasku i żaru i jutrzni? Mogę tylko przypominać — więcej nie mogę! Poruścić kamienie, zwierzęta zmieniać w ludzi — czy tego chcecie ode mnie? Ach, jeśli kamieniami i zwierzętami jeszcze jesteście, to szukajcie sobie wprzód swego Orfeusza!

287.

Rozkosz z ślepoty. — »Myśli moje, rzekł wędrowiec do swego cienia, mają mi wykazywać, gdzie stoję: lecz nie powinny mi zdradzać, dokąd idę. Kocham nieznajomość przyszłości i nie chcę zginąć z niecierpliwości i przedsmaku zakazanych rzeczy«.

288.

Wysokie nastroje. — Zdaje mi się, że większość ludzi nie wierzy wogóle w wysokie nastroje, chyba na chwile, najwyżej na kwadrans — wyjąwszy tych nielicznych, którzy znają z doświadczenia dłuższy przeciąg trwania wysokiego uczucia. Lecz nawet człowiek wysokiego uczucia, że jest wcieleniem jedyne wielkiego nastroju — był dotąd tylko snem i zachwycającą możliwością: historia nie daje nam jeszcze żadnego pewnego tej rzeczy przykładu. Mimo to mogłaby też kiedyś zrodzić takich ludzi — wówczas, gdyby stworzyło się i ustaliło mnóstwo

przychylnych uprzednich warunków, których teraz i najprzychylniejszy przypadek nie zdołałby razem zgromadzić. Może to właśnie byłoby tym przyszłym duszom zwyczajnym stanem rzeczy, co dotąd tu i ówdzie wchodziło czasem w dusze nasze, jako ze zgrozą odczuwany wyjątek: ustawiczny ruch między wyżyną a głębią i uczucie wyżyny i głębi, ustawiczne jakby wstępowanie po wschodach a zarazem jakby spoczywanie na chmurach.

---



---

289.

Na okręty. — Jeśli się zważy, jak na każdą jednostkę działa filozoficzne ryczałtowe usprawiedliwienie jej sposobu życia i myślenia — to jest podobnie ogrzewającemu, błogosławiącemu, zapładniającemu, jej osobiście świecącemu słońcu, jak czyni ją niezależną od pochwały i nagany, wystarczającą sobie, bogatą, hojną w szczęściu i życzliwości, jak nieustannie przetwarzającą zło w dobro, siły wszystkie doprowadza do rozkwitu i dojrzałości i nie pozwala wcale rozwinąć się małym chwastom zgryzoty i zgryźliwości — to woła się wkońcu z pożądaniem: oby przecie wiele takich nowych słońc jeszcze stworzono! Niech i zły, i nieszczęśliwy, i człowiek wyjątkowy ma swoją filozofię, swe dobre prawo, swój blask słoneczny! Nie litować się nad nimi potrzeba! — tego pomysłu wielkoduszności musimy się oduczyć, chociaż tak długo ludzkość uczyła się go i w nim ćwiczyła, — nie ustanawiajmy żadnych spowiedników, zaklinaczy dusz i odpuścicieli grzechów! Lecz nowej s p r a w i e d l i-

wości potrzeba! I nowego hasła! I nowych filozofów! I moralna ziemia jest okrągła! I moralna ziemia ma swoje antypody! I antypody mają swe prawo istnienia! Jest jeszcze nowy świat do odkrycia — i więcej niż jeden! Na okręty, filozofowie!

290.

Jednego trzeba. — Charakterowi swemu »nadać styl« — wielka i rzadka sztuka! Uprawia ją ten, kto spojrzeniem ogarnia wszystko, czem jest natura jego w siłach i słabościach, i który potem wciąga to w artystyczny plan, aż każdy szczegół ukaże się jako sztuka i rozum i nawet słabość zachwyci oko. Tu przydano wielki kawał drugiej natury, tam część pierwszej natury odjęto: — oba razy po długim ćwiczeniu i codziennej nad tem pracy. Tutaj brzydota, która się zdjąć nie dała, schowano, tam przemieniono ją we wzniosłość. Wiele nieokreślonego, opierającego się kształtowaniu zachowano i wyzyskano dla perspektywy: winno działać z odległości i niezmierności. Wkońcu, gdy dzieło skończone, okazuje się, jak wszystko to było pod przymusem tego samego smaku, który w ogóle i szczególe władał i kształtował: czy smak był dobry, czy zły, to mniej ważne, niż się mniema, — dość, że jest to smak! Będą to silne, żądne władzy natury, które w takim przymusie, w takim poddaniu stę i dążeniu do całkowitości pod własnym prawem, najwyższej swej używają rozkoszy; namiętność ich potężnego chcenia doznaje folgi na widok wszelkiej stylizowanej natury, wszelkiej zwyciężonej

i służącej natury; nawet jeśli budują pałace lub zakładają ogrody nie pozostawiają naturze wolnej ręki. Odwrotnie są słabymi, samymi sobą nie władającymi charakterami ci, którzy nienawidzą z wartości stylu. Czują, że gdyby nałożyli sobie ten gniewny przymus, staliby się pod nim pospolitymi: stają się niewolnikami, gdy tylko służą, nienawidzą służenia. Takie duchy — mogą to być duchy najwyższego rzędu — dążą zawsze do tego, by samych siebie i swe otoczenie kształtować i przemieniać w wolną naturę — dziką, samowolną, dziwaczną, nieporządną, niespodzianą —: i dobrze czynią, ponieważ tylko w ten sposób sprawiają sobie przyjemność! Bo jednego trzeba: by człowiek osiągnął z siebie zadowolenie — bądź to przez to lub inne zmyślenie i sztukę: tylko wtedy dopiero jest człowiek wogóle znośnym widokiem! Kto z siebie niezadowolony, jest ustawicznie gotów mścić się za to: my inni będziemy jego ofiarami, choćby tylko w tem, że zawsze będziemy musieli znosić jego brzydki widok. Bo widok brzydoty czyni złym i posępnym.

## 291.

Genoa. — Przypatrywałem się dobrą chwilę temu miastu, jego willom i ogrodom i dalekiemu okręgowi jego zamieszkałych wzgórz i zboczy; wkońcu muszę rzec: widzę twarze minionych pokoleń — okolica ta obsiana jest obrazami dzielnych i wielmożnych ludzi. Oni żyli i chcieli żyć po śmierci — to mówią ich domy, budowane i zdobione z myślą o stuleciach,

nie o przelotnej chwili: byli dobrotliwi dla życia, choć mogli często być źli dla siebie samych. Widzę zawsze budującego, jak spoczywa wzrokiem swoim na wszystkim, co zbudowane zostało wkrąg niego w dali i w pobliżu, a zarówno na mieście, morzu i zarysach wzgórz, jak wzrokiem tym wywiera moc i zdobywa: wszystko to chce nagiąć do swego planu i ostatecznie swoją uczynić własnością przez to, że wszystko to staje się tego planu częścią. Cała ta okolica obrosła tym wspaniałym nienasyconym egoizmem żądzы posiadania i zdobyczy; i jak ludzie ci nie uznawali żadnej granicy w oddali i w swem pragnieniu nowości ustawiali nowy świat obok starego, tak samo też powstawał w ojczyźnie zawsze każdy przeciw każdemu i wynachodził sposób wyrażenia swej wyższości i postawienia swej osobistej nieskończoności pomiędzy sobą a swym sąsiadem. Każdy raz jeszcze zdobywał sobie ojczyste swe miasto dla siebie, narzucając mu przemoc swoich architektonicznych myśli i niejako przetwarzając je w rozkosz dla oczu swego domu. Na północy, jeśli przyglądamy się sposobowi budowania miast, imponuje prawo i powszechna radość z prawności i posłuszeństwa: zgaduje się przytem owo wewnętrzne stawianie się na równi, poddanie się ładowi, które musiało opanować dusze wszystkich budujących. Tu jednak, na każdym skręcie, znajdziesz człowieka samego dla siebie, który zna morze, przygody, Wschód, człowieka, który niechętny jest prawu i sąsiadowi, jako pewnemu rodzajowi nudy i który wszystko ustanowione i stare zawistnem mierzy spojrzeniem: chciałby cudowną chytrością fantazyi wszystko to przynajmniej w myślach raz jeszcze na nowo ustanowić i rękę swą na tem, myśl swoją w to

włożyć — choćby tylko dla chwili słonecznego popołudnia, gdy nienasycona jego i melancholijna dusza sytość uczuje a oku jego tylko to, co jego własne, a nic obcego ukazać się nie śmie.

## 292.

Do kaznodziejów moralności. — Nie chcę moralizować, lecz tym, którzy to czynią, daję tę radę: jeśli chcecie najlepsze rzeczy i stany pozabawić ostatecznie wszelkiej czci i wartości, to nuż, dalej bierzcie je na język jak dotąd! Postawcie je na szczycie moralności i prawcie od rana do wieczora o szczęściu cnoty, o spokoju duszy, o sprawiedliwości i w rzeczach tkwiącej odpłacie: w ten sposób, jak to czynicie, przyczepia się wkońcu do tych wszystkich dobrych rzeczy popularność i krzyk uliczny; lecz wtedy też zciera się z nich wszelkie złoto i więcej jeszcze: wszelkie złoto w nich zmienia się w ołów. Zaprawdę, znacie się na odwrotnej sztuce alchemii: na pozabawianiu wartości tego, co najwartościowsze! Uchwycicie się raz na próbę innego przepisu, by nie jak dotąd osiągać przeciwieństwo tego, czego szukacie: zaprzeczajcie owych dobrych rzeczy, odbierzcie im poklask tłumu i łatwy obieg, uczynicie je znów ukrytymi wstydlivościami dusz samotnych, mówcie: moralność jest czemś zabronionem! Może w ten sposób pozyskacie dla tych rzeczy ten rodzaj ludzi, na których jedynie coś zależy, mam na myśli heroiczyh! Lecz wówczas musi w tem być coś, co przejmuję lękiem, a nie, jak dotychczas, wstrętem!

Nie chciałoby się dziś rzec o moralności, jak Mistrz Eckardt: »proszę Boga, by mnie skwitował z Boga« ?

293.

Nasze powietrze. — Wiemy to dobrze: kto tylko jak podczas przechadzki rzuca czasem okiem na wiedzę, sposobem kobiet i niestety też wielu artystów: dla tego posiada surowość jej służby, ta nieubłaganość w szczegółach jak w ogóle, ta szybkość w rozważaniu, sądzeniu, osądzaniu, coś przejmującego zawrotem głowy i strachem. Mianowicie przestrasza go to, że się tu najcięższych wymaga rzeczy, najlepszych dokonywa, bez przypadających za to pochwał i odznaczeń, raczej, jak pośród żołnierzy, rozlegają się nieomal tylko nagany i ostre wytyki — ponieważ sprawność uchodzi tu za prawo, pobłędzenie za wyjątek: prawo jednak ma tu, jak wszędzie, usta milczące. Z tą »surowością wiedzy« ma się rzecz tak samo, jak z formą i uprzejmością najlepszego towarzystwa: — przestrasza niewtajemniczonego. Kto jednak przywykł do niej, nie mógłby wcale żyć gdzieś indziej, tylko w tej jasnej, przejrzystej, mocnej, silnie elektrycznością przepojonej atmosferze, w tej męskiej atmosferze. Wszędzie pozatem jest mu niedość czysto i powietrzno: domyśla się, że tam najlepsza jego sztuka nikomu nie przyniosłaby dość pożytku a jemu samemu nie sprawiałaby uciechy, że pośród nieporozumień połowa jego życia wymknęłaby się przez palce, że potrzebaby ustawicznie wiele ostrożności, ukrywania i tłumienia w sobie — samych wiel-

kich i bezużytecznych uszczerbków siły! W tym zaś surowym lecz czystym żywiole posiada całą swą siłę: tu może latać! Pocóżby znów miał schodzić ku owym mętnym wodom, gdzie trzeba pływać i brodzić i brudzić swe skrzydła! Nie! Tam żyć nam zbyt ciężko, cóżemy winni, żeśmy do powietrza zrodzeni, do czystego powietrza, my współzawodnicy świetlnego promienia, i że najchętniej, podobnie jemu, cwałowali byśmy na pyłkach eteru i nie precz od słońca, lecz ku słońcu! Tego jednak nie możemy: — pragniemy tedy czynić, co jedynie umiemy: nieść ziemi światło, być »światłem ziemi«! I po to mamy swe skrzydła i swą szybkość i surowość, dlatego jesteśmy męscy i nawet straszliwi, podobni ogniewi. Niechaj się boją nas ci, którzy nie umieją się nami ogrzać i rozjaśnić!

## 294.

Przeciw potwarcom przyrody. — Niemili są mi to ludzie, w których każda naturalna skłonność natychmiast chorobą się staje, czemś szpecącym a nawet haniebnym, — ci uwiedli nas ku mniemaniu, że skłonności i popędy człowieka są złe; oni są przyczyną naszej wielkiej niesprawiedliwości dla przyrody, dla wszelkiej przyrody! Jest dość ludzi, którzy mogą oddawać się swym popędom z wdziękiem i beztroską: lecz nie czynią tego, z obawy przed ową urojoną »złą istotą« przyrody! Stąd to pochodzi, że tak mało znaleźć można wśród ludzi dostojności: której odznaką będzie zawsze nie obawiać

się siebie, nie oczekiwać po sobie nic haniebnego, bez namysłu lecieć, gdzie nas rwie — nas, urodzone ptaki! Dokądkolwiek kiedy przybędziemy, zawsze będzie wolno i słonecznie wkoło nas.

---

295.

Krótkie nawyknięcia. — Kocham krótkie nawyknięcia i uważam je za nieoceniony środek poznawania wielu rzeczy i stanów, i wgłąb aż w sedno ich słodczy i goryczy; natura moja jest cała sporzządzona dla krótkich nawyknień, nawet w potrzebach swego cielesnego zdrowia i wogóle, jak dalece tylko widzieć mogę: od rzeczy najniższych do najwyższych. Zawsze wierzę, że to będzie mnie trwale zadowalało — i krótkie nawyknięcie żywi ową wiarę namiętności, wiarę w wieczność — i że jestem z zdrości godzien, iżem to znalazł i poznał: — i oto rzecz ta żywi mnie w południe i wieczorem i roztacza głębokie zadowolenie wkoło siebie i we mnie, tak że nie pragnę ludzi, chyba by porównywać lub pogardzać lub nienawidzić. I pewnego dnia nadszedł jej czas: dobra rzecz bierze rozbrat ze mną, nie jak coś, co wstrętem mnie napawa, — lecz spokojna i mnie syta, jak ja jej, i jak gdybyśmy sobie wzajem wdzięczni być musieli i tak sobie podawali ręce na rozstanie. I już czeka rzecz nowa u drzwi, i tak samo wiara moja — niespożyta błażnica i mędrzyni! — że to nowe będzie tem prawdziwem, tem ostatecznie prawdziwem. Tak dzieje się z potrawami, myślami, ludźmi, miastami, poezjami, muzyką, naukami, porząd-

kami dnia i trybami życia. Natomiast nienawidzę trwałych nawyknień i sądzę, że tyran zbliża się do mnie i że grubiej je moja rozkosz z życia, gdzie wydarzenia tak się układają, że zdają się z nich siłą konieczności wyrastać trwałe nawyknięcia: na przykład skutkiem urzędu, skutkiem ustawicznego przebywania z tym samym człowiekiem, skutkiem stałego miejsca zamieszkania, skutkiem jednostajnego zdrowia. Tak, wszelkiej swej nędzy i niedomaganiu, i co tylko jest we mnie niedoskonałego — jestem wdzięczny w najskrytszej głębi swej duszy, ponieważ pozostawia mi to sto drzwi tylnych, przez które uciec mogę od trwałych nawyknień. — Najnieznośniejszem oczywiście, najstraszniejszym właśnie, byłoby dla mnie życie zupełnie bez nawyknień, życie, które ustawicznie wymaga improwizacji: to byłoby mem wygnaniem i mym Sybirem.

---

296.

Stała opinia. — Stała opinia była niegdyś rzeczą najbardziej pożyteczną; i zawsze, gdzie tylko społeczność opanowana jest jeszcze instynktem stadnym, jest dla każdej jednostki dziś jeszcze rzeczą najzgodniejszą z celem podawać swój charakter i swe zajęcie za niezmiennie — nawet gdyby niemi w gruncie rzeczy nie były. »Można się spuścić na niego, pozostanie jednakim«: — to jest we wszystkich niebezpiecznych położeniach społeczności pochwała, która ma mieć największe znaczenie. Społeczność czuje z satysfakcją, że ma niezawodne, każdej chwili go-

towe narzędzie w cnotcie tego, w dumie tamtego, w rozmyślaniu i namiętności trzeciego, — i zaszczyca tę naturę narzędzia, tę wierność samemu sobie, tę niezmiennność w zapatrywaniach, usiłowaniach i nawet niecotach, najwyższymi swymi zaszczytami. Taki szacunek, który wszędzie wraz z obyczajnością obyczaju kwitnie i kwitnął, wychowuje »charaktery« i osławia wszelką przemianę, przeinaczanie, samo-przeistaczanie. Jest to w każdym razie, choćby nie wiedzieć jak wielki zresztą był pożytek tego sposobu myślenia, najszkodliwszy dla poznania sposób powszechnego sądu: bo właśnie dobra wola poznającego, nie lękająca się oświadczyć każdej chwili przeciw swemu dotychczasowemu mniemaniu i wogóle nie ufać wszystkiemu, co w nas chce się stać stałem — jest tu osądzona i osławiona. Ustrój umysłowy poznającego, jako będący w sprzeczności ze »stałą opinią«, uchodzi za niezaszczytny, gdy tymczasem skamieniałość zapatrywań cieszy się całym szacunkiem: — pod klątwą takiego mniemania musimy żyć dziś jeszcze! Jak ciężko się żyje, czując ocenę wielu stuleci wkoło siebie i przeciw sobie! Prawdopodobnem jest, że przez wiele wieków poznanie obarczone było nieczystym sumieniem i że wiele musiało być samowzgardy i tajemnej nędzy w historii największych duchów.

M ó d z p r z e c z y ć. — Każdy wie teraz, że umieć znosić przeczenie to wysoki znak kultury. Nie-

k którzy wiedzą nawet, że człowiek wyższy życzy sobie i wywołuje cudze przeczenie, by otrzymać wskazówkę co do swojej, jemu dotychczas nieznaney niesprawiedliwości. Lecz to, że się może przeczyć, że się osiągnęło czyste sumienie we wrogości względem tego, co nawykłe, przekazane, uświęcone — to więcej, niż tamto oboje, i właściwie wielkie, nowe, zdumiewające w naszej kulturze, krok nad krokami oswobodzonego ducha: kto to wie?

---

298.

Westchnienie. — Schwytałem myśli tę po drodze i szybko sięgnąłem po najbliższe złe słowa dla jej utrwalenia, aby mi znów nie uleciała. I oto mi umarła z tych suchych słów i wisi i chwieje się na nich i prawie już nie wiem, gdy na nią spojrzę, jak mogłem takiego doznawać szczęścia, schwytawszy tego ptaka.

---

299.

Czego należy się nauczyć od artystów. — Jakie mamy środki, by uczynić rzeczy pięknymi, pociągającymi, pożądanymi, jeśli niemi nie są? — a sądzę, że nie są niemi w sobie nigdy! Tu możemy nauczyć się czegoś od lekarzy, kiedy na przykład rozcieńczają gorycz i wlewają wino, wysypują cukier w mieszalnik; lecz więcej jeszcze od artystów, którzy właściwie ustawicznie dążą do takich wynalazków i kunsztów. Oddalać się od przedmiotów aż się już

wielu rzeczy w nich nie widzi a wielu dopatrzeć się musi, aby je widzieć jeszcze — lub widzieć rzeczy z boku i jakby w wycinku — lub tak je ustawić, że się częściowo przysłaniają i perspektywicznie jeno przezierają — lub oglądać je przez barwne szkło lub w świetle zorzy wieczornej — lub dać im powierzchnię i naskórek niezupełnie przejrzysty: tego wszystkiego powinniśmy się nauczyć od artystów a pozatem mędrszymi być niż oni. Bo u nich kończy się zazwyczaj ta ich wysoka sztuka tam, gdzie kończy się sztuka a zaczyna życie; my jednak chcemy być poetami w życiu i przede wszystkim w najdrobniejszym i najcodzienniejszem!

## 300.

Przygrywki do wiedzy. — Sądzićież, że umiejętności byłyby powstały i urosły, gdyby nie byli biegli przed nimi czarodzieje, alchemicy, astrologowie i czarownice, jako ci, którzy swemi obietnicami i przygrywkami musieli wpierw stworzyć pragnienie, głód i smakowanie w zakrytych i zabronionych mocach? Co więcej, że musiało się nieskończenie więcej obiecywać, niż kiedykolwiek spełnionem być może, aby wogóle cośkolwiek spełniło się w królestwie poznania? — Może w ten sam sposób, jak nam przedstawiają się tu przygrywki i przygotowania do wiedzy, którym oddawano się i które odczuwano wcale nie jako takie, może w ten sam sposób wyda się jakiemuś dalekiemu stuleciu cała religia, jako ćwiczenie i przygrywka: może jest ona

przedziwnym środkiem do tego, by kiedyś poszczególni ludzie używać mogli całego poprzestawiania na sobie boga i całej jego mocy samowyzwolenia. Tak! — zapytać można — byłaby człowiek wogóle bez tej religijnej szkoły i tych przeddziejów nauczył się czuć głód i pragnienie siebie i z siebie czerpać sytość i pełnię? Musiałże wprzód Prometeusz roić, że ukradł światło i pokutować za to — by ostatecznie odkryć, że stworzył światło, pożądamąc światła, i że nie tylko człowiek, lecz i bóg był dziełem jego rąk i gliną w jego rękach? Wszystko byłoby tylko obrazem obrazotwórcy? — tak samo jak urojenie, kradzież, Kaukaz, sęp i cała tragiczna Prometeja wszystkich poznających?

## 301.

Urojenie ludzi kontemplacyjnych. — Wysocy ludzie różnią się tem od niższych, że niewypowiedzianie więcej widzą i słyszą i myśląc widzą i słyszą — i właśnie to różni człowieka od zwierzęcia, i wyższe zwierzęta od niższych. Świat staje się coraz pełniejszym dla tego, kto wyrasta w wyżynę człowieczeństwa; spotyka on coraz więcej zarzuconych na siebie wędek interesu; mnogość jego podniet wzrasta ustawicznie a tak samo mnogość jego rodzajów rozkoszy i przykrości — wyższy człowiek staje się zawsze zarazem szczęśliwszym i nieszczęśliwszym. Przytem jednak ustawicznie towarzyszy mu urojenie: mniema on, że stoi jako widz i słuchacz przed wielkiem widowiskiem muzycznym, którem jest

życie: nazywa naturę swoją k o n t e m p l a c y j n ą i przeocza przy tem, że on sam jest też właściwie poetą i dopowiadaczem życia, — że się oczywiście bardzo różni od aktora tego dramatu, tak zwanego człowieka działającego, lecz jeszcze bardziej od jakiegoś tylko widza i gościa przed sceną. Jemu, jako poecie, zapewne, że właściwą jest *vis contemplativa* i spojrzenie wstecz na swe dzieło, lecz zarazem i przede wszystkim *vis creativa*, której brak człowiekowi działającemu, cokolwiekby też oczywistość i wszechświatowa wiara rzecz mogły. My, myśląco-odczuwający, jesteśmy tymi, którzy naprawdę i nieustannie coś czynią, czego tu jeszcze niema: cały wiecznie rosnący świat ocen, barw, wag, perspektyw, drabin, stopni, potwierdzeń i zaprzeczeń. Tego przez nas wynalezione zmyślenia tak zwani ludzie praktyczni (nasi aktorzy, jak się rzekło) ustawicznie się uczą, ćwiczą się w niem, przekładają je na ciało i rzeczywistość, nawet codzienność. Co tylko w dzisiejszym czasie ma wartość, to nie posiada jej w sobie, wedle natury swej — natura jest zawsze bez wartości — : jeno nadano, darowano temu kiedyś wartość, a my byliśmy tymi dawcami i darowującymi! My dopiero stworzyliśmy świat, który obchodzi coś człowieka! — Lecz właśnie brak nam wiedzy o tem i jeśli ją kiedyś jakiejś chwili uchwycimy, to zapominały znów o niej w najbliższej: zaniepognajemy najlepszą swą moc i cenimy się, my ludzie kontemplacyjni, o jeden stopień za mało — nie jesteśmy ani tak dumni, ani tak szczęśliwi, jakbyśmy być mogli.

---

Niebezpieczeństwo najszcześniejszego. — Posiadać zmysły wytworne i smak wytworny; do tego, co najwyszukańsze i najlepsze w duchu, być nawykłym jako do prawdziwego i najbliższego pokarmu; cieszyć się silną, śmiałą i zuchwałą duszą; z spokojnem okiem i pewnym krokiem iść przez życie, zawsze przygotowanym na ostateczność jak na święto i pełnym pożądaniam nieodkrytych światów i mórz, ludzi i bogów; nasłuchiwać każdej pogodnej muzyki, jak gdyby tam waleczni mężowie, żołnierze, żeglarze odpoczynek sobie sprawiali krótki i uciechę, i w najgłębszem rozkoszowaniu się chwilą uledez przemocy łez i całej purpurowej zadumie szczęśliwego: któżby nie chciał, by wszystko to było właśnie jego posiadaniem, jego stanem! Było to szczęście Homera! Stan tego, który wynalazł Grekom ich bogów — nie, sobie samemu swych bogów! Lecz nie kryjemy tego przed sobą: z tem szczęściem Homera w duszy jest się też najpodatniejszym cierpieniem stworzeniem pod słońcem! I tylko za tę cenę kupuje się najkosztowniejszą muszlę, jaką fale istnienia dotąd na brzeg wyrzuciły! Jako posiadacz jej, staje się człowiek coraz subtelniejszym w cierpieniu, i ostatecznie zbyt subtelny: drobne niezadowolenie i wstręt wystarczyły wkońcu, by Homerowi życie obmierzić. Nie mógł odgadnąć głupiej zagadki, którą mu zadali młodzi rybacy! Tak, drobne zagadki są niebezpieczeństwem najszcześniejszego!

---

---

Dwuch szczęśliwych. — Zaprawdę, człowiek ten, mimo swą młodość, zna się na improwizacji życia i wprawia nawet najprzebieglejszego postrzegacza w zdumienie: — bo zdaje się, że nigdy nie chybia, acz gra ustawicznie w grę najniebezpieczniejszą. Przypominają się owi improwizujący mistrzowie dźwięku, którymby też słuchacz przypisać chciał boską nieomylność ręki, mimo że się tu i ówdzie mylą, jak myli się każdy śmiertelny. Lecz są oni wyćwiczeni i wynalazczy i w okamgnieniu zawsze gotowi najbardziej przypadkowy ton, ku któremu popycha ich rzut palca lub usposobienie chwili, wciągnąć natychmiast w ład tematycznej składności i tchnąć w przypadek piękną myśl i duszę. — Tu zaś zupełnie inny człowiek: temu nie udaje się w gruncie rzeczy nic, czegokolwiek chce i cokolwiek planuje. To, na czem przypadkowo zawisł swem sercem, zawiodło go już kilkakroć nad przepaść i w najbliższe pobliże zaguby; a jeśli się jeszcze jej wymknął, to jednak z pewnością nie »z podbitem okiem« tylko. Sądzicie, że jest z tego powodu nieszczęśliwy? Dawno postanowił w sobie, nie brać własnych życzeń i planów zbyt do serca. »Nie uda mi się to, tak przemawia do siebie, to uda mi się może owo; a na ogół nie wiem, czy nie jestem obowiązany do wdzięczności bardziej swemu niepowodzeniu, niż jakimubądź powodzeniu. Czym stworzony do tego, by być upartym i nosić rogi bawole? To co dla mnie stanowi wartość i wynik życia leży gdzieś indziej; duma moja, jak i nędza moja, leży gdzieś indziej. Wiem więcej o życiu,

bom tak często był blizki jego utraty : i właśnie dlatego mam więcej z życia, niż wy wszyscy ! »

---

## 304.

Pozbywamy się, czyniąc. — W gruncie rzeczy wstrętne mi są wszystkie owe moralności, które mówią : »Nie czyn tego ! Wyrzeknij się ! Przewycięź się ! « — spryjam natomiast wszystkim owym moralnościom, które mnie pobudzają, by coś czynić i powtarzać i od rana do wieczoru i w nocy śnić o tem i o niczem nie myśleć jak : by to dobrze zrobić, tak dobrze, jak ja to tylko mogę ! Kto tak żyje, od tego odpada ustawicznie jedno po drugim to, co do takiego życia nie należy : bez nienawiści i odrazy widzi on, że dziś to, jutro owo rozbrat z nim weźmie, podobnie liściom pożółkłym, które każdy żywszy powiew drzewu porywa : lub nie widzi wcale, że coś z nim rozbrat bierze, tak surowo patrzy oko jego w swój cel i wogóle poprzód siebie, nigdy w bok, wstecz, w dół. »Działanie nasze ma określać, czego czynić nie mamy : nie czynimy czyniąc« — tak podobam sobie, tak brzmi moje *placitum*. Lecz nie chcę z otwartemi oczyma dążyć ku swemu zubożeniu, nie znoszę żadnych cnót zaprzecznych — cnót, których istotą jest zaprzeczanie i odmawianie sobie.

---

## 305.

Panowanie nad sobą. — Owi nauczyciele moralności, którzy najpierw i z góry nakazują czło-

wiekowi zdobyć moc nad sobą, nabawiają go przez to osobliwej choroby: ustawicznej drażliwości na wszystkie naturalne poruszenia i skłonności, i czegoś w rodzaju świerzyby. Cokolwiekby go odtąd tknęło, pociągało, wabiło, pobudzało, z wewnątrz czy zewnątrz — zawsze zdaje się temu drażliwemu, jak gdyby jego panowaniu nad sobą zagrażało niebezpieczeństwo: nie śmie powierzyć się już żadnemu pędowi, żadnemu wolnemu wzlotowi skrzydeł, lecz stoi ustawicznie w postawie obronnej, uzbrojony przeciw samemu sobie, z okiem ostrem i nieufnem, wieczny stróż swego grodu, którym uczynił samego siebie. Tak, może być tem wielki! Lecz jakże nieznośnym stał się dla innych, jak ciężkim dla samego siebie, jak zubożałym i odciętym od najpiękniejszych przypadkowości duszy! A także od wszelkiego dalszego pouczenia się. Bo trzeba umieć zatracić siebie na czas pewien, jeśli się chcemy nauczyć czegoś od rzeczy, którei sami nie jesteśmy.

## 306.

Stoik i epikurejczyk. — Epikurejczyk wyszukuje sobie położenia, ludzi a nawet wydarzenia, które najbardziej przystają do jego skrajnie pobudliwej intelektualnej natury, zrzeka się reszty, to znaczy największej części —, bo byłoby to dla niego zbyt silnym i ciężkim pokarmem. Stoik natomiast ćwiczy się w połykaniu kamieni i robactwa, odruzgów szkła i skorpionów i w nieodczuwaniu wstępu; żołądek jego ma się stać wkońcu obojętnym na wszystko, co przy-

padek istnienia weń wsypie: — przypomina on ową arabską sektę Assauaów, których poznaje się w Algierze; i podobnie jak ci niewrażliwi, lubi także przy wystawianiu na jaw swej niewrażliwości mieć zaproszoną publiczność, bez której właśnie chętnie obchodzi się epikurejczyk: — ten ma przecie swój »ogród«! Dla ludzi, którzy są improwizacją losu, dla takich, którzy żyją w czasach przemocy i zależności od nagłych, zmiennych ludzi, może stoicyzm być bardzo pożyteczny. Kto jednak poniekąd przewiduje, że los pozwoli mu prząść długą nić, czyni dobrze, jeśli urządza się po epikurejsku; wszyscy ludzie duchowej pracy czynili to dotąd! Dla nich bowiem byłoby ubytkiem ubytków utracić swoją pobudliwość i otrzymać natomiast w podarunku stoicką twardą skórę z jeżowemi kolcami.

---



---

 307.

Na obronę krytyki. — Teraz okazuje ci się błędem coś, co niegdyś kochałeś jako prawdę lub prawdopodobieństwo: odtrącasz to od siebie i mniemasz, że rozum twój odniósł przez to zwycięstwo. Lecz może ów błąd był wówczas, gdy byłeś jeszcze inny — jesteś zawsze inny — tak samo dla ciebie konieczny, jak wszystkie twoje terazniejsze »prawdy«, jakby skóra, która ci wiele zatajała i skrywała, czegoś jeszcze widzieć nie śmiał. Nowe twe życie zabiło dla ciebie owo mniemanie, a nie twój rozum: nie potrzebujesz go już i oto wali się samo, a nierozum wypełza z niego jak robactwo na światło. Jeśli

krytykujemy, to nie jest to niczem samowolnem i bezosobistem — jest to, przynajmniej bardzo często, dowód, że istnieją w nas żywe, popierające wzrost siły, które odtrącają korę. Zaprzeczamy i musimy zaprzeczać, bo coś chcemy w nas żyć i potwierdzać, coś, czego może jeszcze nie znamy, jeszcze nie widzimy! — To na obronę krytyki...

---

## 308.

Historia każdego dnia. — Co tworzy u ciebie historię każdego dnia? Przypatrz się swoim nawykniom, z których się ona składa: czy są one wytworem niezliczonych drobnych tchórzostw i lenistw, czy też twej waleczności i wynalazczego rozumu? Jakkolwiek różne są oba wypadki: byłoby możliwem, że ludzie udzieliliby ci jednakiej pochwały i że też rzeczywiście przyniósłbyś im, tak czy tak, jednaki pożytek. Jednak pochwała i pożytek i poważanie mogą wystarczyć temu, kto chce mieć tylko czyste sumienie, — lecz nie tobie badaczu nerek, który przeniknąłeś sumienie.

---

## 309.

Z siódmej samotności. — Pewnego dnia zatrzasnął wędrowiec drzwi za sobą, stanął i płakał. Potem rzekł: »Ten pęd i popęd do prawdy, rzeczywistości, nie-pozorności, pewności! Jakżem nań zły! Czemuż z a m n ą właśnie chodzi ten namiętny i po-

sępny poganiacz! Chciałbym odpocząć, lecz nie dozwala mi! Wieleż do zatrzymania się kusi mnie rzeczy! Wszędzie istnieją dla mnie ogrody Armidy: i stąd coraz nowe rozłąki i nowe gorycze serca! Muszę dalej podnosić stopę, tę znużoną, zranioną stopę: a ponieważ muszę, więc rzucam często na najpiękniejszą rzecz, która zatrzymać mnie nie mogła, złe wstecz spojrzenie — p o n i e w a ż zatrzymać mnie nie mogła! «

---

## 310.

W o l a i f a l a. — Jak chciwie przybija ta fala, jak gdyby było coś do zdobycia! Jak wpełza z zastraszającym pośpiechem w najwnętrzniesze kąty skalistych rozpadlin! Zda się chce kogoś ubiedz; coś tam zda się ukryte, co ma wartość i wielką wartość. — A teraz powraca, nieco powolniej, wciąż jeszcze cała biała ze wzruszenia — czy rozczarowania? — Czy znalazła, czego szukała? Czy udaje rozczarowaną? Lecz już się zbliża inna fala, chciwsza i dziksza jeszcze niż pierwsza, a także jej dusza zdaje się pełna tajemnic i pożądlivosti poszukiwania skarbów. Tak żyją fale — tak żyjemy my, którzy chcemy! — więcej nie powiem. — Tak? Nie ufacie mi? Gniewacie się na mnie, piękne potwory? Lękacie się, że zdradzę całym waszą tajemnicę? Nuże! Gniewajcie się na mnie, dźwigajcie swe zielone niebezpieczne ciała jak wysoko możecie, piętrzcie mur między mną a słońcem — tak jak teraz! Zaprawdę, nic już nie zostało ze świata jeno zielony zmierzch i błyskawice zielone. Szalejcie,

jak chcecie, wy zuchwałę, ryczcie z rozkoszy i złości — lub zanurzcie się znowu, wysypcie w głąb swoje szmaragdy, zarzućcie na nie nieskończone białe kędzierze piany i waru — z wszystkiemu rad, bo z wszystkim tak wam do twarzy i lubię was za wszystko: jakże jabym w was zdradził! Bowiem — słuchajcie dobrze — znam was i waszą tajemnicę, znam wasze plemię! Wy i ja, jesteśmy przecie z jednego plemienia! — Wy i ja mamy przecie jedną tajemnicę!

## 311.

Załamane światło. — Nie jest się zawsze walecznym i jeśli jest się znużonym, wtedy jęczy się też czasem w ten sposób: »Tak ciężko ból człowiekowi sprawiać — och, że też to potrzebne! Cóż nam pomoże żyć w ukryciu, jeśli nie chcemy dla siebie zachować tego, co wywołuje zgorszenie? Nie byłoby pożyteczniej żyć w zgiełku i względem jednostek naprawiać to, w czem grzeszyć trzeba i grzeszyć się musi względem wszystkich? Być głupim z głupcem, próżnym z próżnym, marzycielskim z marzycielem? Czy nie byłoby to słuszne, wobec tak zuchwałego stopnia zbaczania od ogółu? Gdy słyszę o złościach innych względem siebie — czyż nie jest pierwsze me uczucie uczuciem zadowolenia? Tak słuszna! — zdaję się mówić do nich — przystaję tak mało do was i mam tak wiele słuszności po swej stronie: bawcie się codzień moim kosztem, jak często możecie! Tu są braki moje i omyłki, tu moje urojenie, mój niesmak, moje zakłopotanie, moje łyzy, moja próżność, moja sowia

skrytość, moje sprzeczności! Tu naśmiać się możecie! Więc śmieście się też i cieszcie! Nie gniewam się na prawo i naturę rzeczy, które chcą, by braki i omyłki sprawiały radość! — Oczywiście, były niegdyś »piękniejsze« czasy, gdy posiadanie każdej poniekąd nowej myśli czyniło jeszcze człowieka w poczuciu swem tak niezbędnym, że wybiegało się z nią na ulicę i wołało: »Patrz! Królestwo boże się zbliża!« — Nie czułbym swego ubytku, gdyby mnie brakło. Wszyscy jesteśmy zbędni!« Lecz, jak się rzekło, tak nie myślimy, gdyśmy mężni: nie myślimy o tem.

---

## 312.

Mój pies. — Bólowi swemu nadałem imię i wołam go »psie« — jest tak samo wierny, tak samo natrętny i bezwstydnny, tak samo zabawny, tak samo mądry, jak każdy inny pies — i mogę być jego panem i złości swe na nim wywierać: jak inni to czynią z swemi psami, sługami, żonami.

---

## 313.

Żadnych obrazów męczeństwa. — Chcę postąpić jak Rafael i nie malować już żadnego obrazu męczeństwa. Jest dość podniosłych rzeczy, by wyszukiwać trzeba wzniosłość tam, gdzie żyje ona w siostrzeństwie z okrucieństwem; a ambicya moja nadto

nie znalazłaby żadnego zadowolenia, gdybym chciał zrobić z siebie wzniosłego katowskiego pachołka.

---

## 314.

Nowe zwierzęta domowe. — Chcę mieć wkoło siebie swego lwa i swego orła, by mieć każdej chwili wskazówki i przepowiednie i wiedzieć, jak wielką lub jak szczupłą jest siła moja. Czy muszę dziś patrzeć w dół ku nim i lękać się ich? I czy powróci godzina, kiedy one ku mnie będą patrzeć w górę, i w lęku?

---

## 315.

O ostatniej godzinie. — Burze są mem niebezpieczeństwem: czy spotka mnie burza, która mi zagładę przyniesie, jak Oliwierowi Kromwellowi burza przyniosła zagładę? Czy też zagasnę jak światło, które nie wiatr dopiero zgasił, lecz które znużyło i przesyciło się sobą samem, — wypalone światło? Lub wkońcu: czy sam siebie zagaszę, by się nie wypalić?

---

## 316.

Ludzie proroczy. — Nie macie poczucia tego, że ludzie proroczy są ludźmi bardzo cierpiącymi:

sądzicie że dany im jest »dar« piękny, i chętnie też sami miećbyście go chcieli — lecz chcę się wyrazić porównaniem. Jak bardzo cierpieć mogą zwierzęta skutkiem elektryczności powietrza i chmur! Widzimy, że niektóre ich rodzaje posiadają proroczą zdolność pod względem pogody, na przykład małpy (jak to nawet jeszcze w Europie dobrze obserwować można i nie tylko w menażeryach: bo na Gibraltarze). Lecz nie myślimy o tem, że ich boleści — są miast nich prorokami! Gdy silna dodatnia elektryczność nagle pod wpływem nadciągającej, jeszcze długo niewidocznej chmury przeistacza się w elektryczność ujemną i gdy przygotowuje się zmiana pogody, wtedy zwierzęta zachowują się tak, jak gdyby zbliżał się nieprzyjaciół i przysposabiają się do obrony lub do ucieczki; najczęściej chowają się — rozumieją złą pogodę nie jako pogodę, lecz jako wroga, którego rękę już czują.

## 317.

Spojrzenie wstecz. — Uświadamiamy sobie rzadko patos każdego okresu życia, jako taki, dopóki w okresie tym stoimy, lecz sądzimy, że jest to jedynie odtąd dla nas możliwy i rozumny stan i nawskroś *ethos*, nie patos — by jak Grecy mówić i odróżniać. Kilka dźwięków muzycznych przywołało mi dziś na pamięć zimę i dom i najbardziej pustelnicze życie i zarazem uczucie, w którym żyłem wówczas: — sądziłem, że wiecznie będę mógł tak żyć. Lecz teraz pojmuję, że było to nawskroś patosem i namiętnością,

rzeczą, dającą się przyrównać tej boleściwie otuszonej i pewnej pocieszenia muzyce — podobnych rzeczy nie można mieć na lata lub nawet na wieki: byłoby się przez to zbyt »naziemskim« dla tego planety.

## 318.

Mądrość w boleści. — W boleści jest tyle mądrości co w rozkoszy: należy ona, jak ta ostatnia, do najwyższego rodzaju sił rodzaj utrzymujących. Gdyby tem nie była, toby była zginęła dawno; że boli, to nie jest argumentem przeciw niej, to jest jej istotą. W boleści słyszę rozkaz kapitana okrętu: »zwijajcie żagle!« Śmiały żeglarz, człowiek, musiał wyćwiczyć się na sto sposobów ustawiać żagle, inaczej byłoby zbyt prędko po nim, a ocean pochłonąłby go zbyt szybko. Musimy umieć też żyć z uszczuploną energią: skoro tylko ból daje swój sygnał niebezpieczeństwa, czas, by ją uszczuplić — jakieś wielkie niebezpieczeństwo, jakaś burza nadciąga, i dobrze czynimy, »wydymając« się możliwie najmniej. — Prawda, że istnieją ludzie, którzy za zbliżaniem się wielkiego bólu słyszą właśnie rozkaz przeciwny i którzy nigdy nie spoglądają dumniej, waleczniej, szczęśliwiej niż wówczas, gdy burza nadciąga; a nawet ból sam daje im najwyższe chwile! To ludzie heroiczni, wielcy dawcy bólu ludzkości; owi nieliczni lub rzadcy, którzy właśnie tej samej potrzebują apologii, co ból wogóle — i zaprawdę! nie należy im jej odmawiać! Są to utrzymujące rodzaj, popierające rodzaj moce najwyższego stopnia i choćby tylko dlatego, że wal-

czą przeciw uczuciu błogości i nie ukrywają wstrętu dla tego rodzaju szczęścia.

---

## 319.

Jako interpretatorzy swych wydarzeń przeżytych. — Pewien rodzaj uczciwości obcy był wszystkim założycielom religii i im podobnym: nie czynili sobie nigdy ze swych wydarzeń przeżytych poznawczej sprawy sumienia. »Co właściwie przeżyłem? Co wtedy działało się we mnie i wkoło mnie? Czy rozum mój był dość jasny? Czy wola moja była zwrócona przeciw wszystkim oszustwom zmysłów i dzielna w swej obronie przeciw fantastyczności?« — tak nie pytał z nich żaden, tak nie pyta nawet dziś jeszcze żaden z tych miłych pobożnisiów: czują oni raczej pragnienie rzeczy, zwracających się przeciw rozumowi i nie chcą sobie robić trudności w zaspakajaniu go, — tak tedy przeżywają »cuda« i »odrodzenia« i słyszą głosy aniołów! Lecz my, my inni, spragnieni rozumu, chcemy swym wydarzeniom przeżyтым tak bystro w oczy patrzeć, jak naukowemu doświadczeniu, godzina w godzinę, dzień w dzień! My sami sobie chcemy być doświadczeniami i zwierzętami doświadczalnemi.

---

## 320.

Widząc się znowu. — *A*: »Czy rozumiem cię jeszcze dobrze? Szukasz? Gdzie jest pośród terazniejszego rzeczywistego świata twój kąt i gwiazda?

Gdzie ty możesz położyć się w słońcu, tak by i tobie dostała się jakaś przewyżka dobra i byt twój znalazł usprawiedliwienie? Niech to każdy sam za siebie czyni — zdajesz się mi mówić — i niech wybije sobie z głowy gadanie o ogóle, troskę o innych i o społeczność!« — *B.*: »Chcę więcej, nie jestem szukającym. Chcę dla siebie własne słońce stworzyć«.

---

## 321.

Nowa przezorność. — Nie każcie nam już myśleć tyle o karach, naganach i poprawach. Rzadko zmienimy jakąś jednostkę; a gdyby nam się to udało, to może niepostrzeżenie uda nam się coś jeszcze: ujrzymy, że ona nas zmieniła! Dbajmy raczej, by nasz własny wpływ na wszystko, co przyjdzie, więcej niż jej wpływ ważył i przeważał! Nie walczmy w zapasach wręcz! — a tem są wszelkie kary, nagany i chęci poprawy! Lecz podnieśmy siebie samych tem wyżej! Nadawajmy swemu wzorowi coraz bardziej lśniące barwy! Zaciemnijmy tamtego swoim światłem! Nie! Nie chcemy gwoli niemu stać się samymi ciemniejszymi, podobnie wszystkim karzącym i niezadowolonym! Chadzajmy raczej uboczem! Odwracajmy wzrok!

---

## 322.

Porównanie. — Owi myśliciele, w których wszystkie gwiazdy kołowami kolejami krążą, nie są

najgłębsi; kto wgląda w siebie jak w olbrzymi przestwór świata i drogi mleczne w sobie nosi, ten też wie, jak nieprawidłowe są wszystkie drogi mleczne; wiodą aż do chaosu i labiryntu bytu.

---

## 323.

Szczęście w przeznaczeniu. — Największe odznaczenie wyświadcza nam przeznaczenie, gdy kazało nam czas pewien walczyć po stronie naszych przeciwników. Przez to zostaliśmy z góry przeznaczeni do wielkiego zwycięstwa.

---

## 324.

*In media vita.* — Nie! Życie mnie nie zawiodło! Z roku na rok znajduję je coraz bogatszem, godniejszym pożądanja i pełniejszym tajemnic — od owego dnia, gdy nawiedziła mnie wielka oswobodzicielka, owa myśl, że życie może być doświadczeniem poznającego — a nie obowiązkiem, a nie potrzebą, a nie oszustwem! — A poznanie samo: niech będzie komuś innemu czemś innym, na przykład łożem spoczynku, lub drogą do łoża spoczynku, lub zabawą lub próżnowaniem — dla mnie jest ono światem niebezpieczeństw i zwycięstw, gdzie i heroicznym uczuciom nie braknie miejsc do tańca i ochoty. »Życie jest środkiem poznania — z tą zasadą w sercu można nie tylko dzielnie, lecz nawet można żyć w e-

soło i śmiać się wesoło! A któż umiałby wogóle dobrze śmiać się i żyć, jeśli wpieryw nie znał się dobrze na wojnie i zwycięstwie?

---

## 325.

Czego do wielkości potrzeba. — Któż osiągnie coś wielkiego, nie czując w sobie mocy i woli z a d a w a n i a wielkich cierpień. Umieć cierpieć to najmniejsza: w tem słabe kobiety a nawet niewolnicy doprowadzają często do mistrzostwa. Lecz nie zginąć z wewnętrznej niedoli i niepewności, kiedy się wielki ból zadaje i słyzy tego bólu krzyk — to jest wielkiem i tego do wielkości potrzeba.

---

## 326.

Lekarze dusz i ból. — Wszyscy kaznodzieje moralni jak i wszyscy teologowie, posiadają jeden wspólny narów: wszyscy starają się wmówić w ludzi, że jest z nimi bardzo źle i że konieczną jest twarda, ostateczna, radykalna kuracya. A ponieważ ludzie naogół zbyt gorliwie, i przez całe stulecia, podawali naukom tym ucho, przeszło wkońcu rzeczywiście na nich coś z tego zabobonu, że bardzo źle z nimi: tak że już dziś zbyt chętni są i gotowi wdychać i niczego nie znachodzić już w życiu i stroić wzajemnie posępne miny, jak gdyby naprawdę już zbyt ciężko było w y t r z y m a ć. W rzeczywistości są oni niepohamo-

wanie pewni swego życia i zakochani w niem — i pełni niewymownych chytrości i przebiegłości, aby przełamać nieprzyjemność a bólowi i nieszczęściu cierń jego wyrwać. Zda mi się, że o boleści i nieszczęściu mówi się zawsze przesadnie, jak gdyby przesada w tym względzie była rzeczą wyższego sposobu życia: natomiast milczy się z umysłu o tem, że na boleść istnieje cały bezlik środków, sprawiających ulgę, jak ogłuszenia lub gorączkowy pośpiech myśli, lub spokojne położenie, lub dobre i złe wspomnienia, zamysły, nadzieje i wiele rodzajów dumy i litości, które wywierają nieomal działanie *anaestheticorum*, gdy tymczasem, przy najwyższych stopniach bólu następują już same z siebie omdlenia. Znamy się wcale dobrze na wsączaniu słodczy w swe gorycze, to jest w gorycze duszy; mamy środki pomocne w swej waleczności i wzniosłości, jak i w szlachetniejszych delirjach uległości i rezygnacyi. Strata jest ledwo godzinę stratą: w jakiś sposób spada nam wraz z nią jakiś podarunek z nieba — nowa siła na przykład: a choćby tylko nowa sposobność do siły! Cóż majaczyli kaznodzieje moralni o wewnętrznej »niedoli« złych ludzi! Cóż nam Igarali nawet o nieszczęściu ludzi namiętnych! — tak, Igarstwo jest tu należytem słowem: wiedzieli bardzo dobrze o przebogatem szczęściu tego rodzaju ludzi, lecz przemilczali je na śmierć, ponieważ obalało ich teorię, wedle której wszelkie szczęście powstaje dopiero po zniszczeniu namiętności i zamilknięciu woli! A co na ostatek dotyczy recepty wszystkich tych dusznych lekarzy i ich zachwalania twardej, radykalnej kuracyi, to wolno spytać: czy to nasze życie jest rzeczywiście dość bolesnem i uciążliwem, by z korzyścią było wy-

mienienie go na stoicki sposób życia i skamieniałość? Nie jest nam tak źle, byśmy się źle mieć musieli na sposób stoicki!

---

327.

Brać poważnie. — Intelpekt jest u największej części ludzi ociężałą, ciemną i skrzypiącą maszyną, którą trudno w ruch wprowadzić: nazywają to »rzecz brać poważnie«, jeśli chcą z pomocą tej maszyny pracować i sprawnie myśleć — o jakże trudno musi im być sprawnie myśleć! Rozkoszne zwierzę człowiek traci, zda się, dobry humor, każdym razem, gdy sprawnie myśli: staje się »poważnym«! A »gdzie śmiech i wesołość, tam nic po myśleniu« — tak brzmi przesąd tego najpoważniejszego zwierzęcia względem wszelkiej »wiedzy radosnej«. — Nuże! Pokażmy, że to przesąd!

---

328.

Szkodzenie głupocie. — Niewątpliwie, że tak uparcie i z takim przekonaniem głoszona wiara, że egoizm jest pogardy godny, przyniosła na ogół szkodę egoizmowi (z korzyścią, jak to stokrotnie powtarzać będę, dla instynktu stadnego), mianowicie przez to, że mu odebrała czyste sumienie i kazała w nim szukać właściwego źródła wszelkiego nieszczęścia. »Samolubstwo twoje jest nieszczęściem

twego życia « — tak brzmiało kazanie przez całe wieki: przyniosło to, jak się rzekło, szkodę samolubstwu, i odebrało mu wiele ducha, wiele pogody, wiele wynalazczości, wiele piękności; ogłupiło, zeszpeciło i zatruiło samolubstwo! — Filozoficzna starożytność pouczała natomiast o innym głównym źródle nieszczęścia: od Sokratesa myśliciele nieznuzeni byli w pouczaniu: »wasza bezmyślność i głupota, wasze oddawanie się falom życia bez prawidła, wasze podporządkowanie się mniemaniom sąsiada jest powodem, dla którego tak rzadko dochodzicie do szczęścia, — my myśliciele jesteście jako myśliciele najszczęśliwsi«. Nie rozstrzygajmy tu, czy kazanie to przeciw głupocie jest lepiej uzasadnione, niż owo kazanie przeciw samolubstwu; to jednak pewna, że odebrało głupocie czyste sumienie: — ci filozofowie w y r z ą d z i l i szkodę głupocie.

## 329.

W c z a s i p r ó ż n o w a n i e. — Jest indyjska, indyjskiej krwi właściwa dzikość w sposobie, w jaki Amerykanie zabiegają o złoto: a ich pośpiech bez tchu w pracy — właściwy występki Nowego Świata — zaczyna już zarażać starą Europę dzikością i zupełnie dziwną ponad nią rozpościerać bezduszość. Wstydzą się już dziś ludzie spoczynku; długie rozmyślanie sprawia nieomal wyrzuty sumienia. Myśli się z zegarkiem w rękę, jak się je obiad, z okiem zwróconem na gazetę giełdową, — żyje się jak ktoś, który ustawicznie »mógłby czegoś zaniedbać«. »Lepiej cobądź

robić niż nic« — i ta zasada jest sznurem do zdławienia wszelkiego wykształcenia i wszelkiego wyższego smaku. I jak naocznie wszystkie formy giną z powodu tego pośpiechu pracujących: tak też zamiera wszelkie poczucie samej formy, ucho i oko dla melodyi poruszeń. Dowód tego leży w wymaganej teraz wszędzie niezgrabnej wyrażności we wszystkich położeniach, gdzie człowiek chce być uczciwym wobec ludzi, w obcowaniu z przyjaciółmi, kobietami, krewnymi, dziećmi, nauczycielami, uczniami, przewodnikami i księżętami, — nie ma się wcale czasu i wcale siły na ceremonie, na uprzejmości w sposób niebezpośredni, na wszelkie *esprit* zabawy i wogóle na wszelkie *otium*. Bo życie wśród łowów za zyskiem zmusza nieustannie do ekspensowania ducha swego aż do wyczerpania, w ustawicznym maskowaniu się i podejściu i ubieganiu: właściwą dziś cnotą jest uczynić coś w krótszym czasie, niż ktoś inny. Tak więc istnieją rzadko tylko godziny dozwolonej uczciwości: w tych jednak jest się znużonym i chciałoby się nietylko sobie »dać folgę«, lecz się na długość i szerokość i niezgrabnie rozciągnąć. Stosownie do tego pisze się teraz listy, których styl i duch pozostanie zawsze właściwym »znamieniem czasu«. Jeśli istnieją jeszcze przyjemności towarzyskie i artystyczne, to są to przyjemności, jakie przyrządzają sobie zapracowani do upadłego niewolnicy. Och, to zadowolenie »radości« u tych wykształconych i niekształconych! Och, to wzbierające podejrzewanie wszelkiej radości! Praca pozyskuje coraz bardziej wszelkie czyste sumienie: skłonność do radości nazywa się już »potrzebą wypoczynku« i zaczyna się wstydić samej siebie. »Jest to dług spłacany swemu

zdrowiu« — mówi się, gdy nas schwytano na wycieczce. Nawet wkrótce dojść może do tego, że się ulegać będzie skłonności do życia kontemplacyjnego (to znaczy do przechadzki z myślami i przyjaciółmi) nie bez pogardy dla siebie i nieczystego sumienia. — Otóż! Niegdyś było odwrotnie: na pracy ciążyło nieczyste sumienie. Człowiek dobrego pochodzenia u krywał swą pracę, gdy go potrzeba do pracy zmuszała. Niewolnik pracował pod uciskiem uczucia, że czyni coś pogardy godnego — »czynność« sama była czemś pogardy godnem. »Dostojność i cześć posiada jedynie *otium* i *bellum*«: tak brzmiał głos starożytnego przesądu.

## 330.

Poklask. — Myśliciel nie potrzebuje poklasku i bicia w dłonie, pod warunkiem, że pewny jest własnego przyklasku: bez tego jednak obejść się nie może. Czy są ludzie, którzy i bez tego i bez wszelkiego wogóle rodzaju poklasku obejść się mogą? Wątpię; i nawet o najmędrszych mówi Tacyt, który nie jest oszczercą mędrców: *quando etiam sapientibus gloriae cupido novissima exuitur* — to znaczy u niego: nigdy.

## 331.

Raczej głuchym być niż ogłuszonym. — Niegdyś chciano sobie stworzyć rozgłos: dziś nie wystarcza to już, bo targowisko jarmarczne zbyt stało

się wielkiem, — dziś musi to być rozkrzyk. Wynikiem tego jest, że i dobre gardła się przekrzyczą, a najlepszy nawet towar zachwalają głośno ochryple; bez jarmarcznego krzykactwa i chryпки niema dziś geniuszu. — Jest to oczywiście złe stulecie dla myśliciela: musi on się uczyć wśród dwu wrzasków znać chodzi jeszcze sobie ciszę i tak długo udawać głuchego, aż się nim stanie. Póki się tego nie nauczył grozi mu niebezpieczeństwo, że zginie z niecierpliwości i bólów głowy.

---

## 332.

Zła godzina. — Każdy z pewnością filozof miał złą godzinę, kiedy myślał: cóż ja znaczę, jeśli nie wierzę także moim złym argumentom! — I wówczas przeleciał jakiś złośliwy ptaszek obok niego i ćwierkał: »Cóż ty znaczysz! Cóż ty znaczysz!«

---

## 333.

Co znaczy poznawać? — *Non ridere, non lugere, neque detestari, sed intelligere!* mówi Spinoza — tak prosto i wzniośle, jak to jest jego zwyczajem. Tymczasem: czemże innem jest w gruncie rzeczy to *intelligere*, jeśli nie formą, w której nam owe trzy pierwsze uczucia naraz uczuć się dają? Wynikiem tych różnych i sprzeciwiających się sobie popędów: chęci wyśmiewania, oskarżania, przeklinania. Zanim możliwym jest poznanie, musiał w pierw

każdy z tych popędów wyjawić swoje jednostronne zapatrywanie na pewną rzecz lub zdarzenie; następnie powstała walka tych jednostronności a z niej wynikł pewien pośredek, uspokojenie, pewne przyznanie słuszności na wszystkie trzy strony, pewnego rodzaju sprawiedliwość i ugoda; bo dzięki sprawiedliwości i ugodzie mogą wszystkie te popędy ocalić swe istnienie i zarazem słuszność. My, do których świadomości dochodzą tylko ostatnie sceny pojednania i końcowe obrachunki tego długiego przebiegu, sądzimy następnie, że *intelligere* jest czemś pojednawczem sprawiedliwym dobrem, czemś istotnie popędom przeciwstawionem; gdy tymczasem jest ono tylko pewnem zachowaniem się wzajemnem popędów. Przez bardzo długie czasy pojmowano myślenie jako myślenie wogóle: teraz dopiero świta nam prawda, że największa część naszego duchowego działania przebiega bez naszej świadomości i naszego czucia: sądzę jednak, że te popędy, które tu walczą z sobą, są snadź zdolne dać się przytem uczuć sobie wzajem i ból sobie sprawiać — : owo gwałtowne nagłe wyczerpanie, które nawiedza wszystkich myślicieli, tu może mieć swoje źródło (jest to wyczerpanie na polu walki). Być może że w walczących wnętrzach naszych istnieje niejeden ukryty heroizm, lecz z pewnością nic boskiego, wiecznie spoczywającego w sobie, jak mniemał Spinoza. Myślenie świadome a mianowicie myślenie filozofa jest najsłabszym i dlatego też stosunkowo najłagodniejszym i najspokojniejszym rodzajem myślenia: i dlatego właśnie filozof może najłatwiej pobić co do natury poznania.

---

Trzeba nauczyć się kochać. — Tak dzieje się z nami w muzyce: naprzód trzeba się wogóle jakiejś figury lub zwrotki nauczyć słuchać, dosłuchiwać, rozróżniać, odosabniać jako pewne życie dla siebie i odgraniczać; potem trzeba trudu i dobrej woli, by ją znosić mimo jej obcość, mieć cierpliwość dla jej spojrzenia i wyrazu i dobrotliwość dla tego co w niej dziwne — wkońcu przychodzi chwila, gdy do niej przywykamy, kiedy jej oczekujemy, gdy przeczuwamy, że brakłoby nam jej, gdyby jej zbrakło i teraz zniewala nas ona i wywiera swój czar ciągle, ciągle i nie przestaje dopóty, dopóki nie staniemy się jej pokornymi i zachwyconymi kochankami, którzy niczego lepszego już nie chcą od świata, tylko jej i znowu jej. — Tak jednak dzieje się z nami nietylko w muzyce: właśnie tak nauczyliśmy się kochać wszystkie rzeczy, które kochamy. Otrzymujemy ostatecznie zawsze nagrodę za naszą dobrą wolę, cierpliwość, sprawiedliwość, łagodność względem obcości — w tem, że obcość odrzuca z wolna swą zasłonę i nowe niewysłowione ukazuje piękno — : jest to jej podzięką za naszą gościnność. — Tak samo jeśli kto samego siebie kocha, nauczył się tego tą samą drogą. Niema żadnej innej drogi. I kochać trzeba się uczyć.

---

Górami fizyka! — Iluż to ludzi umie obserwować! I wśród tych nielicznych, którzy to umieją —

iluż obserwuje siebie samych! »Každy jest samemu  
 sobie najdalszy!« — wiedzą to wszyscy badacze ne-  
 rek, ku swej przykrości; a zdanie »poznaj siebie sa-  
 mego« jest, w ustach boga i do ludzi powiedziane,  
 nieomal złośliwością. Że jednak tak rozpaczliwie ma  
 się rzecz z obserwacją siebie, o tem nie świadczy nic  
 bardziej niż sposób, w jaki prawie každy mówi  
 o istocie jakiejś moralnej czynności, ten szybki, łatwy,  
 pewny siebie, gadatliwy sposób, to jego spojrzenie,  
 uśmiech, usługna gorliwość. Ktoś zda się chce ci po-  
 wiedzieć: »Ależ, mój drogi, trafiłeś bardzo dobrze!  
 Zwracasz się ze swem pytaniem właśnie do kogoś,  
 kto ma prawo udzielić ci odpowiedzi: przypadkiem  
 w niczem nie jestem tak mądry, jak w tem. Więc:  
 jeśli człowiek osądzi »tak jest słusznie«, jeśli  
 potem wnioskuje »dlatego stać się to musi!«  
 i wtedy czyni, co w ten sposób uznał za słusne  
 i konieczne — to istota jego czynności jest moralną!  
 Lecz, przyjacielu mój, mówisz mi tu o trzech czyn-  
 nościach miast o jednej: także twój sąd na przykład  
 »tak jest słusznie« jest czynnością — czyż nie można  
 już było sądzić w moralny lub niemoralny sposób?  
 Dlaczego uważasz to i właśnie to za słusne? —  
 »Bo mówi mi to moje sumienie; sumienie nie prze-  
 mawia nigdy niemoralnie, ono określa przecie, co ma  
 być moralnem!« — Lecz dlaczego słuchasz głosu  
 swego sumienia? I o ile posiadasz prawo uważać taki  
 sąd za prawdziwy i nieomylny? Dla tej wiary —  
 czyż już niema sumienia? Czy nic nie wiesz o su-  
 mieniu intelektualnem? O sumieniu poza swem »sumie-  
 niem«? Sąd twój »tak jest słusznie« ma przeddzieje  
 w twoich popędach, skłonnościach, odrzaczach, doświad-  
 czeniach i niedoświadczeniach; »j a k ż e więc po-

wstał?« winienesz pytać, a potem jeszcze: »co prze mnie właściwie do dania mu posłuchu?« Możesz rozkazowi jego dać posłuch jak dzielny żołnierz, który słyszy rozkaz swego oficera. Lub jak kobieta, która kocha rozkazującego. Lub jak pochlebca i tchórz, który się rozkazującego boi. Lub jak głupiec, który idzie za czemś, bo nie ma co rzec przeciw temu. Słowem, na sto sposobów możesz sumieniu swemu dawać posłuch. Lecz to, że słyszysz ten i ów sąd jako głos sumienia — więc, że odczuwasz coś jako słuszne, może zależeć od tego, że nigdy nie rozmyślałeś nad sobą i przyjmowałeś na ślepo, co ci od dzieciństwa jako słuszne określano: lub od tego, że chleb i zaszczyty były dotąd twym udziałem dzięki temu, co obowiązkiem swym zwiesz — uchodzi to u ciebie za »słuszne«, ponieważ zdaje ci się twoim »warunkiem bytu« (że jednak posiadasz słuszne prawo do bytu, zda ci się niezbitem!) Nie wzruszoność twego moralnego sądu mogłaby zawsze być jeszcze dowodem właśnie twojej osobistej marnoty, bezosobistości, twoja »moralna siła« mogłaby mieć swe źródło w twoim uporze — lub w twojej niezdolności widzenia nowych ideałów! I, krótko mówiąc: gdybyś był bystrzej myślał, lepiej obserwował i więcej się uczył, to tego obowiązku swego i tego »sumienia« swego nie byłbyś w żadnym razie nazywał już obowiązkiem i sumieniem; wiadomość tego, jak wogóle niegdyś powstały sądy moralne, zmierzłaby ci te patetyczne słowa — tak jak obmierzyły ci już inne patetyczne słowa, na przykład »grzech«, »zbawienie duszy«, »odkupienie«. — A teraz nie mów mi nic o kategorycznym rozkazie, mój przyjacielu! — słowo to łaskocze mi ucho i śmiać się muszę, mimo twą tak poważną obecność: przypo-

mina mi się przytem stary Kant, który za karę, że m a t a c t w e m z d o b y ł »r z e c z s a m ą w s o b i e « — także rzecz bardzo śmieszną — został omotany przez »kategoryczny rozkaz« i, z nim w sercu, z powrotem zabił do »boga«, »duszy«, »wolności« i »nieśmiertelności«, podobien lisowi, który z powrotem zabił do swej klatki: — choć jego to siła i rozsądek rozbiły tę klatkę! — Jako? podziwiasz kategoryczny rozkaz w sobie? Tę »niewzruszoność« swego tak zwanego moralnego sądu? Tę »bezwzględność« uczucia »tak, jak ja, muszą wszyscy o tej rzeczy sądzić«! Podziwiaj raczej w tem swe samolubstwo! I ślepotę, małostkowość i bezpretensjonalność swego samolubstwa! Samolubstwem bowiem jest od czuwać s w ó j sąd jako prawo powszechne: a ślepe, małostkowe i bezpretensjonalne znowu samolubstwo, ponieważ zdradza, żeś samego siebie jeszcze nie odkrył, żeś samemu sobie jeszcze żadnego własnego, najbardziej własnego nie stworzył ideału: — ten bowiem nie mógłby nigdy być ideałem dla innych, nie mówiąc już o wszystkich, wszystkich! — — Kto jeszcze sądzi »tak musi w tym wypadku czynić każdy«, nie uczynił jeszcze ani pięciu kroków na drodze samopoznania: inaczejby wiedział, że niema ani jednakich czynności, ani być nie może; — że każda czynność spełniona została spełnioną w sposób zupełnie jedyny i nieprzywracalny i że tak samo rzecz będzie się miała z każdą czynnością przyszłą, że wszystkie przepisy działania stosują się tylko do grubej strony zewnętrznej (i nawet najwnętrzniesze i najsubtelniejsze przepisy wszystkich dotychczasowych moralności), — że z ich pomocą można osiągnąć pe-

wien pozór tożsamości, lecz właśnie tylko pozór, — że każda czynność, czy na nią patrzymy podczas jej przebiegu, czy po przebiegu, jest i zostanie rzeczą nieprzeniknioną, — że nasze mniemania o »dobrem«, »szlachetnem«, »wielkiem« nie mogą być nigdy dowiedzione naszymi czynnościami, ponieważ wszelka czynność jest niepoznawalna, — że niezawodnie nasze mniemanie, oceny wartości i tablice dóbr należą do najpotężniejszych dźwigni w kółkowej maszyneryi naszych czynności, że jednak w każdym poszczególnym wypadku prawo ich mechaniki jest nie do wykazania. Ograniczmy się więc do oczyszczenia swych mniemań i ocen wartości i do stworzenia nowych własnych tablic dóbr: — nie ślęczmy jednak dłużej »nad moralną wartością swych postępów«! Tak, przyjaciele moi! Do całego moralnego gadulstwa jednych o drugich czas uczuć wstręt! Sprawowanie sądów moralnych niech się naszemu sprzeciwia smakowi. Pozostawmy tę gadaninę i ten zły smak tym, którzy nie mają nic więcej do roboty, jak przeszłość o mały kawałek posuwać dalej w czasie, i którzy sami nigdy nie są terażniejszością, — więc licznym, nazbyt licznym! My jednak bądźmy tem, czem jesteśmy, — nowymi, jednokrotnymi, nieporównalnymi, prawodawcami sobie samym, twórcami samych siebie! A na to trzeba nam być najlepszymi uczniami i odkrywcami wszelkiej prawności i konieczności w świecie; musimy być fizykami, byśmy w każdym znaczeniu twórcami być mogli, — gdy tymczasem dotychczas wszelkie oceny wartości i ideały zbudowane były na nieznanomości fizyki lub sprzeczności z nią. A przeto: górą fizyka! A bardziej

górą jeszcze to, co do niej nas zmusza, — nasza rzetelność!

---

## 336.

Skąpstwo natury. — Czemuż tak skąpą była natura względem ludzi, że nie pozwoiliła im świecić, temu więcej, owemu mniej, stosownie do jego wewnętrznej pełni światła? Dlaczego wielcy ludzie nie sprawiają tak pięknego widoku jak słońce o wschodzie i zachodzie? O ile mniej dwuznacznem byłoby wszelkie życie pośród ludzi!

---

## 337.

Przyszłe »człowieczeństwo«. — Kiedy patrzę oczyma odległego stulecia na obecne, to nie umiem dopatrzeć się w terażniejszym człowieku niczego godniejszego uwagi nad jego osobliwą młodość i chorobę zwaną »zmysłem historycznym«. Jest to z ar ó d czegoś zupełnie nowego i obcego w dziejach: gdyby dać temu ziarnu kilka stuleci i więcej, toby mogła z tego wkońcu cudowna wyrość roślina o równie cudownej woni, gwoli której milejby było mieszkać na naszej starej ziemi, niż dotąd. My terażniejsi zaczynamy właśnie tworzyć łańcuch przyszłego bardzo potężnego uczucia, ogniwo po ogniwie — nie wiemy prawie, co czynimy. Nieomal zda nam się, jak gdyby chodziło nie o nowe uczucie, lecz o ubywanie wszel-

kich starych uczuć, — zmysł historyczny jest jeszcze czemś tak biednym i zimnym, a wielu opada on jakby mróz i jeszcze biedniejszymi i zimniejszymi czyni. Innym wydaje się jako oznaka nadpełzającej starości, a planeta nasz uchodzi u nich za osmętniałego chorego, który, by zapomnieć o swojej chorobie, spisuje sobie dzieje swej młodości. Rzeczywiście jest to jedna barwa tego nowego uczucia: kto dzieje wszystkich ludzi odczuwać umie jak własne dzieje, ten odczuwa w ogromnym uogólnieniu całą ową zgryzotę chorego, który myśli o zdrowiu, starca, co sen młodości wspomina, kochanka, któremu porwano kochankę, męczennika, którego ideał w ruinach, bohatera w wieczór bitwy, która nie rozstrzygnęła niczego a jednak przyprawiła go o rany i stratę przyjaciela — ; lecz dźwigać tę ogromną sumę zgryzoty wszelkiego rodzaju, m ó d z dźwigać a jednak jeszcze być tym bohaterem, który o brzasku następnego dnia bitwy wita jutrzenkę i szczęście swoje, jako człowiek o widnokregu tysiącoleci przed sobą i za sobą, jako spadkobierca wszelkiej dostojności, wszelkiego przeszłego ducha i spadkobierca wdzięczny, jako szlachectwem najwyższy z wszystkich dawnych szlachetnych i zarazem pierworodny nowej szlachty, jakiej podobnej nie widział dotąd czas żaden ni nie śnił: wszystko to w jedną wziąć duszę, wszystko najstarsze i najnowsze, straty, nadzieje, zdobycze, zwycięstwa ludzkości; wszystko to wkońcu w jedną wziąć duszę i w jedno ścisnąć uczucie: — to musiałyby wytworzyć s z c z ę ś c i e, jakiego dotąd nie znał jeszcze człowiek, — szczęście Boga pełne mocy i miłości, pełne łez i śmiechu, szczęście, które, jak słońce wieczorem, ustawicznie z swego niewyczerpanego bogactwa rozdarowywa i sypie w mo-

rze i jak ono, wówczas dopiero najbogatszem się czuje, gdy i najuboższy rybak złotem wiosłuje wiosłem! To boskie uczucie zwałoby się wówczas — człowieczeństwem!

## 338.

Żądza cierpienia i litościwi. — Czy jest dla was samych z pożytkiem być przede wszystkim ludźmi litościwymi? I czy dla cierpiących jest to z pożytkiem, gdy nimi jesteście? Lecz pozostawmy pierwsze pytanie na chwilę bez odpowiedzi. To, skutkiem czego najgłębiej i najosobiściej cierpimy, jest prawie dla wszystkich innych niezrozumiałe i niedostępne; to ukryte jest w nas przed bliźnim, choćby nawet jadł z nami z jednego garnka. Powszechnie jednak, gdy nas za cierpiących u w a ż a j ą, płasko tłumaczą sobie nasze cierpienie; jest to właściwem istocie litościwej przychylności, że w y z u w a ona cudze cierpienie z właściwej mu osobistości: — nasi »dobroczyńcy« są bardziej, niż nasi wrogowie, umniejszycielami naszej wartości i woli. W najliczniejszych dobrodziejstwach wyświadczanych nieszczęśliwym leży coś oburzającego intelektualną płochością, z jaką litościwy odgrywa rolę przeznaczenia: nie wie on o całej wewnętrznej ciągłości i zawikłaniu, które zwie się nieszczęściem dla mnie lub dla ciebie. Cała ekonomia mojej duszy i jej wyrównanie przez »nieszczęście«, wybuch nowych źródeł i potrzeb, zabliznienie starych ran, odtrącenie całych przeszłości — o nic podobnego, co wiązać się może z nieszczęściem, nie troszczy się

ten poczciwy litościwiec: chce pomóc i nie myśli o tem, że istnieje osobista konieczność nieszczęścia, że mnie i tobie strach, niedostatek, zubożenie, północe, przygody, zuchwalstwa, pomyłki tak są potrzebne, jak ich przeciwieństwo, że — aby się mistycznie wyrazić — ścieżka do własnego nieba prowadzi zawsze przez rozkosz własnego piekła. Nie, on o tem nic nie wie: »religia litości« (lub »serce«) nakazuje pomagać, a mniema się, że się najlepiej pomogło, jeśli się najszybciej pomogło! Jeśli wy zwolennicy tej religii jesteście rzeczywiście tak samo usposobieni także wobec siebie, jak wobec swych współbraci, jeśli nie chcecie swemu własnemu cierpieniu pozwolić spoczywać na was choćby godzinę i ustawicznie już z dali zapobiegacie wszelkiemu możliwemu nieszczęściu, jeśli cierpienie i przykrość wogóle odczuwacie jako złe, nienawistne i zniszczenia godne, jako plamę na istnieniu: to wówczas, oprócz waszej religii litości, macie inną jeszcze religię w sercu, a ta jest może matką tamtej: — religię wygody. Ach, jak mało wiecie o szczęściu człowieka, wy wygodni i dobroduszn! bo szczęście i nieszczęście to dwoje rodzeństwa i bliźniąt, które wzrastają razem lub, jak u was, pozostają razem małemi! Lecz wróćmy teraz do pierwszego pytania. — Jak jest możliwem, pozostać na swojej drodze! Ustawicznie woła nas jakiś krzyk na bok; oko nasze widzi tu rzadko coś, wobec czego nie trzebaby porzucić natychmiast własnej sprawy i skoczyć na pomoc. Wiem to: jest sto przyzwoitych i chlubnych sposobów, bym się mógł zbic z swojej drogi i zaprawdę, najbardziej »moralnych« sposobów. A nawet zapatrywanie dzisiejszych moralnych kaznodziejów litości dochodzi tak daleko, że właśnie

to i tylko to jest jedynie moralnem: — w ten sposób zgubić swoją drogę i skoczyć bliźniemu na pomoc. Wiem to tak samo dobrze: trzeba tylko, bym się oddał widokowi rzeczywistej niedoli, a jestem zgubiony! I gdyby przyjaciel cierpiący rzekł do mnie: »Patrz, wkrótce umrę; przyrzeknij mi, że ze mną umrzesz« — tobym przyrzekł, tak samo, jak widok owego za wolność swą walczącego ludku górskiego przywiódłby mnie do oddania mu dłoni mej i życia mego: by z dobrych pobudek złe wybrać przykłady. Istnieje nawet pewna tajna pokusa w tem wszystkim, co wzbudza litość i wzywa pomocy: właśnie nasza »własna droga« jest rzeczą zbyt twardą i wymagającą i zbyt daleką od miłości i wdzięczności innych, — nie uciekamy od niej zbyt niechętnie, od niej i swego własnego sumienia i chronimy się pod skrzydło sumienia innych i w wnętrzu miłej świątyni »religii litości«. Skoro teraz jakaś wojna wybuchy, to wybuchy z nią też zawsze, i właśnie w najszlachetniejszych jakiegoś narodu, tajemnie oczywiście ukrywana uciecha: rzucają się z zachwytem w nowe niebezpieczeństwo śmierci, ponieważ sądzą, iż w poświęceniu się za ojczyznę znajdują wreszcie owo długo szukane pozwolenie — pozwolenie uchylecia się od swego celu: — wojna jest dla nich manowcem ku samobójstwu, lecz manowcem z czystem sumieniem. I zamilczając tu niejedno: nie chcę jednak zamilczeć głosu swej moralności, która mi mówi: Żyj w ukryciu, byś mógł żyć dla siebie! Żyj w niewiadomości tego, co twemu stuleciu zdaje się najważniejszym! Odgródź siebie od dnia dzisiejszego conajmniej skórą trzech stuleci! A niech krzyk dnia dzisiejszego, zgielek wojen i rewolucyi będzie ci pomrukiem! Bę-

dziesz też szedł z pomocą: lecz tylko tym, których niedolę rozumieć będziesz, bo mają z tobą jeden ból i jedną nadzieję, — przyjacielom swoim: i tylko w ten sposób, jak sobie samemu przychodzisz z pomocą: — chcę ich uczynić odważniejszymi, wytrzymalszymi, prostszymi, weselszymi! Chcę ich nauczyć tego, co umie dziś tak niewielu a najmniej owi kaznodzieje współcierpienia: — wspólnej radości!

*Vita femina.* — By ujrzeć największe piękności jakiegoś dzieła — nie wystarczy żadna wiedza i żadna dobra wola; potrzeba najrzadszych szczęśliwych przypadków, by ustąpiła dla nas zasłona chmur z tych wierzchołków i jasne na nich zapłonęło słońce. By to widzieć, musimy nie tylko stać właśnie na należytem miejscu: właśnie nasza dusza sama winna zdjąć zasłonę z swoich wyżyn i zapragnąć zewnętrznego wyrazu i obrazu, niejako by uzyskać oparcie i posiąść moc nad sobą. Wszystko to jednak zdarza się tak rzadko jednocześnie, iż jestem skłonny sądzić, że najwyższe wyżyny wszelkiego dobra, czy to jest dzieło, czyn, człowiek, natura, były dotychczas dla najliczniejszych a nawet dla najlepszych czemś ukrytem i zasłoniętem; — co jednak nam się odsłania, odsłania nam się tylko raz! — Grecy modlili się: »wszystkiego, co piękne — dwa lub trzy razy!« — ach, mieli słuszny powód do wzywania bogów, bo nieboska rzeczywistość nie daje nam piękna wcale lub

raz! Chcę rzec, że świat przepęłny jest rzeczy pięknych, lecz mimo to ubogi, bardzo ubogi w piękne chwile i odsłonięcia tych rzeczy. Lecz może to jest najsilniejszym czarem życia: przetkana złotem zasłona pięknych możliwości spoczywa na nim obiecująca, oporna, wstydliva, szydercza, litosna, uwodna. Tak, życie jest kobietą!

## 340.

Umierający Sokrates. — Podziwiam dzielność i mądrość Sokratesa we wszystkim, co czynił, powiedział — i nie powiedział. Ten drwiący i zakochany potwór i łowca szczurów ateński, który w drżeniu i łkanie wprawiał junaczych młodzieńców, był nie tylko najmędrszym gadułą, jaki istniał: tak samo wielkim był w milczeniu. Chciałbym, by i w ostatnich chwilach życia był milczał — może należałby wówczas do wyższego jeszcze rzędu duchów. Czy to śmierć była, czy trucizna, czy pobożność czy złośliwość — coś rozwiązało mu w owej chwili język i rzekł: »O Krytonie, winienem Asklepiosowi koguta.« To śmieszne i straszliwe »ostatnie słowo« znaczy dla tego, kto ma uszy: »O Krytonie, życie jest chorobą!« To możliwe! Człowiek, jak on, który żył pogodnie i przed oczami wszystkich jak żołnierz — był pesymistą! Nadrabiał tylko miną wobec życia i za życia ukrywał swój ostateczny sąd, swe najwnętrniejsze uczucie! Sokratesa, Sokratesa bolało życie! A on zemścił się jeszcze za to — owem tajemniczem, strasznem, pobożnem i bluźnierczem słowem!

Musiałże i Sokrates mścić się jeszcze? Czy było o jeden gran wielkoduszności za mało w jego przebogatej cnocie? — Ach, przyjaciele! I Greków musimy przewyciężyć!

## 341.

Największy ciężar. — A gdyby tak pewnego dnia lub nocy jakiś demon wpelznął za tobą w twą najsamotniejszą samotność i rzekł ci: »Życie to, tak jak je teraz przeżywasz i przeżywałeś, będziesz musiał przeżywać raz jeszcze i niezliczone jeszcze razy; i nie będzie nic w niem nowego, tylko każdy ból i każda rozkosz i każda myśl i westchnienie i wszystko niewymownie małe i wielkie twego życia wrócić ci musi, i wszystko w tym samym porządku i następstwie — tak samo ten pająk i ten blask miesiąca pośród drzew i tak samo ta chwila i ja sam. Wieczna klepsydra istnienia odwraca się jeno — a ty z nią, pyłku z pyłu!« — Czy nie padłbyś na ziemię i nie zgrzytał zębami i nie przeklął demona, któryby tak mówił? Lub czy przeżyłeś kiedy ogromną chwilę, w którejbyś był mu rzekł: »Bogiem jesteś i nigdy nie słyszałem nic bardziej boskiego!« Gdyby myśl ta uzyskała moc nad tobą, zmieniłaby i zmiądzzyła może ciebie, jakim jesteś. Pytanie przy wszystkim i każdym szczególe: »czy chcesz tego jeszcze raz i jeszcze niezliczone razy?« leżałoby jak największy ciężar na postępkach twoich. Lub jakże musiałbyś kochać

samego siebie i życie, by niczego więcej nie pragnąć nad to ostateczne wieczne poświadczanie i pieczętowanie? —

---



---

342.

---



---

*Incipit tragoedia.* — Gdy Zaratustra miał trzydzieści lat, opuścił swą ojczyznę i jezioro Urmi i poszedł w góry. Tu używał ducha swego i swej samotności i nie znużył się tem lat dziesięć. Wreszcie jednak przemieniło się serce jego — i pewnego rana wstał z jutrzenką, stanął przed słońcem i tak doń rzekł: »O wielka gwiazdo! Czem byłoby twe szczęście, gdybyś tych nie miała, którym świeciłaś! Dziesięć lat wschodziłaś tu w górę ku mej jaskini: przesycałabyś się była światłem swem i drogą swą, beze mnie, mego orła i mego węża; lecz czekaliśmy ciebie każdego rana, odbieraliśmy ci nadmiar twój i błogosławili cię za to. Patrz! Obmierzła mi mądrość moja, jako pszczoła, która miodu za wiele zebrała, pożądam rąk, co się wyciągają, chciałbym darowywać i obdzielać, aż mędracy wśród ludzi znów staną się radzi szaleństwu swemu a ubodzy swemu bogactwu. Na to wgłąb zstąpić muszę: jak ty wieczorem czynisz, gdy poza morze schodzisz i światło jeszcze podziemiu niesiesz, o gwiazdo przebogata! — muszę, podobnie tobie, zapasć, jak mówią ludzie, ku którym zejść chcę w dół. Błogosław mnie tedy, oko spokojne, które bez zawiści nawet na

nadmiar szczęścia patrzeć możesz! Błogosław puhar, który przelać się pragnie, by złotem płynęła zeń woda i wszędzie odblask twej rozkoszy niosła! Patrz! Puhar ten znowu opróżnić się pragnie, a Zaratustra znów chce być człowiekiem«. — Tak począł się zachód Zaratustry.

---

341

Incipit tragedia. — Gdy Zaratustra miał

wyjechać, przyszedł do niego puhar, który

przez całą noc czekał na niego, aż przyszedł

do niego, i powiedział mu: «Błogosław puhar,

który przelać się pragnie, by złotem płynęła

zeń woda i wszędzie odblask twej rozkoszy

niosła! Patrz! Puhar ten znowu opróżnić się

pragnie, a Zaratustra znów chce być człowie-

kiem». — Tak począł się zachód Zaratustry.



## KSIEGA PIĄTA.

### MY NIEUSTRASZENI.

Carcasse, tu trembles? Tu tremble-rais bien davantage, si tu savais, où je te mène.

Turenne.

nadmiar szczęścia patrzeć możesz i Błogosław pułar,  
który przelać się pragnie, by słowem płynęła zeń woda  
i wszędzie odbiłaś twej rozkoszy miota i Patrz i Pu-  
har ten znów opróżnić się pragnie, a Zaratustra znów  
chce być człowiekiem. — Tak począł się zachód  
Zaratustry.

## KSIĘGA PIĄTA

### MY NIESTRZELNI

Caracas, le vendredi 7 Ju 1890.  
C'est bien dommage, si tu savais, où je  
te mène.

Tarant.



W sprawie naszej pogody. — Największe z nowych zdarzeń — że »Bóg umarł«, że wiara w boga chrześcijańskiego niewiarogodną się stała — poczyną już na Europę swe pierwsze rzucać cienie. Nielicznym przynajmniej, których spojrzenie, których podejrzliwe spojrzenie jest dość silne i bystre na to widowisko, zdaje się, że właśnie jakieś zaszło słońce, że jakaś stara głęboka ufność zmieniła się w wątpliwość: stary nasz świat musi im zdać się z dnia na dzień bardziej wieczornym, nieufniejszym, bardziej obcym, »starszym«. W istocie jednak rzecz można: zdarzenie samo zbyt jest wielkie, zbyt dalekie, zbyt odległe od zdolności pojmowania wielu, by można powiedzieć, że choćby tylko wieść o niem już doszła; nie mówiąc już, by wielu wiedziało, co się właściwie przez to wydarzyło — i ile wszystkiego, po podkopaniu tej wiary, zapaść się musi, jako na niej zbudowane, na niej oparte, w nią wrosłe: na przykład cała nasza europejska moralność. Któż odgadnie dziś już na tyle ową nadchodzącą pełnię i łańcuch strat, znisz-

czenia, upadku, przewrotu, które nadciągają, by musiał stać się nauczycielem i zwiastunem tej potwornej logiki strachu, prorokiem sposepnienia i zaćmienia słońca, jakim równych nie było prawdopodobnie dotychczas na ziemi? . . . Nawet my urodzeni odgadywacze zagadek, którzy jakby na górach czekamy, postawieni między »wczoraj« i jutrem i wprzęgnięci w sprzeczność między »dzisiaj« a jutrem, my pierworodni i zawcześnie urodzeni synowie nadchodzącego stulecia, którym właściwie cienie mające wkrótce spowić Europę już dziś winny były stać się widoczne: czem to się dzieje, że nawet my wybiegamy wzrokiem na spotkanie tego nadciągającego sposepnienia bez należytego przejęcia się niem, przedewszystkiem bez troski i obawy o siebie? Czy może zbyt jeszcze stoimy pośród najbliższych skutków tego zdarzenia — a te skutki najbliższe, skutki dla nas, nie są, przeciwnie niżby może oczekiwać można — wcale smutnymi i zasępiającymi, raczej nowym niewysłownym rodzajem światła, szczęścia, ulżenia, rozradowania, otuchy, brzasku . . . Rzeczywiście, my filozofowie i »duchy wolne« czujemy się na wieść, że »Bóg umarł«, jakby opromienieni nową jutrzenką; serce nasze przelewa się wdzięcznością, zdumieniem, przeczuciem, oczekiwaniem, — wkońcu ukazuje się nam widnokrąg znów wolnym, chociażby nawet nie był jasny, wreszcie znów mogą wybiegać okręty nasze, naprzeciw niebezpieczeństwu każdemu wybiegać, każdy hazard poznającego jest znów dozwolony, morze, nasze morze znów stoi otworem, nigdy może nie było jeszcze tak »otwartego morza«.

O ile i my jeszcze bogobojni jesteśmy. — W nauce nie mają przekonania prawa obywatelstwa, tak mówi się słusznie: dopiero gdy zdecydują się one zstąpić do skromności hipotezy, tymczasowego stanowiska doświadczalnego, regulatywnej fikcji, można im przyznać dostęp do królestwa poznania, a nawet pewną wartość w jego obrębie, — co prawda z tem ograniczeniem, że muszą pozostać pod dozorem policyjnym, pod władzą policyi nieufności. — Lecz, przyjrząwszy się dokładnie, nie znaczyż to: że przekonanie dopiero wtedy osiągnąć może wstęp w obręb wiedzy, gdy przestanie być przekonaniem? Czyż karność naukowego ducha nie zaczyna się wzbronieniem sobie wszelkich przekonań?... Tak jest prawdopodobnie: pozostaje tylko pytanie, czy, aby karność ta zacząć się mogła, nie musi istnieć już przekonanie i to tak despotyczne i bezwzględne, że składa sobie w ofierze wszystkie inne przekonania. Widzimy, że i wiedza spoczywa na wierze, niema wcale żadnej »nieuprzedzonej« wiedzy. Pytanie, czy prawda jest potrzebna, musi być już nietylko z góry potwierdzone, lecz potwierdzone do tego stopnia, że twierdzenie, wiara, przekonanie dochodzą do wyrazu w tem: »niczego więcej nie potrzeba prócz prawdy i w stosunku do niej wszystko pozostałe ma wartość niższego rzędu«. — Ta bezwzględna żądza prawdy: czemże jest ona? Jestże to postanowienie: by nie dać się łudzić? Jestże to postanowienie, by nie łudzić? Bo i w ten ostatni sposób da się interpretować żądza prawdy:

pod warunkiem, że się pod uogólnienie »nie chcę ludzi« podciąga też poszczególny wypadek: »nie chcę siebie ludzić«. Lecz dlaczego nie ludzić? Lecz dlaczego nie dać się ludzić? — Zauważmy, że powody pierwszego leżą w zupełnie innej dziedzinie, niż drugiego: nie chcemy dać się ludzić, ponieważ uważamy, że szkodliwem, niebezpiecznym, fatalnym jest podlegać złudzeniu, — w tem znaczeniu byłaby wiedza długą roztropnością, ostrożnością, pożytecznością, którejby jednak można słusznie zarzucić: jakto? jestże postanowienie, by nie dać się ludzić, mniej szkodliwe, mniej niebezpieczne, mniej złowrogie? Cóż wiecie z góry o charakterze istnienia, by móżdż rozstrzygnąć, czy większa korzyść jest po stronie bezwzględnej nieufności, czy bezwzględnej ufności? W razie jednak, gdyby jednej i drugiej miała być potrzeba, dużo ufności i dużo nieufności: skądby wówczas wzięła wiedza swą bezwzględną wiarę, swe przekonanie, na którem spoczywa, że prawda ważniejsza jest, niż jakakolwiek rzecz inna, a także niż każde inne przekonanie? Właśnie to przekonanie nie mogłoby było powstać, gdyby prawda i nieprawda okazywały się obie ustawicznie pożytecznymi: jak w tym wypadku. Więc — niezaprzeczalnie istniejąca już dziś wiara w wiedzę nie mogła z takiego urodzić się wyrachowania pożyteczności, lecz raczej mimo to, że wykazuje się jej ustawicznie bezpożyteczność i niebezpieczeństwo »żądzy prawdy«, »prawdy za wszelką cenę«. »Za wszelką cenę«: o, rozumiemy to dość dobrze dopiero, gdyśmy jedną wiarę po drugiej na tym ołtarzu złożyli i zarznęli! — Przeto »żądza prawdy« nie oznacza »nie chcę się dać ludzić«, jeno — nie pozostaje nic do wyboru — »nie chcę ludzić, także

samego siebie nie«: — i oto jesteśmy na gruncie moralności. Bo zapytajcie się tylko gruntownie: »dlaczego nie chcesz ludzić?« mianowicie jeśliby istniały pozory — a istnieją pozory! —, że życie zbudowane jest na pozorze, to znaczy na błędzie, oszukaństwie, przebraniu, oślepieniu, samooślepieniu, i gdyby z drugiej strony faktycznie wielka forma życia ukazywała się zawsze po stronie najmniej skrupulatnych πολύτροποι. Przedsięwzięcie takie mogłoby być może, łagodnie mówiąc, donkichoteryą, drobną marzycielską głupotą; mogłoby jednak być też jeszcze czemś gorszym, to jest wrogą życiu, niszczyielską zasadą... »Żądza prawdy« — mogłaby być ukrytą żądzą śmierci. — W ten sposób pytanie: »poco nauka?« prowadzi napowrót do moralnego problemu: »poco wogóle moralność«, jeśli życie, natura, dzieje są »niemoralne«? Nie ulega wątpliwości, że wyznawca prawdy, w owem zuchwałem i ostatecznem znaczeniu, jak go pojmuje wiara w naukę, potwierdza w ten sposób świat inny, nie zaś świat życia, przyrody i dziejów; a jeżeli ów »inny świat« potwierdza, jakto? czyż nie musi właśnie tem samem zaprzeczać jego przeciwieństwa, tego świata, naszego świata?... Jednak pojęliście już zapewne, do czego dążę, mianowicie, że to, na czem nasza wiara w naukę spoczywa, to wciąż jeszcze wiara metafizyczna, — że także my poznający dzisiejsi, my bezbożni i antymetafizycy, także s w ó j ogień jeszcze czerpiemy z pożaru, który wzniciła tysiące lat licząca wiara, owa wiara chrześcijańska, która była też wiarą Platona, że Bóg jest prawdą, że prawda jest boska... Lecz cóż, jeśli to właśnie coraz mniej wiarogodnem się staje, jeśli nic więcej nie okazuje się boskiem,

oprócz błędu, ślepoty, kłamstwa — jeśli Bóg sam okazuje się naszym najdłużej trwającym kłamstwem ?

## 345.

Moralność jako problemat. — Brak osobistości mści się wszędzie: osłabiona, cienka, zgaszona, samej siebie zaprzeczająca i zapierająca się siebie osobistość nie przyda się już żadnej dobrej rzeczy, — najmniej przydaje się filozofii. — »Bezosobistość« nie ma żadnej wartości w niebie ani na ziemi; wszystkie wielkie problemy wymagają wielkiej miłości, a zdolne do niej są tylko silne, zaokrąglone, pewne duchy, silnie na samych sobie oparte. Najważniejszą różnicą jest to, czy myśliciel znajduje się do swoich problemów w stosunku osobistym, tak że w nich jego przeznaczenie, jego niedola a także najlepsze jego szczęście spoczywa, czy też w »nieosobistym«: to jest, czy umie ich dotykać i ujmować je tylko maczkami swej zimnej ciekawej myśli. W ostatnim wypadku nic z tego nie wyniknie, tyle można przyrzec: bo wielkie problemy, przypuszczając nawet, że się dadzą ująć, nie dadzą się utrzymać żabom i słabeuszom, taki jest smak ich od wieków, — smak zresztą, który mają wspólnie z żwawymi samcami. — Jakże się więc dzieje, że nie spotkałem dotychczas nikogo, nawet w książkach, ktoby do moralności znajdował się w takim stosunku, jako osoba, ktoby znał moralność jako problemat a ten problemat jako swoją osobistą potrzebę, udrękę, rozkosz i namiętność? Wiadocznie moralność nie była dotąd wcale problematem;

raczej tem, w czem po wszystkich nieufnościach, roz-  
dwojeniach i sprzecznościach zgadzano się z sobą  
wzajem, uświęconem miejscem pokoju, gdzie myśli-  
ciel po sobie samym wypoczywał, oddychał, odżywał.  
Nie widzę nikogo, ktoby ważył się na krytykę mo-  
ralnych ocen wartości; nie znajduję w dziedzinie tej  
nawet usiłowań naukowej ciekawości, wybrednej i ku-  
sicielskiej wyobraźni psychologów i historyków, która  
łatwo problemat jakiś antycypuje i w locie chwytą,  
nie wiedząc dobrze, co chwyciła. Doszukałem się za-  
ledwo kilku skąpych zarodków usiłujących doprowa-  
dzić do historii powstawania tych uczuć i ocen moral-  
nych (co jest czemś innem, niż ich krytyka i jeszcze  
raz czemś innem, niż historia etycznych systema-  
tów): w pewnym poszczególnym wypadku uczyniłem  
wszystko, by otuchy dodać pewnej skłonności i zdol-  
ności do tego rodzaju historii — daremnie, jak dziś  
mi się zdaje. Ci historycy moralności (mianowicie  
Anglicy) nie wiele warci: stoją oni zazwyczaj sami  
jeszcze prostodusznie pod rozkazami pewnej moral-  
ności i, nie wiedząc o tem, służą jej za giermków  
tarczońskich i orszak; wyznają na przykład wciąż  
jeszcze tak wiernie powtarzany zabobon ludowy chrześ-  
cijańskiej Europy, że cecha charakterystyczna postęp-  
ków moralnych leży w bezosobistości, zaparciu się  
siebie, poświęceniu siebie, lub w współczuciu, w litości.  
Ich zwyczajnym błędem w tem przypuszczeniu jest,  
że stwierdzają jakiś *consensus* narodów, przynajmniej  
oswojonych narodów, co do pewnych zasad moral-  
ności i stąd wysnuwają jej moc obowiązującą, tę  
samą dla mnie jak dla ciebie; lub odwrotnie, gdy  
wzeszła ich oczom prawda, że u rozmaitych ludów  
moralne oceny są z konieczności inne, wycią-

gają wniosek o nieobowiązywaniu żadnej moralności: co w obu razach jest wielkiem dziecinstwem. Błędem bystrzejszych pośród nich jest to, że odkrywają i krytykują niemądre może mniemania pewnego ludu o swojej moralności lub ludzi o wszelkiej ludzkiej moralności, więc mniemania o jej pochodzeniu, jej uświęceniu religijnem, o zabobonie wolnej woli i tym podobnych, i tem samem sądzą, że skrytykowali samą moralność. Lecz wartość przepisu »powinieneś« jest jeszcze zasadniczo różna i niezależna od takich mniemań o niej i od zielska błędu, którem zachwaszczony jest może: jak bezsprzecznie wartość lekarstwa dla chorego nie jest zgoła jeszcze zawisła od tego, czy chory myśli o medycynie naukowo, czy jak stara baba. Jakaś moralność wyrość mogła nawet z błędu: nawet ten wzgląd nie dotknąłby jeszcze problemu jej wartości. — Nikt więc dotychczas nie badał jeszcze wartości owego z wszystkich najślawniejszego lekarstwa, zwanego moralnością: do czego przedewszystkiem potrzeba, by ją wreszcie — podano w wątpliwość. Nuże! To właśnie jest dziełem naszym!

Nasz znak pytania. — Lecz wy nie rozumiecie tego? W rzeczy samej, trudno nas będzie rozumieć. Szukamy słów, szukamy też może uszu. Kimże jesteśmy przecie? Gdybyśmy chcieli poprostu, dawniejszym wyrazem, nazwać się bezbożnymi lub niewierzącymi lub też immoralistami, nie określilibyśmy

się, naszym zdaniem, nawet w przybliżeniu: jesteśmy wszystkimi trzema, w zapóźnem stadyum, aby pojęto, abyście wy pojąć mogli, moi panowie ciekawscy, jak nam jest przy tem na sercu. Nie! precz z goryczą i namiętnością wyzwoleńca, który z niewiary swojej jeszcze wiarę sporządzić sobie musi, cel a nawet męczeństwo! Uwarzyliśmy się a także zzimnieliśmy i stwardnieli w zrozumieniu, że na świecie nie dzieje się wcale po bosku, a nawet nie wedle ludzkiej miary rozumnie, miłosiernie lub sprawiedliwie: wiemy, że świat, w którym żyjemy, jest nieboski, niemoralny, »niehumaniczny«, — zbyt długo wykładaliśmy go sobie fałszywie i kłamliwie, lecz wedle życzenia i woli swego uwielbienia, to znaczy wedle potrzeby. Bo człowiek jest wielbiącym zwierzęciem! Lecz jest także nieufnym: a że świat nie jest tyle wart, jakiegośmy wierzyli, to jest nieledwie najpewniejszą rzeczą, którą wkońcu posiadała nieufność nasza. Ile nieufności, tyle filozofii. Wystrzegamy się mówić, że jest mniej wart: wydaje nam się dziś wprost śmiesznem, gdyby człowiek chciał mieć pretensję do wynalezienia wartości, któreby przewyższały wartość rzeczywistego świata, — porzuciliśmy to właśnie, jako wybujałe ludzkiej próżności i nierozumu zbłąkanie, którego długo za takie nie uważano. Miało ono ostatni swój wyraz w nowoczesnym pesymiźmie, dawniejszy zaś i silniejszy w nauce Buddy; lecz tkwi też w chrześcijaństwie, oczywiście wątpliwiej i dwuznaczniej, lecz nie mniej przeto zwodniczo. Cała postawa: »człowiek precie w świecie«, człowiek jako zasada »świata zaprzeczająca«, człowiek jako miara wartości rzeczy, jako sędzia światów, który wkońcu samo istnienie na szale wagi swej kładzie i za lekkim znajduje — potworna

niesmaczność tej postawy doszła nam, jako taka, do świadomości i obmierzała nam — śmiejemy się już, gdy spotkamy »człowieka i świat« zestawionych obok siebie, rozdzielonych wzniosłą zarozumiałością słówka »i«! Jakże jednak? Czyśmy przez to właśnie, jako śmiejący się, nie postąpili jeno o krok dalej w pogardzie człowieka? Więc i w pesymiźmie, w pogardzie poznawalnego n a m istnienia? Czy właśnie przez to nie popadliśmy w podejrzenie przeciwieństwa, przeciwieństwa świata, w którym dotąd czuliśmy się u siebie z swemi uwielbieniami (gwoźli którym może wytrzymywaliśmy życie), i innego świata, którym my sami jesteśmy: w nieubłagane zasadnicze najgłębsze odejście co do siebie samych, które nas Europejczyków coraz bardziej, coraz gorzej opanowuje i łatwo przyszłe pokolenie postawić może w obliczu strasznego albo — albo: »albo pozbędźcie się swych uwielbień albo — siebie samych!« To ostatnie byłoby nihilizmem; lecz czyżby i pierwsze nie było nihilizmem? — oto nasz znak pytania.

Wierzący i ich potrzeba wiary. — Jak wiele komuś potrzeba wiary, by mógł się rozwinąć, jak wiele »niewzruszoności«, której wstrząsać nie pozwala. bo się jej trzyma, — to jest miarą stopnia jego siły (lub mówiąc dokładniej jego słabości). Chrześcijaństwa potrzebują, jak mi się zdaje, w starej Europie i dziś jeszcze ci, których najwięcej: dlatego też znajduje ono jeszcze wiarę. Taki bowiem jest

człowiek: jakąś zasadę wiary można mu zbić tysiąc-krotnie, on jednak, jeśli mu jest potrzebna, uważać ją będzie ciągle za »prawdziwą« — wedle owego sławnego »dowodu mocy«, o którym Biblia prawi. Metafizyki potrzebuje jeszcze wielu; lecz także owa gwałtowna żądza pewności, która w sposób naukowo-pozytywistyczny wyładowuje się dziś w szerokiach masach, żądza aby mieć jakiegoś pewnego posiadania (gdy tymczasem z powodu gorączki owej żądzy postępuje się z uzasadnieniem tej pewności lżej i opieszalej), otóż i to jest jeszcze pożądanym oparciem, podpory, słowem instynktem słabości, który religii, metafizyk, przekonań wszelkiego rodzaju wprawdzie nie tworzy, lecz — je zachowuje. W samej rzeczy te wszystkie pozytywistyczne systematy okłębają dym pewnego pesymistycznego sępnienia, coś jak znużenie, fatalizm, zawód, obawa nowych zawodów — lub też wystawiana na pokaz zawziętość, niezadowolenie, oburzający się anarchizm i jakie tam jeszcze istnieją symptomy i maskarady uczucia słabości. Nawet porywczność, z jaką najroztropniejsi nasi współcześni gubią się w mizernych kątach i cieśnieniach, na przykład w ojczyźniactwie (tak nazywam to, co we Francji zwą *chauvinisme*, w Niemczech »niemieckością«) lub w pokątnych wyznaniach estetycznych na sposób paryskiego naturalizmu (wydobywającego i obnażającego tę tylko część, która zarazem wstręt i zdumienie budzi — część tę zwą dziś chętnie *la verité vraie*) lub w nihilizmie wedle petersburskich wzorów (to znaczy w wierze w niewiarę, aż do męczeństwa za nią), nawet ona wykazuje zawsze przede wszystkim potrzebę wiary, podpory, kręgosłupa, oparcia . . . Wiary pożąda się zawsze tam najbardziej,

tam potrzebuje się jej najgwałtowniej, gdzie zbywa na woli, bo wola jest, jako uczucie rozkazu, najbardziej rozstrzygającą oznaką własnej wielmożności i siły. To znaczy, im mniej kto rozkazywać umie, tem usilniej pożąda kogoś, kto rozkazuje, surowo rozkazuje, pożąda boga, księcia, stanowiska, lekarza, spowiednika, dogmatu, sumienia partyi. Skąd możnaby wysnuć, że obie wszechświatowe religie, buddyzm i chrześcijaństwo zawdzięczają może swoje powstanie a zwłaszcza swą gwałtownie udzielającą się zaraźliwość ogromnej chorobie woli. I tak było w rzeczywistości: obie religie zostały do niedorzeczności wypiętrzone przez chorobę woli, przez rozpaczliwe pożądanie jakiegoś »powinieneś«, obie religie były nauczycielkami fanatyzmu w czasach uśpienia woli i dawały przez to niezliczonym tłumom punkt oparcia, nową możliwość chcenia, rozkosz z chcenia. Fanatyzm jest bowiem jedyną »siłą woli«, do której dojść mogą także słabi i niepewni, jako pewien rodzaj zahipnotyzowania całego zmysłowo-intelektualnego systemu na rzecz nadmiernego odżywienia (hipertrofii) pewnego poszczególnego punktu widzenia i czucia, który odtąd dominuje — chrześcijanin nazywa go swą wiarą. Gdzie człowiek dojdzie do zasadniczego przekonania, że muszą mu rozkazywać, tam staje się »wierzącym«; odwrotnie, możnaby sobie wyobrazić rozkosz i siłę władania sobą, wolność woli, w której duch rozbrat bierze z wszelką wiarą, wszelkiem pożądaniem pewności, wyćwiczon tak, że umie się trzymać na lekkich linach i możliwościach i tańczyć nawet nad bezdniami. Taki duch byłby wolnym duchem *par excellence*.

---

O pochodzeniu uczonych. — Uczony wyrasta w Europie z wszelkiego rodzaju stanów i społecznych warunków, jako roślina, która nie wymaga żadnej specyficznej gleby; dlatego należy on, z istoty swej i poniewolnie, do podpór myśli demokratycznej. Lecz pochodzenie to zdradza się. Kto wyuczył nieco swój wzrok doszukiwania się (w uczonej książce, lub naukowej rozprawie) intelektualnej i d i o s y n k r a z y i uczonego — ma ją każdy uczoney — i do chwytania jej na uczynku, ten zobaczy prawie zawsze poza nią »przeddzieje« uczonego, jego rodzinę, w szczególności jej rodzaje zajęć i rzemiosła. Gdzie do głosu dochodzi uczucie »to jest odtąd dowiedzione, z tem się załatwiłem«, tam w krwi i instynkcie uczonego tkwi zazwyczaj przodek, który z swego kątku widzenia pochwała »zrobioną robotę«, — wiara w dowód jest tylko objawem tego, co w pracowitym rodzie oddawna uważano za »dobrą robotę«. Przykład: synowie wszelkiego rodzaju rejestratorów i biurowych pisarzy, których głównem zadaniem było zawsze porządkowanie różnorodnego materiału, rozdzielanie na oddziały, wogóle schematyzowanie, okazują, gdy uczonymi zostaną, szczególną do tego skłonność, iż uważają jakiś problemat za rozwiązany nieledwie tem, że go uschematyzowali. Są filozofowie, którzy w gruncie rzeczy są tylko schematycznymi głowami, — formalność ojcowskiego rzemiosła stała się ich treścią. Talent do klasyfikacyi, do tablic kategorii zdradza coś; nie jest się bezkarnie dzieckiem swych rodziców. Syn adwokata będzie też jako badacz musiał być adwokatem; w sprawie swej mieć będzie pierwszy

względ, by utrzymać się przy swem zdaniu, drugi może, by mieć słusność. Synów protestanckich duchownych i nauczycieli szkolnych poznaje się po naiwnej pewności, z którą jako uczeni rzecz swą za dowiedzioną już uważają, kiedy ją właśnie dopiero tylko serdecznie i z ciepłem wygłosili: są bowiem zasadniczo przyzwyczajeni, że się im wierzy, — to należało u ojców ich do »rzemiosła«! Żyd przeciwnie, stosownie do zakresu zajęć i przeszłości swego narodu, przywykł właśnie najmniej do tego, by mu wierzone: przypatrzmy się pod tym względem uczonym żydowskim, — wszyscy oni przywiązują wiele wagi do logiki, to jest do w y m u s z e n i a zgody przez uzasadnienia; wiedzą, że nimi zwyciężyć muszą, nawet tam, gdzie istnieje przeciw nim niechęć rasowa i klasowa, gdzie im się wierzy niechętnie. Niema bowiem nic demokratyczniejszego nad logikę: nie ogląda się bowiem na osoby a także krzywe nosy uważa się za proste. (Mimoходом zaznaczymy: Europa właśnie ze względu na ulogicznienie, na czystsze nawyknienie głowy, winna niemało wdzięczności Żydom; najpierw Niemcy, jako oplakanie bezrozumna rasa, której też dziś wciąż jeszcze nasamprzód »głowę zmywać« trzeba. Wszędzie, gdzie Żydzi doszli do wpływu, nauczyli bardziej drobiazgowo odróżniać, bystrzej wnioskować, jaśniej i przejrzyściej pisać: zadaniem ich było zawsze jakiś naród »uczyć rozumu«).

Jeszcze raz o pochodzeniu uczonych. — Chęć zachowania siebie samego przy życiu.

jest wyrazem krytycznego położenia, zacieśnienia właściwego zasadniczego popędu życiowego, który dąży do rozszerzenia mocy i w żądzy tej podaje dość często w wątpliwość samozachowawczość i poświęca ją. Uważać to należy za symptomat, że poszczególni filozofowie, jak na przykład suchotniczy Spinoza, właśnie tak zwany popęd samozachowawczy za rozstrzygający uważali, uważać musieli: — byli to właśnie ludzie w krytycznem położeniu. Że nasze współczesne nauki przyrodnicze do tego stopnia uwikłały się w dogmacie Spinozy (wkońcu jeszcze i najgrubiej w darwinizmie z jego nie do pojęcia jednostronną nauką o »walce o byt« —), temu winno prawdopodobnie pochodzenie przeważnej liczby badaczy przyrody: należą w tym względzie do »ludu«, przodkowie ich byli to ludzie ubodzy i skromni, którzy trudność utrzymania się znali nazbyt zbliżka. Cały angielski darwinizm owiewa coś, jakby angielski zaduch z przeludnienia, jakby nędzarska woń biedy i ciasnoty. Lecz należałoby badaczom przyrody wyjść z swego człowieczego kąta: a w naturze p a n u j e nie niedostatek, lecz nadmiar, rozrzutność, aż do niedorzeczności nawet. Walka o byt jest tylko wyjątkiem, tymczasowem ograniczeniem żądzy życia; wielka i mała walka toczy się wszędzie o przewagę, o rozrost i rozprzestrzenienie, o moc, stosownie do żądzy mocy, którą jest właśnie żądza życia.

---

350.

K u c z c i *hominum religiosorum*. —  
Walka przeciw kościołowi jest z wszelką pewnością,

między innemi — bo oznacza różne rzeczy —, także walką natur pospolitych, więcej zadowolonych, ufniejszych, powierzchowniejszych, przeciw panowaniu bardziej ważkich, głębszych, wnikliwszych, to znaczy gorszych i podejrzliwszych ludzi, którzy wraz z długo-trwałem podejrzeniem co do wartości istnienia, dumali nad własną wartością: — pospolity instynkt ludu, jego wesołość zmysłów, jego »dobre serce« burzyły się przeciw nim. Cały rzymski kościół spoczywa na południowej względem natury człowieka podejrzliwości, którą Północ zawsze fałszywie rozumie: z którą to podejrzliwością europejskie Południe wzięło w spadku głęboki Wschód, prastarą tajemniczą Azyę i jego kontemplację. Już protestantyzm jest buntem ludu na rzecz poczciwców, prostodusznych, powierzchownych (Północ była zawsze dobroduszniejszą i bardziej płaską niż Południe); lecz dopiero Rewolucya francuska dała berło zupełnie i uroczyście »dobrym ludziom« (owcy, osłu, gęsi i wszystkiemu, co jest nieuleczalnie płaskie i krzykackie i dojrzałe do domu waryatów »idei nowoczesnych«).

---

351.

Ku czci natur kapłańskich. — Myślę o wszystkim. co tłum za mądrość uważa (a któż nie jest dziś »tłumem«?), o owym rozsądnym, krowim spokoju umysłu, o pobożności i plebańskiej łagodności, która leży na łące i poważnie przygląda się życiu przeżywając, — że właśnie filozofowie czuli się zawsze najbardziej tego dalekimi, prawdopodobnie

przeto, iż nie byli dość tłumem, niedość proboszczami. Zapewne też oni właśnie najpóźniej nauczą się wierzyć, że tłum mógłby cośkolwiek zrozumieć z tego, co mu jest najdalsze, wielką namiętność poznającego, który ustawicznie żyje i żyć musi w chmurze brzemiennej burzą najwyższych problemów i najcięższych odpowiedzialności (więc wcale, wcale nie przypatrując się, poza wszystkim, obojętny, bezpieczny, przedmiotowy . . .) Tłum, wytwarzając sobie ideał »mędrca«, czci zupełnie innego rodzaju człowieka i ma tysiąckrotne do tego prawo właśnie tego rodzaju człowiekowi hołd składać w najlepszych słowach i czołobitnościach: są to łagodne, poważnie proste i czyste natury kapłańskie i im pokrewne, — im to należy się pochwała, którą ludowa cześć oddaje mądrości. I komuż miałby tłum powód być wdzięczniejszym, niż tym mężom, którzy do niego należą i z niego wychodzą, lecz jako poświęceni, wybrani, jego dobru ofiarowani — oni sami uważają się za ofiarowanych Bogu —, mężom, przed którymi on, tłum, bezkarnie serce swe otworzyć może, przed którymi może się wyzbyć swoich tajemności, trosk i gorszych jeszcze rzeczy (— bo człowiek, który się zwierza i »siebie udziela«, pozbywa się siebie; a kto »wyznał«, zapomina). Tu właśnie wielka potrzeba: bowiem i duchowemu plugawstwu trzeba odpływowych rowów a w nich czystych czyszczących wód, trzeba bystrych strumieni miłości i silnych pokornych czystych serc, które gotowe są i ofiarują się takiej służbie niepublicznej ochrony zdrowia — bo to jest ofiara, kapłan jest i pozostanie ofiarą za ludzi . . . Lud odczuwa w takich ofiarowanych, uciszonych, poważnych ludziach »wiary«

mędrców, to znaczy tych, którzy wiedzącymi się stali, odczuwa w nich ludzi »pewnych« w stosunku do własnej niepewności: któżby mógł mu odebrać to słowo i tę cześć? — Lecz, jak odwrotnie jest słusznym, wśród filozofów uchodzi i kapłan zawsze jeszcze za »tłum« a nie za wiedzącego, przedewszystkiem dlatego, że oni sami w »wiedzących« nie wierzą i że właśnie już w tej wierze i zabobonie wężą tłum. Skromność to wynalazła w Grecyi słowo »filozof« i pyszną zuchwałość nazywania się mądrym została aktorom ducha — skromność takich potworów dumi i wielmożności, jak Pitagoras, jak Plato —

## 352.

Jak dalece byłoby trudno obejść się bez moralności. — Człowiek nagi jest wogóle haniebnym widokiem, — mówię o nas Europejczykach (nawet nie o Europejkach). Przypuśćmy, że najweselsze u stołu towarzystwo ujrzałoby się nagle, dzięki złościwości jakiego czarodzieja, obnażonem i rozebranem, a sądzę, że nietylko znikłaby wesołość, lecz i najsilniejszy zniechęciłby się apetyt, — zdaje się, że my Europejczycy nie moglibyśmy się wcale obejść bez owej maskarady, która się zwie odzieniem. Lecz czyż nie miałoby mieć swoich tak samo słusznym powodów odzienie »ludzi moralnych«, ich ukrycie pod moralnymi formami i pojęciami przystojności, całe to uprzejme chowanie swych postępów pod pojęciami obowiązku, cnoty, ducha obywatelskiego, uczciwości, zaparcia się siebie? Nie, abym sądził jakoby tu ma-

skować się miała ludzka złość i nikczemność, słowem złe dzikie w nas zwierzę: myśl moja jest odwrotna, że właśnie, jako oswojone zwierzęta jesteśmy haniebnym widokiem i potrzebujemy moralnego przebrania, — że »wewnętrzny człowiek« europejski właśnie oddawna już przestał być na tyle zły, żeby mógł »dać się oglądać« (by z tem był piękny —). Europejczyk przebiera się w moralność, ponieważ stał się chorem, chorowitem, kalekiem zwierzęciem, które ma słuszne powody być »łagodnym«, ponieważ jest prawie poronionym płodem, czemś połowicznym, słabem, niezdarnem . . . Nie straszliwość drapieżcy potrzebuje moralnego przebrania, lecz zwierzę stadne z swoją głęboką miernotą, trwogą i znudzeniem się sobą. Moralność przystraja człowieka — wyznajmy to — na coś dostojniejszego, znaczniejszego, okazalszego, na coś »boskiego«.

---

## 353.

O źródle religii. — Właściwym wynalazkiem założycieli religii jest najprzód: nakaz określonego sposobu życia i codzienności obyczaju, który działa jako *disciplina voluntatis* i zarazem usuwa nudę; następnie: nadanie temu właśnie życiu interpretacyi, dzięki której ono wydaje się opromienionem najwyższą wartością tak, że staje się odtąd dobrem, za które się walczy, a w danym razie oddaje się życie. W rzeczywistości z tych dwu wynalazków ten drugi jest istotniejszy: pierwszy, sposób życia, istniał już zazwyczaj, lecz obok innych sposo-

bów życia i bez świadomości tego, co za wartość w nim tkwi. Znaczenie, oryginalność założyciela religii objawia się zazwyczaj w tem, że go widzi, że go wybiera, że poraz pierwszy zgaduje, jak użyć go można, jak interpretować. Jezus (czy Paweł) zastał już w prowincyi rzymskiej ludzi, prowadzących biedne skromne cnotliwe uciśnione życie: wyłożył je, włożył w nie najwyższą myśl i wartość — a przez to odwagę pogardzania wszelkiem innym życiem, cichy fanatyzm Herenhutów, tajemną podziemną ufność w siebie, która rośnie i rośnie i wkońcu gotowa jest »świat przewyciężyć« (to jest: Rzym i wyższe stany w całym państwie). Budda tak samo zastał ów rodzaj ludzi, i to rozsiany wśród wszystkich stanów i stopni społecznych swojego narodu, ludzi, którzy z lenistwa są dobrzy i dobrotliwi (przedewszystkiem niezaczepni), którzy również z lenistwa żyją wstrzemięźliwie, nieledwie bez potrzeb: zrozumiał, jak taki rodzaj ludzi nieuchronnie, z całą *vis inertiae*, wpaść musi w wiarę, która obiecuje za pobiedz powrotowi ziemskiego mozołu (to znaczy pracy, działania wogóle), — to »zrozumienie« było jego geniuszem. Na założyciela religii potrzeba psychologicznej nieomyślności w znajomości pewnego średniego rodzaju dusz, które nie poznały jeszcze, że należą do siebie... on to je zgromadza; założenie religii staje się o tyle zawsze długiem świętem poznania się.

O »gieniuszu gatunku«. — Problemata świadomości (właściwiej: uświadomienia się sobie) wystę-

puje wówczas dopiero przed naszymi oczami, gdy zaczynamy pojmować, jak dalece moglibyśmy się bez niej obejść: a u tego początku pojmowania stawia nas teraz fizjologia i historia zwierząt (która więc potrzebowała dwóch stuleci, by dościsnąć wyprzedzające podejrzenie Leibniza). Moglibyśmy bowiem myśleć, czuć, chcieć, przypominać sobie, moglibyśmy również »działać« w każdym tego słowa znaczeniu: a mimo to nie potrzebowałyby to wszystko nam »dochodzić do świadomości« (jak mówi się obrazowo). Całe życie byłoby możliwe, bez widzenia się niejako w zwierciadle: jak też istotnie i teraz jeszcze znacznie przeważająca część tego życia bez tego odzwierciedlania w nas się odgrywa — a nawet naszego myślowego, czującego, chcącego życia, jakkolwiekby to dawniejszemu filozofowi obrażająco brzmieć mogło. P o c o w ogóle świadomość, jeśli w gruncie rzeczy jest zbyteczna? — Otóż zdaje mi się, jeśli zechcecie dać posłuch mej odpowiedzi na to pytanie i jej może wybujałemu domysłowi, że bystrość i siła świadomości stoją zawsze w stosunku do zdolności powiadamiania się pewnego człowieka (lub zwierzęcia), zdolność powiadamiania się zaś w stosunku do potrzeby powiadamiania się: to ostatnie nie w tem znaczeniu, jakoby właśnie poszczególny człowiek sam, który jest właśnie mistrzem w powiadamianiu się i dawaniu do zrozumienia swych potrzeb, musiał też być zarazem potrzebami swemi zdany przeważnie na innych. Zdaje mi się jednak, że tak się rzecz ma z całemi rasami i łańcuchami pokoleń: gdzie potrzeba i niedola długo zmuszała ludzi do powiadamiania się, porozumiewania się wzajemnego szybko i bystro, tam zjawia się wkońcu nadmiar tej siły

i sztuki powiadamiania się, niejako bogactwo, nagromadzające się stopniowo i oczekujące teraz spadkobiercy, który je rozrzutnie wyda (— tak zwani artyści są tymi spadkobiercami, tak samo mowcy, kaznodzieje, pisarze: wszystko to ludzie, którzy zawsze jawią się u kresu długiego łańcucha, »późno urodzeni« każdym razem, w najlepszym tego słowa rozumieniu i, jak się rzekło, z natury swej rozrzutnicy). Jeśli przypuścimy, że spostrzeżenie to jest prawdziwe, więc mogę wyrazić domysł, że świadomość rozwinęła się wogóle tylko pod naciskiem potrzeby powiadamiania się, — że pierwotnie tylko między człowiekiem i człowiekiem (między rozkazującym i słuchającym w szczególności) była potrzebna, pożyteczna i także rozwinęła się tylko w stosunku do stopnia tej pożyteczności. Świadomość jest właściwie tylko siecią, łączącą człowieka z człowiekiem, — tylko jako taka musiała się rozwijać: pustelnicy i drapieżny człowiek nie byłby jej potrzebował. Że nasze postęпки, myśli, uczucia, poruszenia same dochodzą nam do świadomości — przynajmniej ich część —, to skutek straszliwego, długiego »musu« władającego nad człowiekiem: potrzebował on, jako najbardziej zagrożone zwierzę, pomocy, obrony, potrzebował równego sobie, musiał wyrazić swą potrzebę, umieć się wytłumaczyć, — a na to wszystko potrzebował przede wszystkim »świadomości«, więc sam »wiedzieć«, czego mu brak, »wiedzieć«, jak mu jest na duchu, »wiedzieć«, co myśli. Bo raz jeszcze mówiąc: człowiek, jak każde żyjące stworzenie, myśli ustawicznie, lecz nie wie o tem; świadome myślenie jest tylko najmniejszą tego częścią, powiedzmy: najpowierzchniejszą, najlichszą częścią: — bo jedynie

to świadome myślenie odbywa się w słowach, to znaczy w znakach powiadamiania się, przez co zdradza się samo świadomości pochodzenie. Słowem, rozwój mowy i rozwój świadomości (nie rozumu, lecz jedynie uświadomienia się sobie rozumu) idą ręką w rękę. Dodajmy, że nie tylko mowa służy za most między człowiekiem i człowiekiem, lecz i spojrzenie, uścisk, gest; uświadomienie naszych wrażeń zmysłowych w nas samych, siła utrwalania ich i niejako stawiania poza obrębem siebie, wzrastała w miarę, jak rósł mus powiadamiania o nich i innych przez znaki. Wynajdujący znaki człowiek jest zarazem zawsze bystrzej siebie samego świadomym człowiekiem; dopiero jako zwierzę społeczne nauczył się człowiek uświadomienia się sobie, — czyni to jeszcze, czyni to coraz więcej. Myślą moją, jak widać, jest to: że świadomość nie przynależy właściwie do indywidualnej egzystencji człowieka, raczej do tego, co w nim jest naturą gromadną i stadną; że, jak z tego wynika, rozwinęła się ona subtelnie także tylko ze względu na gromadny i stadny pożytek i że w następstwie tego, każdy z nas, przy najlepszej woli rozumienia siebie samego najmożliwiej indywidualnie, »poznania siebie samego«, będzie uświadamiał sobie jednak właśnie tylko to, co w nim jest nieindywidualnego, swoją »średniość«, — że charakter naszej świadomości, władający w niej »gieniusz gatunku«, nawet myśl naszą ustawicznie niejako majoryzuje i cofa napowrót do perspektywy stadnej. Nie ulega wątpliwości, że postęпки nasze są w gruncie rzeczy wszystkie razem w sposób nieporównany osobiste, jedyne, nieograniczenie indywidualne; lecz skoro przetłumaczmy je na świadomość, zdają się prze-

sta wa ć by ć ni e m i . . . Oto właściwy fenomenalizm i perspektywizm, jak ja go rozumiem: tak chce natura zwierzęcej świadomości, że świat, który możemy sobie uświadomić, jest tylko światem powierzchni i znaków, uogólnionym, spopolitowanym światem, — że wszystko, co się uświadamia, tem samem staje się płaskim, rozcieńczonym, względnie głupim, ogólnem, znakiem, pamięciowym znakiem stada, że z wszelkiem uświadomieniem związane jest wielkie gruntowne spaczenie, sfałszowanie, upowierzchnienie, uogólnienie. Ostatecznie rosnąca świadomość jest niebezpieczeństwem; a kto wśród najświadomszych żyje Europejczyków, wie nawet, że jest ona chorobą. Zgadnicie, że to nie przeciwieństwo podmiotu i przedmiotu mnie tu obchodzi; rozróżnienie to pozostawiam teoretykom poznania, którzy utknęli w siđłach gramatyki (ludowej metafizyki). A wcale już nie przeciwieństwo »rzeczy samej w sobie« i zjawiska: bo »poznajemy« nazbyt mało, by choć tak tylko módz rozróżniać. Nie mamy właśnie zgoła żadnego organu do poznawania, do »prawdy«: »wiemy« (lub wierzymy lub wyobrażamy to sobie) właśnie tak wiele, jak to w interesie człowieczego stada, gatunku może być pożyteczne: a nawet to, co tu »pożytecznością« jest zwane, jest ostatecznie także tylko wiarą, wyobrażeniem i może właśnie ową najfatalniejszą głupotą, z której kiedyś zginiemy.

Źródło naszego pojęcia »poznanie«. — Biorę to wyjaśnienie z ulicy: słyszałem jak ktoś

z tłumu rzekł »poznał mnie« —: przy tem zapytałem: co rozumie właściwie tłum przez poznanie? czego chce, jeśli chce »poznania«? Niczego więcej nad to: by coś obcego sprowadzić do czegoś znajomego. A my filozofowie — zrozumieliżemy właściwie więcej przez poznanie? Znajome, to znaczy: to, do czegośmy nawykli, tak że się już temu nie dziwimy, nasza codzienność, jakieś prawidło, w którym tkwimy, rzecz wszelka i każda, w której się czujemy u siebie: — co? nie jestże nasza potrzeba poznawania właśnie tą potrzebą znajomości? chęcią odkrywania we wszystkim, co obce, niezwykle, wątpliwe, czegoś, co nas już nie niepokoi? Czy to nie instynkt trwogi każe nam poznawać? Nie jestże radowanie się poznającego właśnie radowaniem się z osiągniętego znowu uczucia bezpieczeństwa?... Filozof ten mniemał, że »poznał« świat, gdy go na ideę wytłumaczył: ach, czyż to nie dlatego, że »idea« była mu tak znajoma, tak zwyczajna? że się już tak mało bał »idei«? — Och, ta niewymagalność poznających! przypatrzcie się przecie pod tym względem ich zasadom i rozwiązaniom zagadki świata! Gdy odnajdą w rzeczach, nad rzeczami, za rzeczami coś, co nam niestety bardzo jest dobrze znajome, na przykład naszą tabliczkę mnożenia lub naszą logikę lub nasze chcenie i pożądanie, jakże wnet są szczęśliwi! Bo »co znajome, to poznane«: w tem się zgadzają. Nawet najostroźniejsi wśród nich mniemają, co najmniej, że rzecz znajoma jest łatwiejsza do poznania niż obca; że byłoby nam na przykład dla metody do zalecenia, wychodzić »z wewnętrznego świata«, lub z »faktów świadomości«, ponieważ jest światem lepiej nam znajomym! Błąd nad błę-

dami! Znajome to to, do czego się nawykło; a to nawykłe jest najtrudniejsze do »poznania«, to znaczy do spostrzegania, że w niem tkwi zagadnienie, czyli coś obcego, dalekiego, »zewnątrz nas«... Wielka pewność nauk przyrodniczych w stosunku do psychologii i krytyki elementów świadomości — nauk nieprzyrodzonych jakby prawie można powiedzieć — polega na tem, że biorą za przedmiot to, co obce: gdy tymczasem jest czemś prawie sprzecznem w sobie i niedorzecznem chcieć wogóle brać za przedmiot to, co nie obce.

## 356.

Jak dalece dzać się będzie w Europie coraz artystyczniej. — Troska o życie zmusza i dziś jeszcze — w naszym czasie przejściowym, gdzie już tyle przestaje zmuszać — prawie wszystkich Europejczyków mężczyzn do oznaczonej roli, do ich tak zwanego powołania; niektórym pozostaje przytem wolność, pozorną wolność wyboru tej roli, dla przeważnej liczby jest ona określoną. Rzecz dziwna przytem: prawie wszyscy Europejczycy utożsamiają siebie w pewnym późniejszym wieku z swemi rolami, oni sami są ofiarami swej »dobrej gry«, oni sami zapomnieli, jak bardzo przypadek, humor, dowolność rządziły nimi wówczas, gdy się rozstrzygało ich »powołanie« — i jak wiele innych ról mogliby byli może odgrywać: bo teraz już zapóźno! Patrząc głębiej widzimy, że rola stała się rzeczywiście charakterem, sztuka naturą. Istniały stulecia, kiedy

z sztywną ufnością, nawet z bogobojnością wierzono w swoje przeznaczenie właśnie do tego zajęcia, właśnie do tego zarabiania na chleb i nie chciano wcale uznać w tem przypadku, roli, dowolności: stany, cechy, dziedziczne przywileje rzemieślnicze dokonały, z pomocą tej wiary, budowy owych olbrzymich szerokich wieżyc społecznych, które wyróżniają wieki średnie i którym w każdym razie jedno na chwałę przyznać można: trwałość! (— a trwałość jest na ziemi wartością najcenniejszą!) Lecz istnieją odmienne stulecia, właściwie demokratyczne, gdzie się wiary tej coraz bardziej zapomina i gdzie na czoło występuje pewna zuchwała wiara i kąt widzenia przeciwny, owa wiara Ateńczyków, którą spostrzega się poraz pierwszy w epoce Peryklesa, owa wiara dzisiejszych Amerykanów, która coraz bardziej usiłuje stać się też wiarą Europejczyków: wiara, w której jednostka jest przekonana, że umie nieledwie wszystko, nieledwie do każdej dorasta roli, gdzie każdy siebie próbuje, improwizuje, na nowo próbuje, z rozkoszą próbuje, gdzie wszystko przestaje być naturą a staje się sztuką... Grecy wszedłszy dopiero w tę wiarę w rolę — wiarę artystów jeśli chcecie — przeszli, jak wiadomo, krok za krokiem przedziwną i nie pod każdym względem naśladowania godną przemianę: stali się rzeczywiście aktorami; jako tacy oczarowali, przewyciężyli cały świat — i wkońcu samą »zwyciężczynię świata« (bo *Graeculus histrio* zwyciężył Rzym, a nie, jak naiwni mówić zwykli, kultura grecka). Lecz czego się boję, co dziś już staje się dotykalmem, gdyby ohotę miano tknąć się tego — boję się, że my ludzie nowocześni jesteśmy całkiem już na takiej samej drodze; i każdym razem, gdy

człowiek zacznie odkrywać, jak dalece gra jakąś rolę i o ile może być aktorem, staje się aktorem... Razem z tem wzrasta wtedy nowa flora i fauna ludzi, którzy w silniejszych, bardziej ograniczonych stuleciach wzrastać nie mogą — lub ostają się »w dole« pod klątwą i podejrzeniem bezcześci — wraz z tem wynurzają się każdym razem najbardziej zajmujące i najszałeńsze stulecia dziejów, w których »aktorzy«, wszelkiego rodzaju aktorzy, są właściwymi panami. Właśnie przez to doznają coraz więcej krzywdy, wkońcu niemożliwymi się stają innego rodzaju ludzie, przedewszystkiem wielcy »budownicowic«; sztuka budownicza teraz chroma; otucha, planowanie na długie dale, zniechęca się; poczyna brakować organizatorskich gieniuszów: któż waży się teraz jeszcze przedsiębrać dzieła, dla których dokończenia trzebaby liczyć na tysiącolecia? Wymiera właśnie owa zasadnicza wiara, na której podstawie ktoś może liczyć, obiecywać, antycypować w planie przyszłość, składać ją swemu planowi w ofierze, wiara, że człowiek o tyle tylko ma wartość, znaczenie, o ile jest kamieniem w wielkiej budowie: do czego nasamprzód silnym być musi, »kamieniem« być musi... Przedewszystkiem nie aktorem! Krótko mówiąc — ach, dość długo jeszcze będą to przemilczać! — : to czego się odtąd nie buduje, co zbudowanem być nie może — to społeczność w dawnym rozumieniu tego słowa: do budowania tej budowy brak wszystkiego, najpierw materiału. My wszyscy nie jesteśmy już wcale materiałem do społeczności: oto prawda, którą czas wyrzec! Zda mi się obojętnem, że obecnie jeszcze ludzie najkrótkowzroczniejsi, może najuczciwsi, w każdym razie najhałaśliwsi ludzie, jacy

dziś istnieją, nasi panowie socjaliści, nieomal w przeciwieństwo wierzą, pokładają w niem nadzieję, marzą o niem, przedewszystkiem piszą i piszą; nawet czytać już można ich słowo przyszłości »wolna społeczność« na wszystkich stołach i ścianach. Wolna społeczność? Tak! tak! Lecz czyż wiecie, panowie, z czego się ją buduje? Z drewnianego żelaza! Z sławnego drewnianego żelaza! I nawet jeszcze nie z drewnianego...

## 357.

W sprawie starego problematu: »co jest niemieckie?« — Policzcie w sobie właściwe zdobycze myśli filozoficznej, które zawdzięcza się głowom niemieckim: czy w jakimkolwiek dozwolonym znaczeniu można je też zaliczyć na rachunek całej rasy? Czy możemy powiedzieć: są one zarazem dziełem »niemieckiej duszy«, a przynajmniej jej symptomatem, w znaczeniu, w jakim ideomanię Platona, jego religijny prawie obłąd form zwykliśmy uważać zarazem za wytwór i świadectwo »duszy greckiej«? Lub czy odwrotnie byłoby prawdą? czy też są one właśnie tak indywidualne, tak bardzo wyjątkowe w duchu rasy, jak było na przykład Goethego pogaństwo z czystym sumieniem? Lub jak nim jest wśród Niemców Bismarkowy makiawelizm z czystym sumieniem, tak zwana »polityka realna«? Czy może filozofowie nasi nawet przeczą potrzebie »duszy niemieckiej«? Słowem, czy filozofowie niemieccy byli rzeczywiście Niemcami filozofującymi? — Przypominam trzy wypadki. Przedewszyst-

kiem nieporównana myśl Leibniza, z którą utrzymał się nie tylko wobec Kartezjusza, lecz wogóle wobec wszystkiego, co dotąd wyfilozofowano, — że świadomość jest tylko *accidens* wyobrażenia, a nie jego koniecznym i istotnym atrybutem, że więc to, co nazywamy świadomością, jest tylko stanem naszego duchowego i dusznego świata (może stanem chorobliwym) a wcale jeszcze nie nim samym: — jestże w tej myśli, której głąb i dziś jeszcze nie jest wyczerpana, coś niemieckiego? Czy istnieje powód do przypuszczenia, że Łacinnik nie mógłby wpaść łatwo na to samo odwrócenie oczywistości? — bo jest to odwrócenie. Przypomnijmy sobie powtóre Kanta i ogromny znak zapytania, który wypisał przy pojęciu »przyczynowości«, — nie żeby jak Hume wogóle podał w wątpliwość jego słusność: począł raczej ostrożnie zakreślać granice królestwa, w którego obrębie pojęcie to wogóle ma sens (do dziś jeszcze nie uporano się z tem wytykaniem granic). Weźmy po trzecie zdumiewające ujęcie rzeczy Hegla, który przetrząsnął niem wszystkie logiczne nawyknięcia i nałogi, gdy odważył się nauczać, że pojęcia rodzajów rozwijają się jedne z drugich: które to twierdzenie przysposobiło ducha Europy do ostatniego wielkiego naukowego ruchu, do darwinizmu — bo bez Hegla niema Darwina. Czy jest w tej heglowskiej nowości, która pierwsza wprowadziła do nauki pojęcie »rozwój«, coś niemieckiego? — Tak, bez żadnej wątpliwości: w tych wszystkich trzech wypadkach czujemy jakąś część siebie samych »odkrytą«, odgadnioną i wdzięczni jesteśmy za to i zaskoczeni zarazem; każde z tych trzech twierdzeń jest uwagi godną częścią niemieckiego poznania siebie, doświadczenia

na sobie, ujęcia siebie. »Nasz wewnętrzny świat jest o wiele bogatszy, obszerniejszy, skrytszy« tak czujemy jak Leibniz, i jako Niemcy wątpimy jak Kant o ostatecznej wartościowej wadze przyrodniczych poznań i o wszystkim wogóle, co się *causaliter* poznać daje: poznawalne wydaje nam się już jako takie mniej wartościowem. My Niemcy bylibyśmy heglistami, nawet choćby żaden Hegel nie był istniał, o ile (w przeciwieństwie do Łacinników) przypisujemy stawaniu się, rozwojowi instynktownie głębsze znaczenie i bogatszą wartość, niż temu, co »jest« — ledwie wierzymy w uprawnienie pojęcia »być«; również, o ile nie jesteśmy skłonni przyznać swej ludzkiej logice, jakoby była logiką samą w sobie, jedynym rodzajem logiki (chcielibyśmy raczej wmówić w siebie, że jest tylko wypadkiem specjalnym, i może jednym z najdziwaczniejszych i najgłupszych —). Czwartem pytaniem byłoby, czy i Schopenhauer z swym pesymizmem, to znaczy z problematem wartości istnienia, także Niemcem być musiał. Sądzę, że nie. Wydarzenie, po którym problematu tego z całą pewnością można było oczekiwać, tak że astronom duszy mógłby był obliczyć dlań dzień i godzinę, upadek wiary w Boga chrześcijańskiego, zwycięstwo naukowego ateizmu jest powszechnem wydarzeniem europejskiem, w którym wszystkie rasy winny mieć swój udział zasługi i chwały. Przeciwnie, właśnie Niemcom należałoby przypisać — owym Niemcom, z którymi Schopenhauer żył współcześnie — że to zwycięstwo ateizmu najdłużej i najniebezpieczniej odwlekali; Hegel mianowicie był jego odwołczy-cielem *par excellence*, zgodnie z swem wspaniałem usiłowaniem wmówienia w nas ostatecznie jeszcze

z pomocą naszego szóstego zmysłu, »zmysłu historycznego«, boskości istnienia. Schopenhauer był jako filozof pierwszym przyznającym się i nieugiętym ateuszem, jakiegośmy Niemcy mieli: jego wrogość do Hegla na tem tle powstała. Nieboskość istnienia była dla niego czemś danem, uchwytnem, nieroztrząsalnem; tracił za każdym razem swój spokój filozoficzny i wpadał w gniew, gdy widział, że ktoś tu ociąga się i kołuje. W tem tkwi cała jego rzetelność: bezwzględny uczciwy ateizm jest właśnie załóženiem jego postawienia problemu, jako nareszcie ciężko osiągnięte zwycięstwo europejskiego sumienia, jako najbogatszy w skutek akt dwutysiącletniego wychowania do prawdy, która wkońcu zabrania sobie kłamstwa wiary w Boga... Widać, co właściwie odniosło nad Bogiem chrześcijańskim zwycięstwo: sama moralność chrześcijańska, coraz surowiej brane pojęcie prawdziwości, spowiednicza drobiazgowość sumienia chrześcijańskiego, przeniesiona i wyniesiona do godności sumienia naukowego, do czystości intelektualnej za wszelką cenę. Patrzenie na naturę, jak gdyby była dowodem dobroci i opieki jakiegoś boga; tłumaczenie dziejów ku czci rozumu boskiego, jako ustawiczne świadectwo moralnego porządku świata i moralnych celów ostatecznych; wykładanie własnych wydarzeń przeżytych, jak je bogobojni ludzie dość długo wykładali, jak gdyby wszystko było zrzędzeniem, wszystko znakiem, wszystko ku zbawieniu duszy wymyślonem i zesłanem: to już teraz minęło, to ma sumienie przeciw sobie, to wydaje się każdemu wytworniejszemu sumieniu nieprzyzwoitością, nieuczciwością, łgarstwem, zniewieściałością, słabością, tchórzostwem, — jeśli przez co, to dzięki tej su-

rowości jesteśmy dobrymi Europejczykami i spadkobiercami najdłuższego i najdzielniejszego samoprzezwyciężenia Europy. Odtrącając od siebie w ten sposób interpretację chrześcijańską i osądzając jej »sens« jako »fałszowanie monet«, potracamy natychmiast w sposób straszliwy o szopenhauerowskie pytanie: czyż istnienie ma wogóle sens? — owo pytanie, które potrzebować będzie kilku stuleci, by być zupełnie i z wszystkich swych głębi słyszaniem. Co Schopenhauer sam na pytanie to odpowiedział, było — wybaczenie mi to — czemś przedwczesnym, młodzieńczym, odprawą tylko, utknięciem i ugrzęźnięciem właśnie w chrześcijańsko-ascetycznych moralnych perspektywach, którym wraz z wiarą w Boga odmówiło się wiary... Lecz postawił pytanie — jako dobry Europejczyk, jak się rzekło, a nie Niemiec. Lub czy też Niemcy przynajmniej w sposobie, w jaki jęli się szopenhauerowskiego pytania, dowiedli swej wewnętrznej przynależności i pokrewieństwa, swego przygotowania, iż potrzebują jego problematu? Że po Schopenhauerze także w Niemczech — zresztą dość późno! — o postawionym przezeń problemacie myślano i drukowano, to nie wystarcza z pewnością do rozstrzygnięcia na korzyść tej bliższej przynależności: możnaby nawet powołać się przeciw temu na osobliwą niezręczność tego szopenhauerowskiego pesymizmu. — Najwidoczniej, że Niemcy nie zachowywali się tu, jak w swoim żywiole. Nie piję tutaj wcale a wcale do Edwarda von Hartmann; przeciwnie, nie cofnąłem i dziś jeszcze swego podejrzenia, że jest dla nas za zręczny, chcę powiedzieć, że jako chytry frant nietylko od początku może z niemieckiego drwił sobie pesymizmu — że

nawet może wkońcu mógłby Niemcom testamentem przekazać, jak dalece możnabyło ich samych, w wieku uzasadnień, za nos wodzić. Lecz pytam: czy można może Niemcom za chlubę poczytać starego bąka Bahn-sena, który przez całe swoje życie kręcił się z rozkoszą około swej realno-dyalektycznej biedy i »osobistego nieszczęścia«, — czyżby to właśnie było niemieckiem? (polecam przytem jego pisma jako anty-pesymistyczny pokarm, jako którego ich sam używa-łem, a to gwoli jego *eleganciae psychologicae*, któremi, jak mi się zdaje, pomódz można nawet najbardziej zatka-nemu ciału i umysłowi). Lub czy należy zaliczyć do prawdziwych Niemców takich dyletantów i takie stare panny, jak słodkawego apostoła dziewiczości Main-ländera? Wkońcu musiał to być Żyd (— wszyscy Żydzi stają się słodkawi, kiedy moralizują). Ani Bahn-sen ani Mainländer ani nawet Edward von Hartmann nie dają pewnej rękojmi co do pytania, czy pesymizm Schopenhauera, jego przerażone spojrzenie w odarty z Boga, głupi, ślepy, obłąkany i wątpliwy świat, jego rzetelne przerażenie... nie było tylko wyjątko-wym wypadkiem wśród Niemców, lecz niemiec-kim wydarzeniem: gdy tymczasem wszystko, co zresztą na pierwszym stoi planie, nasza dzielna poli-tyka, nasze ojczyźniactwo, które dość stanowczo za-patruje się na wszystkie rzeczy ze stanowiska mało filo-zoficznej zasady (»Niemcy, Niemcy ponad wszystko«) więc *sub specie speciei*, to jest niemieckiej *species*, wszystko to wykazuje z wielką wyrazistością coś prze-ciwnego. Nie! Niemcy dzisiejsi nie są wcale pe-symistami! A Schopenhauer był pesymistą, jeszcze raz mówię, jako dobry Europejczyk a nie jako Niemiec.

---

Chłopski bunt ducha. — My Europejczycy znajdujemy się w obliczu olbrzymiego świata zwalisk, gdzie niejedno jeszcze w górę strzela, niejedno stoi zbutwiałe i nieprzytulne, największa część jednak już leży na ziemi, dość malowniczo — gdzie istniały kiedy piękniejsze ruiny? — i obrosłe wielkim i małym chwastem. Kościół jest tem miastem w upadku: widzimy, że religijną społeczność chrześcijaństwa wstrząśnięto do najgłębszych podwalin, — wiara w Boga obalona, wiara w chrześcijańsko-ascetyczny ideał toczy właśnie jeszcze ostatni swój bój. Takie długo i gruntownie budowane dzieło, jak chrześcijaństwo — była to ostatnia budowa Rzymian! — nie mogło oczywiście paść w gruzy od jednego ciosu; rozmaitego rodzaju trzęsienie ziemi musiało tu wstrząsać; rozmaitego rodzaju duchy, które wiercą, grzebią, toczą, wilgocą, musiały tu pomagać. Lecz co najdziwniejsze: ci, którzy najbardziej trudzili się nad tem, by chrześcijaństwo podtrzymać, utrzymać, stali się właśnie najlepszymi jego burzycielami, — Niemcy. Zda się, że Niemcy nie rozumieją istoty kościoła. Czy są na to nie dość uduchowieni? nie dość nieufni? Budowa kościoła spoczywa w każdym razie na południowej wolności i wolnomyślności ducha i tak samo pewnej południowej podejrzliwości względem natury, człowieka i ducha — spoczywa na zupełnie innej znajomości człowieka, doświadczalnej znajomości człowieka, innej jak miała Północ. Lutrova Reformacja była w całej swej rozciągłości oburzeniem prostoty na coś »różnorodnego«, by rzec ostrożnie, gru-

bem poczciwym nieporozumieniem, któremu wiele można wybaczyć, — nie pojmwano wyrazu z wycięskiego kościoła i widziano tylko zepsucie, źle rozumiano dostojny sceptycyzm, ów zbytek sceptycyzmu i tolerancyi, na który pozwala sobie każda zwycięska, pewna siebie potęga... Widać dziś dosyć dobrze, jak Luter we wszystkich głównych zagadnieniach mocy był z natury krótkowzroczny, powierzchny, nieostrożny, przedewszystkiem jako człowiek z ludu, któremu zbywało na wszelkiem dziedziectwie kasty panującej, na wielkim popędzie mocy: tak że dzieło jego, jego żądza przywrócenia owego dzieła Rzymian, była, mimo wolę jego i wiedzę, tylko początkiem dzieła zniszczenia. Targał i burzył, z uczciwą namiętnością, wszędzie gdzie stary pajak tkął najpilniej i najdłużej. Wydał księgi święte w ręce wszystkich, — przeto wpadły wkońcu w ręce filologów, to znaczy niszczyli wiary, która spoczywa na księgach. Zburzył pojęcie »kościół«, odrzucając wiarę w natchnienie soborów. Bo tylko dzięki przekonaniu, że duch, darzący natchnieniem, który założył kościół, jeszcze w nim żyje, jeszcze buduje, nie ustaje domu swego budować, tylko dzięki temu pojęcie »kościół« zachowuje moc. Wrócił kapłanowi obcowanie płciowe z kobietą: lecz trzy ćwierci czci, do której zdolny jest lud, przedewszystkiem kobiety z ludu, spoczywa na wierze, że wyjątkowy pod tym względem człowiek będzie i pod innym względem człowiekiem wyjątkowym, — wiara ludu w coś nadludzkiego w człowieku, w cud, w zbawiającego Boga w człowieku, ma tu właśnie swego najsprytniejszego, najpodchwytliwszego rzecznika. Dawszy kapłanowi kobietę, musiał mu Luter odebrać spowiedź uszną, to było psy-

chologicznie trafne: lecz tem samem został w gruncie rzeczy usunięty sam kapłan chrześcijański, którego najgłębszą pożytecznością było to, że był świętem uchem, milczącą studnią, grobem tajemnic. »Każdy swym własnym kapłanem« — za takimi formułami i ich chłopską chytrą kryła się u Lutra bezdenna nienawiść do »ludzi wyższych« i do panowania »człowieka wyższego«, jak go w pojęciu swem stworzył kościół: — rozbił on ideał, którego nie umiał osiągnąć, gdy tymczasem zdawał się zwalczać i zohydzać zwyrodnienie tego ideału. W samej rzeczy niemożliwy ten mnich odtrącił od siebie *homines religiosos*; czynił więc sam to samo w obrębie kościelnego porządku społecznego, co tak nietolerancko zwalczał, o ile to dotyczyło porządku obywatelskiego, — »bunt chłopski«. Cokolwiek potem z reformacyi jego wyrosło, dobrego i złego, i dziś prawie obliczonem być może, — któż byłby tak naiwny, by Lutra dla wszystkich tych skutków poprostu chwalić lub ganić? On nie winien niczemu, nie wiedział, co czynił. Spłycenie ducha europejskiego, mianowicie na Północy, jego u d o b r o d u s z n i e n i e, jeśli się woli określenie moralnem słowem, postąpiło z Lutrową reformacją o tęgi krok naprzód, niema wątpliwości; i tak samo urosła przez nią ruchliwość i niespokojność ducha, jego pragnienie niezawisłości, jego wiara w prawo do wolności, jego »naturalność«. Jeśli w ostatnim względzie pragnie się przyznać jej tę wartość, że przygotowała i przysposobiła to, co dziś czcimy jako »wiedzę nowoczesną«, to trzeba oczywiście dodać, że jest współwinną w zwyrodnieniu nowoczesnego uczonego, w jego braku czci, wstydu i głębi, w całej naiwnej serdeczności i poczciwości w rzeczach po-

znania, słowem winna plebeizmu ducha, który cechuje ostatnie dwa stulecia i od którego też dotychczasowy pesymizm jeszcze nas wcale nie wyzwolił, — także »idee nowoczesne« należą jeszcze do tego chłopskiego buntu Północy przeciw zimniejszemu, dwuznaczniejszemu, nieufniejszemu duchowi Południa, który kościołem chrześcijańskim największy wznosił sobie pomnik. Niezapomnijmy też wkońcu, czym jest kościół a zwłaszcza w przeciwieństwie do każdego »państwa«: kościół jest przedewszystkiem utworem władczym, który bardziej u duchowionym ludziom zapewnia najwyższy stopień i tak dalece w potęgę duchowości wierzy, że wzbrania sobie wszystkich grubszych środków władzy, — tem tylko jest kościół w każdym razie dostojniejszą instytucją niż państwo.

## 359.

Zemsta na duchu i inne tła moralności. — Jak myślicie? gdzie ma najniebezpieczniejszych, najupartszych swych rzeczników — moralność? . . . Oto człowiek nieudały, który nie dość ma ducha, by się nim cieszyć mógł, a właśnie dość wykształcenia, by to wiedzieć; znudzony, markotny, gardzący sobą; przez odrobinę odziedziczonego mienia ograbiony niestety z ostatniej jeszcze pociechy, z »błogosławieństwa pracy«, z zapomnienia o sobie wśród »codziennej roboty«; taki, który w gruncie wstydzi się swego istnienia — może mieści w sobie nadto kilka małych występków — a nie może z drugiej

strony nie rozpieszczą się coraz gorzej i stawać się próżno-drażliwym, przez złe książki, do których żadnego nie ma prawa i towarzystwa bardziej uduchowione, niż to strawić może: taki na wskroś zatruty człowiek — bo duch staje się trucizną, wykształcenie trucizną, posiadanie trucizną, samotność trucizną u takich nieudałych — popada ostatecznie z przyzwyczajenia w stan zemsty, żądzy zemsty... czegóż, jak wam się zdaje, potrzebuje on, bezwarunkowo potrzebuje, by sobie w własnych oczach nadać pozór wyższości nad bardziej duchowymi ludźmi, by stworzyć sobie rozkosz dokonanej zemsty, przynajmniej w wyobraźni? Zawsze moralności, założyć się można, zawsze wielkich słów moralnych, zawsze bum-bum sprawiedliwości, mądrości, świętości, cnoty, zawsze stoicyzmu gestu (— jak dobrze ukrywa stoicyzm to, czego ktoś nie ma!...), zawsze płaszcza mądrego milczenia, życzliwości dla ludzi, łagodności i jak też tam zwą się te wszystkie idealistów płaszczyki, w których chadzają ludzie nieuleczalnie gardzący sobą, a także nieuleczalnie próżni. Nie rozumiecie mnie fałszywie: z takich urodzonych wrogów ducha powstaje czasem ów rzadki okaz człowieczeństwa, który lud czci pod nazwą świętego, mędrca; z takich ludzi pochodzą owe potwory moralności, które zgiełk czynią, historię czynią, — święty Augustyn do nich należy. Strach przed duchem, zemsta na duchu — o, jak często stają się te siłorodne występki już korzeniami cnot! Nawet cnotą! — A pytając między nami, nawet owa pretensja filozofów do mądrości, którą roszczono sobie tu i ówdzie na ziemi, najgłupsza i najnieskromniejsza pretensja — nie byłaż ona zawsze dotąd, w Indyach czy Grecyi, przede-

wszystkiem kryjówką? Czasem może z punktu widzenia wychowawczego, uświęcającego tak wiele kłamstw, jako delikatny wzgląd na stawanie się, na wzrost, na uczniów, których często trzeba wiarą w osobę (w błąd) bronić przeciw nim samym... W częstszych wypadkach jednak kryjówką filozofa, do której chroni się przed znużeniem, starością, ostudzeniem, stwardnieniem, jako uczucie blizkiego końca, jako roztropność owego instynktu, który zwierzęta mają przed śmiercią, — idą w ustronie, stają się ciche, wybierają samotność, chowają się w nory, stają się mądre... Jakto? Mądrość kryjówką filozofa przed — duchem?

Dwa rodzaje przyczyn, które się mie-  
sza. — Wydaje mi się to jednym z najistotniejszych  
moich kroków i postępów: nauczyłem się odróżniać  
przyczynę postępowania od przyczyny postępowania  
tak i tak, postępowania w tym kierunku, ze względu  
na ten cel. Pierwszy rodzaj przyczyn jest pewnem  
*quantum* natłoczonej siły, która czeka, by jakkolwiek,  
na cokolwiek została użyta; drugi rodzaj jest nato-  
miast w porównaniu z tą siłą czemś nieznacznem,  
najczęściej drobnym przypadkiem, wedle którego owo  
*quantum* »wydziela« się odtąd w jeden i oznaczony  
sposób: jest zapalką w stosunku do beczki pro-  
chu. Do tych przypadków i zapalek zaliczam wszyst-  
kie tak zwane »cele«, zarówno owe jeszcze więcej  
tak zwane »powołania życiowe«: są one względnie

dowolne, upodobane, prawie obojętne w stosunku do owego ogromnego *quantum* siły, które się napiera, jak się rzekło, by zostać w jakikolwiek sposób użytym. Pospolicie zapatrują się na to inaczej: zwykło się, właśnie w celu (powołaniu, przeznaczeniu i t. d.) widzieć siłę popędzającą, wedle starego błędu — lecz jest to tylko siła kierująca, pomieniano przytem sternika i parę. A nawet nie zawsze jeszcze sternika, siłę kierującą... Nie jestże »cel«, »przeznaczenie« dość często tylko upiększającym pozorem, dodatkowym samoolśnieniem się próżności, która nie chce przyznać się, że okręt idzie z prądem, w który wpadł przypadkowo? Że dokądciś »chce«, ponieważ tam iść — musi? Że wprowadzie ma kierunek, lecz nie ma wcale a wcale — sternika? — Potrzebna jest jeszcze krytyka pojęcia »cel«.

---

361.

O problemacie aktora. — Problem aktora niepokoił mnie najdłużej i pozostawałem w niepewności co do tego (i tkwię w niej czasem teraz jeszcze), czy nie zdołamy, wychodząc z tego punktu, poradzić sobie z niebezpiecznym pojęciem »artysta« — pojęciem traktowanym dotąd z dobroduszością nie do darowania. Fałsz z czystym sumieniem, rozkosz maskowania się, wybuchająca jako siła, usuwająca na bok tak zwany »charakter«, zatapiająca go, czasem gasząca; wewnętrzne pożądanie wejścia w rolę i maskę, w złudę; nadwyżka zdolności przystosowawczych wszelkiego rodzaju, które już nie umieją

się zadowolić w służbie najbliższego najciaśniejszego pożytku: wszystko to jest może nie tylko istotą aktora?... Taki instynkt wytworzy się zapewne najłatwiej w rodzinach z niższych warstw ludowych, które musiały wieść życie w kolejnej zmianie ucisku i musu, w głębokiej zależności, które musiały zawsze nakłaniać się do swych warunków, coraz do nowych stosować okoliczności, coraz inaczej naginać się i układać, pozyskując stopniowo zdolność wieszania płaszcza wedle każdego wiatru i stając się same prawie przez to płaszczem, mistrzami owej wcielonej i w krew wsiąkniętej sztuki wiecznej gry w chowanego, która u zwierząt zowie się *mimicry*: aż wkońcu cała ta z pokolenia w pokolenia gromadzona zdolność staje się władczą, nierozumną, niepowściągniętą, jako instynkt uczy się rządzić innymi instynktami i wytwarza aktora, »artystę« (najpierw błazna, opowiadacza kłamstw, pajaca, trefnisia, kłowna, także klasycznego sługę, Gil Blasa: bo w takich typach tkwią przeddzieje artysty, dość często nawet »gieniusza«). I w wyższych towarzyskich warunkach wyrasta też pod podobnym uciskiem podobny rodzaj ludzi: lecz wtedy przeważnie właśnie jakiś inny instynkt dzierży w korbach instynkt aktorski, na przykład u »dyplomatów«, — wierzę zresztą, że dobry dyplomata mógłby każdej chwili dowoli być dobrym aktorem scenicznym, pod warunkiem właśnie gdyby mu to było pozostawione »do woli«. Co się tyczy Żydów, owego narodu sztuki przystosowawczej *par excellence*, toby można, idąc za tokiem tej myśli, upatrywać w nich niejako rozpowszechnioną w dziejach całego świata instytucję do wychowywania aktorów, właściwą wyłęgnięciem aktorów; i w samej rzeczy czas jest posta-

wiść pytanie: któryż dobry aktor nie jest dziś Żydem? Także Żyd jako urodzony literat, jako faktycznie ten, który opanował prasę europejską, wywiera tę moc swoją na podstawie swej zdolności aktorskiej, bo literat jest w gruncie rzeczy aktorem — odgrywa »rzeczoznawcę«, »zawodowca«. — Wkońcu kobiety: zastanówmy się nad całą historią kobiet, — nie musząż one przedewszystkiem i ponad wszystkiem być aktorkami? Posłuchajmy lekarzy, którzy hipnotyzowali kobiety, wreszcie kochajmy je, — dajmy się im »hipnotyzować«! Cóż okazuje się zawsze przy tem? Że »udają«, nawet wówczas, gdy się oddają... Kobieta jest tak bardzo artystką...

---



---

362.

Nasza wiara w zamiężnienie Europy. — Zawdzięcza się Napoleonowi (a wcale nie francuskiej Rewolucyi, która dążyła do »braterstwa« ludów i ogólnej wymiany serc, niby kwiatów), że będzie teraz mogło nastąpić po sobie kilka wojennych stuleci, którym nic podobnego nie było w dziejach, słowem, że wstąpiliśmy w klasyczny okres wojny, uczonej a zarazem narodowej wojny na największą miarę (środków, uzdolnień, karności), na którą przyszło stulecia spoglądać będą, jako na okaz doskonałości, z zazdrością i czcią: — bo ruch narodowy, z którego ta chwala wojenna wyrośnie, jest tylko reakcją przeciw Napoleonowi i nie istniałby bez Napoleona. Jemu więc kiedyś można będzie przypisać, że mąż w Europie znów zapanuje nad kupcem i filistrem; może nawet

nad »kobietą«, którą rozświetliło chrześcijaństwo i marzyielski duch ósmnastego wieku, jeszcze więcej »idee nowoczesne«. Napoleon, który w nowoczesnych ideach i wprost w cywilizacyi widział jakby osobistą nieprzyjaciółkę, okazał się tą wrogością jednym z największych kontynuatorów Odrodzenia: wydzwignął w górę cały odłam antycznej istoty, odłam granitu, rozstrzygający może. I kto wie, czy ten odłam antycznej istoty nie zapanuje też wkońcu znowu nad ruchem narodowym i nie stanie się w potwierdzającym znaczeniu spadkobiercą i kontynuatorem Napoleona: — który chciał jednej Europy, jak wiadomo, a tej jako pani ziemi.

## 363.

Jak każda płeć ma swój przesąd co do miłości. — Mimo wszystko, co gotów jestem przyznać przesądowi monogamicznemu, nie zgodzę się jednak na to nigdy, żeby mówiono o jednakich prawach w miłości mężczyzn i kobiet: tych niema. To znaczy, że mężczyzna i kobieta rozumieją miłość każde po swojemu, — i należy to do warunków miłości u obu płci, że jedna płeć nie przypuszcza u drugiej płci jednakiego uczucia, jednakiego pojęcia »miłości«. Co kobieta rozumie przez miłość, jest jasne: zupełne zdanie się (nie tylko oddanie) duszą i ciałem, bez żadnego względu, żadnego zastrzeżenia, z wstydem i strachem raczej przed myślą o uwarunkowaniem, z zastrzeżeniami związanem oddaniu. W tym braku zawarowań jest właśnie jej miłość wiara:

kobieta nie ma innej. — Mężczyzna, kochając kobietę, żąda od niej właśnie takiej miłości, jest przeto co do własnej osoby jak najbardziej daleki od założenia miłości kobiecej; gdybyśmy przypuścili jednak, że istnieją mężczyźni, którymby z ich strony nie było obce pożądanie zupełnego oddania się, to nie są to właśnie mężczyźni. Mężczyzna, który kocha jak kobieta, staje się przez to niewolnikiem; kobieta zaś, która kocha jak kobieta, staje się tem doskonałą kobietą... Namiętność kobiety, w swem bezwzględnem zrzeczeniu się własnych praw, przyjmuje właśnie w założeniu, że po drugiej stronie nie ma takiego samego patosu, takiej samej chęci zrzeczenia się siebie: bo gdyby oboje zrzekli się siebie z miłości, to powstałoby z tego — otóż nie wiem co, może pusta przestrzeń? Kobieta chce być wzięta, przyjęta jako posiadanie, chce zaniknąć w pojęciu »posiadanie«, »własność«; przeto pragnie kogoś, kto bierze, który samego siebie nie daje, nie rozdaje, który przeciwnie raczej winien stać się właśnie bogatszy w »siebie« — przez przyrost siły, szczęścia, wiary, jako który kobieta daje mu samą siebie. Kobieta darowuje się, mężczyzna przyjmuje — sądzę, że żadne społeczne umowy, ani też najlepsza wola na punkcie sprawiedliwości nie pokonają tego przeciwieństwa natury: jakkolwiekby też życzyć sobie można, by nie stawiano sobie ustawicznie przed oczami srogości, straszliwości, zagadkowości, niemoralności tego antagonizmu. Bo miłość, cała, wielka, w pełni pomyślana, jest naturą a jako natura po wieki wieków czemś »niemoralnem«. — Wierność odpowiednio do tego włącza się w miłość kobiety, wypływa z jej definicyi; u mężczyzny może ona łatwo powstać w orszaku jego

miłości, może jako wdzięczność lub jako idyosynkrazia smaku i tak zwanego pokrewieństwa z wyboru, lecz nie jest ona właściwa istocie jego miłości, — tak że można prawie mówić z pewną słusnością o naturalnem przeciwnictwie między miłością i wiernością u mężczyzny: która to miłość jest właśnie chęcią mienia a nie zrzekaniem się i wydawaniem; zaś chęć mienia kończy się zawsze z chwilą gdy się ma . . . Rzeczywiście subtelniejsze i podejrzliwsze pragnienie posiadania w mężczyźnie rzadko i późno przyznaje się przed sobą do tego posiadania, co sprawia, iż miłość jego trwa dalej; o tyle jest nawet możliwe, że rośnie ona jeszcze po oddaniu się, — nie przypuszcza on łatwo, że kobieta nie ma mu już nic więcej do »oddania« . . .

---



---

364.

Pustelnik mówi. — Sztuka postępowania z ludźmi polega w gruncie rzeczy na zręczności (której warunkiem jest długie ćwiczenie) przyjmowania, spożywania jadła, do którego przyrządzenia nie ma się zaufania. Przypuszczając, że się przychodzi do stołu z wilczym apetytem, wszystko jest łatwe (»najgorsze towarzystwo pozwala ci czuć —«, jak mówi Mefistofeles); lecz nie ma się go, tego wilczego głodu, gdy się go potrzebuje! Ach, ach ciężcy są współbracia do strawienia! Pierwsza zasada: jako w nieszczęściu dodać sobie serca, nacierać dzielnie, samego siebie przy tem podziwiać, odrazę swą wziąć między zęby, przełknąć swój wstręt. Druga zasada: współ-

brata swego »polepszyć«, na przykład pochwałą, tak że zaczyna wypacać swe szczęście z samego siebie; lub chwycić koniuszek jego dobrych lub »zajmujących« właściwości i ciągnąć zań, aż się całą wydobędzie cnotę i można wetknąć w jej fałdy współbrata. Trzecia zasada: autohipnoza. Wlepić wzrok w przedmiot swego obcowania jak w szklany guzik, aż się przestanie przytem odczuwać rozkosz i przykrość i zaśnie się niepostrzeżenie, stężeje się, nabierze postawy niechwiejnej: środek domowy z zakresu małżeństwa i przyjaźni, wypróbowany obficie, wychwalany jako niezbędny, lecz naukowo jeszcze nie sformułowany. Popularna nazwa jego — cierpliwość.

---

## 365.

Pustelnik mówi raz jeszcze. — I my obcujemy z ludźmi i my wdziewamy skromnie suknię, w której (jako którą) nas znają, poważają, szukają, i udajemy się w niej do towarzystwa, to znaczy między przebranych, którzy tak zwać się nie chcą; i my postępujemy jak wszystkie roztropne maski i każdą ciekawość, która nie »sukni« naszej dotyczy, wypraszamy w uprzejmy sposób za drzwi. Są jednak jeszcze inne sposoby i sztuczki, by z ludźmi, wśród ludzi »obcować«: naprzykład jako upiór, — co pożytecznem jest bardzo, jeśli się chce ich pozbyć prędko i przejąc strachem. Próba: chwytają nas i nie mogą nas ująć. To przestrasza. Lub: wchodzimy przez zamknięte drzwi. Lub: gdy wszystkie światła zgaszone. Lub: gdyśmy już umarli. To ostatnie jest sztuczką

ludzi pośmiertnych *par excellence*. («Cóż myślicie, rzekł raz taki człowiek niecierpliwie, że mielibyśmy byli ochotę wytrzymać tę obcość, ziąb, ciższą grobową wkoło siebie, tę całą podziemną, utajoną, niemą, niewykrytą samotność, która u nas zwie się życiem a równie dobrze zwaćby się mogła śmiercią, gdybyśmy nie wiedzieli, co z nas będzie, — i że po śmierci dopiero dojdziemy do swego życia i żywi będziemy, och! jak żywi! my ludzie pośmiertni!» —)

366.

W obliczu uczonej książki. — Nie należymy do tych, którzy dopiero wśród książek, pod bodźcem książek do myśli swych dochodzą, — zwyczajem naszym jest myśleć na wolnem powietrzu, idąc, skacząc, wspinając się, tańcząc, najchętniej na górach samotnych lub w pobliżu morza, tu gdzie nawet drogi rozmyślają. Nasze pierwsze pytania co do wartości, pod względem książki, człowieka, muzyki, brzmia: »umie on chodzić? co więcej, umie on tańczyć?« . . . Czytamy rzadko, czytamy przeto niezgorzej — och jak szybko odgadujemy, jak ktoś do myśli swych doszedł, czy siedząc przed kałamarzem, ze zgniecionym brzuchem, z głową schyloną nad papierem: och, jak szybko też załatwiamy się z jego książką! Zgniecione wnętrzości zdradzą się, można iść o zakład, tak samo zdradzi się powietrze pokoju, pułap pokoju, ciasnota pokoju. — Takie były me myśli, gdy zamknąłem właśnie rzetelnie uczoną książkę, wdzięczny, bardzo wdzięczny, lecz też z ulgą . . .

W książce uczonego jest prawie zawsze też coś tłoczącego, przytłoczonego : zawsze gdzieś wyłazi »specjalista«, jego gorliwość, jego powaga, jego zawziętość, jego przecenienie kąta, w którym siedzi i tka, jego garb, — każdy specjalista ma swój garb. Książka uczonego odzwierciadla też zawsze wykrzywioną duszę : wszelkie rzemiosło wykrzywia. Zobaczcie swych przyjaciół, z którymi byliście młodzi, odkąd umiejętność swą wzięli w posiadanie : ach, jak też zawsze przeciwnie się dzieje, ach jakże ona teraz na zawsze ich posiadała i obsiadła ! W swój kąt wrośnięci, zgnieceni do niepoznania, bezwolni, pozbawieni równowagi, wychudli i kancjaści wszędzie, tylko w jednym punkcie wybornie okrągli, — czuje się wzruszenie i milczy się, gdy ich się odnajdzie takimi. Każde rzemiosło, choćby nawet złotą miało podłogę, ma nad sobą też ołowiany pułap, który duszę tłoczy i tłoczy aż ją wycudaczy i pokrzywi. Nic tu nie da się zmienić. Nie sądźcie też, że można uniknąć tego wypaczenia przez jakieś sztuki wychowania. Każdy rodzaj mistrzostwa trzeba drogo opłacić na ziemi, gdzie może wszystko opłaca się za drogo; jest się mężem swego zawodu za cenę, że się jest też zawodu swego ofiarą. Lecz wy chcecie. by to inaczej było — »taniej«, przedewszystkiem wygodniej — nie prawdaż, moi panowie współcześni? Dobrze więc! Lecz otóż i macie natychmiast coś innego, mianowicie miast rzemieślnika i majstra — literata, obrotnego, »wielozwrotnego« literata, któremu oczywiście brak garbu — nie licząc owego, w który przed wami się zgina jako kramarz ducha i »dźwigar« wykształcenia —, literata, który właściwie nie jest niczem, lecz prawie wszystko »reprezentuje«, który rzeczoznawcę odgrywa

i »zastępuje«, który też z całą skromnością podejmuje się wyrobić sobie w jego zastępstwie zapłatę, cześć i hołdy. — Nie! moi uczeni przyjaciele! Błogosławie was nawet jeszcze za wasz garb! I za to, że równie, jak ja, darzycie pogardą literatów i pasorzytów wykształcenia! I że nie umiecie kupczyć duchem! I macie same takie mniemania, których nie można wyrazić wartością pieniężną! I że nie zastępujecie niczego, czem nie jesteście! A waszą jedyną żądzą jest stać się mistrzami i rzemieślnikami, w czci dla wszelkiego rodzaju mistrzostwa i dzielności, i z najbezwzględniejszym odparciem wszystkiego, co pozorne, napół rzetelne, wystrojone, wirtuozowskie, demagogiczne, aktorskie *in litteris et artibus*, — wszystkiego, co nie może się przed wami wykazać bezwzględną uczciwością karność i przygotowania! (Nawet gieniusz nie pomoże na takie braki, chociażby nie wiem jak umiał je zamydlić: pojmuje się to, jeśli się kiedy zbliżka przyglądało naszym najbardziej uposażonym malarzom i muzykom, — którzy wszyscy, prawie bez wyjątku, dzięki pewnej chytrej wynalazczości sposobów i środków pomocnych w potrzebie, nawet zasad, umieli sobie sztucznie i dodatkowo przyswoić pozór owej uczciwości, owej spoistości wyszkolenia i kultury, oczywiście nie oszukawszy co do tego siebie samych, nie zmusiwszy do trwałego milczenia własnego nieczystego sumienia. Bo, czy wiecie o tem? wszyscy wielcy nowocześni artyści cierpią na nieczyste sumienie...)

367.

Co trzeba przedewszystkiem rozróżniać w dziełach sztuki. — Wszystko, co się myśli, tworzy w poezyi, maluje, komponuje, nawet buduje i rzeźbi, należy albo do sztuki monologowej albo do sztuki wobec świadków. Do ostatniej zaliczyć też należy jeszcze ową pozorną monologową sztukę, która zamyka w sobie wiarę w boga, całą lirykę modlitwy: bo dla pobożnego niema jeszcze samotności, — ten wynalazek uczyniliśmy dopiero my, bezbożni. Nie znam żadnej głębszej różnicy w dziedzinie całej optyki artysty nad tę: czy patrzy ku swemu stojącemu się dziełu sztuki (ku »sobie« —) ze stanowiska oka świadka czy też »zapomniał o świecie«: jest to istota każdej sztuki monologowej — polega ona na zapomnieniu, jest muzyką zapomnienia.

368.

Cynik mówi. — Zarzuty moje przeciw muzyce Wagnera są zarzutami fizyologicznymi: pocóż je wpierv jeszcze w estetyczne przebierać formuły? Moim »faktem« jest, że przestaję oddech lekko, gdy tylko muzyka ta na mnie działać zaczyna: że wnet noga moja gniewa się na nią i buntuje się — odczuwa ona potrzebę taktu, tańca, pochodu, wymaga od muzyki przedewszystkiem zachwyków, które polegają na dobrym chodzie, stapaniu, skakaniu, tańcu. — Czyż nie protestuje jednak i mój żołądek? moje serce?

mój obieg krwi? Moje wnętrzości? Czyż nie chrypnę przytem niepostrzeżenie? — I oto pytam się: czego żąda całe moje ciało od muzyki wogóle? Sądzę, że ulgi: tak jakby lekkie, śmiałe, swawolne, pewne siebie rytmy miały przyspieszać wszystkie funkcje zwierzęce: tak jakby złote, dobre, łagodne harmonie poślacać miały spiżowe ołowiane życie. Melancholia moja pragnie wypocząć w kryjówkach i otchłaniach doskonałości: na to mi trzeba muzyki. Co mnie obchodzi dramat! Co spazmy jego moralnych ekstaz, w których tłum znajduje sobie zadośćuczynienie! Co to całe hokus pokus gestów aktora! . . . Zgadnicie, że jestem usposobiony z gruntu antyteatralnie, — lecz Wagner był przeciwnie z gruntu teatralny i aktor, najbardziej zapalony mimoman, jaki istniał, nawet jeszcze jako muzyk! . . . I mówiąc nawiasem: jeśli teorią Wagnera było, że »dramat jest celem, muzyka zawsze tylko jego środkiem«, — to praktyką jego natomiast było, od początku aż do końca, że »postawa jest celem, dramat, także muzyka, jest zawsze tylko jej środkiem«. Muzyka jako środek uwyrażnienia, wzmocnienia, uwnętrznienia dramatycznego gestu i aktorskiej naoczności; a dramat wagnerowski tylko sposobnością do wielu dramatycznych postaw! Miał on obok wszystkich innych instynktów rozkazodawcze instynkty wielkiego aktora, w ogóle i w każdym szczególe; i jak się rzekło także jako muzyk. — Wyłuszczyłem to niegdyś pewnemu uczciwemu wagnerzyście, z niemałym trudem; a miałem powody dodać jeszcze »bądź pan przecie nieco uczciwszy względem samego siebie: nie jesteśmy przecie w teatrze! W teatrze jest się uczciwym tylko jako tłum; jako jednostka kłamie się, okłamuje się siebie. Zostawia

się siebie w domu, idąc do teatru, zrzeka się prawa do własnego języka i wyboru, do swego smaku, nawet do swej dzielności, jaką się ma i z jaką się postępuje wśród własnych czterech ścian wobec Boga i człowieka. Do teatru nie przynosi nikt swoich najwytworniejszych zmysłów, nawet artysta, który pracuje w teatrze: tam jest się tłumem, publicznością, trzodą, kobietą, faryzeuszem, byłem wyborczem, demokratą, bliźnim, współbratem, tu nawet najosobistwsze sumienie ulega niwelującemu czarowi »większości«, tu działa głupota jako lubieżność i zaraźliwość, tu rządzi »sąsiad«, tu człowiek się staje sąsiadem...« (Zapomniałem opowiedzieć, co mi mój światły wagnerzysta odrzekł na fizyologiczne zarzuty: »Więc jesteś pan właściwie tylko niedość zdrowy do naszej muzyki?«)

---

## 369.

Jedno obok drugiego. — Czyż nie musimy, my artyści, przyznać się przed sobą, że jest w nas niesamowita różnorodność, że nasz smak a z drugiej strony nasza siła twórcza istnieją od siebie niezależnie, zatrzymują się na pewnym punkcie niezależnie i niezależnie wzrastają, — mam na myśli rozmaite stopnie i tempa starości, młodości, dojrzałości, prześcigłości, zgniłości? Tak że na przykład muzyk mógłby przez całe życie tworzyć rzeczy, które sprzeciwiają się temu, co jego rozpieszczone ucho słuchacza, serce słuchacza ceni, w czym smakuje, co woli: — mógłby nawet nie wiedzieć o tej sprzecz-

ności! Można, jak to prawie męcząco - prawidłowe doświadczenie wykazuje, łatwo wyrość smakiem swoim ponad smak swej siły, nie obezwładniając przeto tej ostatniej i bez przeszkody dla jej wydajności; może się jednak zdarzyć też coś odwrotnego, — i oto na to właśnie chciałbym zwrócić uwagę artystów. Ustawicznie tworzący, człowiek »matka« w wysokim tego słowa znaczeniu, który o niczem nie wie i nie sły-  
szy, tylko o ciężach i poługach swego ducha, który nie ma czasu siebie i dzieła swego rozważyć i porównać, który też nie ma już ochoty posługiwać się smakiem, lecz o nim poprostu zapomina, to jest nie troszczy się oń wcale — może taki wyda wkońcu dzieła, do których sądem swoim oddawna już nie dorasta: tak że o nich i o sobie głupstwa mówi, mówi i myśli. To zda mi się u płodnych artystów prawie normalnym stanem rzeczy — nikt nie zna gorzej dziecka niż rodzice — a stosuje się to nawet, by olbrzymi wziąć przykład, do całego greckiego świata poetów i artystów: nie »wiedział« nigdy, co czynił.

Co to jest romantyka. — Może żyje pamięć, przynajmniej wśród przyjaciół moich, że w stosunku moim do tego całego nowoczesnego świata było kilka grubych błędów i przecenień, że w każdym razie odnosiłem się doń jako ktoś, który się spodziewa. Rozumiałem — kto wie, z powodu jakich osobistych doświadczeń — fizjologiczny pesymizm

dziewiętnastego stulecia, jako symptomat wyższej siły myśli, zuchwalszej dzielności, tryumfalniejszej pełni życia, niż to właściwem było wiekowi ośmnastemu, stuleciu Hume'a, Kanta, Condillaca i sensualistów: tak że tragiczne poznanie wydawało mi się właściwym z bytkiem naszej kultury, jej najcenniejszym, najdostojniejszym, najniebezpieczniejszym rodzajem mar-notrawstwa, lecz zawsze na podstawie nadmiaru bogactwa, jej dozwolonym zbytkiem. Podobnie tłumaczyłem sobie niemiecką muzykę, jako wyraz dyonizyjskiej tężyzny niemieckiej duszy. Zdawało mi się, że słyszę w niej trzęsienie ziemi, w którym z dawien dawna natłoczona prasiła wydziera się na wolność — obojętną natomiast rzeczą, czy wszystko, co się zresztą zwie kulturą, drży przytem. Widzicie, że zaniepознаwałem wówczas, tak samo w fizyologicznym pesymizmie, jak w muzyce niemieckiej to, co stanowi jej właściwy charakter — romantykę. Co to jest romantyka? Każda sztuka, każda filozofia może być uważana jako środek leczniczy i pomocny w służbie rosnącego, walczącego życia: przypuszczają one zawsze z góry cierpienie i cierpiących. Lecz są dwojakiego rodzaju cierpiący, naprzód ci, którzy cierpią na nadmiar życia, którzy dyonizyjskiej pragną sztuki i tak samo tragicznego poglądu i rozumienia życia — a potem ci, którzy cierpią na zubożenie życia, którzy szukają spokoju, ciszy, gładkiego morza, wyzwolenia się od siebie przez sztukę i poznanie, lub też oszołomienia, spazmu, ogłuszenia, obłądę. Podwójnej potrzebie ostatnich odpowiada wszelka romantyka w sztukach i naukach, im odpowiadał (i odpowiada) tak samo Schopenhauer jak i Ryszard Wagner, by wymienić owych najślawniejszych i naj-

wyraźniejszych romantyków, których wówczas źle rozumiałem — zresztą nie z ich szkodą, jak mi każdy z wszelką słusnością przyznać może. Najbogatszy w pełnię życia, dyonizyjski bóg i człowiek, może sobie pozwolić nie tylko na widok tego, co straszliwe i pytania godne, lecz nawet na straszliwy czyn i wszelki zbytek zniszczenia, rozkładu, zaprzeczenia; u niego zda się zło, niedorzeczność, brzydota niejako dozwoloną, wskutek pewnej nadwyżki płodzących, zapładniających sił, nadwyżki zdolnej z każdej pustyni stworzyć jeszcze bujną, urodzajną krainę. Odwrotnie najbardziej cierpiący, najuboższy w życie, potrzebowałby najbardziej łagodności, spokoju, dobroci, w myśleniu i działaniu, potrzebowałby wszędzie, gdzie to tylko możliwe, Boga, któryby był właściwie Bogiem chorych, wybawcą; tak samo też logiki, pojęciowej zrozumiałości istnienia — bo logika uspakaja, darzy zaufaniem — słowem pewnej ciepłej, odpędzającej trwogę cieśni i zamknięcia w optymistycznych widnokręgach. W ten sposób nauczyłem się stopniowo pojmować Epikura, przeciwstawienie dyonizyjskiego pesymisty, zarówno »chrześcijanina«, który w sednie rzeczy jest tylko rodzajem Epikurejczyka i, podobnie jemu, w istocie swej romantykiem, — a spojrzenie moje zaostrzało się coraz bardziej na owe najtrudniejsze i najzdradliwsze formy wstecznego wnioskowania, w którym popełnia się największą ilość błędów, — wstecznego wnioskowania z dzieła o twórcy, z czynu o sprawcy, z ideału o tym, który go potrzebuje, z każdego sposobu myślenia i oceny o kierowniczej poza nim potrzebie. — W stosunku do wszystkich estetycznych wartości posługuję się teraz tem zasadniczem rozróż-

nieniem : pytam w każdym poszczególnym wypadku »czy twórczym jest tu głód czy nadmiar?« Z góry zdawałoby się zalecać bardziej inne rozróżnienie — jest ono o wiele naocześniejsze — to jest względ na to, czy przyczyną tworzenia jest pożądanie stężenia, uwiecznienia, bytu, czy też pożądanie tworzenia, zmiany, nowości, przyszłości, stawania się. Lecz oba rodzaje pożądania, po głębszem przypatrzeniu się im, okazują się jeszcze dwuznacznymi, wytłumaczalnymi zaś wedle owego właśnie na pierwszym miejscu postawionego i słusznie, jak mi się zdaje, przekładanego nad inne schematu. *Żądza zniszczenia*, zmiany, stawania się może być wyrazem przepęłej, brzemiennej przyszłością siły (mym terminem na to, jak wiadomo, jest słowo »dyonizyjski«), lecz może to być także nienawiść nieudałości, niedostatku, upośledzenia, nienawiść, która niszczy, niszczyć musi, bo to, co trwa, wszelkie trwanie, nawet wszelkie istnienie oburza ją i drażni — by uczucie to rozumieć, należy się przypatrzeć z blizka naszym anarchistom. *Żądza uwieczniania* wymaga również podwójnej interpretacji. Może ona pochodzić najprzód z wdzięczności i miłości: — sztuka z tego źródła będzie zawsze sztuką apoteozową, dytyrambiczną może u Rubensa, pogodnie drwiącą u Hafisa, jasną i dobrotliwą u Goethego, i będzie rozpościerać na wszystkich rzeczach home-ryczny blask światła i gloryi. Może też jednak być ową tyrańską *żądzą* ciężko cierpiącego, walczącego, torturowanego, któryby chciał to, co najosobistsze, najbardziej jednostkowe, najciaśniejsze, właściwą idyosynkrazyę swego cierpienia nacechować pieczęcią obowiązującego prawa i przymusu i który na wszystkich rzeczach mści się niejako tem, że wyciska na nich,

wmusza w nie, wpala swój obraz, obraz swojej tortury. To ostatnie to romantyczny pesymizm w swej najpełniejszej wyrazu formie, czy to jako szopenhauerowska filozofia woli, czy to jako wagnerowska muzyka: — romantyczny pesymizm, ostatnie wielkie wydarzenie w losach naszej kultury. (Że istnieć może jeszcze zupełnie inny pesymizm, klasyczny — to przecucie i wizya należą do mnie, jako nieodłączalne ode mnie, jako moje *proprium* i *ipsisimum*: jeno że uszom moim wstrętne jest słowo »klasyczny«, stało się nazbyt zużyte, za okrągłe i odmienione nie do poznania. Nazywam ten pesymizm przyszłości — bo przyjdzie! widzę, że już nadchodzi! — pesymizmem dyonizyjskim.)

## 371.

My niezrozumiali. — Czyśmy się kiedykolwiek skarżyli na to, że nas się nierozumie, zaniepokazuje, bierze za coś innego, oczernia, nie słucha i słuchem omija? To właśnie jest nasz los — och na długo jeszcze! powiedzmy, by być skromnym, do roku 1901 — jest to też nasze wyszczególnienie; mielibyśmy sami mniej czci dla siebie, gdybyśmy czego innego pragnęli. Biorą nas za co innego — to znaczy, że my sami rośniemy, zmieniamy się ustawicznie, odrzucamy stare kory, lenimy się jeszcze z każdą wiosną, stajemy się coraz młodszy, bardziej przyszli, wyższy, silniejsi, zapuszczamy korzenie swe coraz bardziej w głąb — w zło —, obejmując tymczasem ramionami niebiosa coraz miłośniej, coraz szerzej i ssąc

światłość ich coraz chciwiej wszystkiemi swemi gałęzmi i liśćmi. Rośniemy jak drzewa — trudno to zrozumieć, jak wszelkie życie! — nie na jednym miejscu, lecz wszędzie, nie w jednym kierunku, lecz w górę, na zewnątrz, jak na wewnątrz i w dół, — siła nasza strzela od razu pnem, gałęzmi i korzeniami, już nie jest w naszej mocy, czynić coś prostego, być czemś prostem . . . Taki jest los nasz, jak się rzekło; rośniemy w z y ż; a choćby to nawet było naszym fatalizmem — bo coraz bliżej mieszkamy błyskawic! — dobrze, czcimy to przeto niemniej, pozostanie to tem, czego nie chcemy dzielić, udzielać, fatalizmem wyży, n a s z y m fatalizmem . . .

## 372.

Czemu nie jesteśmy idealistami. — Niegdyś bali się zmysłów filozofowie: czyśmy może — nazbyt tej oduczyli się trwogi? Jesteśmy dziś wszyscy razem sensualistami, my terażniejsi i przyszli w filozofii, nie z teorii, lecz z praktyki . . . Tamci natomiast mniemali, że zmysły wywabiają ich z ich świata, z zimnego królestwa »idei« na niebezpieczną południową wyspę: gdzie, jak się lękali, ich filozoficzne cnoty stopniałyby na nic, jak śnieg w słońcu. »Wosk w uszach« był wówczas prawie warunkiem filozofowania; prawdziwy filozof nie słyszał już życia, o ile życie jest muzyką, zaprzeczał muzyki życia, — jest to stary zabobon filozofów, że wszelka muzyka jest muzyką syrenią. — Dziśbyśmy byli skłonni wyrokować właśnie przeciwnie (co mogłoby w sobie tak

samo być jeszcze fałszywe): to jest, że idee są gorszemi zwodzicielkami niż zmysły, przy całym swym zimnym anemicznym wyglądzie i nawet nie mimo ten wygląd, — karmiły się one zawsze »krwią« filozofa, wycieńczały zawsze jego zmysły, a nawet, jeśli nam wierzyć chcecie, jego »serce«. Ci starzy filozofowie byli bez serca: filozofowanie było zawsze rodzajem wampiryzmu. Czy nie czujecie w takich postaciach, jak jeszcze postać Spinozy, czegoś głęboko zagadkowego i niesamowitego? Czy nie widzicie tego widowiska, które się tu odgrywa, ustawicznego blednięcia —, coraz idealniej wykładanego odzmysłowienia? Nie przeczuwacie poza tem jakiejś od dawna ukrytej wysączycielki krwi, która, zacząwszy od zmysłów, pozostawia wkońcu i ostawia kości i klekot? — mam na myśli kategorye, formuły, słowa (bo, wybaczcie mi, co pozostało po Spinozie, *amor intellectualis dei*, jest klekotem, niczem więcej! czem jest *amor*, czem *deus*, jeśli brakuje im nawet kropli krwi?... ) *In summa*: wszelki idealizm filozoficzny był dotychczas czemś jakby chorobą, wszędzie, gdzie nie był, jak w wypadku Platona, ostrożnością przebogatego i niebezpiecznego zdrowia, obawą przed przemożnymi zmysłami, mądrością mądrego Sokratyka. — Może my współcześni nie jesteśmy jeno dość zdrowi, by potrzebować idealizmu Platona? A nie boimy się zmysłów, bo — —

»Wiedza« jako przesąd. — Wynika z praw hierarchii, że uczonym, o ile należą do duchowego

średniego stanu, nie może być dane widzenie właściwych wielkich problematów i znaków zapytania; nie sięga tak daleko ich odwaga ni ich spojrzenie, — przedewszystkiem ich potrzeba, która do badań ich skłania, ich wewnętrzne uprzedzenie i pragnienie, by tak a tak rzeczy się miały, ich obawa i nadzieja osiąga zbyt prędko spokój i zadowolenie. To, co na przykład pedantycznego Anglika Herberta Spencera do marzenia na jego sposób pobudza i każe mu zakreślać linię nadziei, widnokrąg pożądaności, owo końcowe pojednanie »egoizmu i altruizmu«, o którym baje, to budzi w każdym z nas nieomal wstręt: — ludzkość o takich spenserowskich perspektywach, jako ostatecznych perspektywach, zdawałaby się nam godną pogardy i zgłady. Lecz już to, że dla jego uczucia najwyższą nadzieją musi być coś, co inni jedynie za wstrętną możliwość uznają i uznawać mogą, jest już znakiem zapytania, któregooby Spencer nie był mógł przewidzieć . . . Tak samo ma się rzecz z ową wiarą, którą zadowala się teraz tak wielu materyalistycznych badaczy przyrody, z wiarą w świat, który ma posiadać równoważnik i miarę w ludzkim myśleniu, w ludzkich pojęciach wartości, w »świat prawdy«, do której ostatecznie zbliżyć się można z pomocą naszego kanciastego małego ludzkiego rozumu — jakto? chcemyż rzeczywiście pozwolić, by nam w ten sposób znizono w godności istnienie do ćwiczenia pomocników rachunkowych i piecuchostwa matematyków? Nie powinno się przedewszystkiem chcieć zdzierać z niego jego wieloznacznego charakteru: tego żąda dobry smak, moi panowie, smak czci dla wszystkiego, co poza widnokrąg nasz sięga! Że uprawniona jest jedynie interpretacya świata, przy której w y siebie

uprawnianie, przy której można naukowo po waszej myśli (— macie na myśli właściwie mechanicznie?) badać i dalej pracować, taka, która prócz liczenia, rachowania, ważenia, patrzenia i dotykania nic więcej nie dopuszcza, to jest niezgrabnością i naiwnością, przypuściwszy, że nie jest żadną chorobą umysłową ni idiotyzmem. Czy nie byłoby przeciwnie bardzo prawdopodobnem, że właśnie to, co najpowierzchniwsze i najzewnątrzniejsze w istnieniu — jego największa pozorność, naskórek i uzmysłowienie — najprędzej da się ująć? »Naukowa« interpretacja świata, jak wy ją rozumiecie, mogłaby skutkiem tego być zawsze jeszcze jedną z najgłupszych, to znaczy najmniej znaczenia mających z wszystkich możliwych interpretacyi świata: to mówiąc w ucho i sumienie panom mechanikom, którzy dzisiaj chętnie zachodzą między filozofów i zgoła mniemają, że mechanika jest nauką o pierwszych i ostatecznych prawach, na których, jak na słupach, zbudowane być musi wszelkie istnienie. Lecz esencjonalnie mechaniczny świat byłby esencjonalnie bezmyślnym światem! Przypuściwszy, że ocenianoby wartość jakiejś muzyki wedle tego, ile z niej można obliczyć, porachować, ująć w formułki, — jakże niedorzeczną byłaby taka »naukowa« ocena muzyki! Cóżby z niej pojęto, zrozumiano, poznano! Nic, właśnie nic z tego, co w niej właściwie jest »muzyką«!...

Nasza nowa nieskończoność. — Jak daleko sięga perspektywiczny charakter istnienia lub

czy posiada ono jeszcze jakiś inny charakter, czy też istnienie bez wyłożenia, bez »sensu« nie staje się właśnie »nonsensem«, czy, z drugiej strony, wszelkie istnienie nie jest esencjonalnie t ł u m a c z ą c e m istnieniem, — tego, jak słuszną, nie rozwiąże nawet najpilniejsza i męcząco-sumienna analiza i samobadanie intelektu: ponieważ intelekt ludzki przy analizie tej nie jest zdolny widzieć samego siebie w swych perspektywicznych formach i tylko w nich się widzieć. Nie możemy wyjrzeć poza swój kąt: jest to beznadziejna ciekawość chcieć wiedzieć, co za inne rodzaje intelektu i perspektywy istniećby mogły: na przykład czy jakieś istoty mogą odczuwać czas w kierunku wstecznym lub naprzemian w kierunku naprzód i wstecz (czem byłby dany inny kierunek życia i inne pojęcie przyczyny i skutku). Lecz zdaje mi się, że dziś przynajmniej jesteśmy dalecy od śmiesznej nieskromności wyrokowania z naszego kąta, że tylko z tego kąta można mieć perspektywy. Świat stał nam się raczej raz jeszcze »nieskończonym«: o ile nie możemy odeprzeć możliwości, że zawiera w sobie nieskończone interpretacje. Raz jeszcze zdejmuje nas wielki dreszcz grozy: — lecz któż miałby ochotę tę potworność nieznanego świata natychmiast znów wedle starej ubóstwić modły? I może nieznane uwielbić jeszcze jako »Nieznane go?« Ach zbyt wiele nieboskich możliwości interpretacji mieści to nieznanne, zbyt wiele dyabelstwa, głupoty, błazeństwa interpretacji — nawet naszą własną ludzką, nazbyt ludzką, którą znamy . . .

Czemu wydajemy się epikurejczykami. — My ludzie nowocześni jesteśmy ostrożni względem ostatecznych przekonań: nasza nieufność stoi na czatach przeciw czarowaniu i podchodzeniu sumienia, tkwiącym w każdej silnej wierze, w każdym bezwarunkowym tak lub nie: czem to się tłumaczy? Może tem, że wolno w tem widzieć w wielkiej części przeczność »poparzonego dziecka«, rozczarowanego idealisty, w innej jednak i jeszcze większej części także radosną ciekawość dawnego pokątnika, który kątem swym do rozpaczki doprowadzony pławi się teraz w przeciwieństwie kąta i marzy, w bezgraniczności, w »wolności w sobie«. Wytwarza się przez to pewien nieomal epikurejski pociąg do poznania, który nie wypuści z rąk za byle co zagadkowego charakteru rzeczy; zarazem pewna odraza do wielkich słów i gestów moralnych, smak, który odpiera wszystkie niezgrabne i niezdarne przeciwieństwa i z dumą świadom jest swej umiejętności zastrzeżeń. Bo to stanowi dumę naszą, to lekkie zawściąganie cugli w naszym grzmiącym ku pewności pędzie, to panowanie nad sobą jeźdźca wśród jego jazd najdzikszych: bo ciągle mamy ogniste pod sobą rumaki a jeśli się ociągamy, to do ociągania się skłania nas najmniej niebezpieczeństwo.

Nasze powolne czasy. — Tak odczuwają wszyscy artyści i ludzie »dziel«, macierzyński rodzaj

ludzi: wierzą oni zawsze, w każdym swego życia okresie — którego zamknięciem jest zawsze dzieło, że są już u samego celu, zawsze przyjęliby cierpliwie śmierć, z uczuciem »dojrzelismy już do niej«. Nie jest to wyraz znużenia, raczej pewnej jesiennej słoneczności i łagodności, którą każdym razem w twórcy zostawia samo dzieło, dojrzenie dzieła. Wtedy zwalnia się *tempo* życia i staje się gęstem i miodopłynnym — wolniej aż do długich fermat, aż do wiary w długą Fermatę.

## 377.

My bez ojczyzny. — Nie zbywa wśród dzisiejszych Europejczyków na takich, którzy mają prawo zwać się w pewnym wyszczególniającem i zaszczytnem znaczeniu bezojczystymi, — tym właśnie niech wyraźnie do serca przemówi moja tajna mądrość i *gaya scienza*. Bo los ich jest twardy, nadzieja niepewna, jest sztuką wynaleźć dla nich pociechę — lecz cóż to pomoże! My dzieci przyszłości, jakże moglibyśmy w tem »dziś« czuć się u siebie! Jesteśmy niechętni wszystkim ideałom, gwoli którym niejedyn nawet w tym kruchym pokruszonym czasie przejściowym mógłby się swojsko czuć jeszcze; co jednak ich »realności« dotyczy, to nie wierzymy, aby miały trwałość. Łód, który nas dziś dźwiga jeszcze, stał się już bardzo cienkim: odwilż zawiewa, my sami, my bez ojczyzny, jesteśmy czemś, co łamie łód i zbyt cienkie »realności«... Nie »zachowujemy« niczego, nie chcemy też powrotu w żadną przeszłość, nie je-

steśmy wcale a wcale »liberalni«, nie pracujemy dla »postępu«, nie musimy dopiero ucha swego zatykać wobec jarmarcznych syren przyszłości — to, co śpiewają, »równość praw«, »wolna społeczność«, »żadnych już panów i żadnych sług«, to nas nie wabi! — nie uważamy wprost za życzenia godne, by założono na ziemi królestwo sprawiedliwości i jednomyślności (bo stałoby się w każdym razie królestwem najgłębszej średniości i chińszczyzny), cieszymy się wszystkimi, którzy podobnie nam kochają niebezpieczeństwo, wojnę i przygodę, którzy nie dają się odprawić, ująć, pojednać i przykroić, zaliczamy samych siebie do zdobywców, rozmyślamy o konieczności nowego ładu, nowego też niewolnictwa — bo do każdego wzmocnienia i podwyższenia typu człowieka potrzeba też pewnego rodzaju uniewolnienia — nieprawdaż? z tem wszystkim nie musi nam być swojo w stuleciu, które lubi rościć sobie prawo do chwały zwaną się najbardziej ludzkim, najłagodniejszym, najsprawiedliwszym stuleciem, jakie istniało dotychczas pod słońcem? Dość źle, że właśnie przy tych pięknych słowach nachodzą nas tem brzydsze uboczne myśli! Że widzimy w tem tylko wyraz — i maskaradę — głębokiego osłabienia, znużenia, starości, upadającej siły! Cóż nam zależeć może na tem, w jakie piórka chory stroi słabość swoją! Niech ją jako cnotę wystawia na pokaz — nie ulega żadnej wątpliwości, że słabość czyni łagodnym, ach tak łagodnym, tak sprawiedliwym, tak niezaczepnym, tak ludzkim! — »Religia litości«, do której chcianoby nas namówić — och znamy dość tych historycznych samców i samice, którzy dziś tej właśnie religii potrzebują dla zasłony i ozdoby! Nie jesteście humanitaryuszami; nie waży-

libyśmy się nigdy pozwolić sobie mówić o swej »mi-  
 łości dla ludzkości« — na to żaden z nas nie jest  
 nadosyć aktorem! Lub niedość sensymonistą, nie-  
 dość Francuzem! Trzeba już być obarczonym ga-  
 lickim nadmiarem erotycznej pobudliwości i zako-  
 chanej niecierpliwości, by się nawet jeszcze do ludz-  
 kości w sposób rzetelny z żarem swym zbliżyć...  
 Do ludzkości! Istniałaż kiedykolwiek obrzydliwsza  
 jeszcze stara baba wśród wszystkich starych bab?  
 (— musi nią chyba być »prawda«: pytanie dla filo-  
 zofów). Nie, my nie kochamy ludzkości; z drugiej  
 strony jednak jesteśmy też o wiele za mało »Niem-  
 cami«, jak dziś to słowo »niemiecki« w powszechnem  
 jest użyciu, by przemawiać za nacjonalizmem i nie-  
 nawiścią rasową, by móżdż się radować z tych narodo-  
 wych dźgań w serce i zatrucia krwi, z powodu których  
 teraz w Europie odgranicza się naród od narodu i za-  
 myka kwarantannami. Na to mamy za mało uprzedzeń,  
 jesteśmy zbyt złośliwi, zbyt rozpieszczeni w smaku,  
 także za dobrze wyuczeni, i w podróżach »bywali«:  
 dlatego wolimy o wiele bardziej żyć w górach, na  
 uboczu, »niewcześnie«, w minionych lub przyszłych  
 stuleciach, by przez to oszczędzić sobie cichej wściek-  
 łości, na którąbyśmy byli skazani, jako naoczni świad-  
 kowie polityki, wyjaławiającej niemieckiego ducha,  
 czyniącej go próżnym i będącej nadto małą poli-  
 tyką — nie musiż ona, by twór własny uchronić od  
 natychmiastowego rozsypania się, sadzać go między  
 dwie śmiertelne nienawiści? czy nie musi chcieć  
 uwiecznienia drobnopanstewkowości Europy?... My  
 bez ojczyzny, jesteśmy z rasy i pochodzenia zbyt wielo-  
 racy i mieszani, jako »ludzie nowocześni«, i skutkiem  
 tego mało nas kusi uczestnictwo w tym Igarskim

rasowym samopodziwie i chamstwie, które dziś wystawia się w Niemczech na pokaz, jako oznakę niemieckich zasad i które u ludu »zmysłu historycznego« wygląda podwójnie fałszywie i nieprzystojnie. Jesteśmy słowem — a niech to będzie chlubą naszą! — dobrymi Europejczykami, spadkobiercami Europy, bogatymi, zbytkownie wyposażonymi, lecz i nadmiernie zobowiązanymi spadkobiercami stuleci europejskiego ducha i jako tacy też wyrosliśmy już z chrześcijaństwa, nieprzyjaźni jemu, a to właśnie ponieważ wzrosliśmy z niego, ponieważ nasi przodkowie byli chrześcijanami o bezwzględnej rzetelności chrześcijaństwa, którzy swej wierze chętnie na ofiarę składali swe mienie i krew, stan i ojczyznę. My — czynimy to samo. Za co jednak? Za swą niewiarę? Za wszelkiego rodzaju niewiarę? Nie, wicie to lepiej, przyjaciele moi! Ukryte w was »Tak« silniejsze jest nad wszystkie »nie« i »może«, na które wraz z czasem swoim chorujecie; a jeśli coś gna was na morze, wy wychodźcy, to zmusza i was do tego — wiara!...

## 378.

»I znów się rozjaśniamy«. — My hojni i bogacze ducha, którzy podobni otwartym krynicom stoimy przy drodze i nikomu wzbraniać nie chcemy, aby z nas czerpał: nie umiemy się bronić niestety, gdziebyśmy bronić się chcieli, nie możemy niczem przeszkodzić temu, że nas mącą, zaciemniają — że czas, w którym żyjemy, rzuca w nas swoje aktual-

ności, jego brudne ptaki swą niechlujność, chłopaki swe rupiecie a wyczerpani, wypoczywający przy nas wędrowce swą małą i wielką nędzę. Lecz czynimy, jakeśmy zawsze czynili: przyjmujemy, co tylko w nas rzucają, w głąb naszą — bo jesteśmy głębcy, nie zapominamy — i znów się rozjaśniamy.

## 379.

Błazen wtrąca swe zdanie. — To nie mizantrop pisał tę książkę: nienawiść ludzi opłaca się dziś zbyt drogo. By nienawidzieć jak niegdyś nienawidzono człowieka, tymonicznie, w całości, bez ujmowania, z pełnego serca, z całej miłości nienawiści — na toby trzeba wyrzec się pogardy: — a ileż przedniej radości, ileż cierpliwości, ileż nawet dobroci zawdzięczamy właśnie swej pogardzie! Nadto jesteśmy w tem »wybrańcami Boga«: wytworna pogarda jest naszym smakiem i przywilejem, naszą sztuką, naszą cnotą może, najnowocześniejszych wśród nowoczesnych!... Nienawiść natomiast stawia na równi, stawia naprzeciw, w nienawiści tkwi cześć, wkońcu: w nienawiści tkwi strach, wielka porządna porcja strachu. My nieustraszeni jednak, my bardziej duchowi ludzie stulecia, dość dobrze znamy swoje korzystne położenie, by właśnie jako bardziej duchowi żyć w stosunku do tego czasu bez trwogi. Nie skażą nas na ścięcie, ni na więzienie, ni na wygnanie; książek naszych nie zabronią nawet, ani nie spalą. Stulecie to kocha ducha, kocha nas i potrzebuje, nawet gdybyśmy dać mu mieli do zrozumienia,

że jesteśmy artystami w pogardzie; że każde obcowanie z człowiekiem dreszczem nas lekkim przejmuje; że mimo całą swą łagodność, cierpliwość, życzliwość i uprzejmość nie możemy przekonać swego nosa, by pozbył się przesądu, który żywi względem bliskości człowieka; że kochamy naturę im mniej się po ludzku w niej dzieje i sztuce, jeśli jest ucieczką artysty przed człowiekiem lub szyderstwem artysty z człowieka lub szyderstwem artysty z samego siebie...

---

380.

»Wędrowiec« mówi. — By przypatrzeć się raz z oddali naszej europejskiej moralności, by ją zmierzyć wedle innych, dawniejszych lub przyszłych moralności, na to postąpić trzeba, jak postępuje wędrowiec, który chce wiedzieć, jak wysokie są wieże jakiegoś miasta: w tym celu o p u s z c z a miasto. »Myśli o moralnych przesądach«, jeśli nie mają być »przesądami o przesądach«, wymagają stanowiska poza obrębem moralności, jakiegoś poza dobrem i złem, ku któremu trzeba się dźwigać, wspinać, lecieć, — i w danym wypadku, zawsze jakiegoś poza naszym dobrem i złem, wyzwolenia od całej »Europy«, rozumianej jako suma rządzących ocen wartości, które nam w krew przeszły i w ciało. Że się właśnie chce dojść tam na zewnątrz, tam w górę, jest to może małym szaleństwem, dziwacznym, nierozsądnym »musisz« — bo i my poznający mamy swoje idyosynkrazye »niewolnej woli« — : pytanie czy rzeczywiście dojść tam można. To może zależeć od

wielu warunków; w gruncie rzeczy jest to pytanie, dotyczące tego, jak lekcy jesteśmy lub jak ważcy, problemat naszego »ciążaru gatunkowego«. Trzeba być bardzo lekkim, by swą żądzę poznania wzbić aż w taką dal i zarazem ponad swój czas, by stworzyć sobie oczy do patrzenia poprzez wieki, a do tego jeszcze czyste w tych oczach niebo! Trzeba się wyzwolić od niejednego, co właśnie nas Europejczyków dzisiejszych uciska, pęta, przytrzymuje i obciąża. Człowiek takiego pozaobrębu, który chce dostrzedz najwyższe nawet mierniki wartości swego czasu, musi przedewszystkiem czas ten w sobie samym »przezwyciężyć« — jest to próba jego siły — a dalej nie tylko swój czas, lecz i swój dotychczasowy wstręt i sprzeczność z tym czasem, swoje cierpienie z powodu niego, swoją »niewczesność«, swoją roman-tyczność...

---



---

381.

Z zagadnienia niezrozumiałości. — Chce się nietylko być rozumianym, gdy się pisze, lecz z pewnością tak samo także nierozumianym. Nie jest to jeszcze zgoła zarzutem przeciw książce, jeśli ją ktoś niezrozumiałą znajduje: może to było w zamysle jej pisarza, — nie chciał być przez »kogo-bądź« rozumiany. Każdy dostojniejszy duch i smak, jeśli się chce udzielić, wybiera sobie swych słuchaczy; a wybierając ich zakreśla zarazem granice »inym«. Wszystkie subtelniejsze prawa stylu z tego wywodzą się źródła: trzymają zarazem z dala, stwa-

rzają odległość, wzbraniają »wstępu«, zrozumienia, jak się rzekło, — otwierając tymczasem uszy tym, którzy są nam uszami pokrewni. I mówiąc między nami i w moim wypadku, — nie chcę ani niewiadomości swej ani żwawości temperamentu swego pozwolić, by mi przeszkadzały być dla was zrozumiałym, przyjaciele moi: żwawości, jakkolwiek też bardzo mnie zmusza, chyżo jakiejś rzeczy nadolać, by jej wogóle podołać. Bo z głębokiemi problematami postępuję, jak z zimną kąpielą — szybko wejść, szybko wyjść. Że w ten sposób nie dochodzi się w głąb, nie dość głęboko w dół, to przesąd bojących się wody, nieprzyjaciół zimnej wody: mówią bez doświadczenia. Och! wielkie zimno dodaje chyżości! — I pytam mimochodem: czy rzeczywiście dlatego nie zrozumieliśmy, nie poznaliśmy jakiejś rzeczy, żeśmy ją tylko w locie tknęli, musnęli spojrzeniem, oczu błyskawicą? Trzebaż koniecznie dopiero mocno jej przysiąść? wysiadywać ją, jak jaje? *Diu noctuque incubando*, jak rzekł o sobie samym Newton? Co najmniej istnieją prawdy o szczególnej płochliwości i łaskotliwości, których nie pochwycić inaczej jak nagle, — które trzeba zaskoczyć lub ostawić... Ostatecznie krótkość moja ma inną jeszcze wartość: w zakresie takich pytań, które mnie zajmują, muszę niejedno mówić krótko, by było jeszcze króciej słyszane. Jako immoralista bowiem trzeba mi się strzedz, by nie psuć niewinności, mam na myśli osłów i stare panny obojga płci, którym życie nie dało nic krom niewinności; więcej jeszcze, pisma me winny je zapalać, podnosić, zachęcać do cnoty. Nie znam nic na ziemi, coby ucieszniejszym było, niż stare widzieć osły i panny, które wzrusza słodkie uczucie cnoty: a »to widziałem« — tak rzekł

Zaratustra. Tyle co do krótkości: gorzej ma się rzecz z mą niewiadomością, z której sam przed sobą nie czynię tajemnicy. Są godziny, w których się jej wstydzę; oczywiście tak samo godziny, w których się wstydzę tego wstydu. Może jesteśmy dziś, wszyscy filozofowie razem, na zlej z wiedzą stopie: wiedza rośnie, najuczeńsi z nas bliżcy są odkrycia, że wiedzą za mało. Lecz zawsze jeszcze byłoby gorzej, gdyby inaczej rzecz się miała — gdybyśmy z a d u ż o wiedzieli; zadaniem naszym jest i pozostanie przede wszystkim nie mieszać siebie z drugimi. My jesteśmy czemś innym, jak uczeni: choć nie można tego ominąć, że jesteśmy też, między innymi, uczonymi. Mamy inne potrzeby, inny rozwój, inne trawienie: potrzebujemy więcej, potrzebujemy też mniej. Ile potrzebuje duch jakiś do swego wyżywienia, na to niema żadnej formuły; jeśli jednak smak jego zwraca się ku niezawisłości, ku szybkiemu przychodzeniu i odchodzeniu, ku wędrowaniu, ku przygodom może, do których najszybsi jeno dorośli, to żyje on raczej wolny z skąpą karmią, niż niewolny a natchany. Nie tłuszczu, lecz gibkości i siły żąda tancerz od swego pokarmu, a nie wiem, czemu bardziej życzył sobie być duch filozofa, niż dobrym tancerzem. Taniec bowiem jest jego ideałem, i sztuką jego, ostatecznie też jego jedyną bogobojnością i »służbą bożą« . . .

Wielkie zdrowie. — My nowi, bezimienni, trudnozrozumiali, my przedwczesne płozy niedowie-

dzionej jeszcze przyszłości — potrzebujemy do nowego celu także nowego środka, to jest nowego zdrowia, silniejszego, szczywniejszego, giętszego, zuchwalszego, weselszego, niż dotąd wszystkie były zdrowia. Czyja dusza pożąda przeżyć cały obszar dotychczasowych wartości i pożądaności i objechać wszystkie pobraża tego idealnego »morza śródziemnego«; kto wiezieć chce z przygód własnego doświadczenia, co czuje zwycięzca i odkrywca ideału, tak samo artysta, święty, prawodawca, mędrzec, uczony, pobożny, wróżbita i stroniący od Boga, temu potrzeba na to przede wszystkim wielkiego zdrowia — takiego, które nie tylko się ma, lecz które się nieustannie zdobywa i zdobywać może, ponieważ wiecznie się je poświęca, poświęcać musi!... I oto skorośmy długo w ten sposób wędrowali, my Argonauci ideału, odważniejsi może, niż to roztropnie było, i dość często doznawszy rozbicia i szkody, lecz jak się rzekło zdrowsi, niżby nam na to pozwolono, niebezpiecznie zdrowi, ciągle na nowo zdrowi, — to zdaje nam się wtedy, jakobyśmy w nagrodę za to mieli przed sobą ląd nieodkryty jeszcze, którego granic nikt jeszcze nie przejrział, jakiś pozaobrub wszystkich dotychczasowych lądów i zakątków ideału, świat tak przebogaty w to, co piękne, obce, pytania godne, straszliwe i boskie, że nasza ciekawość, tak samo jak nasza żądza posiadania wypadły z równowagi, — ach, że nic nas odtąd już nasycić nie może! Jakże moglibyśmy się, po takich widokach i wobec takiej zachłanności w rzeczach sumienia i wiedzy, zadowolić jeszcze człowiekiem terazniejszym? To dość źle: lecz nieuniknionem jest, że najzaciewniejszym jego celom i nadziejom przyglądamy się tylko z źle podtrzymy-

waną powagą i nie przyglądamy się już nawet. Inny mamy przed sobą ideał, cudowny, kuszący, pełen niebezpieczeństw ideał, do którego byśmy nie nakłaniali nikogo, ponieważ nie przyznajemy nikomu tak łatwo prawa do niego: ideał ducha, który naiwnie, to jest mimowolnie i z przelewnej pełni i mocy igra z wszystkim, co dotąd świętem, dobrem, nietykalnym, boskiem zwano; dla którego to, co najwyższe, to, w czym tłum słusznie widzi swą wartości miarę, znaczy prawie tyle, co niebezpieczeństwo, upadek, poniżenie lub, co najmniej odpoczynek, ślepotą, czasowe zapomnienie o sobie; ideał ludzko-nadludzkiego zdrowia i życzliwości, który często nieludzkim zdawać się może, na przykład gdy stanie obok całej dotychczasowej ziemskiej powagi, obok wszelkiego rodzaju uroczyści w ruchu, słowie, dźwięku, spojrzeniu, moralności i żądaniu, jako wcielona mimowolna parodia — i z którym, mimo to wszystko, zaczyna się może właśnie dopiero wielka powaga, staje właściwy znak pytania, odwraca się przeznaczenie duszy, cofa wskazówka, z a c z y n a tragedya...

Epilog. — Lecz właśnie kiedy jeszcze zwolna, zwolna zdążam do końca tego posępnego znaku pytania i pragnę przywołać czytelnikom swoim na pamięć cnoty właściwego czytania — ach, jakże zapomniane i nieznane cnoty! — rozlega się nagle wkoło mnie najzłośliwszy, najweselszy, koboldowy

śmiech: same duchy mojej książki opadają mnie, ciągną mnie za uszy i przywołują do porządku. »Nie wytrzymamy już dłużej — wołają do mnie; — ciągle, ciągle ta kruczo czarna muzyka. Czyż nie otacza nas jasne przedpołudnie? Zielona, miękka ziemia i murawa, królestwo tańca? Czyż była kiedy lepsza godzina, by się weselić? Któż nam zaśpiewa pieśń, pieśń przedpołudnia, tak słoneczną, tak lekką, tak polotną, że nie spłoszy świerszczy — że raczej zaprosi świerszcze, by razem śpiewały, razem tańczyły? Raczej jeszcze prosta chłopska kobza niż taka tajemnicza lutnia, takie ropusze rechoty, głosy grobowe i gwizdy świstaczki, którymi nas pan dotąd w dziczy swej raczył, mój panie pustelniku i muzyku przyszłości! Nie! Nie takich dźwięków! Lecz pozwólcie nam przyjemniejsze i radośniejsze zanucić!« — Podoba wam się tak, moi niecierpliwi przyjaciele? Dobrze więc! Któżby wam nie był po woli? Kobza moja już czeka, gardło me także — może dźwięcząc będzie nieco szorstko, nie gardźcie! za to jesteśmy w górach. Lecz to, co usłyszycie, jest przynajmniej nowe; a jeśli niezrozumiecie, jeśli źle zrozumiecie śpiewaka, to obojętne! Taka już »klątwa śpiewaka«. Tem wyraźniej słyszeć możecie jego muzykę i zwrotkę, tem lepiej też podług jego piszczałki — tańczyć. Chcecie tego?...

---



DODATEK:

DO GOSZCZEGO

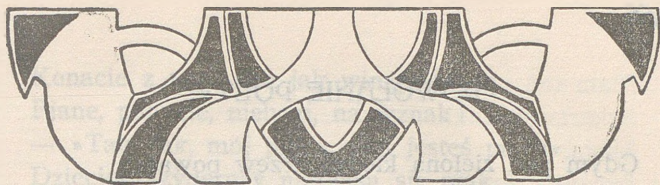
## Pieśni Księcia Lekkołucha.

To Coś, co nie przemija,  
W przeszłości twej ma władztwo!  
Ktoś, co nas w sieć wciąga,  
Poetów to młotać wie!

Świat, alkołogi winem kąpi,  
Za celom cel przechywał,  
Komiczność — gniewny wróg,  
Błazen to — grę bawiał...

Igrzysko świata, dziełom,  
Uduł mieszka z bytem,  
Błazenstwo młotniczek,  
I nas w to młotać wie!

śmiech: same dochy mojej książki opadają miłe, ciągną mnie za uszy i przywołują do porządku. — Nie wytrzymamy już dłużej — wołają do mnie; — ciągnie, ciągnie ta kruczka czarna muzyka. Czyż nie otacza nas jasno przedpołudnie? Zielona, miękka ziemia i murawa, brolestwo tańca? Czyż była kiedy lepsza godzina, by się weselić? Ktoż nam zaśpiewa pieśń przedpołudnia, tak słoneczną, tak lekką, tak poletną, że nie sploszy się wierzchołkami — że raczej zaprosi świerczkę, by razem śpiewały, razem tańczyły? Raczej jeszcze prosta chłopiecka kobra niż taka tajemnicza lilita, taktie rapusze rochoy, gwizdy i gwizdy gwizdaczki, któreś miś pan dopadł w dziury zwał raczej, mój panie pustelniku i muzyka przyszłości! Nie! Nie takich dźwięków! Lecz pozwólcie nam przyjemniejszą! Książka się odwróciła! — tak, moi miłośnicy przyjdźcie? Dobrze wiecie! Ktożby wam nie był po woli? Kolwa moja już czeka, gardło me usze — może sławić będzie nieco szorstko, nie gardzić! wo to Jesteśmy w górach. Lecz to, co usłyszycie, jest przynajmniej nowe; a jeśli nie rozumiecie, jeśli się zrozumiacie Śpiewaka, to obójcie! Także już «kłótwa Śpiewaka». Tem wyraźniej słyszeć możecie jego muzykę i zwrotki, tem lepiej też podług jego piszczałki — tańczyć. Chcecie tego?...



## DO GOETHEGO.

To Coś, co nie przemija,  
W przeñośni twej ma władztwo!  
Bóg, co nas w sieć owija,  
Poetów to matactwo!

Świat, mknący wirem koła,  
Za celem cel przebywa;  
Konieczność — gniewny woła,  
Błazen to — grą nazywa...

Igrzysko świata, dzielne,  
Uludę miesza z bytem.  
Błazeństwo nieśmiertelne  
I n a s w to miesza przytem.

---

---

## POWOŁANIE POETY.

Gdym pod zieloną kiedyś drzew powałą,  
Sporczywał w cieniu chłonać chłodu czar,  
Tykanie ucha mego doleciało,  
Równe, jak gdyby wedle taktu miar.  
Więc brwi ściągnąłem, rozgniewany przeto, —  
Jednak wnet w sercu złagodniałem swem,  
Aż i sam wkońcu, jakbym był poetą,  
Zacząłem mówić w takt z tykaniem tem.

I gdy tak oto wśród robienia wierszy  
Zgłoska po zgłosce biegła ku mnie w płas,  
Śmiech mnie znienacka porwał, śmiech najszczerzy  
I mną przez cały długi kwadrans trząśł.  
Co, tyś poetą? Ty jesteś poetą?  
Czyli już z głową twoją źle aż tak?  
— »Tak, tak, mój panie, pan jesteś poetą.«  
Dzięcioł, szydrczy natrząsa się ptak.

Czego tu szukam w drzew cienistym mroku?  
Na kogo czyham, czatuję jak zbój?  
Czy na przypowieść? Czy na obraz? W skoku  
Już się do niego rym przyczepił mój.  
Co się nawinie, przemknie, to czy nie to,  
Poeta chwyta, wietrząc wiersza smak.  
— »Tak, tak, mój panie, pan jesteś poetą.«  
Dzięcioł, szydrczy natrząsa się ptak.

Rymy to strzały, sędzę, rym to strzałka?  
Jak to trzepece, drga i skacze — ot,  
Gdy niespodzianie w jaszczurczego ciała  
Szlachetnej części utkwi lotny grot.

Konacie z tego, lub jak win podniętą  
 Pjane, padacie, niebogi, na wznak!  
 — »Tak, tak, mój panie, pan jesteś poetą«  
 Dzięcioł, szyderczy natrzęsa się ptak.

Te przypowiastrki kręte w spiesznym pędzie,  
 Pijane słówka — tłoczą się w mój wór!  
 Wnet wiersz przy wierszu wszystko wisieć będzie  
 Na tykający nanizane sznur.  
 Jest szajka, którą cieszy to? Czy przeto  
 Żli są poeci? Czy to złości znak?  
 — »Tak, tak, mój panie, pan jesteś poetą«  
 Dzięcioł, szyderczy natrzęsa się ptak.

Żartujesz, ptaku? Czy drwisz jak szyderce?  
 Czyż tak źle moja ma się głowa? Zacz  
 O wiele gorzej ma się moje serce?  
 Aby nie sięgnął ciebie gniew mój, bacz!  
 Jednak poeta z swych rymów kaletą,  
 Jest nawet w gniewie zły i dobry wszak.  
 — »Tak, tak, mój panie, pan jesteś poetą«  
 Dzięcioł, szyderczy natrzęsa się ptak.

## NA POŁUDNIU.

Oto na krzywej gałęzi tu wiszę,  
 Kołyszając senność swą na wiewu fali.  
 Ptak mnie zaprosił gościem w swe zacisze,  
 Oto w ptaszęcem gnieździe się kołyszę.  
 Kędyż to jestem? Ach, w dali! Ach, w dali!

Biała toń morza snem ujęta leży.  
 Szkarłatny żagiel pali się na niebie.  
 Skała, figowce, przystań, igła wieży,  
 Sielanka wkoło, bek owiec skądś bieży, —  
 Wchłoń mnie, Południa niewinności, w siebie.

To nie jest życie — ciągle krok za krokiem  
 Stąpać, to czyni Niemcem, ciężkim żmudnie.  
 Kazałem wichrom nieść się nad obłokiem  
 Latać uczyłem się z ptastwem wysokiem, —  
 I poleciałem wzwyż mórż na Południe.

Rozsądek! Sprawa przykra aż niemiło!  
 Nazbyt nas szybko to wiedzie do celu!  
 W lociem nauczył się, co mnie mamało, —  
 Już czuję soki nowe, krew wraz z siłą  
 Ku gry, ku życia nowemu weselu.

Samotnie myśleć — to mądrością mienię,  
 Ale samotnie śpiewać jest głupotą!  
 Słuchajcie pieśni na swoje uczczenie,  
 Usiądźcie wkoło, nastrójcie milczenie,  
 Ptaszki niedobre, ptaszęca niecnoto!

Młode fałszywe tak i tak szalone  
 Li do kochania zdacie się stworzone  
 I do zabawy pięknej w swym powabie?  
 Tam na Północy — wyznać muszę szczerze —  
 Niewiastęm kochał, starą aż dreszcz bierze:  
 »Prawda« na imię było owej babie.

## BOGOBOJNĄ BEPPĄ.

Póki me ciałko w krasy kwiecie,  
 Być bogobojną się opłaci.  
 Kobietki kocha Bóg, jak wiecie,  
 Ładna tem bardziej nic nie traci.  
 Snadź Bóg nie wzgardzi biednym mniszkiem,  
 Ni ciśnie nań potępień głazem,  
 Że, jak z niejednym jest braciszkiem,  
 Bardzo być lubi ze mną razem.

Nie ma z suchego nic proboszcza !  
 Jest lic rumianych, urodziwy,  
 Często się w żądzach rozzadzroszcza,  
 Jak rzadko który kocur siwy.  
 Staruszków ja nie kocham wcale,  
 On się staruszek kochać lęka :  
 Jakże to mądrze, jak wspaniale  
 Zrządziła wszystko boża ręka.

Kościół wie, jako żyć potrzeba,  
 Na twarz spogląda, w serce patrzy.  
 Wždy mi przebacza w imię nieba —  
 Bo któż mi czego nie przebaczy !  
 Trochę poszepce się półsłowy  
 I mknie, dyg strojąc i uśmieszek,  
 I przez spełniony grzeszek nowy  
 Zmazuje się dawniejszy grzeszek.

Bądź pochwalony Bóg na ziemi,  
 Który dziewczątek ród miłuje,  
 Wine, co stąd się w sercu plemi,  
 Sam sobie chętnie darowuje.

Póki me ciałko w krasy kwiecie,  
 Być bogobojną się opląci :  
 Gdy mnie, babinę, wiek przygniecie,  
 Niech dyabeł głowę dla mnie traci !

### ŁÓDŹ TAJEMNICZA.

Wczorajszej nocy, kiedy wszystko spało,  
 I kiedy ledwo trwożne wiatru tchnienie  
 Wśród cichych ulic wzdychało nieśmiało,  
 Snu mi poduszki nie dały, ni cienie,  
 Ani mak, ani to, co na noc całą  
 Daje głęboki sen, — czyste sumienie.

Wreszcie wyrzekłem się snu i makowca  
 I ku wybrzeżu pośpieszyłem w biegu.  
 Księżyc osrebrzał brzeg, — u wód manowca  
 Znalazłem człeka i łódź na noclegu,  
 Na ciepłym piasku. Senni : pasterz, owca : —  
 Sennie łódź moja odbiła od brzegu.

Przeszła godzina, a może dwie, czyli  
 Rok cały przebiegł nad duszą bezwiedną? —  
 Nagle istota ma cała się chyli,  
 Myśl ma zapada w jakieś wieczne Jedno,  
 Wkrąg się bezbrzeżne otwarło bezedno : —  
 I wszystko w jednej skończyło się chwili.

— Zaświtał ranek : na czarnych wód fali  
 Spoczywa łódka, nad wodną rozłogą . . .

Co to się stało? stugłosem wołali:  
 Co to się działo? Przelanoż krew drogą? — —  
 Nic się nie stało! Myśmy spali, spali  
 Wszyscy — ach, błogo! ach, przedziwnie błogo!

---

### OŚWIADCZYNY MIŁOSNE

(przy których jednak poeta wpadł w dół —).

Cud! Jeszcze wyżej pnie się?  
 Wzbija się a spoczywa jego skrzydeł biel?  
 Co dźwiga go i niesie?  
 Cóż mu jest drogą? Kędy wędziło i cel?

Rówiennik gwiazd, wieczności,  
 Zyje w wyżach, gdzie życia nie dolata pył,  
 Litosny i zazdrości — :  
 Kto jego lot choć widzi, wysoko się wzbił!

O ptaku albatrosie!  
 Pęd wieczysty w wyżyny mnie żenie i rwie.  
 Wspomniałem cię: i w rosie  
 Łez skąpały się oczy me — ja kocham cię!

---

### PIEŚŃ TEOKRYTOWEGO PASTERZA KÓZ.

Tu leżę na żołądek chory, —  
 Pluskwy mnie żrą i łechcą.

Naprzeciw światło do tej pory!  
 Gwar: tańczą, przestać nie chcą...

Miała tu o tej przyjść godzinie,  
 Przyjść chyłkiem i po cichu.

---

Ja jak pies tutaj czekam ninie, —  
 A o niej ani słychu.

A krzyża znak, gdy przyrzekała?  
 Czyż zdolna łągać bez zgrozy?  
 — Czyżby za każdym biegać miała,  
 Jak za mną moje kozy?

Skąd jedwab w szatkach jej szeleszcze? —  
 O, dumna czarnobrewo?  
 Czyżby niejeden kozioł jeszcze  
 Na owe skakał drzewo?

— Jak czyni jadowitym kwaśnie  
 Czekanie w noc miłosną!  
 W ogrodzie w duszną noc tak właśnie  
 Trujące grzyby rosną.

W miłości wiję się i trawię.  
 Ach, siedmiorakie bóle, —  
 I jeść już nic nie mogę prawie.  
 Żegnajcie me cebule!

---

Księżyc utonął w morskiej fali  
 I gwiazdy mdleją smętnie,  
 Nadpełza szary dzień z oddali, —  
 Jakżeby umarł chętnie.

---

## »NA NIEPEWNE OWE DUSZE«.

Na niepewne owe dusze  
 Gniew mię chwyta zły, jak zębów zgrzyt.  
 Wszelka cześć ich to katusze,  
 Ich pochwała — zgryzota i wstyd.

Że to nie u ich powroza  
 Ciągnę przez ten czas i przez ten świat,  
 Wita mnie zawistna groza,  
 Ich rozpacznych ócz słodkawy jad.

Niech jad klątw z ich ust się toczy,  
 Niechaj kręcą nosem wszyscy wraz.  
 Szukające owe oczy  
 W każdy na mnie zawiodą się czas.

## BŁAZEN W ROZPĄCZY.

Tak! Com popisał na stole i ścianie  
 Błazeńską ręką i błazeńską duszą,  
 Miałoż mi zdobić stół i ścianę całą?

Lecz wy mówicie: »To błazna bazgranie, —  
 A stół i ściana obtarte być muszą,  
 By ni jednego śladu nie zostało?«

Pozwólcie! Własną pomocę wam ręką —,  
 Bo jako krytyk, wodnik — należycie  
 Miotłą i gąbką umiem wodzić miękka.

Jednak, gdy pracę swoją ukończycie,  
Zobaczę chętnie, przemądrych senacie,  
Jak stół i ścianę mądrością obs . . . . .

*RIMUS REMEDIUM.*

Czyli : Jak pocieszają się chorzy poeci.

Z ust twoich płyną,  
Kąpią godziny w kropel powolności,  
O czasie, więdźmo, co ociekasz śliną.  
Daremnie cały wstręt mój krzyczy w mdłości :  
»Klątwa - ć, głębino  
Wieczności !«

Świat — twardy spiż :  
Ognisty cielec, co nie słyszy łkań.  
Noże boleści ryją pośród cisz  
W mych kości tkań :  
»Świat nie ma serca, słysz,  
Głupstwem się gniewać za to nań«.

Sok maków lej,  
Gorączko, jady lej mi w mózg i w serce !  
Zbyt długo patrzysz już ku dłoni mej.  
»Co dam — w nagrodę ?« Pytasz, jak szyderce ?  
— Ha ! Klątwa ścierce  
I urągom jej !

Nie! Wróc! Jak stać  
 Na dworze? Zimno tam, padają deszcze —  
 Winienbym czulej przywitać cię snadź?  
 — Masz złoto! Blaskiem jego cię upieszczę!  
 »Szczęściem« cię zwać?  
 Gorączkę błogosławić jeszcze?

Od wiatru tchu  
 Drzwi pękły! W łożu deszcz siecze kroplami!  
 Wiatr zgasił świecę, — nędza nad nędzami!  
 — I ktoby teraz nie miał rymów stu,  
 O zakład z wami,  
 Zginąłby tu!

»SZCZĘŚCIE ME!«

Gołębie na San Marco znów widzę szczęśliwe:  
 Plac cichy, przedpołudnie legło na nim w sen.  
 W słodkim chłodzie wysyłam swe pieśni leniwe,  
 Niby gołębi stada, w błękity bez den —  
 I znów z powrotem nęcę, wabię je,  
 By im rym jeszcze jeden wetknąć w pierze siwe  
 — O szczęście! Szczęście me!

Pod cichym, modroświatłym nieb jedwabiem goszczę,  
 Otulającym pieczę tych budowli kwiat,  
 Który kocham i trwożę się go i zazdroszczę...  
 O zaprawdę, że duszę wypiłbym zeń rad!  
 Czyżbym ją oddał kiedy znowu? Nie!  
 Cicho, biesiado cudna ócz, słodsza nad moszcze!  
 — O szczęście! Szczęście me!

Surowa wieżo, która naporem lwiej siły  
 Zwycięsko, lekko wdarłaś się wzwyż! Szczyt twój brzmi  
 I przelewa nad placem dźwięk głębią opity — :  
 Po francusku byś była dlań *accent aigu* ?

Gdybym podobnie tobie ostał się,  
 Wiem, jakieby mnie więzów jedwabie zmusiły . . .

— O szczęście! Szczęście me!

Precz, gęźbo! Niech zmrocznieją wprzód naloty cienia,  
 Niech zgęstnieją w brunatnej, letniej nocy głusz!  
 Na dźwięk za dnia za wcześniej i jeszcze złocenia  
 Ozdób nie zaiskrzyły się przepychem róż,

Wiele dnia jeszcze zostało na grę

Snucia wierszy, skradania się chyłkiem, mruczenia

— O szczęście! Szczęście me!

## NA NOWE MORZA.

Tam — chcę; i wierzę w swą prawicę,  
 Co dzierżę steru kierownicę;  
 Przedemną toń, ku niebios zbrzeży  
 Ma genueńska łódka bieży.

Wszystko mi nowem, nowszem zda się,  
 Południe śpi w przestrzeni, czasie — :

Jeno t w ó j pełen potworności

Wzrok ściga mnie, nieskończoności!

## SILS - MARIA.

Tu siedziałem, czekając, czekając — lecz na nic,  
Poza dobrem i poza złem, światłem bez granic,

To cieniem się radując, cały grą jedynie,  
Fala, południem, czasem, co bez celu płynie.

Wtem, przyjaciółko, jedno dwojgiem stało się —  
— I Zaratustra przeszedł mimo obok mnie . . .

## DO MISTRALA.

Pieśń taneczna.

Wietrze Mistralu, obłoków łowcze,  
Morderco smętków, co runa owcze  
Chmur zmiotasz, jakże ja kocham cię!  
Czyż nie z jednego my pierworody  
Łona, na losu jednego gody  
Znaczeni kędyś w wieczności mgle?

Tu na wyżynnych ścieżyn zawrocie  
Naprzeciw ciebie biegnę w polocie,  
Tańcząc, jak ty mi gwizdziesz i grasz,  
Co bez okrętu, żagli i wiosel,  
Jak najwolniejszy wolności poseł,  
Ponad dzikimi morzami gnasz.

Ledwom się zbudził, słysząc twe bliźnie  
 Hasło, pomknąłem ku wysoczyźnie,  
 Na rudych złomów nadmorski mur.  
 Cześć! Tyś już ciągnął, jako najczystsze  
 Strugi iskrzące i rwące bystrze,  
 Zwycięzko gnałeś hen z ponad gór.

Po równym stepie niebieskich szlaków  
 Widziałem gony twoich rumaków  
 I rydwan, który niesie cię het,  
 Widziałem rękę, co drży, gdy z biczy  
 Błyskawicami strzela, i ćwiczcy  
 Rumaki, razy sypiąc na grzbiet.

Jam ciebie widział, jak z wozuś skoczył  
 I ku dołowi w pęd się potoczył,  
 Jakoś się w strzałę zmienił przez skrót  
 I prostopadłeś padł w głąb topieli,  
 Jak promień, który krzak róż przestrzeli,  
 Gdy pierwsza jutrznia zróżowi wschód.

Więc tańcz na grzbietach stu i stu wałach,  
 Na morskich wałach, na morskich szalach —  
 Cześć ci, coś nowy tan stworzył, cześć!  
 Niech tan nasz tysiąc sposobów szuka,  
 Wolną — niech nasza zowie się sztuka,  
 Radosną — nasza wiedza i wieść!

Z każdego kwiecica w tanecznym szale  
 Rwijmy liść jeden sobie ku chwale  
 I jeszcze dwoje liści na wian!  
 Jak trubadurzy tańczmy w poszumie,  
 Tańczmy w nierządnic i świętych tłumie  
 Pomędzy Bogiem i światem tan.

Kto tańczyć z wichrem nie umie nijak,  
 Kto się owijać musi w powijak,  
 Zawsze na pasku, zdechlak i dziad.  
 Kto jest, jak błazny świętoszki ckliwe,  
 Jak cne kołtuny, gęsi cnotliwe,  
 Z tym precz z naszego raj, precz w świat!

Wzbijmy uliczny kurz w tuman tęgi  
 Pod nos wam, chorzy i niedołągi,  
 Przegnać, przepędzić chuchraków miot!  
 Oczyścmy brzegi tej naszej dziczy  
 Od spojrzeń trwogi, tchu suchotniczej  
 Piersi, precz chore koty za płot!

Precz ci, co mącą niebios topiele,  
 Tkacze chmur, światów oczerniciele,  
 Rozświećmy niebo, oczyścmy z chmur!  
 Szumy . . . o duchu wszech wolnych duchów,  
 Z tobą we dwoje, w złączeniu druhów  
 Szumi me szczęście, jak burzy wtór!

— I aby szczęście takie wieczyćście  
 Pamięć chowała, weź uroczyście  
 Ten wieniec, porwij go w pęd swych jazd!  
 I nieś go w oddal, hen ku wyżynie,  
 Pędząc ku górze po nieb drabinie  
 I tam go zawieś u ćwieków gwiazd!

---

---

---

Uwaga: «Pieśń księcia Lekko ducha»: w oryginale «*Lieder des Prinzen Vogelfrei*». *Vogelfrei* ma podwójne znaczenie: bezwzględnie wolny i wyjęty z pod prawa. Nagłówek przekładu znajduje usprawiedliwienie w tonie i nastroju samych poematów, w uczuciowych wartościach nietzscheańskich pojęć białna, linoskoka, tancerza: lekkości, jako przeciwieństwa «ducha ciężkości», również w licznych, w notatkach zachowanych odmianach obecnego tytułu, jak: «Prinz Vogelfrei, ein Narrenbuch», «Nur Narr! Nur Dichter!», «Lieder eines Unbescheidenen von Hans Vogelfrei». «Der neue Yorik».

Prz. tł.

---

---

## TREŚĆ.

---

	Strona
Przedmowa do wydania drugiego . . . . .	I
»ŻART, CHYTROŚĆ I ZEMSTA«.	
Zaproszenie . . . . .	13
Moje szczęście . . . . .	13
Śmiałość . . . . .	13
Rozmowa . . . . .	14
Do cnotliwych . . . . .	14
Mądrość światowa . . . . .	14
Vademecum – Vadetecum . . . . .	14
Przy trzecim lenieniu . . . . .	14
Moje róże . . . . .	15
Gardzący . . . . .	15
Przysłowie mówi . . . . .	15
Dla przyjaciela światła . . . . .	16
Dla taneczników . . . . .	16
Dzielny . . . . .	16
Rdza . . . . .	16
Wzwyż . . . . .	16
Dewiza gwałtownika . . . . .	17
Ciasne dusze . . . . .	17
Mimowolny uwodziciel . . . . .	17
Rozważcie . . . . .	17
Przeciw pysze . . . . .	17
Kobieta i mąż . . . . .	17
Interpretacya . . . . .	18
Lek dla pesymistów . . . . .	18

	Strona
Prośba . . . . .	18
Moja srogość . . . . .	19
Wędrowiec . . . . .	19
Pociecha dla początkujących . . . . .	19
Egoizm gwiazd . . . . .	19
Bliźni . . . . .	20
Zakapturzony święty . . . . .	20
Niewolny . . . . .	20
Samotny . . . . .	20
Seneca et hoc genus omne . . . . .	21
Lód . . . . .	21
Pisma młodzieńcze . . . . .	21
Baczość . . . . .	22
Bogobojny mówi . . . . .	22
Latem . . . . .	22
Bez zazdrości . . . . .	22
Heraklityzm . . . . .	23
Zasada przedelikatnych . . . . .	23
Rada . . . . .	24
Gruntowny . . . . .	23
Na zawsze . . . . .	24
Sądy znużonych . . . . .	24
Znijsście . . . . .	24
Przeciw prawom . . . . .	24
Mędrzec mówi . . . . .	25
Stracona głowa . . . . .	25
Pobożne życzenia . . . . .	25
Pisanie nogą . . . . .	26
„Ludzkie to, arcyłudzkie”. Książka . . . . .	26
Do mego czytelnika . . . . .	26
Malarz realista . . . . .	26
Próżność poetycka . . . . .	27
Wybredny smak . . . . .	27
Krzywy nos . . . . .	27
Piéro bazgrze . . . . .	27
Ludzie wyżsi . . . . .	28
Sceptyk mówi . . . . .	28
Ecce homo . . . . .	28
Morał gwiazd . . . . .	29

## KSIĘGA PIERWSZA.

Strona

Nauka o celu istnienia . . . . .	33
Sumienie intelektualne . . . . .	37
Szlachetny i pospolity . . . . .	39
Co utrzymuje rodzaj . . . . .	41
Obowiązki bezwzględne . . . . .	42
Utrata godności . . . . .	43
Coś dla pilnych . . . . .	44
Cnoty nieświadome . . . . .	46
Nasze wybuchy . . . . .	47
Pewien rodzaj atawizmu . . . . .	47
Świadomość . . . . .	48
O celu wiedzy . . . . .	50
Z nauki o uczuciu mocy . . . . .	51
Czego też nie nazywa się miłością . . . . .	53
Z daleka . . . . .	55
Przez kładkę . . . . .	56
Motywowanie swego ubóstwa . . . . .	56
Duma starożytna . . . . .	57
Zło . . . . .	58
Godność szaleństwa . . . . .	58
Do nauczycieli bezosobistości . . . . .	59
<i>L'ordre du jour pour le roi</i> . . . . .	62
Oznaki zepsucia . . . . .	64
Rozmaite niezadowolenie . . . . .	67
Niepowołani do poznawania . . . . .	68
Co zwie się życiem? . . . . .	69
Ten, który się wyrzeka . . . . .	69
Szkodzenie tem, co się ma najlepszego . . . . .	70
Ci, którzy dokłamują . . . . .	71
Komedia sławnych . . . . .	71
Handel i szlachectwo . . . . .	72
Niepożądani uczniowie . . . . .	73
Poza obrębem wykładowej sali . . . . .	74
<i>Historia abscondita</i> . . . . .	74
Kacerstwo i czarownictwo . . . . .	75
Ostatnie słowa . . . . .	75
Dzięki trzem błędom . . . . .	76
Wybuchowi . . . . .	77

	Strona
Zmieniony smak . . . . .	77
O braku dostojnej formy . . . . .	78
Przeciwko żalowi . . . . .	79
Praca i nuda . . . . .	80
Co wyrażają prawa . . . . .	81
Wiara w motywy . . . . .	82
Epikur . . . . .	83
Nasze zdumienie . . . . .	83
O tłumieniu namiętności . . . . .	84
Znajomość niedoli . . . . .	85
Wspaniałomyślność i rzeczy pokrewne . . . . .	87
Lęk osamotnienia . . . . .	88
Zmysł prawdy . . . . .	88
Co inni wiedzą o nas . . . . .	88
Gdzie zaczyna się dobro . . . . .	89
Świadomość złydy . . . . .	89
Ostateczna szlachetność . . . . .	90
Żądza cierpienia . . . . .	91

#### KSIĘGA DRUGA.

Do realistów . . . . .	95
Tylko jako twórcy! . . . . .	96
My artyści! . . . . .	97
Kobiety i ich działanie na odległość . . . . .	98
Na cześć przyjaźni . . . . .	100
Miłość . . . . .	100
Kobieta i muzyka . . . . .	100
Sceptycy . . . . .	101
Oddanie się . . . . .	101
Siła słabych . . . . .	102
Udawanie samego siebie . . . . .	102
Wola i powolność . . . . .	102
Zdolność do zemsty . . . . .	103
Władczyni władców . . . . .	103
O kobiecej czystości . . . . .	104
Matki . . . . .	106
Święte okrucieństwo . . . . .	106
Nie mające powodzenia . . . . .	107
Trzecia plec . . . . .	107

	Strona
Największe niebezpieczeństwo . . . . .	107
Zwierzę z czystym sumieniem . . . . .	109
Za co powinniśmy być wdzięczni . . . . .	110
Urok niedoskonałości . . . . .	111
Sztuka i przyroda . . . . .	112
Smak grecki . . . . .	115
<i>Esprit</i> niegreckie . . . . .	115
Przekłady . . . . .	116
O pochodzeniu poezji . . . . .	117
Dobro i piękno . . . . .	120
O teatrze . . . . .	121
O próżności artystów . . . . .	123
Powaga w rzeczach prawdy . . . . .	124
Teraz i niegdyś . . . . .	125
Światła i cienie . . . . .	125
Ostrożność . . . . .	126
Proza i poeta . . . . .	126
Ależ czemu piszesz? . . . . .	127
Wzrost po śmierci . . . . .	128
Chamfort . . . . .	128
Dwaj mówcy . . . . .	130
O gadatliwości pisarzy . . . . .	131
Na pochwałę Szekspira . . . . .	131
Zwolennicy Schopenhauera . . . . .	133
Nauka hołdowania . . . . .	138
Voltaire . . . . .	139
Słówko do filologów . . . . .	139
O muzyce niemieckiej . . . . .	140
O dźwięku mowy niemieckiej . . . . .	142
Niemcy jako artyści . . . . .	144
Muzyka jako orędowniczka . . . . .	145
Nasza ostatnia wdzięczność dla sztuki . . . . .	146

#### KSIĘGA TRZECIA.

Nowe walki . . . . .	151
Strzeżmy się! . . . . .	151
Pochodzenie poznania . . . . .	153
Pochodzenie logiczności . . . . .	156
Przyczyna i skutek . . . . .	157

	Strona
Z nauki o truciznach . . . . .	159
Rozległość moralności . . . . .	159
Cztery błędy . . . . .	160
Instykt stadny . . . . .	160
Stadne wyrzuty sumienia . . . . .	161
Przychyłość . . . . .	162
Niema altruizmu ! . . . . .	163
Zdrowie duszy . . . . .	163
Życie nie jest żadnym argumentem . . . . .	164
Moralny sceptycyzm w chrześcijaństwie . . . . .	164
Poznanie jest czemś więcej niż środkiem . . . . .	165
Widnokrąg nieskończoności . . . . .	167
Człowiek oszalały . . . . .	167
Mistyczne wyjaśnienia . . . . .	169
Oddziaływanie najdawniejszej religijności . . . . .	169
Wartość modlitwy . . . . .	171
Warunki boga . . . . .	172
Niebezpieczne postanowienie . . . . .	173
Chrześcijaństwo i samobójstwo . . . . .	173
Przeciw chrześcijaństwu . . . . .	173
Zasada . . . . .	174
Pesymiści jako ofiary . . . . .	174
Pochodzenie grzechu . . . . .	175
Naród wybrany . . . . .	176
Mówiąc przenośnią . . . . .	177
Błąd Chrystusa . . . . .	177
Barwa namiętności . . . . .	178
Zbyt po żydowsku . . . . .	178
Zbyt na sposób wschodni . . . . .	179
Kadzidło . . . . .	179
Największy pożytek wielobóstwa . . . . .	179
Wojny religijne . . . . .	181
Niebezpieczeństwo jaroszów . . . . .	181
Niemieckie nadzieje . . . . .	182
Pytanie i odpowiedź . . . . .	182
Gdzie powstają reformacje . . . . .	183
Niepomyślność reformacyi . . . . .	183
Z krytyki świętych . . . . .	185
O źródle religii . . . . .	185

	Strona
Największa zmiana . . . . .	185
<i>Homo poeta</i> . . . . .	186
Różne niebezpieczeństwa życia . . . . .	187
Czego nam brak . . . . .	187
Najbardziej wpływowy . . . . .	188
<i>Mentiri</i> . . . . .	188
Niewygodna właściwość . . . . .	188
Każda cnota w swoim czasie . . . . .	188
W obcowaniu z cnotami . . . . .	189
Do miłośników czasu . . . . .	189
Egoizm . . . . .	189
Po wielkiem zwycięstwie . . . . .	190
Szukający spokoju . . . . .	190
O szczęściu wyrzekających się . . . . .	190
Zawsze w swoim towarzystwie . . . . .	191
Mizantropia i miłość . . . . .	191
O chorym . . . . .	191
Jawni wrogowie . . . . .	192
Z tłumem . . . . .	192
Sława . . . . .	193
Psowacz smaku . . . . .	193
Być głębokim i zdawać się głębokim . . . . .	193
Na uboczu . . . . .	193
O wymowności . . . . .	194
Współczucie . . . . .	194
W sprawie »wychowania» . . . . .	194
Dla moralnego oświecenia . . . . .	195
Myślę . . . . .	195
Dobre czasy wolnych duchów . . . . .	195
Chodzenie śladem i poprzedzanie . . . . .	195
W samotności . . . . .	196
Muzyka najlepszej przyszłości . . . . .	196
Sprawiedliwość . . . . .	196
Ubogi . . . . .	197
Nieczyste sumienie . . . . .	197
Co obraża w wykładzie . . . . .	197
Praca . . . . .	197
Myśliciel . . . . .	198
Przeciw chwałom . . . . .	198

	Strona
Przeciw niejednej obronie . . . . .	198
Dobroduszni . . . . .	198
Dowcip Kanta . . . . .	199
Człowiek »otwartego serca« . . . . .	199
Śmiech bierze! . . . . .	199
Granica naszego słuchu . . . . .	200
Przeto baczność! . . . . .	200
Przykość dumnego . . . . .	200
Szczodrość . . . . .	200
Śmiech . . . . .	200
Pochwała . . . . .	201
Marnotrawca . . . . .	201
<i>Hic niger est</i> . . . . .	201
Zebrał i dworność . . . . .	201
Potrzeba . . . . .	202
Podczas deszczu . . . . .	202
Zazdrośnik . . . . .	202
Wielki mąż! . . . . .	202
Pewien rodzaj pytania o uzasadnienia . . . . .	203
Miara w pilności . . . . .	203
Tajni wrogowie . . . . .	203
Pozory ludzą . . . . .	203
Droga do szczęścia . . . . .	204
Wiara uszczęśliwia . . . . .	204
Ideał i materyał . . . . .	204
Niebezpieczeństwo w głosie . . . . .	205
Przyczyna i skutek . . . . .	205
Moja antypatya . . . . .	205
Cel kary . . . . .	205
Ofiara . . . . .	205
Szacunek . . . . .	206
Poeta i kłamca . . . . .	206
Wikaryat zmysłów . . . . .	206
Krytyka zwierząt . . . . .	206
Naturalni . . . . .	207
Nieufni i styl . . . . .	207
Chybiony wniosek, chybiony strzał . . . . .	207
Przeciw pośrednikom . . . . .	207
Przekora i wierność . . . . .	208

	Strona
Brak umiejętności milczenia . . . . .	208
Gruntowni . . . . .	208
Śnić . . . . .	208
Najniebezpieczniejszy punkt widzenia . . . . .	209
Pocieszająca mowa muzykanta . . . . .	209
Duch i charakter . . . . .	209
By tłum poruszyć . . . . .	210
Uprzejmy . . . . .	210
Niezawistny . . . . .	210
Bezradosny . . . . .	210
Nad morzem . . . . .	211
Dzieło i artysta . . . . .	211
<i>Suum cuique</i> . . . . .	211
Początek »dobra« i »zła« . . . . .	212
Myśli i słowa . . . . .	212
Pochwała w wyborze . . . . .	212
Matematyka . . . . .	212
Nawyknienia . . . . .	213
Książki . . . . .	213
Westchnienie poznającego . . . . .	213
Wina . . . . .	213
Zaniepoznani cierpiący . . . . .	214
Raczej być winnym . . . . .	214
Zawsze w domu . . . . .	214
Przeciw zakłopotaniu . . . . .	215
Naśladowcy . . . . .	215
Naskórkowość . . . . .	215
Z doświadczenia . . . . .	216
Przeczyściele przypadku . . . . .	216
Z rajy . . . . .	216
Tabliczka mnożenia . . . . .	216
Oryginalność . . . . .	216
<i>Sub specie aeterni</i> . . . . .	217
Bez próżności . . . . .	217
Co czynimy . . . . .	217
Największy sceptycyzm . . . . .	218
Gdzie okrucieństwa potrzeba . . . . .	218
Mając cel wielki . . . . .	218
Co czyni bohatera? . . . . .	218

	Strona
W co wierzysz ? . . . . .	219
Co mówi ci sumienie ? . . . . .	219
W czym leżą największe twe niebezpieczeństwa ? . . . . .	219
Co kochasz w innych ? . . . . .	219
Kogo nazywaś złym ? . . . . .	219
Co wydaje ci się najbardziej ludzkim ? . . . . .	220
Co jest pieczęcią osiągniętej wolności ? . . . . .	220

#### KSIĘGA CZWARTA.

Na nowy rok . . . . .	223
Osobista opatrność . . . . .	224
Myśl o śmierci . . . . .	225
Przyjaźń gwiezdna . . . . .	226
Architektura poznających . . . . .	227
Umieć znaleźć koniec . . . . .	228
Chód . . . . .	228
Przygotowawcy . . . . .	229
Wiara w siebie . . . . .	230
<i>Excelsior !</i> . . . . .	231
W przerwie . . . . .	231
Rozkosz z ślepoty . . . . .	232
Wysokie nastroje . . . . .	232
Na okręty . . . . .	233
Jednego trzeba . . . . .	234
Genua . . . . .	235
Do kaznodziejów moralności . . . . .	237
Nasze powietrze . . . . .	238
Przeciw potwarzom przyrody . . . . .	239
Krótkie nawyknięcia . . . . .	240
Stała opinia . . . . .	241
Móźdz przeczyć . . . . .	242
Westchnienie . . . . .	243
Czego należy się nauczyć od artystów . . . . .	243
Przygrywka do wiedzy . . . . .	244
Urojenie ludzi kontemplacyjnych . . . . .	245
Niebezpieczeństwo najszcześniejszego . . . . .	247
Dwuch szczęśliwych . . . . .	248
Pozbywamy się, czyniąc . . . . .	249
Panowanie nad sobą . . . . .	249

	Strona
Stoik i epikurejczyk . . . . .	251
Na obronę krytyki . . . . .	251
Historia każdego dnia . . . . .	252
Z siódmej samotności . . . . .	252
Wola i fala . . . . .	253
Załamane światło . . . . .	254
Mój pies . . . . .	255
Żadnych obrazów męczeństwa . . . . .	255
Nowe zwierzęta domowe . . . . .	256
O ostatniej godzinie . . . . .	256
Ludzie proroczy . . . . .	256
Spojrzenie wstecz . . . . .	257
Mądrość w boleści . . . . .	358
Jako interpretatorzy naszych wydarzeń przeżytych . . . . .	259
Widząc się znowu . . . . .	259
Nowa przeczność . . . . .	260
Porównanie . . . . .	260
Szczęście w przeznaczeniu . . . . .	261
<i>In media vita</i> . . . . .	261
Czego do wielkości potrzeba . . . . .	262
Lekarze dusz i ból . . . . .	262
Brać poważnie . . . . .	264
Szkodzenie głupocie . . . . .	264
Wczas i próżnowanie . . . . .	265
Poklask . . . . .	267
Raczej głuchym być niż ogłuszonym . . . . .	267
Zła godzina . . . . .	268
Co znaczy poznawać? . . . . .	268
Trzeba nauczyć się kochać . . . . .	270
Górą fizyka ! . . . . .	270
Skąpstwo natury . . . . .	275
Przyszło »człowieczeństwo« . . . . .	275
Żądza cierpienia i litościwi . . . . .	277
<i>Vita femina</i> . . . . .	280
Umierający Sokrates . . . . .	281
Największy ciężar . . . . .	282
<i>Incipit tragoedia</i> . . . . .	283

## KSIĘGA PIĄTA.

W sprawie naszej pogody . . . . .	287
O ile i my jeszcze bogobojni jesteśmy . . . . .	289
Moralność jako problemat . . . . .	292
Nasz znak pytania . . . . .	294
Wierzący i ich potrzeba wiary . . . . .	296
O pochodzeniu uczonych . . . . .	299
Jeszcze raz o pochodzeniu uczonych . . . . .	300
Ku czci <i>hominum religiosorum</i> . . . . .	301
Ku czci natur kapłańskich . . . . .	302
Jak dalece byłoby trudno bezobejść się moralności . . . . .	304
O źródle religii . . . . .	305
O »gieniuszu gatunku« . . . . .	306
Źródło naszego pojęcia »poznanie« . . . . .	310
Jak dalece dzać się będzie w Europie coraz artystyczniej . . . . .	312
W sprawie starego problemu: »co jest niemieckie ?« . . . . .	315
Chłopski bunt ducha . . . . .	321
Zemsta na duchu i inne tła moralności . . . . .	324
Dwa rodzaje przyczyn, które się miesza . . . . .	326
O problemacie aktora . . . . .	327
Nasza wiara w zmęźnienie Europy . . . . .	329
Jak każda płeć ma swój przesąd co do miłości . . . . .	330
Pustelnik mówi . . . . .	332
Pustelnik mówi raz jeszcze . . . . .	333
W obliczu uczonej książki . . . . .	334
Co trzeba przedewszystkiem rozróżnić w dziełach sztuki . . . . .	337
Cynik mówi . . . . .	337
Jedno obok drugiego . . . . .	339
Co to jest romantyka . . . . .	340
My niezrozumiali . . . . .	344
Czemu nie jesteśmy idealistami . . . . .	345
»Wiedza« jako przesąd . . . . .	346
Nasza nowa nieskończoność . . . . .	348
Czemu wydajemy się epikurejczykami . . . . .	350
Nasze powolne czasy . . . . .	350
My bez ojczyzny . . . . .	351
»I znów się rozjaśniamy« . . . . .	354
Błazen wtrąca swe zdanie . . . . .	355

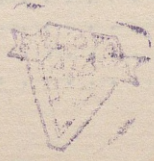
	Strona
»Wędrowiec« mówi . . . . .	356
Z zagadnienia niezrozumiałości . . . . .	357
Wielkie zdrowie . . . . .	359
Epilog . . . . .	361

DODATEK : PIEŚNI KSIĘCIA LEKKODUCHA.

Do Goethego . . . . .	366
Powołanie poety . . . . .	366
Na południu . . . . .	367
Bogobojna Beppa . . . . .	369
Łódź tajemnicza . . . . .	370
Oświadczyń miłosne (przy których jednak poeta wpadł w dół)	371
Pieśń teokrytowego pasterza kóz . . . . .	371
»Na niepewne owe dusze« . . . . .	373
Błązen w rozpachy . . . . .	373
<i>Rimus remedium</i> . Czyli: Jak pocieszają się chorzy poeci . .	374
»Szczęście me !« . . . . .	375
Na nowe morza . . . . .	376
Sils-Maria . . . . .	377
Do Mistrała. Pieśń taneczna . . . . .	377

---

Wychowawca mówi	350
X zagadnienia nieczarnalności	351
Wielkie zdrowie	352
Epilog	301
<b>DODATEK : PIĘŚŃ KRÓLEWA LEKODUCHA</b>	
Do Goethego	300
Powołanie poety	300
Na podobieństwo	301
Przebieg choroby	300
Łódź tajemnicza	300
Oświeceniowy miłome (przy krótkich jedynkach w dół)	301
Pieśń teokrytowego pastora kłosa	301
Na niebezpieczne owe dusze	302
Planem wtopaczy	302
Wymowa teatralna (Głębokość poezji)	302
Wychowawca mówi	302
Na nowożytność	300
Stig-Martin	300
Do Miasteczka. Pieśń taneczna	300
<hr/>	
301	301
302	302
303	303
304	304
305	305
306	306
307	307
308	308
309	309
310	310
311	311
312	312
313	313
314	314
315	315
316	316
317	317
318	318
319	319
320	320
321	321
322	322
323	323
324	324
325	325
326	326
327	327
328	328
329	329
330	330
331	331
332	332
333	333
334	334
335	335
336	336
337	337
338	338
339	339
340	340
341	341
342	342
343	343
344	344
345	345
346	346
347	347
348	348
349	349
350	350





6

30878/2